

**S t e p a n   K o r n e l i a**

**M i ł o s n e  
z a w i r o w a n i a**

# Część pierwsza

Spotkałyśmy się niedaleko wydawnictwa, w modnej Café Paris. Zgodnie z francuską modą, bez zastrzeżeń przyjętą przez monachijczyków, krzesła w tym przestronnym lokalu ustawiono tak, aby wszyscy goście siedzieli twarzami skierowanymi nie ku sobie (bo dla czego mieliby patrzeć na siebie?), ale w stronę efektownie przeszklonej ściany frontowej. Dzięki temu można było obserwować przylegającą do niej ulicę i... mówić do szyby albo tylko patrzeć na nią, albo, jeśli miało się trochę szczęścia i światło padało pod odpowiednim kątem, spoglądać na swoje rozmazane odbicie. O tej porze, już po śniadaniu i jeszcze przed lunchem, na ulicy nie działo się nic, bo niby co mogłoby się dziać w ciasno zabudowanej biurowcami okolicy? Nikt nie spodziewał się tutaj widoku młodych matek przechodzących z siatkami pełnymi zakupów i z kwękającymi dzieciakami uczepionymi płaszczami czy staruszków o nieobecnych twarzach podążających truchtem w nieznanym sobie kierunku. Nie było też widać kundli zanieczyszczających chodniki i ich wszędobylskich właścicieli. Żadnych przechodniów, żadnych przejeżdżających pojazdów, wokół same sterylne błyszczące fasady i zaparkowane w równych rzędach duże i małe luksusowe samochody.

Twarz Corneli nabrała tej niezdrowej bladości, spotykanej jedynie u modelek albo u ciężko chorych na anemię. Wszystko pewnie przez tę wściekłość, która zdawała się ją bez reszty

ogarniać, na co pozwalała, jakby to złośczenie się sprawiało jej przyjemność.

Dotąd żyłam w przekonaniu, że jeśli ktoś wpadnie we wściekłość, to skacze mu ciśnienie i robi się czerwony. Ale nie Cornelia, ona zawsze starała się być inna niż wszyscy.

Raz za razem nerwowo przesuwała dłonią po bladym policzku, jakby szukała czegoś, na czym mogłaby zatrzymać smukłe, wypiełgnowane palce. Z góry wiadomo było, że bezskutecznie, bo cerę miała nieskazitelnie gładką. Cała powierzchowność Cornellii, ze sposobem bycia włącznie, była nienaganna. Lubiłam na nią patrzeć, tak jak z przyjemnością patrzyłam na wszystko, co wydawało mi się doskonale... chociaż akurat tego dnia chętnie zaoszczędziłabym sobie jej widoku.

- Jak samopoczucie? - zagadnęłam pierwsza, możliwie najcieplejszym tonem, ale nim zamknęłam usta, już byłam pewna, że przyjacielskimi pogaduszkami nic tu nie wskóram.

- Pytasz o moje samopoczucie?

- O twoje. No to jak twoje samopoczucie?

- Czy ty musisz cały czas tak się uśmiechać, jakbyś była... Matką Teresą z Kalkuty?

- Ja Matką Teresą z Kalkuty? Patrząc na mnie, masz naprawdę skojarzenia z Matką Teresą? - Byłam tym porównaniem nie na żarty zdziwiona. Zaczęłam się nawet trochę niepokoić o Cornelię.

- Powiedziałam tylko, że uśmiechasz się jak Matka Teresa. Bez przerwy. Brakuje ci poczucia rzeczywistości, inaczej przestałabyś wreszcie się uśmiechać.

- Chcesz przez to powiedzieć, że Matka Teresa nie miała poczucia rzeczywistości? Chyba trochę przesadziłaś...

- Chciałam powiedzieć tylko i wyłącznie to, że ty nie masz poczucia rzeczywistości.

- Skąd więc to porównanie z Matką Teresą?

- Daj mi wreszcie spokój z Matką Teresą. Użyłam tego nieszczęsnego porównania tylko dlatego, że powszechnie znane jest jej

powiedzenie: „Uśmiechajcie się do każdego”. A ty sprawiasz wrażenie, że od lat nic innego nie robisz, tylko się do wszystkich uśmiechasz. Nawet teraz - dokończyła z ironicznym grymasem.

Znałam już ją na tyle dobrze, aby wiedzieć, że cisza po ostatnim zdaniu nie wróży nic dobrego. No i miałam rację.

- Jak mogłaś dostarczyć mi to gówno?! - Pytanie zadała tonem dającym jasno do zrozumienia, że nie czeka na żadną odpowiedź.

- Przecież nawet niedorozwinięta sprzątaczką nie będzie chciała tego czytać! Poza tym miało być dwieście pięćdziesiąt stron, a ty zdołałaś... wymęczyć jedynie połowę tego! - Z przesadnym obrzydzeniem spojrzała na dyskietkę z moją najnowszą powieścią, jakby rzeczywiście miała ona jakiś związek z fekaliami. Kwadratowy kawałek czarnego plastiku leżał sobie spokojnie obok dzbanuska z ciepłym mlekiem. Swoją drogą zdziwiłam się, że Cornelia naiwnie liczyła na dosadność wymowy słowa „gówno”, w końcu w niemieckim jest ono tak często używane, że mało kto zdaje sobie sprawę, iż w istocie jest to przekleństwo. I gdyby nie głos Corneli, cichy i wyraźny, mocno akcentujący kontrowersyjne słowo, mogłabym mieć nadzieję, że jest już po wszystkim. Ale nie było.

- Nie przesadzaj, niejedno takie... gówno wydałaś i sprzedało się jak ciepłe bułeczki. Dlaczego tym razem miałyby być inaczej? Coś tam jeszcze szybko dopiszę i będziesz miała ze dwieście stron, w końcu świat się nie zawali, jeśli tym razem książka będzie cieńsza, zresztą dacie większą czcionkę... - niechętnie uzmysłowiłam sobie, że ostatnio z mojej winy już ją zwiększono - albo coś tam zmienicie. Pisarz to nie maszyna... - ton głosu dostosowałam do sposobu wyrażania się Corneli, mówiłam równie cicho i wyraźnie jak ona, tyle że bez najmniejszego przekonania, iż uda mi się ją uspokoić. Wiedziałam, że ma problemy w pracy. W jej koncernie przyszedł czas na zmiany, a jeśli zajmuje się najwyższe szczeble w hierarchii władzy, tak jak Cornelia, szybko może się okazać, że oznacza to tylko jedno: kłopoty, czyli przymusowe odejście z zarządu i z wydawnictwa w ogóle. Wpadka z moją najnowszą

powieścią mogła tylko przyspieszyć rozwój wypadków, ale to nie ja byłam winna problemom Corneli w pracy. Na szczęście pełniłam w tym wszystkim tylko rolę kamyczka wprawiającego w ruch lawinę.

Po drugiej stronie przeszklonej ściany pojawił się chłopak z aluminiową drabiną i kubłem wody. Nosił spraną czapkę baseballową z daszkiem nasuniętym na kark. Mógłby wyglądać zawadiacko, na luzie, gdyby nie smutne, nieruchome spojrzenie. Odniosłam wrażenie, że zwrócił je na nas, ale chyba mi się tylko tak wydawało. Zresztą było to i tak bez znaczenia.

Czułam, że cokolwiek bym powiedziała, nie zabrzmiałoby to zbyt przekonująco. Obie wiedziałyśmy doskonale, że problem jest dużo głębszy i właściwie nie do rozwiązania, nie do obejścia, nie do rozwikłania, nie do wyeliminowania, nie do usunięcia, nie do rozsypnięcia, nie do rozgryzienia, nie do załatwienia... Nagle dotarło do mnie, że chcąc uciec od tej nużącej rozmowy, zaczęłam bawić się w wymyślanie stosownych określeń do słowa „problem”. Rozmowa nie trwała jeszcze pięciu minut, a ja miałam wrażenie, że straciłam na nią już połowę swojego życia. Groźba utraty w tak beznadziejny sposób następnej połowy zmusiła mnie do powiedzenia czegokolwiek, co definitywnie zwolniłoby mnie od odpowiedzialności za marną powieść dla kobiet w średnim wieku i za los pozbawionej intratnego zajęcia pracoholiczki, także w wieku średnim.

- Cornelia, znamy się tyle lat, po co się oszukiwać, jako pisarka jestem skończona, nie mam nic do powiedzenia, nawet gdybym bardzo chciała... nawet gdybym bardzo chciała pisać dla ciebie, po prostu nie mogę. Rozumiesz? To przecież proste. Mój zapal do pisania się skończył, teraz chcę zacząć żyć. Tyle że mam problem, muszę się na nim skoncentrować, bo nie wiem... nie wiem, jak to się robi, a tyle szans miałam w przeszłości, aby zacząć prawdziwe życie. I co mi po nich pozostało? Możesz mi to powiedzieć? Jakieś niewyraźne wspomnienia, rozmazane cienie, chyba że mam amnezję...

Przerwałam, bo za bardzo uległam swojej skłonności do banału. Cornelia często szydziła z tego typu deklaracji i przemyśleń, lecz tym razem zamiast krytyki i kpiny pojawiły się łzy. Wpatrzona w rozciągającą się przed nami szklaną tafłę, szlochała coraz głośniejsze, tak jakby zamierzała zagłuszyć to, co mówię. Więc umilkłam. Kilka razy otwierała usta, jakby chciała coś powiedzieć, szlochała jednak dalej.

Nieliczni, ubrani w eleganckie garnitury i kostiumy goście i kelnerzy, wyglądający jak rozpieszczone dzieci z dobrych domów, bez skrępowania patrzyli w naszą stronę. Mnie to nie przeszkadzało, w końcu to nie ja byłam członkiem zarządu jednego z największych wydawnictw na świecie.

Z Cornelią znałyśmy się osiem długich, ważnych lat i tylko raz widziałam, jak płakała.

Nie miałam ochoty na nią patrzeć, po co te łzy? Na moje współczucie nie mogła liczyć. Przecież wiedziałam, że nie płacze z mojego powodu. Położyłam sobie rękę na brzuchu, cieszyłam się, że może tam sobie leżeć, nieruchomo, wyczulona na to, co dzieje się w mrocznym wnętrzu, w tym tajemniczym, magicznym świecie, do którego miałam tak ograniczony dostęp, nad którym nie panowałam, ale który, paradoksalnie, nadal jeszcze stanowił ze mną jedność.

Przez dłuższą chwilę spokojnie wpatrywałam się w Cornelię i nie czułam nic, żadnej złośliwej satysfakcji. Myślałam o tym, co mi przez długie lata wmawiała: „Kornelia, jesteśmy tym, co robimy, co tworzymy”.

Może podobnie jak ja rozumiała, że my, opętane potrzebą sukcesu kobiety, znaczymy tyle co tony zadrukowanej makulatury, której ofiarą padła niezliczona ilość drzew? Tak naprawdę to i tych drzew nie było mi żal, może jedynie czasu pochłoniętego przez miliony zapisanych na papierze słów.

W końcu udało jej się jakoś powstrzymać ten strumień łez i delikatnie przyciskając satynową chusteczkę do twarzy, doprowadziła się jakiego takiego porządku i spokojnym, rzeczowym już tonem spytała:

- To jak myślisz, co teraz powinnam robić?

- Czy ja wiem? Może poświęć życie jakiejś wielkiej sprawie?

- Na przykład?

- Na przykład... nie śmiej się, mówię poważnie, możesz na przykład walczyć o wyłączenie latarni ulicznych: jasno oświetlone miasta są śmiertelną pułapką dla różnych owadów, motyli, ciem, a nawet ptaków. To widać z kosmosu, Ziemia jest coraz bardziej oświetlona, noc nie daje już schronienia...

- Czyli taka mała wojna świetlna? - w pytaniu Comelii brzmiała łagodna drwina.

- Chyba masz rację, coś w tym rodzaju. Czytałam, że przez to sztuczne światło owady są dezorientowane, ich rozmnażanie jest zakłócone i w końcu, podczas swoich nocnych wędrówek, giną na ulicznych latarniach...

- Aha, taki bilet w jedną stronę?

- Co? Jeśli cię to nie interesuje, to powiedz, wcale nie muszę ci o tym opowiadać...

- Interesuje mnie, bardzo mnie interesuje, mów dalej.

- No więc podobno sto pięćdziesiąt bilionów owadów ginie co roku na ulicznych latarniach! Wiedziałaś, że kiedy tak latają po nocach, mają w głowie wyłącznie seks?

- Nieźle, to tak samo jak ludzie. No to jak myślisz, od której latarni powinnam zacząć?

Miałyśmy tak samo na imię, tyle że moje pisane było przez „K”.

Dla wielu ludzi może to absurdalne, byłam jednak pewna, że to imię połączyło nasze losy. Cornelię spotkałam po raz pierwszy w znanej monachijskiej szkole dziennikarskiej. Byłyśmy w tym samym wieku, ale ona miała już za sobą długą i pełną sukcesów



kariere zawodową, więc od razu wiedziałam, że wszystko nas dzieli. Mając dwanaście lat, występowała już jako prezenterka telewizyjna w programie dla dzieci. Jeżeli ktoś w tym wieku zarabia kilka razy więcej niż średnia pensja krajowa, przestaje być dzieckiem i zaczyna myśleć wyłącznie o nowych kontraktach. I chociaż dla normalnego człowieka brzmi to dość koszmarnie, taka historia może mieć również aspekty pozytywne. Na przykład, mimo wielu do perfekcji opracowanych zachowań, Cornelia miała w sobie coś z infantylnej nastolatki, którą tak naprawdę nigdy przecież nie była, a którą próbowała w sobie odnaleźć choćby tylko po to, aby bez żadnych zahamowań móc pozwolić sobie na fochy.

W dniu egzaminów ustnych do szkoły dziennikarskiej Cornelia siedziała przy komisyjnym stole w towarzystwie wielkich sław tamtejszego dziennikarskiego światka. Była jedyną kobietą, i na dodatek młodą, w tym cierpiącym na nadmiar kwalifikacji gronie egzaminatorów. Z wyglądu mało niemiecka, mogła uchodzić za Francuzkę lub Włoszkę: ciemnowłosa, szczupła i niewysoka. Jasna cera podkreślała jej duże ciemnobrązowe oczy. Wśród solidnie i niemal jednakowo ubranych Niemek nie można było nie zauważyć jej południwoeuropejskiej, wyrafinowanej elegancji. Już wtedy, przy pierwszym spotkaniu, pomyślałam z ulgą (w końcu tacy ludzie jak Cornelia zawsze zostawiają ryse na tym, co w skrócie można nazwać poczuciem własnej wartości), że ktoś taki musi o każdej porze dnia i nocy i w każdej sytuacji wiedzieć, jak się zachować.

Byłam przekonana, że przez życie łatwiej można przejść bez roztrząsania tajemnic własnej osobowości, dlatego nie spieszyłam się raczej z samooceną. Jednak już od dziecka od nikogo nie chciałam być zależna. Przekonanie to z czasem pogłębiło się do tego stopnia, że w końcu stało się rodzajem obsesji, główną cechą mojego charakteru. Wiedziałam też, że całkowicie brak mi rozeznania, co w życiu jest ważne i niezbędne. Zawsze w swoich decyzjach kierowałam się intuicją, podobnie jak małe żółwie, które po wykluciu się z jajek pędzą do morza.

W erze anorektycznych bladych modelek nie miałam szans na udawanie jednej z nich - gdyby coś takiego w ogóle przyszło mi do głowy - bo, jak większość kobiet na świecie, uosabiałam ich przeciwieństwo. Na dodatek rzadko się sobą zajmowałam. Nie walczyłam z kilogramami nadwagi, miałam długie, naturalnie jasne włosy, wiązałam je w koński ogon i... to było wszystko. Nie zwracałam też specjalnej uwagi na to, co mam na sobie, moje ubranie pochodziło z wyprzedaży i tak już tanich rzeczy, których jakość pozostawiała wiele do życzenia.

Moje życie zawodowe i towarzyskie właściwie nie istniało. Po dwóch latach emigracji, w tym po prawie rocznym pobycie w Niemczech, byłam samotna, pozostawałam bez pracy i bez perspektyw na przyszłość. Pragnęłam wznieść się ponad przeciętność życia emigranta, wyjść z kręgu upokorzeń - zasiłek socjalny, byle jakie dorywcze prace, byle jaka codzienność.

Teoretycznie, ale tylko teoretycznie, dobrym rozwiązaniem byłoby wyjście za mąż za jakiegoś porządnego Niemca. Takich jednak nie spotyka się na ulicy, a poza tym dość szybko zrozumiałam, na czym polega fenomen popularności w Niemczech polskich gęsi i polskich kobiet.

Pozostałe prawdy o sobie odkrywałam przypadkowo, studiując z braku innego zajęcia niezliczone testy psychologiczne w czasopismach dla kobiet; mogłam tam wyczytać wszystko, co wydawało się określać moją życiową sytuację. Mając do dyspozycji kilka tytułów prasowych, każdy siłą rzeczy staje się psychologiem-hobbystą, dzięki czemu ciągle może się od nowa definiować i do woli wybierać spośród recept na każdą duchową dolegliwość. Praktyczne.

W poszukiwaniu pracy odwiedziłam nawet jedną ze znanych międzynarodowych agencji modelek i modeli. W końcu, myślałam sobie, może potrzebują kogoś do drugoplanowych ujęć, przecież nawet ci od reklamy powinni zdawać sobie sprawę, że świata nie

zaludniają wyłącznie identycznie wyglądające, chude postacie. Adres znalazłam w książce telefonicznej. Agencja znajdowała się tuż obok uniwersytetu, na jednej z głównych ulic Monachium, znanej przede wszystkim z tego, że wieczorami, niezależnie od pogody, przejeżdżało tamtędy wiele otwartych kabrioletów.

Z chwilą przekroczenia progu agencji wystraszyłam się, że wezmą mnie za nową sprzątaczkę. Jednak piękne, modnie ubrane dziewczyny z recepcji potraktowały mnie, pewnie z litości, bardzo życzliwie. Później jedna z nich wyznała mi szeptem, że jej matka też pochodziła z Polski. Zdaje się, że opowiadając o problemach związanych z bezrobociem i osamotnieniem w obcym kraju, wykazałam wielkie zdeterminowanie, bo bez zbędnych pytań zadzwoniły po Aleksa, specjalistę od młodych talentów. Nim minęło dziesięć minut, pojawił się ktoś, u kogo trudno było określić płeć i wiek. Bez powitania, w skupieniu, które można też było zinterpretować jako bezmyślność, obejrzał mnie od stóp do głów i cedząc przez zęby każde słowo, zachrypiał:

- Ciekawa twarz, aa... ciekawa sylwetka, dużo ładnych piegów, aa... teraz wszyscy chcą mieć piegi, ładne, równomiernie rozłożone, ale piegi to nie kapusta na polu, która rośnie tam, gdzie ją ogrodnik zasadzi, aa... ale wracając do ciebie, brakuje ci z pięć centymetrów, no i za dużo lat, dam ci radę: zrób sobie dietę na ananasie.

Po czym wyszedł pospiesznie, bez pożegnania, jakby nagle przypomniał sobie o zostawionym gdzieś palącym się joincie. Był co najmniej po pięćdziesiątce, dużo niższy ode mnie. Miał na sobie o dwa numery za duże eleganckie ubranie, które nie zdołało jednak ukryć wychudzonego ciała.

- Szkoda - powiedziały dziewczyny, okazując mi przesadne współczucie.

- Chciałyśmy ci pomóc, ale od jego wyroku nie ma odwołania. Spróbuj może w jakiejś agencji dla statystów filmowych albo takiej, która specjalizuje się w poszczególnych częściach ciała.

Widząc mój pytający wzrok, jedna z dziewczyn, lekko zażenowana, jakby dopiero teraz zorientowała się, że ma do czynienia z zacofaną prowincjuską, wyjaśniła:

- Jeśli masz jakiś doskonały kawałek ciała, ale taki naprawdę doskonały, to możesz go sprzedać: do reklam pokazujących w dużym zbliżeniu na przykład dłonie czy skórę pod pachami. Na początek spróbuj... - przekrzywiając głowę, przyglądała mi się przez chwilę krytycznie, mrużąc oczy. Wreszcie zawyrokowała: - Biust masz ładny, pośladki niezłe. Ale nie - dodała szybko tonem do złudzenia przypominającym sposób wyrażania się Aleksa - są zbyt aa... wyeksponowane, za dużo tkanki tłuszczowej. Aa... spróbuj sprzedać uszy! Tak, uszy masz na pewno doskonałe.

Czasami trzeba przeżyć coś tak absurdalnego, aby nabrać dystansu do samej siebie i pozbyć się przekonania, że w otaczającym nas świecie istnieje jakaś sekretna, potężna siła, i dzięki temu życie układa się w logiczną całość.

Ten mało znaczący epizod dodał mi energii, patrzyłam z nadzieją w przyszłość, z poczuciem, że udało mi się pokonać tysiące wątpliwości i związanych z nimi lęków, a nawet, choć z marnym skutkiem, podjąć próbę zostania top modelką. I kto by się przejmował faktem, że jedyną idealną częścią ciała, którą się dysponuje, są uszy?

Każda porażka może stać się więc czymś w rodzaju katapulty wyrzucającej nas na właściwą drogę, która wiedzie do celu, czyli do spełnienia marzeń. I to nazywam szczęściem.

Po renomowanej agencji dla modelek i modeli przyszła kolej na renomowaną szkołę dziennikarską. Wkrótce złożyłam tam podanie z prośbą o przyjęcie. Język nie stanowił problemu, bo w rodzinnym domu w Polsce wszystkie sprawy omawiało się po niemiecku, choć przy zamkniętych oknach, żeby nie drażnić sąsiadów. Na szczęście nie mieliśmy ich wielu, bo odkąd pamiętam, do czasu rozwodu rodziców mieszkaliśmy w położonej na odludziu stacji meteorologicznej, a potem w starym junkierskim pałacu na skraju niewiel-

kiej wsi. Mój ojciec, Eryk Steiner, był Niemcem ze Śląska, mama, Róża Skalska, Polką urodzoną tuż przed wojną w Niemczech. Po wojnie oboje zostali w Polsce.

Dziennikarstwo zawsze było moim marzeniem, zaszczeplonym przez brata mamy, dziennikarza, o którym krążyły prawdziwe legendy. I nie miało żadnego znaczenia, że nikt z rodziny nigdy nie widział efektów jego pracy. Dziennikarstwo umieściłam na samej górze listy dziecięcych marzeń i bardzo długo traktowałam ten zawód z nabożeństwem należnym jedynie przepełnionemu mistycyzmem powołaniu.

Ale to dzięki Corneliі zdałam egzaminy wstępne i zostałam przyjęta do szkoły.

Podczas rozmów kwalifikacyjnych (wtedy nie wiedziałam jeszcze, że moja praca pisemna była najlepsza) patrzyła na mnie uważnie dużymi, okrągłymi ze zdziwienia oczami dziecka, manifestując swoją ciekawość - tak typową wówczas dla zachodnioniemieckich intelektualistów - wobec przybysza z kraju „Solidarność”, jakby ujrzała jakiś niesamowity wybryk natury, coś w rodzaju kobiety z trzema piersiami. Wtedy, przy pierwszym spotkaniu, nie mogłam wiedzieć, że cała ta... subtelna mimika była opracowana w najdrobniejszym szczególe i mistrzowsko zagrana. Na biurku Corneliі zawsze stało ukryte lustro, w którym mogła siebie obserwować podczas rozmów z gośćmi, choć przy stole egzaminacyjnym oczywiście lusterka nie miała.

I nie zastanowiłoby mnie to zainteresowanie Corneliі moją osobą, gdyby nie ironiczny uśmieszek błakający się gdzieś w kącie jej ust. To pewnie dlatego, wbrew zdrowemu rozsądkowi, zamiast skupić się na pytaniach egzaminacyjnych, usiłowałam zrozumieć, dlaczego czuję się upokorzona obecnością tej młodej kobiety w komisji. Wiedziałam, że dokładne określenie i nazwanie problemu ułatwia jego rozwiązanie. Może chodziło o to, że jest moją rówieśniczką, że nosi skromne, ale za to drogie i eleganckie ubrania niemieckiej projektantki Jil Sander, a buty i torebkę od Gucciego,

że jej dyskretny urok i wytworne maniery są efektem życia w dobrobycie. .. W Polsce nie było takich ludzi, ale instynktownie czułam, co to znaczy: omijanie wszystkiego, co ma coś wspólnego z masą, co nie jest elitarne: supermarkety, wczasy z biurem podróży, zatłoczone środki lokomocji i tanie restauracje, pierwszy lepszy fryzjer czy lekarz, objadanie się mięsem i ziemniakami, papierowe serwetki, byle jaka porcelana, rozmowy o wydatkach i pieniądzach, chyba że są to waluty jakiś egzotycznych państweczek, na przykład Raratongi. Ta lista mogłaby być dłuższa, właściwie mogła nie mieć końca. Ostatecznie byłam jej wdzięczna za tę niechęć, którą we mnie wzbudziła, choć jeszcze długo, gdy przebywałam w jej towarzystwie, nie mogłam pozbyć się w głosie tonu, przyłapanej na czymś osoby. Chyba ten jeden jedyny raz w życiu dałam z siebie więcej, niż zazwyczaj byłam w stanie. Panowie z komisji, opaleni, wysportowani młodzieńcy po pięćdziesiątce, otwarcie wymieniali uwagi na temat mojego uduchowienia, wrażliwości na świat, świeżego spojrzenia na życie i przy tym wszystkim lekkości i pogody ducha, tak jakby przy stole egzaminacyjnym pozostało po mnie już tylko puste krzesło. W końcu chyba zauważyli, że jeszcze tam jestem, bo rozmowa stała się bardziej osobista:

- Z życiorysu wynika, że przed osiedleniem się w Niemczech mieszkała pani przez kilka miesięcy w Kanadzie. Co pani tam robiła?

Byłam z natury raczej nieśmiała i nieskłonna do publicznych zwierzeń, a wtedy jeszcze nie umiałam prowokować. Jednak wspomnienie długich, zimnych miesięcy w Kanadzie było tak żywe, że poczułam w oczach łzy, takie łzy, które napływają w chwilach roztkliwiania się nad sobą. Żeby było zabawniej, najbardziej chyba rozczuliło mnie wspomnienie mojej pierwszej i ostatniej wizyty u kanadyjskiego fryzjera. Na dworze panował siarczasty mróz, a ja wracałam do wynajętego małego pokoiku w suterenie z mokrymi włosami, bo na dodatkowo płatne suszenie nie było mnie już stać. Większość klientek tego salonu robiła tak samo, to znaczy dla

zaoszczędzenia kilku centów wychodziła z mokrą głową. Na i szczęście chyba nikt nie skojarzył malującej się na mojej twarzy rozpaczki z tamtymi przeżyciami, bo i któż potrafiłby ją zrozumieć?

Życiorys recytowałam bez większych wahań jak dobrze wyuczony wiersz; prawdopodobnie tylko emigranci, bezustannie nękani pytaniami, skąd są i po co przyjechali, potrafią tak składnie o sobie opowiadać.

- Pierwsze sześć miesięcy spędziłam na tamtejszym uniwersytecie jako stypendystka z Polski, badałam polityczne uwarunkowania życia społeczności z pogranicza kultur... konkretnie chodziło o to, jak kształtują się preferencje polityczne emigrantów z Europy Środkowo-Wschodniej.

Temat moich badań kojarzyć się mógł ze szpiegostwem ideologicznym, ale nie miał z tym nic wspólnego, mimo że otrzymałam go na krótko przed finiszem zmagania dwóch wrogich sobie bloków ustrojowych. Oczywiście, nie rozwinęłam tego wątku przed komisją, bo problematyka komunizmu i kapitalizmu autentycznie przyprawiała mnie o mdłości i uciekałam od niej najdalej, jak się dało.

- Potem program stypendialny się skończył, postanowiłam nie wracać do Polski i na tym samym uniwersytecie zapisałam się na kurs twórczego pisania, co było niezbyt mądrym pomysłem, bo mój angielski, a w tym języku przecież kurs był prowadzony, kreatywny raczej nie był - uśmiechnęłam się szeroko i radośnie, chcąc podkreślić swój tupet i związany z nim luz.

Tak naprawdę to zapisując się na ten kurs, sama chyba chciałam się za coś ukarać, bo spędzony tam czas był najczystszy horror. Z trudem przychodziło mi samo rozumienie tego, co ci ludzie tam pletli, a pletli bezustannie o sprawach, których sensu w żaden sposób nie byłam w stanie pojąć. Nie było więc nawet mowy o jakichś merytorycznych korzyściach. Ale o tym też nie chciałam nikomu opowiadać, a już tym bardziej wpatrzonym we mnie

członkom komisji. Z lektury czasopism kobiecych wiedziałam, że chcąc coś osiągnąć, nie wolno posługiwać się informacjami o wydźwięku negatywnym. Powiedzenie, że straciłam sześć miesięcy mojego życia, usiłując z marnym rezultatem zrozumieć, o czym rozmawia się na seminarium, byłoby tego typu błędem. Na zajęciach czasami omawiali jakiś tekst, a czasami ni stąd, ni zowąd zaczynali ustalać, kto zorganizuje lunch, a ja panicznie się bałam, że ktoś mnie o coś zapyta, a ja nie skojarzę, o co chodzi. Dlatego, częściowo tylko zgodnie z prawdą, ale za to z ogromnym przekonaniem i całkowitym brakiem próżności, dodałam:

- Na tle mojej grupy nie wypadałam najgorzej, bo w moich dziwacznych konstrukcjach językowych nasz profesor dopatrywał się nowych, niesamowitych rozwiązań lingwistycznych, co wywoływało złośliwe szeptki reszty studentów na temat jego równie niesamowitych rozwiązań na polu konsumpcji wszelkiego rodzaju narkotyków.

Niemcy uwielbiają być najlepsi, szczególnie w porównaniu z tymi, których uznaje się w świecie za dobrych czy najlepszych. Bardzo spodobała im się ta wzmianka o profesorze-na-wiecznym-haju, bo dzięki temu mogli poczuć się najlepsi. Oczywiście chcieli wiedzieć więcej.

- A z czego pani tam żyła? Bo, jeśli dobrze zrozumiałam, to stypendium miała pani tylko przez pierwsze sześć miesięcy? - Cornelia pytała z takim zdumieniem, jakby spotkała kogoś, kto ostatnie sto lat przeżył w stanie hipotermii.

- Całkiem nieźle zarabiałam jako pomoc domowa u kanadyjskich Żydów pochodzących z Polski.

Zarabiałam grosze, ale informacja ta należała do jednoznacznie negatywnych i mogłaby popsuć dobre samopoczucie komisji.

- To byli całkiem fajni ludzie - oczywiście znowu przesadziłam, bo czy fajny może być ktoś, kto wchodząc po schodach na górę, obiera jabłko, rzucając za siebie skórki, bo uważa, że pomoc



domowa, czyli ja, i tak nie ma nic lepszego do roboty, niż je sprzątnąć?

- Ale po tym, jak zmuszono mnie... - na ułamek sekundy zawahałam się, nie wiedząc, czy aby to też nie jest negatywna informacja - abym odebrała poród w domu... okazało się, że ta kobieta czworo swoich dzieci urodziła w domu... tak więc po tym, jak odebrałam poród...

- Pani jest położną?! - milczący dotąd redaktor naczelny poczytnego dziennika, kiedyś na pewno przystojny mężczyzna, bo niestety miał już za sobą kryzys wieku średniego, z niezrozumiałych powodów okazał wielki entuzjasm.

- Oczywiście, że nie jestem - lekko obrażona wydełam usta. Wszystko, co wiązało się z ciążą, porodem, niemowlętami było mi obce. Przypisywanie mi takich umiejętności graniczyło z obrażą, uwłaczało mojej godności - nie lubiłam ani dzieci, ani związanych z nimi spraw. Oczywiście nie powiedziałam tego na głos, bo byłam przekonana, że wśród siedzących naprzeciw mężczyzn co najmniej połowa posiada gromadkę dorodnych dzieciaków. - To był pierwszy poród, z jakim w ogóle się spotkałam, w szkole średniej nawet nie byłam w stanie obejrzeć filmu o porodzie jakiejś Helgi, zresztą produkcji enerdowskiej.

Fakt, że był to film o porodzie i na dodatek enerdowski, nie miał dla tych ludzi zapewne żadnego znaczenia. Ja jednak chciałam dowieść mojej wrażliwości, która objawiała się w tym, że nie mogłam znieść nawet najmniejszego bólu, i gdyby nie było mi wstyd, nawet przy rutynowej kontroli u dentysty prosiłabym o znieczulenie.

- Pamiętacie ten film? - radośnie, z niesłabnącym ożywieniem, wtrącił redaktor naczelny.

- Wydawało mi się jednak, że to była nasza, zachodnioniemiecka produkcja. To był hit, pamiętacie...

Musiałam mu przerwać, bo bałam się, że się rozplacze, zresztą pozostali członkowie komisji, lekko speszeni, unikali mojego wzroku.

- Tak więc zaraz po udanym porodzie - urodziła się dziewczynka, zdrowa i jak na noworodka wyjątkowo ładna - spakowałam walizkę i przyjechałam do Niemiec.

- Tak po prostu? - zdziwiła się Cornelia, która tym razem nie patrzyła na mnie, tylko na kolegów z komisji, otwierając szeroko oczy, jakby chciała powiedzieć: „A teraz, panowie, dziwmy się razem”.

- Myślę, że kto raz podjął decyzję opuszczenia kraju, w którym się urodził, opuścił go na zawsze, stale już będzie w drodze, i każda kolejna decyzja o zmianie adresu zamieszkania przyjdzie mu łatwiej. Tym razem znalazłam się tutaj, bo znam język i jestem, po ojcu, z pochodzenia Niemką.

O tym, że regularnie byłam napastowana przez pana domu, pobożnego rabiego, nie wspomniałam, między innymi dlatego, że nawet samo wyobrażenie sobie seksu z duchownym, a za takiego uważałam swojego pracodawcę, i na dodatek z kimś z pejsami, wydawało mi się szczytem dewiacji. Czułam poza tym, że w Niemczech nie wolno mówić publicznie niczego złego o kimś, kto jest Żydem, miejscowym czy pochodzącym z Polski. Przed komisją nie wspomniałam również, że podczas ostatniego miesiąca pobytu u moich pracodawców wykorzystałam każdą chwilę ich nieobecności w domu, prowadząc wielogodzinne telefoniczne dyskusje z moją niemiecką babką z Hanoweru. Rozmowy z nią były o tyle trudne, że ciągle myliła mnie z moim ojcem, mówiąc do mnie Eryku, i nieustannie czyniła mi wyrzuty, że dopiero teraz chcę przyjechać do Niemiec, a nie jak reszta rodziny, która w latach pięćdziesiątych wykorzystała pierwszą szansę na przesiedlenie. Trudno więc się dziwić, że rozmowy z nią wprawiały mnie w stan bezgranicznego zdumienia, a w dodatku trwały nieskończenie długo.

- Teraz to przyjeżdżają same szumowiny i oszuści, prawdziwi Niemcy, Reichsdeutsche, już dawno siedzą w ojczyźnie - skonstatowała rzeczowo. - Dlaczego nie wyjechałeś od tych Rusków razem z nami?

- Razem z wami? Przecież wyjechaliście z Polski w pięćdziesiątym szóstym roku, a ja, po pierwsze, jestem dziewczyną, twoją wnuczką, a po drugie urodziłam się dopiero w latach sześćdziesiątych...

- A co to ma do rzeczy? Nie rozumiem w ogóle, co ja mam z tobą wspólnego? Mówisz, że jesteś moją wnuczką?

- Na to wygląda, skoro jestem córką Eryka, twojego najstarszego syna, tego, co miał tyle szczęścia, że nim zdążyli go wcielić do armii, akurat skończyła się wojna...

- Wy, Polacy, już ja was znam, zawsze umiecie zakombinować i wyjdzie na wasze...

- Ale właśnie tłumaczę ci, że jestem Niemką, no bo skoro jestem twoją wnuczką, to jak może być inaczej? Potrzebuję tylko dostać od babci urzędowe poświadczenie, że tak jest...

- Jak jest, synku?

- No, że ja, babci wnuczka, jestem Niemką!

Mój ojciec, najstarszy z piątki jej synów, tuż przed pozwoleniem na tak zwane połączenie rodzin (ojciec rodziny, stary Steiner, po krótkim epizodzie w amerykańskiej niewoli świetnie miewał się w Niemczech Zachodnich), niestety, ku rozpaczy niemieckiej rodziny ożenił się z moją mamą, występując jednocześnie o polskie obywatelstwo. To chyba dlatego babka ciągle mówiła do mnie „wy, Polacy”, oczywiście z wyjątkiem momentów, kiedy znów myliła mnie z ojcem. Musiałam jednak odbywać te niekończące się telefoniczne dyskusje (oczywiście pod nieobecność moich pracodawców, prawdopodobnie kosztowały ich więcej niż... w sumie u nich zarobiłam), bo od poświadczenia mojego pochodzenia w niemieckich urzędach zależało, czy dostanę status przesiedleńca z Polski. A to było równoznaczne z otrzymaniem obywatelstwa niemieckiego, czyli bezterminowego pozwolenia na pobyt w Niemczech.

Zostałam przyjęta. Czułam, że ostatecznie mogę już zamknąć pewien etap mojego życia. Patrząc na Cornelię, widziałem, że jej ironiczny uśmiezek gdzieś zniknął, w jej ciemnych, skupionych oczach dojrzałam jedynie coś na kształt łagodnego niedowierzania.

Stałam się najbardziej znaną słuchaczką nowego rocznika, mówiło się o mnie choćby dlatego, że byłam pierwszą osobą w szkole stamtąd.

Nareszcie mogłam się przyjrzeć Niemcom, bo tak naprawdę to ich nie znałam. W mojej grupie można było spotkać reprezentantów prawie wszystkich warstw społecznych Zachodnich Niemiec. Jedno łączyło ich na pewno - śmiertelnie poważny stosunek do zajęć w szkole, bo już od pierwszego dnia byliśmy potencjalnymi konkurentami na rynku pracy. Ale jak było trzeba, to wszyscy trzymali się razem. Nigdy nie pojęłam tego fenomenu: osobno, ale razem.

Trudno w to uwierzyć, ale w szkole nie było wesoło, nie zawiązały się żadne przyjaźnie, panowała raczej nieufność, czasem skryta, czasem bardziej otwarta. Niektórzy z grupy nie wierzyli w moje dobre teksty, o których często mówili nasi docenci. Prosimi o przeczytanie fragmentów, a nawet o kopie któregoś z reportaży czy felietonu. Oczywiście zdarzały się jakieś anemiczne próby flirtu ze strony chłopaków - wszystkie jakby wymuszone, za każdym razem tak samo beznadziejnie nudne.

Miałam czas. Dostawałam niewielkie stypendium, za które jakoś udawało mi się przeżyć. Często wędrowałam samotnie po modnych dyskotekach i restauracjach, aby podglądać nocne życie. Musiało minąć trochę czasu, zanim uświadomiłam sobie, że powinnam z większym dystansem patrzeć na bywalców barów, siedzących ze znudzonymi minami za lśniącem kontuarem. Postanowiłam trochę nad sobą popracować, bo wiedziałam, jak łatwo zabrnąć w ślepią uliczkę pełną kompleksów, zahamowań i lęków. Czasami można do kogoś poczuć niechęć tylko dlatego, że nie jest się takim samym

jak on. A poza tym wszystkie zjadliwe uwagi, które przychodziły mi do głowy, postanowiłam zachować dla siebie.

Często zastanawiałam się, jak żyje się teraz w Polsce.

Jednak nie szukałam odpowiedzi na to pytanie, bo postanowiłam rozpocząć nowe życie bez sentymentalnych powrotów.

Ostoją w mojej nowej ojczyźnie stawała się coraz bardziej Cornelia. Spotykałyśmy się w szkole i poza szkołą, w modnych knajpach, restauracjach, parkach, fitnesscentrach, galeriach i co jakiś czas uprawiałyśmy rodzaj sportu nazwany przez nią dubbingiem. Nie był to sport w tradycyjnym znaczeniu, ale za każdym razem próbowałyśmy pobić rekord w liczbie odwiedzonych jednej nocy klubów.

Zacząło się zupełnie niewinnie, zaraz na początku pierwszego semestru. Spotkałyśmy się w sekretariacie pełnym ludzi.

- I jak tam, jakieś nowe porody?

Pytanie Cornellii wydawało się tak głupie, że nie sposób było nie zauważyć w nim próby nawiązania znajomości. Popatrzyłam na nią i zsunęłam z nosa przeciwsłoneczne raybany, nowe, kupione za pierwsze stypendium. Kosztowały taką górę pieniędzy, że nie miałam ochoty chować ich do plecaka.

- Przestałam się tym zajmować. Nie pamiętam, czy już mówiłam, ale na widok krwi robi mi się niedobrze.

- Jesteś chyba pierwszą i ostatnią położną w tej szkole.

- Z pewnością. I to bez powołania i przygotowania do zawodu. Czuję, że nie zabrzmiało to zbyt przekonująco. Poza tym gwar w sekretariacie wyraźnie ucichł. Spróbowałam wyobrazić sobie, co myśli ten tłumek złożony ze studentów, pracowników administracji i wykładowców w szkole dziennikarzy, patrząc na dużą blondynę w przeciwsłonecznych okularach, mówiącą ze słowiańskim akcentem, o której dowiaduje się właśnie, że jest położną nieznoszącą widoku krwi. Nic tylko rodzić.

Postanowiłam solidnie popracować nad formą rozmowy o niczym, bo tylko w ten sposób mogłam uniknąć opinii osoby grubiańskiej czy gburowatej. Tak naprawdę taka nie byłam, tyle tylko że w kraju, z którego pochodziłam, nie istniał zwyczaj prowadzenia rozmów o błażostkach, a jeśli istniał, to ograniczał się do wymiany poglądów na temat pogody.

Trudno jednak nawiązywać do pogody, skoro jest mowa o położnictwie. Ciekawe, jak by to zabrzmiało, gdybym na pytanie: „Co tam słychać, jakieś nowe porody?“, odpowiedziała: „W Skandynawii leje jak z cebra, tylko czekać, a dojdzie ta plucha i do nas“.

Jeszcze tego samego wieczoru spotkałyśmy się w Cafe The First Million Dollars, gdzie nie stać mnie było nawet na wodę mineralną, ale postanowiłam chodzić pieszo i w ten sposób zaoszczędzić pieniądze, które wydałabym na bilet miesięczny.

Nigdy nie brakowało nam tematów do rozmów, przy czym zdumiewające było to, że często każda z nas mówiła do samej siebie. Ja najczęściej usiłowałam wykazać się daleko idącym optymizmem bez pokrycia, Cornelia zaś ujawniała coś w rodzaju cierpkiego i zgryźliwego poczucia humoru.

- Mam nadzieję, że masz jakieś inne niż stypendium, ujawnione czy ukryte, dochody? Życie w Monachium ma swoje zalety, ale za wszystkie jego wady trzeba słono płacić.

- Cieszę się ze stypendium, nie jest za wysokie, ale mam nadzieję, że uda mi się jakoś z niego wyżyć.

- Mogłabyś poszukać sobie jakiejś pracy.

- Pracy?

- Tak, znaleźć pracę, zajęcie, coś, co niekoniecznie musi sprawiać przyjemność. Źródło dodatkowego dochodu.

- Ale ja się uczę, to jest moja praca.

- Ja pracuję i uczę się od dwunastego roku życia. Nikt mi nic nie dał za darmo - Cornelia, lekko zakłopotana, potarła dłonią czoło - nawet odpowiednich chłopaków musiałam sobie w pewnym sensie kupić.

- Nieźle! - byłam autentycznie zachwycona pomysłem kupowania chłopaków, chociaż przy moim stanie finansów cieszyłam się, że niektórych, choć może nie tych odpowiednich, można mieć za darmo. I dlatego szybko dodałam: - Całe szczęście, że nie odkryłam w sobie potrzeby posiadania odpowiedniego chłopaka, bo skąd bym na niego wzięła? No, dobrze, co mi proponujesz?

- Proponujesz? Sama powinnaś wiedzieć, co ci odpowiada. Wiesz co, coraz częściej zastanawiam się, jak to było możliwe, że przy twoim - Cornelia przyjrzała mi się uważnie, jakbym była obcą osobą, kimś nieproszonym, kto przysiadł się do jej stolika - naiwnym, wręcz płytkim stosunku do życia, udało ci się wyjechać z kraju, przejechać pół świata, zaliczyć po drodze kurs literatury angielskiej...

- Nie literatury angielskiej, tylko twórczego pisanie...

- Jeszcze lepiej, twórczego pisanie, mówiąc przy tym słabo po angielsku, i tak dalej, i tak dalej. I nie zginąć albo nie wylądować w którymś z tysięcy burdeli żerujących na naiwności urodziwych Polek, Czeszek czy Rosjanek. Chyba nie jest łatwo zginąć na tym świecie, bo inaczej jak byłoby to wszystko możliwe, prawda?

Zaczęłam składać leżącą obok sztywną od krochmalu serwetkę w misterną kostkę, co przez kilka najbliższych minut miało mnie zwolnić z konieczności udzielenia jakiegokolwiek odpowiedzi.

- Widocznie akurat „burdel był pełny” - sparafrazowałam słynne zdanie Maksa Frischa o napływie emigrantów do Europy Zachodniej.

Roześmiałyśmy się jednocześnie, odrobinę zbyt hałaśliwie jak na tak zwykowny lokal. Cornelia śmiała się tak, jakby miała permanentną czkawkę, marszcząc przy tym zabawnie nos.

- Tylko z czegoś tak głupiego można tak dobrze się pośmiać - wystękała wreszcie. Chciała jeszcze coś na ten temat dodać, ale widząc moje rozpaczliwe próby odzyskania powagi, machnęła tylko ręką i ponownie wybuchnęła wesołym śmiechem. Z nikim nigdy tak się dobrze nie śmiałam jak z Cornelią.

W życiu Cornellii nie było miejsca na uzalanie się czy współczucie. Często zastanawiałam się, skąd u niej się to wzięło, w końcu nigdy na własnej skórze nie przeżyła biedy, zagrożenia... a jednak mówiła i działała jak człowiek głęboko doświadczony. Była twarda, przede wszystkim dla siebie, ale też i dla innych. A może taka właśnie była dlatego, że nigdy nie doświadczyła ubóstwa?

Miałyśmy też swoje tajemnice - tajemnice w cudzysłowie, bo rzeczy naprawdę ważnych Cornelia nie zdradziłaby nikomu, nawet psychoterapeutce (ciekawe, że szukając porady u lekarza jakiegokolwiek specjalności, unikała mężczyzn). Oczywiście, nie szepnęłaby ani słowa, gdyby korzystała z jej usług.

Pewnego razu, gdy ściśnięte w szurającym nogami tłumie oglądałyśmy wystawę najważniejszych europejskich surrealistów, Cornelia powiedziała:

- Zdradzę ci pewną tajemnicę, tylko zachowaj ją dla siebie.
- Tajemnice są po to, aby je zdradzać, odkrywać...
- Co takiego? - spojrzała na mnie zaszokowana i, mogłabym przysiąc, przez ułamek sekundy miała szeroko otwarte usta, co było jednak w przypadku Cornellii bardzo mało prawdopodobne.
- Przecież żartuję, to tylko taki żart.
- No, nieważne... Ostatnio zrobiłam sobie badania, ich wyniki potwierdziły to, o czym właściwie wiedziałam już od dawna - Cornelia niespodziewanie zatrzymała się, burząc rytm poruszającego się tłumu zwiedzającego wystawę. Przez chwilę wpatrywała się milcząco w obraz Paula Delvaux *Zew nocy*, na którym kobiecym postaciom przypadła rola dekoracyjnych naczyń ukrywających w sobie, jak wyjaśniał katalog, „niełatwe do odgadnięcia pojęcia”. Pewnie tylko przypadek sprawił, że to, co za chwilę powiedziała, miało ścisły związek z oglądanym akurat płótnem.
- Tak się szczęśliwie złożyło, że mam podwyższony poziom testosteronu.



Wzruszyłam obojętnie ramionami, widząc jednak triumfalny uśmiezek na jej twarzy, szybko zrobiłem odpowiednią minę osoby Wprowadzonej w stan całkowitego osłupienia.

- Dlaczego szczęśliwie i dlaczego jest to tajemnica? A poza tym, jesteś pewna z tym testosteronem? Jakoś na faceta nie wyglądasz...

- Boże, jaka ty jesteś... delikatnie mówiąc, naiwna, jak nie z tego świata. Testosteron może ujawniać się w reakcjach, sposobie zachowania, a nie tylko w gęstości owłosienia na twarzy czy nogach. Jeśli, na przykład, jadę samochodem i ktoś mnie wyprzedza, jestem wkurzona, dodaję gazu i zajeżdżam mu drogę, blokuję go albo co gorsza w ogóle nie dopuszczam do tego, żeby ktokolwiek mnie wyprzedził. Rozumiesz?

- Nie.

- Jak to nie rozumiesz?! To jest przecież typowo samcze zachowanie, agresja w stosunku do tych, którzy przekraczają moje terytorium.

Cornelia, zamiast skupić wzrok na kolejnych, zdających się śnić swoje życie kobietach z obrazów Paula Delvaux, spojrzała badawczo na mnie.

- No dobrze, dajmy spokój temu, co dzieje się na drodze. Ważne jest, że w życiu zawodowym ten podwyższony poziom testosteronu to bez wątpienia prawdziwa katapulta... wznosi mnie i jestem w stanie skutecznie walczyć z tymi typami w designerskich garniturach. Ale oni o tym nie wiedzą, widzą we mnie tylko kobietę, i na tym polega moja przewaga. Rozumiesz teraz?

- Prawie, ale dlaczego jest to taka tajemnica? - uśmiechnęłam się chyba ciut za szeroko i za radośnie, tak jak to widziałam u Amerykanów, miałam ładne białe zęby i lubiłam je pokazywać, poza tym uwielbiałam drażnić się z Cornelią.

- Wyobraź sobie, że przychodzi do ciebie twój chłopak, ojciec, brat, dziadek albo ktoś taki i mówi, że ma w nadmiarze estrogeny. Co wtedy o nim myślisz?

- Myślisz pewnie, że coś z nim nie tak, że jest mało męski, ni chłop, ni baba...

- Muszę sobie koniecznie też zbadać poziom testosteronu. Cornelia parsknęła pogardliwym, cichym śmiechem. Pochłonięta już bez reszty oglądaniem surrealistycznych dzieł rzuciła przez ramię:

- Pewnie, zbadaj, ale za dużo sobie po tym nie obiecuj. Według mnie jesteś stuprocentową kobietą. Z nadwyżką estrogenów.

Oglądając obrazy, zawieszane wzdłuż nieskończonej długiej ściany, zastanawiałam się, dlaczego w zachodnim świecie bycie stuprocentową kobietą jest zjawiskiem niepożądanym.

Lubiłam spotkania z Cornelią, mogłam się od niej wiele nauczyć. I to nie tylko w sensie *zawodowym*. *Imponowały mi* jej spokój i pewność siebie, które daje dobrobyt. Byłam zafascynowana jej snobizmem i wyrafinowanym gustem. Czasami szłyśmy razem ze szkoły do centrum coś zjeść albo obejrzeć jakąś wystawę - i choć najprostsza droga prowadziła koło Dworca Centralnego, nadkładaliśmy drogi, bo Cornelia nie lubiła widoku tej, jak zwykła mówić, „hołoty składającej się z niemieckich bezdomnych i nie-umytych *gastarbeiterów*” kręcących się w okolicy. Trochę mnie to śmieszyło, do głowy by mi jednak nie przyszło, aby dyskutować z nią na ten temat. Wszystko, co mówiła i robiła, było nieodwołalne, zresztą dyskutując z kimś, trzeba przedstawić mu jakiś alternatywny punkt widzenia, a jedynym argumentem przemawiającym za krótszą drogą tuż obok dworca był fakt, że jest to po prostu krótsza droga.

- Wymyśl coś lepszego - mówiła, marszcząc przy tym zabawnie nos, jakby poczuła coś niezbyt mile pachnącego. - Droga powietrzna jest jeszcze krótsza, co wcale nie znaczy, że następnym razem będziemy lecieć na lunch do centrum poduszkowcem.

Czegoś równie głupiego jeszcze nie słyszałam, ale powstrzymałam się jak zwykle od komentarza. Z Cornelią nie miałam szans

w pojedynku na słowa, potrafiła na poczekaniu wymyślić najbardziej absurdalne argumenty.

Od niej dowiedziałam się również innych rzeczy, na przykład: jakie pić wina i co jeść, że napoje, w tym również wodę, przelewa się do karafek i dzbanków, a nakrywając stół, stawia się odpowiednią porcelanę, raczej nie Rosenthala, bo według Cornelia jest za bardzo drobnomieszczański. Słowo „drobnomieszczański” brzmiało w ustach Cornelia obraźliwie, określało wszystko to, czym gardziła, co było zwyczajne, tuzinkowe, za mało wyrefinowane. Początkowo sądziłam, że może sama pochodzi właśnie z rodziny drobnomieszczańskiej - ale nic podobnego, jej ojciec był pracującym naukowo lekarzem, chyba nawet profesorem, matka niespełnioną pianistką koncertową, współorganizatorką głośnych w Niemczech koncertów charytatywnych.

Niedługo po naszym wieczornym spotkaniu w Cafe The First Million Dollars szkolna sekretarka, miła kobieta o obfitych kształtach (nigdy nie udało mi się jej spytać, dlaczego przy każdym spotkaniu mruga do mnie porozumiewawczo), wręczyła mi zapisaną na karteczce wiadomość od Cornelia. Tego dnia nagrywała jakiś program dla młodzieży w studiu telewizyjnym poza Monachium, a ponieważ ze względu na koszty nie miałam telefonu - chyba jako jedyna osoba w mieście - prosiła, abym do niej zadzwoniła. Od razu skorzystałam z uprzejmości sekretarki i wykręciłam wskazany numer. Za którymś z kolei przełączeniem usłyszałam w końcu zestresowany głos Cornelia.

- Herrmann! Studio B - wrzasnęła do słuchawki głosem, o który nigdy bym nie podejrzewała drobnej kobiety o delikatnej urodzie. W Niemczech wszyscy po podniesieniu słuchawki podają od razu swoje nazwisko, jednak zazwyczaj robią to dużo uprzejmiej.

- Steiner, Polska! Nie jestem głucha - szczęśliwa z powodu udanego dowcipu zaśmiałam się radośnie do słuchawki. - O co chodzi?

Po drugiej stronie zaległa cisza. Luz Corneliai miały ściśle wyznaczone przez nią samą granice. Nie miałam wątpliwości, że dałam jej powód do wytknięcia mi mojego nieokrzesania, nieobycia w świecie kultury czy raczej w świecie biznesu robionego na kulturze. Było mi to jednak całkowicie obojętne. I Cornelia się tego domyśliła, bo tak samo głośno jak na początku wrzasnęła:

- Zgłoś się do naszej charakteryzatorki Karin, szuka kogoś do pomocy, wie już, że ktoś przyjdzie ode mnie, tylko... - i tu wiedziałam, że nastąpi rewanż za moje żarty, bo Cornelia nigdy niczego nie wybaczała, jeśli rachunek nie był wyrównany - ... nie wiem, czy ci mówiłam, ale w branży kulturalnej ten, kto nie ma pieniędzy na obowiązujący styl, nie stroi się, nosi się jak najprościej, biały T-shirt i dzinsy wystarczą. Baw się dobrze.

- Dziękuję, mamusiu.

Byłam wdzięczna Corneliai za tę pracę, co prawda dorywczą i mało płatną, ale za to interesującą. Ciekawe, że w tym światku telewizyjnych produkcji byłam chyba jedyną osobą z poważnym deficytem egocentryzmu, która nie zaczynała każdego zdania od „Ja” (Ja to... Ja tamto...).

Jak już wspomniałam, praca ta właściwie mi odpowiadała, choć za każdym razem, gdy któryś z kręcących się tam mężczyzn proponował mi seks, jakby chodziło o wspólną rozgrzewkę gimnastyczną, czułam się nieswojo, bo z przykrością musiałam informować, że nie odczuwam takiej potrzeby.

Karin, moja pracodawczyni, poza niewielkim zaangażowaniem w to, co robiła na planie, zajmowała się głównie dramatem swojego życia polegającym na tym, że dzięki gęstym, kręconym i długim włosom oraz szczupłej sylwetce z pewnej odległości wyglądała jak atrakcyjna dwudziestolatka, ale z bliska niestety jak jej własna babcia. W związku z tym obsesyjnie zajmowała się dietą, a jadła różnie, raz według wskazań sugerowanych grupą krwi, to znów wyłącznie potrawy wegetariańskie. Zawsze jednak kupowała żywność naturalną, chyba że w ogóle nic nie jadła, bo właśnie była

święcie przekonana o odmładzających efektach tygodniowej absolutnej głodówki. Oczywiście równie obsesyjnie zajmowała się pielęgnacją ciała, stosując coraz to inne rewelacyjne metody cofania czasu. Na szczęście przy tych wszystkich rozpaczliwych i w dodatku bezowocnych wysiłkach na urodę i młodość innych nie patrzyła zazdrośnie, co wyrażało się w neutralnym, a nawet życzliwym, stosunku... na przykład do mnie. Mogłabym nawet powiedzieć, że mnie lubiła.

- Nie wiem, czy ci już mówiłam - początek kwestii mi umknął, ale domyśliłam się, że zaraz powie to, co już mówiła ze sto razy, i tak jak zawsze rozejrzy się badawczo na wszystkie strony - ale tu są sami wariaci, to są skutki nieprzytomnego obżerania się mięsem. No i stresu. Większość z nich - wysunęła brodę, wskazując mało konkretny kierunek - nadaje się do zamkniętego oddziału psychiatrycznego. Nie zdajesz sobie z tego sprawy, bo tam u ciebie żyje się całkiem inaczej, ale my tu już jako płód w łonie matki narażeni jesteśmy na nieludzkie stresy. Wiedziałaś o tym, że nawet świniom, którymi ludzie tutaj tak bez opamiętania się obżerają, aplikuje się środki uspokajające, bo w przeciwnym razie padają na serce?! No i o wynikach sama możesz się przekonać, patrząc na tych wszystkich wariatów.

- Chyba nieco przesadzasz.

- Przesadzam? Nic nas już nie uratuje, nasza cywilizacja skazana jest na wymarcie. Ale ja się tym nie martwię. A propos, zauważyłaś, jak gapi się na ciebie ten pryszczaty dźwiękowiec, oczu z ciebie nie spuszcza, nie wiem, czy on jeszcze cokolwiek słyszy z tego, co się mówi na planie.

- Interesuje się mną, bo okazało się, że oboje jesteśmy zafascynowani Dvorakiem.

- Co? Co ty pieprzysz? Dvorakiem? - Karin przyjrzała mi się uważnie, wyraźnie tracąc zapal, z jakim próbowała mnie przekonać, że wszyscy wokół są stuknięci.

- Ale tak jest naprawdę.

Zastanawiałam się, skąd mogła wiedzieć, że jeszcze do niedawna byłam przekonana, iż Dvorak to Dworzak, czyli Polak, i że żył w tym samym czasie co Mozart, jeśli nie wcześniej. Z tym stanem wiedzy prowadziłam z uszczęśliwionym z powodu spotkania pokrewnej duszy dźwiękowcem tasiemcowe dyskusje na temat tego kompozytora i jego muzyki. Muszę przyznać, że po jakimś czasie sama zaczęłam się zastanawiać, czy mój kolega „od Dworzaka” słyszał kiedykolwiek choćby jedną z jego symfonii.

W końcu stwierdziłam, że w kręgach ludzi kultury, również tej masowej, taka właśnie panowała moda, to znaczy moda na egocentryzm podparty dorobkiem innych, na przykład Dvoraka.

Przyznaję jednak, że to mnie trochę rozczarowało, bo Cornelia traktowała modę jako środek władzy nad prymitywną masą, której przecież także nie akceptowała. Drobnomieszczaństwo tu czy masa tam, wszystkie jej drobne fobie traktowałam jako swoiste kuriozum socjologiczne, które, choć czasami wydawało mi się zabawne, dawało mi też wiele do myślenia. Nie ukrywam, że wiele z tego, co mówiła czy robiła, bezkrytycznie zaakceptowałam i przejęłam jako własne poglądy na życie. Cornelia imponowała mi i w pewnym sensie byłam jej miniaturowym klonem, jej pączkiem przeflancowanym w próżnię mojej niedojrzałej osobowości. I tak na przykład odkąd poznałam Cornelie, już nigdy nie wsiądę na statek czy prom, jeśli nie mam biletu pierwszej klasy, i nigdy nie kupię żadnego mebla w sklepie meblowym. Ale najważniejsze lekcje odbyłam z cynizmu, i to one uczyniły mnie dorosłą. Był to całkiem nowy, tajemniczy świat, trochę owoc zakazany, trochę symbol zachodniego świata, trochę kurs samoobrony.

Od początku czułam, że cynizm daleko mnie nie zaprowadzi i że może warto byłoby się nad sobą zastanowić, ale jakoś nigdy nie znalazłam na to czasu. Wiele rzeczy dałoby się w życiu zrobić inaczej, gdyby tylko zastanowić się nad nimi w odpowiednim momencie.

Moim mistrzem była Cornelia, ale nie tylko ona. Nim stałam się tym, kim jestem dzisiaj, spotkałam wielu cyników, można powie-

dzieć, że miałam do nich wyjątkowe szczęście i jak magnes przyciągałam tylko *cierne de la tierne* spośród nich.

Najważniejsze miejsce wśród nich zajmował, zaraz obok Cornellii, mój pierwszy mąż Thomas. Poznałam go podczas praktyki zawodowej w jednym z dużych niemieckich dzienników. To była miłość jak na zamówienie. Thomas, przystojny, wysoki szatyn

o skupionych bładoniebieskich oczach, był współwłaścicielem kancelarii adwokackiej specjalizującej się w prawie prasowym. Miał wszystko, włącznie z przerażającą nudą w życiu prywatnym, wypełnionym, chyba z braku lepszej alternatywy, pracą. Jego pierwsza żona, wychowana w surowej szkole klasztornej córka bogatego przedsiębiorcy budowlanego, zostawiła go już po kilku miesiącach małżeństwa dla jakiegoś Włocha reklamującego w telewizji mrożoną pizzę produkowaną w północnych Niemczech. Przy okazji zabrała ze sobą ich kilkumiesięczne dziecko, po czym przesłała notarialne oświadczenie z dołączoną kopią wyników badań genetycznych krwi, kwestionujące jego ojcostwo. Dla porzuconego męża i ojca była to świetna okazja do sądowego zrzeczenia się swoich praw i obowiązków.

Thomas opowiedział mi tę historię już w trakcie pierwszej naszej randki, tak jak opowiada się przygodnie spotkanym ludziom o zeszłorocznym śniegu. Siedzieliśmy w drogiej restauracji, gdzie kelnerów jest więcej niż gości, a w spożywaniu mikroskopijnych posiłków nie przeszkadzają ani niespełnieni rockmani, ani ulubione przeboje szefa kuchni. I zdaje się, że właśnie w tym momencie każde z nas rozpoczęło kreację wyimaginowanej rzeczywistości, w której ta druga osoba miała być najważniejszym aktorem.

- Nad czym się tak zastanawiasz? Mam nadzieję, że nie nad moim nieudanym małżeństwem? - pytanie Thomasa miało zabrzmieć lekko i żartobliwie, ale nie zabrzmiało.

- Nie jestem najlepsza w rachunkach, ale wszystko to jakoś strasznie szybko się odbyło: ślub, ciąża, poród, dziecko, pozamałżeńskie

afery, rozstanie, rozwód, udowadnianie czy zaprzeczanie ojcostwa...  
Przeoczyłam coś?

- Chyba nie - Thomas skrzywił się lekko, jakby na chwilę stracił wątek. - Jeśli coś się nie zgadza, to chyba tylko chronologia. Kiedy pobieraliśmy się, dziecko było już w drodze. Wydawało się całkiem prawdopodobne, że mogę być jego ojcem.

- Aha.

Thomas przyjrzał mi się uważniej, jakby w moim krótkim „aha” ukrywał się jakiś podstęp.

A mnie po prostu ten temat przestał interesować i poza „aha” nie miałam nic więcej do powiedzenia. Za to zdradzony mąż i ojciec, chociaż nie wyglądał na zbyt przejętego, pokusił się o uogólnienie swoich doświadczeń.

- Dzisiaj żyjemy szybko, nic nie robi się na całe życie, bo nic nie jest pewne, nawet to, czy twoje dzieci są twoje. Proste badanie genetyczne i szybko okazuje się, że jest inaczej.

Zrobiło mi się go żal, szczególnie że idąc na to spotkanie, nie podejrzewałam, że cokolwiek wzbudzi moje współczucie.

- Żałujesz, że tak się stało? - spytałam z niedowierzaniem kogoś, komu nawet w momentach największego przygnębienia nie przy-szłoby do głowy, że można rozczulić się nad sobą z powodu braku potomstwa. Przynajmniej w tym jednym punkcie solidaryzowałam się ze społeczeństwem niemieckim, traktującym bardziej przychylnie i ciepło zwierzęta domowe niż małe, krzykliwe brzdące. Chyba że prokreacja rozpatrywana była w kontekście przyszłych emerytur.

- Rozmawiamy o faktach. Na studiach żyłem jakiś czas z pewną dziewczyną, okazało się, że była ze mną w ciąży, ale powiedziała mi o tym, dopiero jak już było po wszystkim...

- Po porodzie?

Thomas przyjrzał mi się z ironicznym uśmiechem, spróbowałam odwzajemnić mu się tym samym, ale musiało to wyglądać zabawnie, bo z rozczuleniem w oczach pogłaskał mnie po policzku i tym razem ciepło się uśmiechnął.



- Po aborcji. Teraz żałuję, że tak się stało. Szkoda, że z tego związku nie pozostało nam dziecko... pewnie nigdy byśmy się nie pobrali, bo każde z nas miało własne życie...

- Kto w końcu był ojcem? Mam na myśli to dziecko z twojego pierwszego małżeństwa, przecież musiał być jakiś ojciec...

- Włoch. Ten sam Włoch od reklamy, z którym utrzymywała stosunki seksualne przed ślubem, po ślubie i zdaje się, że utrzymuje do dzisiaj.

Właściwie, słysząc określenie „stosunki seksualne”, powinnam natychmiast wyjść z restauracji i nigdy więcej nie umówić się z nim na żadne spotkanie, ale uzmysłowiłam to sobie dużo później. Świat prawnika tylko na pozór jest prosty i ułożony, w rzeczywistości pełen jest nadinterpretacji, podejrzliwości i dzielenia włosa na czworo.

Już po pierwszym spotkaniu oboje wiedzieliśmy, że jesteśmy doskonałą parą, że każde z nas może spełnić oczekiwania tego drugiego... I właśnie to nazwaliśmy miłością. Dla Thomasa byłam małą, trochę zagubioną, w inny sposób niż otaczający go ludzie, dziewczynką, istotą uduchowioną, dzięki której mógł na moment wyzwolić się z otaczającej go wszechobecnej nudy... Później okazało się, że tej nudy, a raczej pustki, nie sposób zabić, nie sposób z niej wyjść, a moja obecność w jego życiu niewiele pomogła.

Jednak tego pięknego wrześnieowego wieczoru, widząc ożywione, przepełnione ciekawością i oczekiwaniem oczy Thomasa, nie zastanawiałam się nad życiem wewnętrznym mojego przyszłego męża. W tym momencie miałam wrażenie, że znalazłam się w innym, wspanialszym niż dotychczas świecie. Całkiem szczęśliwe rozwiązanie, tym bardziej że nigdy nie brakowało nam tematów do rozmowy.

Cornelia niestety nie podzielała mojego zachwyty.

- Wiesz, co ci powiem? Jesteś bardziej naiwna, niż myślałam. Ten człowiek nic ci nie da, przy nim się nie rozwiniiesz. To wyrachowany gracz, cynik pozbawiony fantazji i klasy, nuworysz...

Ton Cornelii sugerował, że Thomas w pełni zasługuje na taką opinię.

- Bo jak inaczej można określić osobę, która jeździ porsche i nosi koszulki z wyeksponowanym krokodylem?

- Krokodylem? Naprawdę ma krokodyla na koszulce? Cornelia zdawała się nie zwracać uwagi na kpinę w moim głosie.

- A przy tym wszystkim to prymityw, kulturalne zero... Sama słyszałaś, jak grubiańsko śmiał się z rzeźby profesora Beuysa!? W końcu uznanego na całym świecie artysty!

Rzeźba, o której mowa, nie była zrobiona z niczego innego jak tylko ze zjełczanego masła. Thomas pozwolił sobie na żartobliwą wobec niej aluzję - akurat podczas smarowania bagietki podejrzenie wyglądającym i wyraźnie nieświeżym masłem czosnkowym. A że byliśmy właśnie w jakimś bardzo modnym klubie, wybranym na nieszczęście przez Cornelie, odebrała to bardzo osobiście. Tak naprawdę wszystko, co miało związek z moim przyszłym mężem, przepełniało Cornelie niesmakiem: jego przestronne mieszkanie, usytuowane pod samym dachem pięknej starej kamienicy, które było „typowe dla facetów co wieczór przyprawdzających inną szukającą wrażeń znudzoną panienkę”, restauracje, do których chodził, bo „były dla tych, którzy mają tylko pieniądze”. A według Corneli trzeba mieć i pieniądze, i klasę. Najbardziej jednak przyczepiła się do sposobu, w jaki próbował podlizywać się kelnerom, prowadząc z nimi swobodne rozmowy, jakby w ten sposób chciał wszystkim pokazać, jak bardzo jest znany i lubiany, na jakim jest luzie i jak bardzo liczy się jako gość.

Mnie nic nie raziło w Thomasie - wydawał mi się doskonały, niczym wymyślony mężczyzna z reklam zamieszczanych w błyszczących pismach dla bogaczy. I to właśnie mi się w nim podobało, bo czułam, że w ten sposób nie muszę się angażować, mogę pozostać w stosunku do niego równie obojętna, jak wobec papierowych postaci reklamujących drogie zegarki, wolna w swoich uczuciach, odporna na ryzyko zranienia. W świecie, w którym byłam, nie mogłam pozwolić sobie na luksus niczym nieograniczonej miłości. Zresztą nie sądziłam wtedy, że ktoś mógłby jej ode mnie

oczekiwać. Na pewno nie Thomas, mężczyzna po przejściach, bez złudzeń, bo czy może mieć jeszcze jakiegokolwiek złudzenia ktoś, kogo zdradzono, oszukano, porzucono? Tak więc cieszyła mnie obecność Thomasa w moim życiu, bo nagle wszystko nabrało bardziej intensywnego smaku i zapachu, zniknął na chwilę cień samotności towarzyszący moim snom, byle jakim posiłkom, godzinom spędzonym na wpatrywaniu się w zszarzałe ściany ciasnego mieszkania. Chociaż z tym moim mieszkaniem nie było tak tragicznie - na trzydziestu pięciu metrach kwadratowych w starej, zadbanej kamienicy z łatwością mieściłam wszystko, co posiadałam: materac, stół-biurko, dwa składane krzesła z czerwonego plastiku i telefon z automatyczną sekretarką, jedyny luksus, na jaki sobie pozwoliłam. Byłam przekonana, że jest ona niezbędna, szczególnie jeśli szuka się pracy, a w życiu lepszych perspektyw. Niestety, urządzenie to zraziło mnie do siebie raz na zawsze - mimo licznych telefonów dzwoniących podczas mojej nieobecności nikt nigdy się nie nagrał. Bez żalu więc pozbyłam się jej w dniu, w którym opuściłam pierwsze własne mieszkanie.

Cornelia z takim zapamiętaniem i tale trafnie krytykowała Thomasa, że w końcu zaczęłam się go wstydzić i spotykałam się z nim tylko po kryjomu, to znaczy udając przed Cornelią, że moje i Thomasa drogi nieodwołalnie się rozeszły. Prawdopodobnie coś w moim zachowaniu wzbudziło jego niepokój, bo już po czterech miesiącach znajomości, przy okazji jakiejś banalnej rozmowy, spytał, czy miałabym ochotę się do niego wprowadzić.

W pierwszej chwili sądziłam, że się przesłyszałam, bo nigdy nie myślałam o Thomasie w czasie przyszłym. Taki facet jak on - starszy o dziesięć lat, po rozwodzie, nie dziennikarz ani nie intelektualista, z życiem poukładanym aż do późnej starości - nie znajdował miejsca w moich fantazjach. Przyjaźń z mężczyzną, niestety inaczej nie potrafiłam tego nazwać, bardzo mi odpowiadała. Na dodatek błyskawicznie wyobraziłam sobie minę Corneli na

wiadomość, że mieszkam z Thomasem, bo chyba nie udałoby mi się ukryć tego faktu.

Ciekawe, że żyjąc jedynie terażniejszością, nie byłam bezgranicznie szczęśliwa... A powinnam, towarzyszyła mi przecież świadomość posiadanej wolności, wolności od zobowiązań i poczucia obowiązku wobec innych.

Moi rodzice rozwiedli się, gdy miałam siedem lat - to za dużo, aby nie wiedzieć, co się stało, ale na pewno za mało, aby zrozumieć złożoność sytuacji, jakiej doświadcza rozpadające się małżeństwo. Nim doszło do rozwodu, wielokrotnie prosiłam mamę, aby zostawiła ojca, bo nie mogłam znieść jego wiecznych zdrad, od których aż huczało w okolicy i o których, pod byle pretekstem, nie nazywając rzeczy po imieniu, rozprawiała bliższa i dalsza rodzina, znajomi, dzieci ze szkoły i sąsiedztwa. To bolało tak mocno, że nie chciałam i nie mogłam zrozumieć ani mamy, ani starszej siostry, które przez całe lata udawały, że wszystko jest w porządku, że nikt ich nie zranił, że życie dobrze się z nimi obeszło. Krótco przed rozwodem mama, która pracowała w pobliskim pegeerze jako główny zootechnik, dostała mieszkanie w poniemieckim pałacu, i to całe pierwsze piętro! Na parterze mieściły się pegeerowskie biura, a nad naszymi głowami, w pomieszczeniach zajętych przez biurowe archiwum, harcowały tylko myszy. To w tym olbrzymim, pustawym pałacu po raz pierwszy w życiu zdałam sobie sprawę ze swojej samotności, porównywalnej chyba tylko z nieustającą, bezcelową podróżą. Gdyby radzenie sobie z samotnością było jedynym wyznacznikiem istnienia, zostałabym pewnie astronautką w odległej od Ziemi stacji kosmicznej.

Nieoczekiwana wizja zamieszkania z Thomasem wywołała we mnie uczucie paniki podobne do tego, jakie przeżyłam, kiedy zostałam wrzucona do leśnego zbiornika przeciwpożarowego przez starszego o kilka lat kuzyna. Tylko cud sprawił, że wyszłam cała i zdrowa z tej pierwszej lekcji pływania. Uratowała mnie wtedy stara Ukrainka, pracująca jako nocny stróż na stacji meteorologicznej mojego ojca.

- Naucz się pływać, moje dziecko - powiedziała tylko, sama chyba zdziwiona, że tak długo potrafiła utrzymać się na wodzie z walcącym o życie dzieckiem. Nie musiała mi tego dwa razy powtarzać. Szybko nauczyłam się pływać, a potem przez długie lata nieustannie doskonaliłam tę umiejętność, bo ciągle jeszcze przytłaczało mnie wspomnienie tego pierwszego lęku o własne życie, podobne uczucie nawiedzało mnie za każdym razem, gdy wsiadałam do windy: im winda mniejsza, tym silniejszy napad paniki, jakby ktoś powoli zakręcał mi dopływ tlenu.

- Dlaczego u ciebie? Ja i ty u ciebie? A jeśli już, to może lepiej u mnie?

- Nie żartuj, moje mieszkanie jest dużo lepsze od twojego...

- A niby dlaczego?

- Nie bądź bardziej dziecinna, niż jesteś...

- Dziecinna? A jak ci powiem, że nie mam zamiaru przebywać w mieszkaniu, w którym szarogęsi się ta nadęta Helga...

- Olga, i nie szarogęsi się, tylko wykonuje obowiązki gosposi, zresztą, jeśli chcesz, to ją zwolnię.

- Aha! I wtedy ja będę mogła przejąć obowiązki gosposi, to znaczy prac, sprzątać i gotować!

Usłyszałam, jak mój głos osiąga niebezpieczne rejestry, jak pojawia się w nim agresja, zanim jeszcze zdołałam ją sobie uświadomić.

Przez dłuższą chwilę Thomas milczał. Mogło to oznaczać wszystko, ale najprawdopodobniej świadczyło o jego zażenowaniu. Siedzieliśmy w jednej z tych modnych knajp, które choćby z powodu upiornie jasnego oświetlenia oraz purytańskiego wyposażenia wywoływały skojarzenia związane z kostnicą w komunistycznym szpitalu końca lat pięćdziesiątych. Z kolei ludzie tłoczący się przy ciasno ustawionych stolikach wyglądali jak manekiny z luksusowych butików, częściowo za sprawą neonowego światła zmieniającego ich twarze w maski.

Moja odpowiedź była zdecydowanie w złym guście, małostkowa, nie taka, jakiej powinna udzielić młoda, wolna, na luzie, uduchowiona

kobieta z klasą i z charakterem. Postanowiłam to błędne wrażenie jakoś naprawić; nigdy dotąd nie zdarzyło nam się pokłócić i pomijając moje udawane orgazmy, byliśmy naprawdę dobraną parą. Zdecydowanym ruchem wyciągnęłam z portmonetki, to znaczy z portfela - bo takiej staromodnej, kobiecej rzeczy jak portmonetka nikt na Zachodzie już nie nosił - pierwszy lepszy banknot, akurat było to dwadzieścia marek, i położyłam go na metalowym blacie stolika.

- To za mnie. Muszę już lecieć. Mam coś do załatwienia... coś pilnego. Muszę to załatwić koniecznie dzisiaj. A twoją propozycję przemyślę. Cześć.

Tym razem udało mi się to powiedzieć spokojnie i niezatrzymywana przez Thomasa opuściłam lokal. Gdy wyszłam, zrobiło mi się gorąco, bo uświadomiłam sobie, że sama sałatka kosztowała pewnie ze dwadzieścia marek, a do tego dochodziło dwa razy tyle za francuską wodę i włoskie wino. Ze wstydu zrobiło mi się niedobrze i pomyślałam sobie, że po takim występie albo powinnam utopić się w Izarze, co równie dobrze mogłabym zrobić w wannie, bo rzeka ta jest wyjątkowo płytka, albo udać się jak najszybciej na dalszą emigrację. Jest to świetny sposób na rozwiązywanie nierozwiązywalnych problemów.

Nie widzieliśmy się ponad miesiąc, bo pod jakimś błahym pretekstem zrezygnowałam z prowadzonych przez Thomasa zajęć z prawa prasowego. Niewiele to dało, co najmniej raz dziennie wstydziłam się swojej idiotycznej reakcji, w żaden sposób niepasującej do wyobrażenia, jakie miałam o sobie. I wcale nie dręczyła mnie świadomość, że straciłam szansę na związek życia, czułam się raczej zażenowana moim zachowaniem i z tego powodu pozwoliłam sobie na bycie nieszczęśliwą. Przy okazji popadłam w stan głębokiej melancholii, bo nagle uświadomiłam sobie, jak bardzo jestem samotna w tym świecie pełnym ludzi i rzeczy, w świecie, który, nawet gdybym bardzo się starała, nie jest moim światem. To nieprzyjemne,

wręcz fizyczne uczucie obcości często mi w życiu towarzyszyło. Nie było więc niczym nowym, w pewien sposób stanowiło nawet nieodłączną część mojej egzystencji. Problem polegał jednak na tym, że teraz w żaden sposób nie mogłam sobie z nim poradzić, jakbym lekkomyślnie przegapiła moment, w którym Thomas, albo wyobrażenie o nim, zbyt absorbował moje myśli.

W tej sytuacji tak troskliwie pielęgnowane przeze mnie głębokie przekonanie, że można przejść przez życie bez bólu, stało pod znakiem zapytania. Nawet Cornelia, najbliższa mi przecież osoba, w której towarzystwie czułam się bezpiecznie, teraz zdawała się nie mieć nic wspólnego z całą tą sprawą.

Nie miałam jej tego za złe, ale coraz częściej zadawałam sobie pytanie, co ja robię w towarzystwie tej pewnej siebie, pięknej kobiety, która jest u siebie i która zawsze wie, w jaką ulicę skręcić, aby trafić do domu.

W szkole było nieźle. Tyle że gdy chciałam nawiązać z kimś bliższą znajomość, nie mówiąc już o przyjaźni, nieprzerwanie trafiałam na mur i nic z tego nie wychodziło. Rozmowy na tematy szkolne prowadzone w przerwach między zajęciami były tak zdawkowe, że nic nie wносиły do mojego życia. Pozostając blisko ludzi, byłam o wiele bardziej samotna niż na początku mojej podróży.

Nadeszła wiosna, a ja czułam się biedna, brzydka, stara i odrzucona. Pocieszał mnie fakt, iż większość z tych określeń odzwierciedlała jedynie stan mojej duszy, a nie rzeczywistą kondycję. Najbliższe prawdy było to, że jestem biedna, ale gdybym porównała się z kimś z Bangladeszu czy Somalii, też miałabym wątpliwości. Mimo świadomości, że pustka, w jakiej się znalazłam, jest w istocie pozorna, włóczyłam się po mieście, tam gdzie gwar i tłok, w poszukiwaniu równie anonimowych jak ja ludzi. Te wielogodzinne wędrówki po najbardziej zatłoczonych ulicach Monachium były dobrym sposobem na powstrzymanie się od myślenia o przyszłości, o tym, kim jestem i kim chciałabym być... Gdybym miała skłonności do przesady, mogłabym powiedzieć o moim mieszkaniu,

że jest obskurne, ale nie miałam, więc byłam zadowolona z posiadania tej ciemnej klitki, choć tamtej wiosny nawet mieszkanie mnie nie cieszyło. Wydawało mi się nawet, że spod kilku warstw starej farby łuszczącej się na jego ścianach przebija napis: „No i co dalej?”.

Jedynym dość marnym pocieszeniem był fakt, podkreślany przez socjologów, iż w przyszłości największym problemem naszej cywilizacji będzie wyalienowanie człowieka, czyli nasza samotność. Byłam więc na wskroś współczesna.

Nawet nie zauważyłam, jak minął kwiecień, a z nim moje dwudzieste szóste urodziny. Kartki z życzeniami od mamy i siostry przyszły z prawie dwutygodniowym opóźnieniem, a wraz z nimi, jakby na pocieszenie, zaproszenie na przyjęcie u Thomasa w jego weekendowym domu nad jeziorem niedaleko miasta.

Konsekwencja nigdy nie była moją mocną stroną.

Czasami trzeba zrobić to, co trzeba.

Pogrążyć można się w nieskończoność.

Przynajmniej będę miała okazję pośmiać się sama z siebie, przegnać ten słowiański smutek i poczucie beznadziejności istnienia.

Ubrana w czarną, skromną sukienkę bez rękawów, z rozpuszczonymi włosami i prawie bez makijażu mogłabym podobać się nawet Corneli. I chociaż nigdy nie byłam przesadnie próżna, ta myśl wprawiła mnie w przyjemne podniecenie. Wychodząc z mieszkania, myślałam tylko o tym, jaka jestem tego wieczoru piękna, choć gdzieś głęboko kryła się wątpliwość, czy tak jest w istocie, jeżeli na co dzień tak bardzo mi brakuje pewności siebie. Nie miało to jednak większego znaczenia. Czulałam się prawdziwą kobietą.

Na przyjęciu pojawiłam się spóźniona o dwie godziny z powodu rzadko kursujących w te okolice autobusów, właściwie całkowicie tam zbędnych, biorąc pod uwagę liczbę parkujących w każdym wolnym kącie jaguarów, sportowych mercedesów i rozmaitych innych sportowych limuzyn. Niektórych gości znałam z widzenia, ale



na dobrą sprawę nawet nie pamiętałam, jak się nazywają. Thomas, przejęty rolą gospodarza, przywitał mnie jak starą znajomą z pracy. Zaraz potem podeszła do mnie jakaś nawiedzona para w średnim wieku i gdyby nie dwa różne nazwiska, byłabym przekonana, że są bliźniaczym rodzeństwem typu „płeć nie gra roli”.

- Dowiedzieliśmy się, że jesteś z Polski, a my właśnie wróciliśmy, z... aa... ile to było? Trzy lata, z trzyletniej emigracji w Stanach.

- ...?

- Chyba przyznasz sama, że emigracja to aa... niesamowite doświadczenie!?

- Hm...

- Nie wiem, jak ty, ale my czujemy się w Niemczech jak cudzoziemcy, aa... ludzie innej kategorii, obco, nie jak u siebie - mówił on, ale patrząc na nią, można było odnieść wrażenie, że to mówi ona, bo cały czas poruszała ustami, bezgłośnie powtarzając wypowiedane przez niego słowa.

- A co tam u ciebie, też doskwiera ci uczucie aa... samotności w tym nieprzyjaznym dla obcych kraju?

- Nie jest tak źle - odpowiedziałam tonem sugerującym, że można na to spojrzeć z innej strony. W jakimś czasopiśmie dla kobiet przeczytałam, że nie należy narzekać, bo narzekanie wchodzi w krew i później nie można się tego oduczyć, no i zostaje się nudziarzem na całe życie. Poza tym nigdy bym się nie przyznała, a już na pewno nie w domu Thomasa, i do tego tej nawiedzonej parce, że doskwiera mi samotność. Zresztą moja samotność była nie z tej planety, byłam pewna, że ma ona jakiś związek z kosmosem. Postanowiłam zignorować ich cierpiętnicze miny i błagalne spojrzenia i patrzeć raz na jedno, raz na drugie z promiennym, niczym niezmałym uśmiechem.

- Powinniście to gruntownie przemyśleć, bo to, co teraz odczuwacie, może okazać się zupełnie błędnym wrażeniem.

Niestety, niewiele więcej miałam do powiedzenia, a to, co usłyszeli, było i tak szczytem pustosłowia. Ale o dziwo, moje słowa

zabrzmiały w uszach emigrantów ze Stanów chyba dość przekonująco, bo zniknął na chwilę bolesny wyraz ich twarzy.

I wtedy poczułam się, jakbym była na środkach odurzających, ogarnęła mnie bezgraniczna potrzeba zrobienia czegoś głupiego. Ci ludzie mogli być całkiem mili i interesujący, ale ucieszyła mnie myśl, że prawdopodobnie nie będę musiała ich więcej oglądać i że nigdy nie wylądujemy razem na bezludnej wyspie.

- Słyszałaś? Ona mówi, że nie jest tak źle - emigrant puścił oko do swojej towarzyszki emigrantki.

- Najlepszym, sprawdzonym sposobem na ten rodzaj samotności, a właściwie melancholii - wiedziałam, że słowo to przypadnie im do gustu - jest wódka, najlepiej czysta, wcale nie musi być mocno zmrożona - pochyliłam się lekko w ich kierunku, jakbym chciała, aby to, co zaraz usłyszą, zachowali tylko dla siebie. - Praktykuję to już od prawie czterech lat i mówię wam: to zdaje egzamin.

Sądziłam, że wybuchną śmiechem lub potraktują mnie tak, jak należałoby traktować przyszłego członka Anonimowych Alkoholików. Ale nie, oboje patrzyli na mnie z nieukrywanym zachwytem! Byłam pewna, że nigdy nie zrozumiem tych ludzi... Nim zdążyłam to pomyśleć, już trzymałam w ręku małą szklaneczkę czystej wódki, a wokół mnie zebrał się krąg ciekawskich. Czego jak czego, ale wódki nienawidziłam, nie tylko ze względu na jej smak, ale i z powodu opinii, jaką miała wśród Niemców - niektórzy kojarzyli ją z pijaństwem Polaków. Zresztą nie miałam złudzeń co do słuszności tej opinii, bo w dzieciństwie dosyć napatrzyłam się pijaków w pegeerze, na zapitych chłopów z sąsiedniej wsi, na podbite oczy ich kobiet, na dzieci do nieprzytomności upijające się najtańszym winem z okazji zakończenia roku szkolnego.

Poczułam się głupio i pewnie dlatego ostentacyjnie popijałam małymi łydkami nalaną mi wódkę, jakbym piła wodę, śmiejąc się przy tym zbyt hałaśliwie z mało zabawnej rozmowy z kiepskimi dowcipami.

W niewielkim salonie zrobiło się duszno, wyszliśmy więc na rozległy drewniany pomost, aby popatrzeć na jezioro. Zapadła już noc, a niebo zakrywały ciężkie, granatowe chmury.

Nie wiem, co mnie podkusiło, ale w ułamku sekundy podjęłam tę idiotyczną decyzję. Spokojnie odstawiłam kieliszek, odłożyłam torebkę, po czym wskoczyłam do jeziora głową w dół. W pierwszej chwili poczułam przenikliwy chłód, miałam wrażenie, że poruszam się w nieruchomej ciemnej czeluści. Kiedy się wynurzyłam, chyba dosyć daleko od brzegu, wokół panowała kompletna ciemność - tylko gdzieś z oddali dobiegały wzburzone głosy i słyszałam powtarzane przez echo moje imię. Zaczęłam płynąć zdecydowanym kraulem, aby jak najszybciej stamtąd uciec. Wkrótce słyszałam tylko mój oddech i chyba po raz pierwszy w życiu poczułam, jak rozpiera mnie szczęście. Byłam wolna. Od wszystkiego. Z radości chciało mi się krzyczeć. Wiedząc, że prędzej czy później pojawią się jakieś łodzie ratownicze, postanowiłam płynąć w kierunku słabo widocznych świateł. Nie bez powodu zresztą, bo mój oddech stawał się coraz bardziej chrapliwy, a mokra sukienka utrudniała ruchy. Ledwie żywa dotarłam do brzegu i stwierdziłam, że nie wiem, gdzie jestem. Kuląc się z zimna, pobiegłam truchtem wąską asfaltową drogą, coraz bardziej oddalając się od jeziora. Przydrożne latarnie ledwie rozpraszały mrok i tylko gdzieś wyłaniały się kontury jasno pomalowanych domów. Gdy w końcu ujrzałam światła nadjeżdżającego z naprzeciwka samochodu, wiedziałam, że dalej już nie pobiegnę, płuca przeszywał mi okropny ból, a w głowie czułam przeraźliwe dudnienie. Zatrzymałam się więc pośrodku tej wąskiej drogi, modląc się w duchu, aby nie był to ktoś z przyjęcia u Thomasa. Nadjeżdżający pojazd zaczął zwalniać, w końcu ledwie się toczył, aż wreszcie stanął w odległości kilkunastu centymetrów ode mnie. Oślepiąca światłem reflektorów, nawet nie próbowałam zobaczyć, kto w nim siedzi, tylko z ulgą oparłam się plecami o maskę wozu, aby zaraz potem bezwładnie osunąć się na ziemię. Minęła dłuższa chwila, zanim drzwi samochodu powoli otworzyły się i wysiadło z niego dwóch młodych mężczyzn.

- O, w mordę! Max, patrz na nią! Dziewczyno, co ty tu robisz?

- Wracam z kąpieli - westchnęłam z ulgą, widząc, że ci dwaj nie należą do grona znajomych Thomasa.

- Tego jeszcze brakowało! W jakim języku ta dziewczyna mówi? Chyba po rosyjsku - skonstatował rzeczowo ten sam mężczyzna. W pozie pełnej wyczekiwania przyglądali mi się z góry. Byłam pewna, że każdy z nich mierzy co najmniej metr dziewięćdziesiąt.

Oczywiście nie zorientowałam się, że mówię po polsku.

- Przepraszam, pewnie jestem w szoku, to po tej kąpieli, w końcu mamy dopiero początek maja - wyszeptalam najwyraźniej jak tylko umiałam, tym razem jednak po niemiecku. Miałam świadomość, że tam w górze mogą mnie słabo słyszeć.

- Możecie mnie podwieźć do Monachium? Byłabym wam bardzo wdzięczna.

- Ym... pewnie, gdzie tylko zechcesz - chłopak, który to powiedział, w odróżnieniu od swojego kolegi miał ciepły, aksamitny głos i śpiewny bawarski akcent. Z tego, co mówił ten pierwszy, wynikało, że miał na imię Max.

- Nic ci nie dolega? Nie jesteś ranna? - uklęknął obok mnie i chyba mi się przyglądał, tak mi się przynajmniej zdawało, bo miałam zamknięte oczy.

- Na ranną nie wygląda, Max, raczej na wykończoną, pewnie wraca z jakiejś dzikiej balangi...

- Przestań chrzanić i pomóż mi zaprowadzić ją do samochodu! Nie widzisz, że trzęsie się z zimna? Czasami pleciesz jak stara baba... - mówiąc to, niezdarnie zabrał się do podnoszenia mnie z ziemi.

Chciałam nawet jakoś mu pomóc, ale moje mięśnie nadal odmawiały posłuszeństwa, a poza tym nagle poczułam się tak bezpieczna, jak chyba nigdy dotąd.

W końcu udało im się wspólnie zaciągnąć mnie na tylne siedzenie samochodu. Zaraz po tym jak ruszyliśmy, włączyli ogrzewanie, bo w środku zrobiło się gorąco jak w tropikach. Poczułam, że wpadam w czarną dziurę.

Gdy się obudziłam, staliśmy pod pięknie oświetloną kamienicą, prawdopodobnie na Schwabingu, w starej uniwersyteckiej dzielnicy Monachium. Ze zdumieniem odkryłam, że siedzę w otwartych drzwiach samochodu, a stopy opieram na chodniku. Moi towarzysze podróży nie zauważyli jeszcze, że na nich patrzę, bo stojąc nieopodal, półgłosem i z niemałym ożywieniem dyskutowali, jak najlepiej przenieść mnie na górę, bo podobno, chociaż na to nie wyglądam, ciężka jestem jak kamień...

Miasto zdawało się być pogrążone w głębokim śnie, wokół panowała prawie absolutna cisza, pomijając przyciszone głosy moich nowych znajomych. Musiało być już dobrze po północy. Nagle popatrzyłam na swoje stopy w podartych jedwabkach. Ogarnęło mnie przerażenie, gdy ujrzałam, co pozostało z najdroższych, jakie miałam w życiu, rajstop.

- O Boże, moje *rajstopy*! Sześćdziesiąt marek, sześćdziesiąt marek i do śmieci! - Powiedziałam to głośno, wstrząśnięta tym odkryciem. Za te pieniądze mogłam przeżyć, skromnie, bo skromnie, ale przeżyć, cały długi tydzień. W tym momencie największą tajemnicą mojej osobowości było wydanie sześćdziesięciu marek na rajstopy.

Jak na komendę popatrzyli na moje nogi!

Nogi miałam ładne, szczupłe i dosyć długie, w tej chwili jednak wyglądały okropnie: brudne, podrapane do krwi, w strzępach najdroższych rajstop firmy Wolford. Zaczęłam chichotać, najpierw po cichu, potem coraz głośniejsze. Już po chwili dołączyli do mnie obaj Bawarczycy - wkrótce śmialiśmy się na całe gardło, ocierając łzy

i trzymając się za brzuchy. Nie padło ani jedno słowo. W chwili przerwy między kolejnymi atakami śmiechu któryś z nich zamknął samochód, wzięli mnie pod ramiona, jakbym była ciężko ranna, Po czym rozpoczęliśmy wspinaczkę na górę po wąskich schodach zabytkowej kamienicy. Kilka razy musieliśmy się zatrzymać, bo z niewiadomych przyczyn ponownie wybuchaliśmy zaraźliwym śmiechem. W końcu, gonieni głośnymi wyzwiskami i groźbami

niezadowolonych mieszkańców, weszliśmy do różowego przedpokoju, gdzie w T-shircie z Myszka Miki i majtkach bokserkach stał, jak się później okazało, trzeci lokator tego mieszkania. Równie młody i równie przystojny jak dwaj pozostali. Na jego ładnej twarzy malował się wyraz bezgranicznego zdumienia. Nagle zrobiło mi się strasznie wstyd i robiąc minę kogoś, kto skłonny jest do skruchy, wyjąkałam:

- Przepraszam, ale ja koniecznie muszę skorzystać z łazienki.

W milczeniu wskazali mi drzwi na końcu korytarza. Zanim tam weszłam, zdążyłam im jeszcze posłać zgnębione spojrzenie. I z tym wyrazem twarzy popatrzyłam w olbrzymie łazienkowe lustro. Od razu domyśliłam się, dlaczego ci dwaj nie zgwałcili mnie po drodze: wyglądałam okropnie. Programowo i ideologicznie zaniedbane fanatyczne działaczki alternatywnych ruchów na rzecz aromaterapii, weganizmu czy reiki mogły uchodzić przy mnie za wzór kobiecej dbałości o urodę. Strąki wilgotnych, posklejanych włosów smutno zwisały wokół głowy, cera nabrała fioletowo-zielonkawego odcienia, a w zapuchniętych oczach zwracały uwagę przekrwione białka...

Z obrzydzeniem odwróciłam się od swego odbicia. Mieszkanie znajdowało się na trzecim piętrze, co było i tak bez znaczenia, bo łazienka nie miała okna. Poczułam się jak Quasimodo w pułapce z kafelkami w angielskie kwiatki. Z pokoju obok dochodziły stłumione odgłosy ożywionej rozmowy - pewnie omawiali szczegóły naszego spotkania i snuli domysły, czy uciekłam ze szpitala psychiatrycznego, czy tylko z balangi w jednym z podmiejskich burdeli, gdzie zatrudnia się przede wszystkim dziewczyny z Europy Wschodniej.

W chwilę potem stałam w kabynie prysznicowej pod strumieniem gorącej wody, czując, jak spływa ze mnie cały ten stres związany z eleganckim przyjęciem w domu pod miastem.

Pod drzwiami, oprócz świeżego ręcznika - zdążyłam już wytrzeć się papierem toaletowym - znalazłam świeżo uprane, choć nieuprasowane, błękitne bokserki w zielone żabki i T-shirt w blad różowym kolorze. Charakter tego stroju w pełni obrazował moje

samopoczucie. Właśnie wzięłam najwspanialszy prysznic w życiu. Właściwie to ostatni wieczór i noc miałam bardzo udane - tyle emocji w ciągu kilku godzin. Czułam, że jestem szczęściarą, żyłam, byłam cała i zdrowa, pomijając straty materialne, to znaczy te nieszczęsne rajstopy, no i buty, które zostały w wodzie, i sukienkę, która nadawała się już tylko do wyrzucenia.

Moi nowi znajomi - Andy, Achim i Max, studenci z maleńkiego Penzbergu z przedgórza Alp, byli jak duże dzieci. Otwarci, ciekawi wszystkiego, co nowe, weseli, na luzie, z pasją uprawiający sporty, a w dodatku bardzo przystojni, szczególnie jeśli patrzyło się na całą trójkę jednocześnie.

- Za takimi chłopakami jak wy biegają pewnie tłumy dziewczyn - powiedziałam im rano, przy pierwszym wspólnym śniadaniu. Ten niespodziewany komplement tak ich speszył, że nie byli w stanie wykrztusić ani słowa. Aby pokryć zmieszanie, zajęli się żuciem pełnoziarnistego muesli, co prawdopodobnie miało im uniemożliwić udzielenie jakiegokolwiek odpowiedzi. Wyglądało to nawet zabawnie, jakby brali udział w jakimś konkursie: trzech mężczyzn w nieskazitelnie białej i nowoczesnej kuchni, pełnej błyszczących sprzętów.

- Nie mówię tego dlatego, że jestem wam niezmiernie wdzięczna... mam na myśli pomoc, jakiej mi udzieliliście...

- Nie ma sprawy, chętnie ci pomogliśmy, wcale nie musisz czuć się zobowiązana - przez ułamek sekundy miałam wrażenie, że Max udusi się niedostatecznie przeżutym muesli, w każdym razie musiał odkaszląć, jakby coś utkwilo mu w gardle.

- Wcale nie czuję się... zobowiązana, to znaczy oczywiście czuję się zobowiązana, ale to nie ma nic wspólnego z tym, jak was oceniam. Cieszę się tylko, że was poznałam.

Wszyscy trzej zerknęli na mnie podejrzliwie, wyraźnie nie byli w stanie znieść żadnej pochwały na swój temat.

- Mam nadzieję, że wy również? - uśmiechnęłam się promiennie do swojego muesli, dziwiąc się w duchu, że nadal poruszam tak mało interesujący temat.

- Pewnie! Coś takiego nie trafia się codziennie. W mordę, dziewczyno, w pierwszej chwili myślałem, że kręcą *Ukrytą kamerę*] Chociaż coś mnie tknęło, bo wyglądałaś naprawdę fatalnie, chyba nikogo nie dałoby się tak ucharakteryzować - Achim zrobił zabawną minę, chcąc przypomnieć, jak przerażająco wyglądałam. I wyszło mu to naprawdę śmiesznie. Swoją drogą zadziwiająca jest reakcja na nieoczekiwane zdarzenie człowieka wychowanego w towarzystwie telewizora. Czuje się obserwowany i odruchowo zaczyna szukać ukrytej kamery.

- Nie słuchaj go, był tak przerażony, że bał się wysiąść z samochodu, *Ukryta kamera* pomyliła mu się z *Archiwum X*, podejrzewał, że możesz być wysłannikiem Zła z kosmosu - Max pstryknął na palcach w kierunku strachliwego kolegi, jakby chciał zdmuchnąć go z powierzchni ziemi.

- Co wy, chłopcy, napaliliście się trawy? Mam nadzieję, że tak, bo z takim nastawieniem wobec każdego ryzyka to z naszej wyprawy w Andy nici...

- Pewnie, od razu zarezerwujemy w Neckermanie wycieczkę dla starych pudeł na Majorkę, czy gdzie tam one teraz jeżdżą. Szkoda, że nie widziałeś swojej głupiej, przestraszonej gęby w momencie, gdy Max stanął z Kornelią w drzwiach.

- Kornelia, nie zwracaj na nich uwagi, zawsze się tak zachowują. Swoją drogą jestem pewien, że ty sama masz więcej odwagi niż my trzej razem wzięci - odezwał się łagodnie Max.

- Bingo, Max, pierwsza piękna Polka w tym mieszkaniu, a ty od razu na starcie kolegom nóż w plecy - warknął w odpowiedzi Achim.

- Żeby tylko nóż w plecy - sprostował rzeczowo Andy - to seria z automatu po nogach, tak na dzień dobry, żeby od razu wyeliminować konkurenta.

- O co wam chodzi...?



- W mordę, tylko popatrz na niego, Andy!
- Patrzeć na niego? A niby po co?
- Po co, po co? A niby po to! Tak się tylko mówi, jak nie chcesz, to na niego nie patrz...

I trwało to tak bez końca. Spierali się, na szczęście tylko ze sobą, nieustannie, z byle powodu. Nigdy przedtem i nigdy potem nie spotkałam tak kłótliwych facetów. Mój ojciec, pamiętałam z dzieciństwa, był na przykład zamkniętym w sobie, unikającym wszelkich słownych konfrontacji milczkiem. Czasami wydawało mi się, że w tych absurdalnych przekomarzeniach przeradzających się zwykle w awantury i awanturki słyszę stare zrzędlive małżeństwo składające się z trzech głosów.

Trudno powiedzieć, czy ta skłonność do kłótni miała wpływ na fakt, iż cała trójka nieustannie borykała się z kryzysem w stosunkach damsko-męskich, czy też ich uczuciowe dylematy były przyczyną ciągłych awantur. Każda nowo poznana dziewczyna wносиła do ich życia całą gamę prozaicznych problemów, których różnorodność starczyłaby do napisania grubego poradnika na temat uczuciowych dylematów współczesnego młodego Niemca. A to była zbyt chętna, a to zbyt oziębła, inna z kolei zbyt szybko się u nich zadomawiała, wprowadzając własne porządki, bądź też była zbyt niezależna i wystarczała jej przyjaźń. Posiadali jakąś dziwną zdolność wyszukiwania niewłaściwych dziewczyn. Może dlatego, że byli tacy chłopięcy, chwilami wręcz infantylni, choć każdy z nich miał inne uosobienie, inne zainteresowania, inny charakter. W każdym razie temat kobiet był tematem dyżurnym w mieszkaniu studentów z Penzbergu, a odkąd mnie poznali, stałam się dla nich kimś w rodzaju eksperta w sprawach sercowych. Trochę mnie dziwiło, że dziewczyny, z którymi się spotykali, odnosiły się do mnie raczej przyjacielsko, to znaczy po chwilowym zainteresowaniu moim polskim pochodzeniem stawałam się im obojętna.

Wszyscy trzej byli ode mnie tylko o dwa lata młodszy, ale w ich towarzystwie czułam się strasznie staro - byłam chyba zbyt nieufna

i prawdopodobnie już wtedy cyniczna. Mimo to lubiłam z nimi przebywać, bo każde spotkanie było jak dar z krainy beztroskiej młodości, której okruchy pozostały gdzieś daleko w grubych i zimnych murach ponemieckiego pałacu w Polsce. I lubiłam ich również za to, że byli w stosunku do mnie całkowicie bezkrytyczni, niczego ode mnie nie wymagali, nie próbowali kierować moim życiem, nie dawali bezcennych rad, z rozbijającą szczerością prawili mi komplementy. Ich beztroska była dla mnie tym, czym słońce dla kota - kiedy tylko miałam ochotę, mogłam się tym ciepłem rozkoszować. No i sprawiali wrażenie szczęśliwych, nie mieli jeszcze żadnych konkretnych planów na przyszłość, cieszyli się, że wyrwali się z rodzinnego miasteczka i mogli jako pierwsi w historii rodziny studiować. Mieli wystarczająco dużo pieniędzy na życie, a nawet na wspólne podróże po świecie, czego zazdrościłam im najbardziej. Wnieśli do mojego życia powiew świeżości, tak pożądany choćby wobec kontaktów ze zmanierowaną Cornelią. Gdy wyszłam za mąż, nie mogli mi wybaczyć, że wybrałam kogoś tak nudnego i starego jak Thomas. Nasze spotkania stały się rzadsze. Żałowałam, że tak jest. Miałam nawet wrażenie, że podobne uczucie nawiedziło mnie wtedy, gdy po raz pierwszy próbowałam przespać się z kolegą ze studiów w Polsce i nic z tego nie wyszło. Wydawało mi się wtedy, że ominęło mnie coś, wobec czego miałam co prawda niesprecyzowane, ale z pewnością niesamowite i ekscytujące oczekiwania.

Niemniej jednak zawsze i o każdej porze mogłam do nich wpaść, podzielić się moimi rozterkami, prosić o drobne przysługi. Nie istnieli dla mnie osobno, byli moimi chłopakami z Penzbergu. Najczęściej jednak spotykałam się z Maksem, razem chodziliśmy do kina, na imprezy studenckie czy na squasha. Któregoś dnia zakłopotany wyznał mi, że ponieważ mnie uratował, czuje się za mnie odpowiedzialny. Tak po prostu: znalazł mnie na drodze, od razu zawładnęła nim potrzeba opieki i nic nie mógł na to poradzić. Do głowy by mi nie przyszło, że takie rzeczy się zdarzają. Co innego opieka nad bezdomnym kotem czy psem.

Tamtej nocy to właśnie Max odstąpił mi swój pokój, a rano po wspólnym śniadaniu, odwiózł do domu. Po drodze umówiliśmy się na wieczór w znanej młodzieżowej knajpie z muzyką graną przez latynoamerykański zespół. Patrzenie na Maksa sprawiało mi prawdziwą przyjemność. W szarej Polsce nie znałam takich mężczyzn: uroczo beztroskich, zadbanych, nie mówiących ani o polityce, ani o problemach egzystencji.

Nie przeczuwałam, że kogoś zastanę pod drzwiami mojego domu, i przez krótki moment, nim wysiadłam z samochodu, zakręciło mi się w głowie. Żegnając się z Maksem, dłużej, niż to było konieczne, przytrzymałam jego rękę. Odpowiedział mi uradowanym spojrzeniem.

Moje mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze starego i, jak na warunki monachijskie, obskurnego domu, tuż przy jednej z ruchliwych obwodnic. Na jego tyłach, w podwórzu, dzięki zręczliwemu dozorczy powstał rodzaj wewnętrznego ogrodu. Był to jedyny ładny zakątek w okolicy. W istocie człowiek ten musiał mieć dobrą rękę do roślin, bo podwórze bez względu na porę roku aż kipiało od bujnej zieleni, rekompensując swą urodą brzydotę przedwojennej kamienicy. Chcąc dostać się na moje piętro, musiałam przejść przez główną bramę, a potem przez całe to botaniczne królestwo dozorczy.

Spostrzegłam go od razu, zaraz po wyjściu z bramy. Siedział ze spuszczoną głową pod drzwiami wejściowymi na kamiennych, wytartych schodkach. Tkwił nieruchomo, sprawiając wrażenie kogoś, kto chce powstrzymać przemijanie czasu. Ludzie często to robią, z różnych pobudek, i gdyby to było możliwe, przestaliby również na chwilę oddychać. Ta perspektywa kusi każdego, ale czasu przechytrzyć się nie da.

Thomas nie słyszał moich kroków, byłam przecież boso, to znaczy w białych, sportowych skarpetkach frotte, pożyczonych od studentów z Penzbergu. Zauważył mnie, dopiero gdy stanęłam tuż obok niego. Przez długą chwilę, w milczeniu i bez najmniejszego gestu, patrzyliśmy sobie w oczy. Nie miałam zamiaru okazać skruchy za moje głupie zachowanie poprzedniego wieczoru, byłam pewna,

ze tym razem spotykam go po raz ostatni. Może by się tak i stało, gdyby nie łzy w jego oczach. Pojawiły się nagle, bez żadnego ostrzeżenia, i popłynęły dwiema równymi strużkami po policzkach. Thomas nie wyglądał najlepiej - nieogolony, z podkrążonymi oczami nie przypominał już pewnego siebie, aroganckiego prawnika, żywcem przeniesionego z amerykańskiej telenoweli o ludziach sukcesu.

Nigdy nie potrafiłam znieść widoku płaczących ludzi, bez względu na to, kim byli i dlaczego płakali. Nawet widok ocierających łzy fanów piłki nożnej w telewizji, których normalnie nie znosiłam, zmuszał mnie do płaczu. Thomas o tym nie wiedział i dlatego moje łzy potraktował jako objaw skruchy i chyba radości z powodu naszego spotkania. Wstał i czule otoczył mnie ramieniem.

- Całą noc przeze ciebie nie spałem. Zresztą co ja ci będę mówił, nie po raz pierwszy. Martwiłem się o ciebie, wszyscy się martwili, Cornelia po moim telefonie przyjechała w nocy nad jezioro - Thomas lekko odsunął mnie od siebie i uważnie spojrzał mi w twarz. W jego oczach pojawiła się czułość, z jaką nikt dotąd na mnie nie patrzył.

- Powiedz, co ci... strzeliło do głowy? Przecież mogłaś utonąć. Czy wiesz, że byłem, to znaczy, byliśmy, w strasznym szoku, a na dodatek ta żmija Cornelia histeryzowała, krzyczała, że mam cię na sumieniu...

- Na sumieniu? Dlaczego na sumieniu? - Odechciało mi się płakać, tym bardziej że nie było już takiej potrzeby, w końcu Thomas też przestał. Pod pretekstem odgarnięcia włosów z twarzy spróbowałam delikatnie wyswobodzić się z jego objęć. Bezskutecznie. - No i dlaczego żmija? Wiem, że nie jest idealna, chociaż jej się tak wydaje, ale żeby od razu nazywać Cornelię żmiją?

- Jak zwykle zbaczasz z tematu. Nie mogłabyś choć raz odpowiedzieć konkretnie na konkretne pytanie?!

- To znaczy na które? Pytałeś, co mi strzeliło do głowy i czy wiem, że byłeś w szoku?

- Przestań żartować.

Wcale nie żartowałam. Thomas często mi to wyrzucał, sama nie wiem, dlaczego ciągle myślał, że żartuję. Może wynikało to stąd, że w momencie, kiedy rozmową zaczynały rządzić uczucia, gubiłam się, w głowie miałam coraz większą pustkę, no i wtedy uciekałam w niewinne zbaczanie z tematu. Człowiek uczy się szermierki słownej już jako dziecko, wyrażając swoje uczucia, ja tego nie potrafiłam. U nas w domu nie dyskutowaliśmy o tym, co czujemy.

- Nie wiem, o co ci chodzi, chciałam tylko trochę popływać... Czy idąc pływać, pytasz kogoś o zgodę?

Nie zabrzmiało to zbyt przekonująco, ale nie znosiłam scen. Mój ton najwyraźniej nie spodobał się Thomasowi. Bezwiednie wypuścił mnie z objęć, a jego bezczynne ręce poszukały schronienia w kieszeniach dżinsów. Patrząc w skupieniu na coś, co upatrzył sobie ponad moją głowę, chyba po raz pierwszy i ostatni sprawiał wrażenie bezradnego.

- Chciałbym cię zrozumieć, wierz mi, nigdy nie wiem, co ci chodzi po tej upartej głowie. Najgorsze jest to, że cię kocham, i jest to uczucie, jakiego nigdy dotąd... nie wiem, czy jesteś to w *stanie* zrozumieć, ale ja takiego uczucia jeszcze nigdy nie zaznałem. Chyba będę musiał się z tobą ożenić, bo przez ciebie nie mam chwili spokoju. Powiedz... zgadzasz się?

Jeszcze pięć minut temu miałam ochotę przeżyć niezobowiązującą przygodę z Maksem albo z którymś z jego kolegów. Pragnęłam rozkoszować się nowym uczuciem wolności, którą odkryłam ostatniej nocy w jeziorze, ale teraz, zamiast odwrócić się na pięcie i uciec do domu, stchórzyłam i zachrypniętym głosem, ze wzrokiem wbitym w białe skarpetki frotte, wyjąkałam przerażona:

- Chyba tak... Tak. Też cię kocham i będę zachowywać się już rozsądnie.

Wiedziałam, że odtąd będę jego adoptowanym dzieckiem, małą dziewczynką-przytulanką, wobec której niekoniecznie trzeba mieć jakieś głębsze zobowiązania.

W łóżku Thomas był delikatny i czuły, czasami trochę zagubiony i niezręczny, po seksualnym zbliżeniu natychmiast zasypiał,

w embrionalnej pozycji, tak jakby świat ograniczał się do powłoki kołdry, która go otulała. Po pewnym czasie zaczął się nawet skarżyć na noce, które musiał spędzić beze mnie, bo nie mogąc się przytulić, miał trudności z zasypianiem. Zdarzało się, że przez sen przyciągał mnie do siebie, jego palce wędrowały wtedy po mojej skórze, jak palce ślepcy, który chce się upewnić, czy aby na pewno jestem tą kobietą-przytulanką, którą chciał mieć akurat przy sobie. W świetle dnia jego przywiązanie ulatniało się gdzieś, jakby brakowało mu czasu albo odwagi, aby popatrzeć na mnie o sekundę dłużej, niż to było konieczne, albo zrobić o jeden gest więcej, niż to było przyjęte w jego otoczeniu. Może to i lepiej, bo dzięki temu nasz związek stawał się mniej krępujący.

W dwa miesiące po nocnym pływaniu odbył się nasz ślub. Cornelia nie przyszła ani do urzędu stanu cywilnego, ani do restauracji na przyjęcie ślubne, bo miała okropne zaległości w pracy i podobno bardzo cierpiała z powodu zaburzeń układu krążenia. Prawie wszyscy Niemcy na to cierpią, choć nie zanotowano z tego powodu jeszcze żadnej ofiary śmiertelnej. Przez posłańca w osiemnastowiecznej liberii przysłała mi olbrzymi bukiet białych róż z bilecikiem, na którym czerwonym atramentem napisała z paskudnym patosem: *Życzę Ci, abyś nie zmarnowała talentu, którym Cię natura tak hojnie obdarowała. W życiu jesteśmy tylko tym, co robimy.* Natychmiast po przeczytaniu tej złotej myśli odpowiedziałam, pisząc pożyczonym od kelnera długopisem: *Czy aby na pewno?* W ten sposób udało się Cornelii popsuć mój pierwszy w życiu ślub. Choć szczerze mówiąc, i tak nie było co psuć.

Thomas zaprosił swoich znajomych, znudzone pary w nieokreślonym wieku, u których trudno byłoby wykrzesać choć odrobinę entuzjazmu. Najwyraźniej zbyt intensywnie oddawali się dubbingowi. A wiadomo było przecież, że po trzydziestce należy z tym skończyć, w przeciwnym wypadku bowiem dochodzi do nieodwracalnych zmian osobowości. Wśród nich, a mówili wyłącznie o braku wykwalifikowanych sprzedawców z klasą, był właściciel znanego

butiku przy najdroższej ulicy w Monachium a także właścicielka eleganckiej perfumerii - żywa reklama sprzedawanych tam produktów. Podziwiałam ją za zaangażowanie, z jakim to robiła - stosować wszystkie te preparaty, na przykład tylko do twarzy, czyli osobno do powiek, na szyję, na dekolt, pod oczy, do ust, na nos, do brwi, rzęs, a potem cały zestaw do pielęgnacji ciała, w tym stóp, ud, łydek, pośladków, brzucha, kolan, łokci, no i do włosów, żeby rosły, i do włosów, żeby nie rosły, do paznokci, zębów... Thomas zaprosił również właściciela salonu z niewyobrażalnie drogimi sportowymi samochodami, a ponieważ posiadanie takiego interesu zobowiązuje, człowiek ten przyszedł z dwiema przyjaciółkami naraz. Ponadto pojawił się dentysta spod Monachium z chorobliwie zazdrosną żoną oraz zastęp jednakowo wyglądających prawników, kolegów ze studiów, z identycznie wyglądającymi dziewczynami, koleżankami z tych samych studiów.

Przyszła również Ellena, matka Thomasa. Duża, elegancka i pewna siebie teściowa po sześćdziesiątce. Widziałyśmy się po raz pierwszy, bo wcześniej jakoś nie udało nam się poznać, nie wydawało mi się jednak, abym wzbudziła jej zainteresowanie. Nic lepszego nie mogło mnie spotkać, wzięwszy pod uwagę, że była mi obca i w zasadzie całkiem obojętna. Zresztą nie odniosłam wrażenia, aby wzajemne relacje matki i syna przepojone były jakąś szczególną bliskością, jakkolwiek miałyby się ona wyrażać. Nie miały nic wspólnego z żalonym stereotypem, kiedy zakochana i zazdrosna mamusia szuka w bliskim związku z synem rekompensaty za nieobecność w jej małżeństwie miłość.

- Cieszę się, że nie jesteś Azjatką... Ani Afrykanką. Co prawda kocham Trzeci Świat i jego ludzi, szczególnie kocham Azję, ale kobiety tam są zbyt uległe wobec mężczyzn, kobiety z Polski wiedzą, czego chcą, a to nie zaszkodzi Thomasowi...

I tu moja teściowa naprawdę wesoło się zaśmiała. Chciałam ją zapytać, skąd wie, jakie są kobiety z Polski, ale w tej sytuacji moje pytanie mogłoby zabrzmieć jak agresywna zaczepka, a nie

zamierzałam psuć jej humoru. Na pewno włożyła dużo ciężkiej pracy w to, aby okazywać swobodę i radość życia, jakiej normalnie nie spotyka się u starych kobiet.

- Ja też się cieszę...

- Naprawdę? Ale z czego?

- No z tego, że Thomas wybrał mnie, a nie kogoś z Trzeciego Świata.

- Aha. A propos Trzeciego Świata, zauważyłaś, jak mało adekwatna jest ta nazwa w odniesieniu do kondycji naszego ducha?

Nie zauważyłam, ale tego oczywiście też nie chciałam jej powiedzieć, bo musiałabym zdradzić, że jeszcze nigdy się nad tym nie zastanawiałam. A gdybym zaczęła się zastanawiać, to musiałabym rozstrzygnąć jedną kwestię: z którego świata ja pochodzę? Z drugiego? No bo chyba w tym pierwszym starałam się akurat zadomowić.

- Zauważyłam tylko, że światy te nie istnieją równorzędnie...

- Racja, bo my sami nie istniejemy! Zabiła nas konsumpcja.

- Ciekawy pogląd.

- Tak, tak, Thomas też myślał, że znajdzie szczęście w pieniądzu, karierze... wiesz, co mówi na ten temat Dalajlama?

- Konkretnie?

Moja teściowa wykonała niecierpliwy gest i wzruszyła lekko ramionami; najwyraźniej zrezygnowała z próby komplikowania dalszej rozmowy.

- W przypadku największego przywódcy duchowego naszych czasów, jakim jest Jego Świątobliwość Dalajlama, nie ma nic niekonkretnego - przy ostatnim słowie spróbowała mnie przedrzeźnić, ale nie wyszło jej to najlepiej. - Szczęście znajdziesz tylko w sercu, pod warunkiem, że twoja dusza znalazła pokój.

Na chwilę zamilkła, bo sprawna retoryka wymagała dłuższej pauzy, podkreślającej wagę ostatnich słów. Nie spodziewałam się, że po tym oświeceniu, którego miałam szczęście dostąpić, rozmowa znowu zejdzie na jej syna.



- Chłopak nie miał właściwie dzieciństwa, od małego tyrał na swój dzisiejszy sukces jak opętany...

- Thomas pracował już jako dziecko?!

Moje zaskoczenie było uzasadnione, w końcu w Zachodnich Niemczech, w jednym z najbogatszych krajów świata, zatrudnianie nieletnich jest zabronione. Gdyby urodził się na przykład w Pakistanie, to na pewno nie okazałabym tak wielkiego zdziwienia.

- A ty nie pracowałaś?

- Nie. Chodziłam do szkoły.

- O, mój Boże, a czyż to nie jest ciężka praca? No, ale muszę już lecieć. Goni mnie wewnętrzna dyscyplina. Dzisiaj mam jeszcze kurs tai-chi, a do tai-chi trzeba się przygotować.

Widząc zdziwienie w moich oczach, dodała:

- Trzeba oczyścić się z toksyn, wyciszyć, no wiesz... takie tam. Chyba ostatecznie straciła do mnie cierpliwość, bo pomachała mi

dyskretnie ręką, tak jakby chciała, aby ten gest nie był dla wszystkich widoczny, i nie żegnając się z nikim, energicznym krokiem ruszyła ku wyjściu. Już przy drzwiach prowadzących do wąskiego korytarza z garderobą odwróciła się i z ironicznym grymasem zawołała w moją stronę:

- To tak po angielsku.

- Naprawdę?

Ale jej już nie było, z czego wywnioskowałam, że nie miała zamiaru odpowiadać.

Ojciec Thomasa, pierwszy mąż mojej teściowej - po nim miała jeszcze jednego, ale o nim nikt nigdy nie wspominał, więc albo nie żył, albo jego istnienie w rodzinnej historii nie miało żadnego znaczenia - od wielu lat mieszkał ze swoją drugą, tylko o dwa lata ode mnie starszą, hiszpańską żoną na Majorce. Kolejny ślub syna nie wydawał mu się dostatecznym powodem, aby przyjechać do Niemiec. Z Thomasem kontaktował się tylko telefonicznie, z okazji urodzin i świąt Bożego Narodzenia, i za każdym razem, przez nikogo nie pytany, mówił to samo:

- Niemców to ja mam u siebie w nadmiarze. Te najazdy nordyckich barbarzyńców powinny się wreszcie skończyć, są jak szarańcza, jak biała odmiana czarnej zarazy, zasrywają wszystko i wszystkich.

W kółko to powtarzał. Marzyła mu się Majorka bez tłumów niemieckich i angielskich turystów, zamknięta enklawa dla małej grupy jakichś bliżej nieokreślonych wybrańców. To był jego konik, jego obsesja i pewnie śnił wyłącznie o gigantycznych buldożerach, zrównujących z ziemią usytuowane przede wszystkim na wybrzeżu monstrualnej wielkości hotele i ośrodki turystyczne. Tu trzeba dodać, że znał je doskonale, bo wiele lat z rzędu dobrowolnie spędzał w nich każde wakacje, w końcu sprzedał wreszcie dobrze prosperujący skład budowlany pod Monachium, znalazł sobie młodą Hiszpankę i jako wczesny emeryt przeniósł się na stałe na wyspę.

Pod koniec wieczoru pojawił się starszy brat Thomasa, Stephan. Różnica wieku między nimi musiała być duża i gdyby ktoś ich nie znał, mógłby pomyśleć, że są ojcem i synem. Tego wieczoru widziałam go po raz pierwszy, przyszedł w towarzystwie swojej, jak sam go przedstawił, nowej, wielkiej miłości, czyli drobnego, ciemnoskórego chłopca z mocnym bawarskim akcentem i w bawarskich skórzanych spodniach. Do tej pory nie miałam najmniejszego pojęcia, jakie są preferencje seksualne mojego szwagra, ale po chwili zastanowienia doszłam do wniosku, że nie ma to dla mnie najmniejszego znaczenia, podobnie jak dla niego fakt, że weszłam do ich rodziny. Pewnie dlatego, że rodzina ta od dawna istniała wyłącznie teoretycznie.

Na ślub jakimś cudem zdążyły przyjechać moja mama, siostra Luiza i jej siedmioletnia córeczka Mara. To dziwne imię mała otrzymała chyba na pamiątkę po norweskim ojcu, który odszedł w siną dal, zanim zdążyła przyjść na świat. Podobno pracował jako pilot amerykańskich linii lotniczych, ale poza tym nic konkretnego o nim nie wiedziałyśmy.

Zanim mama z Luizą i Marą pojawiły się w Monachium, wielokrotnie rozmawiałam telefonicznie z siostrą, która, będąc stewart-

desą linii lotniczych, ciągle zmieniała miejsce pobytu. Rozmowy dotyczyły drażliwego tematu, czyli przygotowania mamy do przyjazdu na mój ślub. Próbowalam przekonać Luizę, że to ona, jako starsza córka, powinna namówić mamę, aby poszła do dentysty i zrobiła porządek z zębami, których wygląd bez fachowej pomocy specjalisty mógłby wywołać panikę w kręgach znajomych mojego męża.

Siostra bała się urazić mamę, bo była przekonana, że spotkało ją wystarczająco wiele upokorzeń w życiu i trzeba być bez serca, aby celowo robić jej kolejną przykrość. Taka właśnie była moja siostra - naiwna, uczuciowa, ciągle wykorzystywana, bo wszystkich starała się zrozumieć, wszystkim pomóc, nikogo nie urazić. Dlatego wcale się nie zdziwiłam, gdy powiedziała mi, że znalazła pracę w arabskich liniach lotniczych. Luiza była wyjątkowo piękną i inteligentną kobietą, tylko że w oczach miała zawsze jakiś lęk, jakąś gotowość do wycofania się, ustąpienia pola innym. Sprawiała wrażenie osoby uległej, która łatwo się podporządkowuje. I tak prawdopodobnie też było. W końcu zgodziła się na zęby, bo trafił do niej argument natury zdrowotnej. Luiza bardzo martwiła się o zdrowie mamy, która, w końcu niemłoda i spracowana, opiekowała się wnuczką od dnia jej narodzin.

Nasza mama mimo przejścia na skromną emeryturę ciągle jeszcze zajmowała całe olbrzymie piętro w ponemieckim pałacu, pełne pięknych sztukaterii, starych kaflowych pieców i skrzypiących parkietów. Żyła tam jak zubożała królowa na wygnaniu, bez przyjaciół, bez męskiego ciepła, opiekując się dzieckiem, które tak naprawdę nie znało ani ojca, ani matki.

- Lulu - tak nazywałam moją siostrę w dzieciństwie, a potem, jak już dorosłyśmy, w chwilach, gdy czułam przyływ ciepłych, siostrzanych uczuć - obiecaj mi - zęby i depilacja... pachy i nogi.

W słuchawce nastąpiła grobowa cisza. Z całych sił musiałam się powstrzymać, aby nie wybuchnąć śmiechem, bo wyobraziłam sobie minę mojej starszej siostry, która mimo że sama perfekcyjnie

dbała o ciało, nigdy o tych rzeczach nie mówiła, tak jakby usuwanie zbędnego owłosienia było czymś bardzo wstydlwym.

- Dobrze, zrobię to, choć wcale nie jestem przekonana... Mama jest już wystarczająco zestresowana twoją nagłą decyzją o ślubie. A poza tym sama wiesz, że pierwszy raz polecą samolotem i pierwszy raz będzie za granicą...

- Za jaką granicą? Przecież mama urodziła się w Niemczech.

- Znowu sobie żartujesz.

Cała historia z przygotowaniem mamy na przyjazd do Monachium tak naprawdę nie miała ze mną nic wspólnego, bo nigdy nie marzyłam o innej mamie niż ta, jaką miałam. Jednak już wystarczająco dobrze znałam arogancję ludzi z Zachodu, żeby nie wiedzieć, nawet jeśli zabrzmiałoby to banalnie, że człowieka ocenia się tu po wyglądzie i wszelkie zaniedbania traktowane są jako oznaka prymitywizmu. Dlatego, podobnie jak moja siostra, nie chciałam, aby spotkała ją jakaś przykrość, nawet gdyby nie zdawała sobie sprawy z powodów, dla których ludzie tak a nie inaczej ją traktują.

W przeddzień ślubu, radośnie podniecona, pojechałam po mamę, siostrę i siostrzenicę na lotnisko, ale w momencie, gdy je zobaczyłam, jak trzymając się za ręce, przechodzą przez bramkę kontroli celnej, w przypiływie irracjonalnej nadziei rozejrzałam się wokół w poszukiwaniu kogoś innego, innego niż ja, kto na nie czeka. Ale to ja byłam tą osobą, która powinna zająć się nimi przez kilka najbliższych dni.

Mama miała zrobione zęby i już na pierwszy rzut oka widać było, że nieswojo czuje się w eleganckim kostiumie, tak bardzo różnym od tego, co nosiła na co dzień. W końcu pracowała jako zootechnik i większość swego życia spędziła w męskich koszulach, spodniach i gumowcach. Luiza olśniewała urodą i klasą porównywalną jedynie z doskonałością dziewczyn z okładek kolorowych pism. Ale mnie nie mogła na to nabrać, w jej oczach dostrzegłam jeszcze więcej niepewności i lęku niż zwykle. Z kolei mała Mara tak mocno ścisnęła rękę babci, że wokół kostek jej drobnej dłoni

pojawiły się białe obwódki. Wszystko w jej drobnej postaci zdawało się być przesadzone - na przekór obiegowym wyobrażeniom o dziecięcej urodzie: włosy koloru przeraźliwie żółtej słomy sterczały wokół małej twarzyczki na wszystkie strony jakby ktoś specjalnie usztywnił je supermocnym żelem, a potem pozawijał w jakieś dziwne skręty. Prawdopodobnie nikt jej jednak nie cesał. W szczupłej buzi dziecka uwagę zwracały przede wszystkim oczy - przy bardzo jasnej cerze były tak ciemne, że nie było w nich widać źrenic... tak ciemne, jakby nie miały dna. Ale najbardziej w tej małej postaci intrygowała smutna powaga, z jaka patrzyła ludziom prosto w oczy i z powodu której w żadnym wypadku nie można było nazwać jej małą słodką dziewczynką.

Wśród moich gości znaleźli się również studenci z Penzbergu. Szybko pożałowałam, że ich zaprosiłam. Zbici w małą grupkę, bez przerwy szeptali coś do siebie, wybuchając od czasu do czasu tłumionym śmiechem. Nawet gdybym szczerze wierzyła w ich dobre intencje, nie mogłabym oprzeć się wrażeniu, że bawią się kosztem pozostałych gości. Ubrani zgodnie z młodzieżową modą w wypłowiałe dzinsy i proste T-shirty nie pasowali do tego obwieszonego ciężką złotą biżuterią towarzystwa. Niemcy raczej nie afiszują się swoim bogactwem, ale lubią posiadać solidne, porządne rzeczy, stąd ich zamiłowanie do masywnych samochodów czy urządzeń gospodarstwa domowego skonstruowanych tak, jakby chodziło o ciężki sprzęt zbrojeniowy. Thomas ignorował więc obecność moich przyjaciół i nie zdobył się w stosunku do nich na najmniejszy przyjazny gest. Zresztą ja też tego wieczoru nie czułam się z nimi najlepiej, bo w tych kilku zdaniach, które udało nam się zamienić, wyczuwałam wyłącznie krytykę mojej decyzji o zamążpójściu. Nie znosiłam, gdy ktoś oceniał moje postępowanie. Dobrze, że pożegnali się jako jedni z pierwszych. Po ich wyjściu od razu zrobiło mi się różniej na duszy - wraz z nimi zniknęły wszystkie moje niepokoje.

Ale i tak cały ten nasz ślub był żalospną, karykaturalną uroczystością, godną kamery jakiegoś współczesnego Bunuela, gdyby taki się jeszcze raz narodził.

Gości zaprosiliśmy do tej samej modnej knajpy, w której Thomas wystąpił z propozycją wspólnego zamieszkania, teraz już nie tak modnej, bo z niewiadomych powodów tłumy, wcześniej z takim zapalem polujące tu na jakiegokolwiek miejsce, choćby tylko stojące, przeniosły się gdzie indziej.

Z tak niewielką liczbą osób wewnątrz lokalu sprawiało wrażenie jeszcze bardziej sterylnej i chłodnej. Większość naszych gości zgodnie z obowiązującą modą stała, popijając wino i żując niewielkie kanapki, drobno pokrojone sałatki i owoce morza, które wyglądały tak, jakby dopiero co wyciągnięto je z wody...

Wszystkie cztery zajęliśmy, jak baby na wiejskim weselu, narożną kanapę, obserwując to, co dzieje się w lokalu, czyli wiecznie młodego gitarzystę grającego na niewielkim podium smętne klasyczne kawałki, grupkę kelnerów, oczekujących niecierpliwie końca imprezy, bo wtedy może udałoby się im załapać choć na jedno piwo w którejś z tych naprawdę modnych knajp, miałyśmy też na oku weselnych gości. O tych ostatnich trudno było coś powiedzieć oprócz tego, że upili się w sposób niesłychanie dyskretny i mieli świadomość, że ich obserwujemy.

Siedząc przez cały wieczór razem, zamieniłyśmy z sobą tylko kilka słów, bo i o czym miałyśmy rozmawiać? Ostatni raz spotkałyśmy się trzy lata temu, tuż przed moim wyjazdem do Kanady. Wcześniej nasze kontakty też nie należały do ożywionych, bo zaraz po maturze wyjechałam na studia do oddalonego o jakieś sto kilometrów Wrocławia. Pokonanie tej odległości zabierało mi w tamtych czasach kilka godzin, dlatego rzadko odwiedzałam mamę, czasami raz na trzy miesiące. Luiza studiowała w Warszawie, więc siłą rzeczy z nią widywałam się jeszcze rzadziej.

Co jakiś czas ktoś z gości podchodził do nas i pytał mamę, jak się żyje po tamtej stronie żelaznej kurtyny, taksując przy tym

badawczo moją piękną siostrę. Nasza mama nie była przyzwyczajona do rozmowy o niczym i prawdopodobnie bardzo by się zdziwiła, gdyby ktoś jej uświadomił, że o prozaicznych towarzyskich pogaduszkach poważnie rozmyślał już Ciceró i jego uczniowie. Dlatego, choć z natury małomówna, z dużym przejęciem, szczegółowo i z wieloma barwnymi przykładami opowiadała o życiu w Polsce. Mówiła o upadającej hodowli zarodowej bydła, o niewykoszonych poboczach dróg, o księżach agitujących z ambon nie tylko na rzecz nauk chrześcijańskich, o brakach w zaopatrzeniu, o zmieniającej się mentalności ludzkiej, aż do momentu, kiedy niefortunny rozmówca, śmiertelnie znudzony, wycofywał się pod byle pretekstem. Tymczasem poszturchiwałyśmy się z siostrą dyskretnie, dusząc się przy tym ze śmiechu, co było całkiem przyjemne, bo pachniało beztroską i wczesnym dzieciństwem.

Mała Mara przez cały ten czas siedziała zupełnie nieruchomo, z głową opartą na łokciach i z szeroko otwartymi oczami, bez oznak jakiegokolwiek znudzenia, wpatrywała się w obecnych na przyjęciu ludzi, w każdego po kolei, nie pomijając nikogo. Wszystkie skierowane do siebie pytania ignorowała, tak jakby obok niej siedziało jakieś inne dziecko, zobowiązane do udzielania grzecznych odpowiedzi. Żeby było śmieszniej, jej babcia i mama za każdym razem uprzejmie przeproszały chętnych na pogawędkę z siedmiolatką, twierdząc uparcie to samo, to znaczy, że Mara nie rozumie po niemiecku. Nie było to zgodne z prawdą, bo dziewczynka lepiej mówiła w tym języku niż niejedno dziecko emigrantów mieszkające w Niemczech. Imponował mi jej spokój i jej niezależność, czułam, że ta milcząca siedmiolatka zdaje sobie sprawę z bezduszności otaczających ją dorosłych. Jednocześnie zrobiło mi się jej żal - w tym wieku dzieci powinny psocić, kaprysić i śmiać się z byle czego albo przebierać po raz tysięczny lalkę Barbie.

Boże, jaką jesteśmy smętną rodziną! Snujemy się przez życie, tak jakbyśmy zapadły się w jakiś emocjonalny letarg - pomyślałam sobie, patrząc na żegnającego gości Thomasa. Za nim też ciągnęły

się opary lepkiego smutku, zupełnie jak za nami. Witamy w gronie rodzinnym.

W dniu ślubu zamieszkałam u Thomasa, ale tak naprawdę w moim życiu wiele się nie zmieniło. Może tylko to, że nie musiałam martwić się o pieniądze, co jednak szybko stało się czymś normalnym. Thomas od rana do wieczora pracował w kancelarii, występował w sądach, chodził do fitnessklubu, spotykał się na biznesowych kolacjach, a nawet co jakiś czas wyjeżdżał służbowo na kilka dni. Nigdy nie kontaktowaliśmy się w ciągu dnia, zwykle przy wspólnym śniadaniu Thomas informował mnie o swoich bieżących planach. Bez większego trudu mogłam się do niego dostosować. Jeśli się zdarzyło, że chciał mnie wieczorem gdzieś zabrać, zawsze się zgadzałam, jeśli wyjątkowo chciał być na kolacji w domu, punktualnie przygotowywałam coś do zjedzenia.

Najpiękniejsze wspólne chwile przeżywaliśmy w łóżku i rano, przed pójściem Thomasa do pracy. Chyba tylko wtedy czułam, że jesteśmy sobie bliscy - był to czas na pieszczoty, miłosne wyznania, wspólne plany czy zwierzenia. Thomas stawał się oficjalny i chłodny natychmiast po włożeniu obowiązkowego garnituru.

Nie byłam w stanie tego pojąć i patrzyłam wtedy na niego, zastanawiając się, jak to jest możliwe, że jestem jego żoną. I nawet gdyby przyszło mi do głowy wyłożyć mu swoje racje, z których by wynikało, że w naszym małżeństwie coś jest nie tak, nie zrobiłabym tego z tej prostej przyczyny, że zupełnie nie orientowałam się, jak być powinno...

Szykując się do wyjścia z domu, zwykle zamykał się w sobie, mówił jeszcze mniej niż normalnie, zaczynał się spieszyć. Zdarzało się, że przez moment przyglądał mi się krytycznie, napotykając jednak moje zaczepne spojrzenie, czym prędzej wychodził do pracy. Zostawałam sama, myśląc jeszcze przez chwilę o przelotnym pocałunku, którym obdarzył mnie na pożegnanie. Często dopadał mnie



wtedy głęboki smutek, na szczęście umiałam sobie z nim radzić, bo już w dzieciństwie opracowałam bardzo prostą i skuteczną metodę „dobrych myśli”. Polegała ona na tym, że czując ogarniające mnie przygnębienie, wyszukiwałam sobie coś miłego i zaczynałam o tym intensywnie myśleć. Trwało to tak długo, aż po przykrym uczuciu nie było śladu. Cokolwiek by o tej metodzie sądzić, wyrzucanie z myśli negatywnych odczuć jest na pewno przyjemniejsze niż jakakolwiek próba ich zrozumienia.

Thomas inaczej zachowywał się, gdy byliśmy sami, a inaczej, gdy pojawiali się w naszym towarzystwie jacyś ludzie. Zauważyłam, że lubił przedstawiać mnie swoim nowym klientom, zabierać na jakieś nieformalne spotkania biznesowe (na szczęście zdarzało się to niezwykle rzadko), opowiadać o mnie swoim znajomym. Wystarczyło, że znaleźliśmy się wśród obcych, a już stawał się zazdrosny, i wcale tego nie ukrywał. Bez przerwy trzymał mnie za rękę, czego normalnie nigdy nie robił, i ścigał wzrokiem w drodze do toalety. Chwilami miałam wrażenie, że ta zazdrość sprawia mu przyjemność podobną do tej, jaką odczuwają inni, robiąc luksusowe zakupy. Pomijając tę ekstrawagancję, uważałam nasze współżycie za udane... w każdym razie nie dość dramatyczne, aby nie mogło uchodzić za normalne.

W gruncie rzeczy odpowiadało mi takie życie. Nie czułam się samotna, miałam prawie nieograniczoną wolność i w związku z tym dużo wolnego czasu tylko dla siebie.

Od dawna zdawałam sobie sprawę, że moją pasją jest pisanie, obserwowanie świata i ludzi, poznawanie tego, co stworzyli inni. Nareszcie mogłam czytać wszystkie te książki, których w Polsce nie było, a które miały pojawić się tam dopiero za jakieś dziesięć lat. Obok literatury odkryłam również wielkie malarstwo, wcześniej kojarzące mi się z nudnymi albumami o sztuce lub byle jakimi reprodukcjami. Godziny spędzane w galeriach z obrazami Gustava Klimta, Maksa Beckmana, Ernsta L. Kirchnera, Edvarda Muncha czy moich ulubionych surrealistów: René Magritte'a, Joana

Miró, Paula Klee i Paula Delvaux, przesączały się przeze mnie powoli, aby przeniknąć bez reszty moją świadomość. Tak rodziła się pasja. Szczególnie bliski stał się mi Delvaux, którego pełne smutku i samotności obrazy potrafiły zagnać mnie do mego wewnętrznego kościoła, gdzie podświadomość pokonuje barierę świadomości i wyzwala przejmujące niepokojem obrazy.

Stałam się bardziej aktywna na zajęciach, bo związek z Thomasem dodał mi pewności siebie i rozwiązał wiele rozterek związanych z pobytem w Niemczech. Nagle zaczęłam dostrzegać rzeczy, których wcześniej, ograniczona egzystencjalnym lękiem, nie widziałam. • Wyprostowałam się i odetchnęłam pełną piersią. Aż mi się wierzyć nie chciało, że to takie proste. Zaczęłam prowokować swoimi pracami zarówno wykładowców, jak i studentów. Na przykład reportażem zatytułowanym „Szczur z rodziny gastarbeiterów” - o ludziach „niczyich”, o pokoleniu dzieci gastarbeiterów, które za wszelką cenę chcą się zasymilować, stać się Niemcami. Aby to osiągnąć, wyrzekają się swoich korzeni, języka swoich przodków, religii, stają się groteskowi, starając się przypodobać mieszkańcom kraju, w którym się urodzili, i być bardziej niemieccy od samych Niemców. Po drugiej stronie tej rzeczywistości stoją Niemcy z ich arogancją w stosunku do obcokrajowców. Tekstem tym wywołałam burzliwą dyskusję. Nikt z prowadzących zajęcia ani ze studentów nie stanął po mojej stronie. Okazałam się niewdzięcznicą kęsającą rękę, która ją karmi.

Od tamtej pory jestem przekonana, że najbardziej fanatyczni międzynarodowi terroryści rekrutują się z byłych emigrantów. Oczywiście nie oznacza to, że bycie emigrantem jest równoznaczne z byciem terrorystą, ale gdyby odwrócić to twierdzenie, byłoby niezwykle trafne.

Wracając do mojej szkoły i studentów, prowokacja nie była w ich stylu, ich celem było dopasowanie się do istniejącej sytuacji na rynku pracy, znalezienie odpowiedniego miejsca w hierarchii społecznej. Oczywiście byli krytyczni wobec samych siebie, ale nikt

z zewnątrz nie miał prawa ich oceniać. Potrafiłam to zrozumieć i dlatego nie miałam o to do nikogo pretensji.

Musiałam eksperymentować, szukałam sposobu na wyrażenie swojego postrzegania świata. Pisałam coraz więcej - jeden temat z różnych perspektyw, zmieniałam styl pisanie, sposób interpretacji i przedstawienia faktów. A mimo to wydawało mi się, że kręcę się w miejscu i byłam coraz bardziej rozczarowana tym, co robię. To, co wcześniej było prawie nieosiągalnym szczytem marzeń, okazało się zbyt łatwym wyzwaniem. Próbowałam rozmawiać na ten temat z Cornelią, ale ona nie rozumiała, o czym w ogóle mówię. Na jej drodze nie stały żadne znaki zapytania, miała precyzyjnie wytyczone cele. Akurat zamierzała wyjść za mąż i zmienić pracę, czyli wejść do zarządu dużego wydawnictwa.

Przyszły mąż Corneli był redaktorem naczelnym znanego i poczytnego tygodnika dla intelektualistów i ludzi kultury. Jak na pewnego siebie czterdziestolatka, należącego do śmiertelnie poważnej elity intelektualnej Niemiec, zbyt nachalnie wyrażał podziw dla mojej kobiecości. Cornelia za każdym razem reagowała tak samo. Wznosiła w górę oczy i wzdychała, robiąc przy tym zabawne miny. Moja reakcja ograniczała się do lekkiego wzruszenia ramionami, w końcu nic mnie to nie obchodziło. Nie miałam zamiaru udowadniać, że jego niesmaczne uwagi na temat moich piersi czy łydek nie są niczym innym jak seksualnym molestowaniem i robią z niego seksistowskiego gamonia. Z całą pewnością by tego nie zrozumiał, tym bardziej że nawet nie próbował udawać, że choć w minimalnym stopniu słucha tego, co do niego mówię.

Któregoś dnia, mniej więcej na dwa tygodnie przed ich ślubem, zastałam go u Corneli w mieszkaniu. Byłyśmy umówione na babską kolację, wyjątkowo u niej, bo Cornelia nie znosiła pichcenia i siedzenia w swoim mieszkaniu. Tym razem miało być jednak inaczej, bo zaaferowana tłumaczyła mi, że czasy się zmieniają i teraz kto chce być modny, jada u siebie albo u przyjaciół. I sam gotuje. Tego wieczoru spodziewałam się wszystkiego, nawet pizzy

na telefon, ale nie jego. Gdy tylko przekroczyłam próg, bez zbędnych ceregieli, jak to pewnie widział w filmach akcji, przygniótł mnie do perfekcyjnie wytapetowanej w angielskie paseczki ściany i wysapał do ucha, że musi mnie zgwałcić. Na szczęście podniecony narzeczony mojej przyjaciółki był drobnym, szczupłym chłopcem i bez trudu udało mi się go odepchnąć, chociaż wyglądało to zapewne dość zabawnie, a jego głowa zadziwiająco długo tkwiła przyklejona do moich piersi. W zupełnym milczeniu trochę się jeszcze poszarpaliśmy, bo mój napastnik miał niewiarygodnie długie ręce, dużo dłuższe od moich, i z bezpiecznej dla niego odległości próbował rozerwać mi bluzkę. Zdążyłam stracić już trzy guziki, kiedy wreszcie dotarło do mnie, co się właściwie dzieje, i rozwścieczona, zamiast się wyrwać i uciec, rzuciłam się na niego z zamiarem dokonania morderstwa. Byłam silna, a w dodatku wpadłam w prawdziwy amok, więc redaktor naczelny właściwie rozpoznał sytuację, czyli brak jakichkolwiek szans na cokolwiek, co przypominałoby stosunek seksualny, i postanowił ratować się ucieczką, szukając schronienia w gościnnej toalecie.

- Ty skurwysynu, następnym razem cię zabiję! I wykastruję! Albo wykastruję, a potem zabiję - nie mogąc zdecydować się na kolejność, mocno kopnęłam w zamknięte drzwi. - Ty skurwysynu!

Chyba nie zdarzyło mi się jeszcze użyć takich słów, w każdym razie nie na głos, a tym bardziej nie na całe gardło. Czułam jednak, że tylko takie wyrażenia pasowały do sytuacji, w której się znalazłam, i trudno było mi z nich zrezygnować.

- *Fuck you*, ty polska zdziro! *Fuck* wszystkich zasranych Polaków! - odkrzyknął mi na pożegnanie bardzo kulturalny naczelny bardzo kulturalnego pisma.

Zatrząskując za sobą drzwi mieszkania Corneli, nie byłam w stanie ukryć triumfalnego uśmiechu na twarzy, jak zwycięski bokser schodzący z ringu, choć gdzieś tam w środku długo jeszcze czułam się upokorzona. Moje zwycięstwo było pozorne. Zdawałam sobie

bowiem sprawę, że żaden mężczyzna przy zdrowych zmysłach nie rzuciłby się na Cornelię, bez względu na to, jak bardzo by jej pożądał.

Z tych i innych powodów widok męża Cornelii przyprawiał mnie o mdłości, dlatego, początkowo częściej, z czasem na szczęście coraz rzadziej, w wolnych chwilach obmyślałam wyrafinowany plan zemsty, pocieszając się, że może nie jest jeszcze na nią za późno. Oczywiście o całym tym zdarzeniu opowiedziałam Thomasowi i Cornelii. Oboje zareagowali identycznie, to znaczy nie zareagowali w ogóle.

- Sprowokowałaś go, za każdym razem go prowokujesz — Cornelia zaśmiała się gorzko i pokiwała głową.

- Mówisz jak największy męski szowinista! Niby jak go sprowokowałam?

- Trzymajmy się faktów. Nie mogę mówić jak męski szowinista, bo jestem kobietą...

- Ale masz podwyższony poziom testosteronu!

- Nie mogę mówić jak męski szowinista, bo jestem kobietą. A sprowokowałaś go, godząc się na sam na sam z obcym mężczyzną w cudzym mieszkaniu.

- Skąd mogłam wiedzieć, że wyjechałaś, w końcu nie raczyłaś mnie powiadomić, że zamiast nakładać na talerze rozgotowane spaghetti, właśnie lądujesz na lotnisku w Amsterdamie.

- Huber - Cornelia, mówiąc o swoim narzeczonym, a później mężu, zawsze posługiwała się nazwiskiem - twierdzi, że wiedziałaś o mojej nieobecności...

- I dlatego musiał mnie zgwałcić.

- Ale cię nie zgwałcił.

- Nie zgwałcił, ale chciał to zrobić, to znaczy próbował to zrobić!

- Nie bądź naiwna, Huber nie musi gwałcić, u niego w redakcji kręcą się dziesiątki młodych pięknych dziewcząt, które tylko czekają, aby kiwnął na nie palcem za kilka zdań, które im opublikuje, albo za kilka zdań, które obieca im opublikować.

Na chwilę mnie zatkało. Że też o tym nie pomyślałam, po co ktoś taki jak Huber chciałby mnie gwałcić? W wyobraźni zobaczyłam te tabuny pięknych, chętnych dziewcząt, wyczekujących na długich redakcyjnych korytarzach na subtelny ruch palca należącego do pana redaktora naczelnego. Były gotowe zrobić dla niego wszystko, czemu by nie? Również zaspokoić go seksualnie - z prasy kobiecej, i nie tylko, wyniosłam przekonanie, że większość mężczyzn o niczym innym nie marzy, jak tylko o seksie oralnym albo analnym. Jeśli chodzi o to ostatnie, dałam sobie spokój, przynajmniej jeśli chodzi o wyobrażanie sobie Hubera z adeptkami sztuki dziennikarskiej w sytuacjach intymnych. Skądinąd w te na wskroś realistyczne wizje wkradły się wątpliwości, bo jakoś nie mogłam sobie przypomnieć, czy na przykład w naszej szkole widziałam choć jedną piękną dziewczynę. Ten argument nie miał jednak najmniejszego znaczenia.

- A może twój narzeczony lubi gwałcić, ulega seksualnej presji gwałtu?

- Nie żartuj, Huber?! Huber - obsesyjny gwałciciel? Boże, bądź chociaż raz poważna.

Na tym skończyła się nasza rozmowa. Cornelia naprawdę się tym nie przejęła, znałam ją już wystarczająco długo, aby mieć co do tego pewność.

Mój mąż przez dłuższą chwilę patrzył na mnie w osłupieniu. Nieczęsto się zdarza zobaczyć prawnika z wyrazem autentycznego zdumienia na twarzy. Po tym poznałam, że nie mogę liczyć na solidarność z jego strony, na solidarność z kobietą, której mówił, że ją kocha.

- Chcesz go zaskarżyć?

- ...?

- Takie rzeczy trudno udowodnić, to tylko na amerykańskich filmach obmacane sekretarki otrzymują w końcu satysfakcję prawną, przeliczoną na dolary.

- Aha.

Thomas obserwował mnie uważnie, pewnie w taki sposób patrzy na winnych, lecz za wszelką cenę pragnących wykazać swą niewinność, klientów. Nie miałam zamiaru unikać jego wzroku, choć zaczęłam żałować, że rozpoczęłam tę rozmowę.

- Sama wiesz, jak często wszystko wyolbrzymiasz, fantazjujesz, nigdy nie wiadomo, kiedy żartujesz, a kiedy mówisz...

- Tak, tak, wiem, to pewnie przez ten mój polski akcent.

- Wcale nie masz akcentu, a jeśli masz, to nikt nie musi od razu wiedzieć, że to akcent polski...

- A co to ma do rzeczy polski czy niepolski...

- Nic, właśnie o to chodzi, że nic, a tobie ciągle się wydaje, że ma, że wszystko, co cię spotyka, dobre lub złe, jest pochodną faktu, że mówisz z polskim akcentem!

- Czyli że co? Twierdzisz, że mam polski akcent?

Ogarnęła mnie rozpacz, oczywiście nie z powodu polskiego akcentu ani nie z powodu próby gwałtu, ale z powodu niemożności porozumienia się z własnym mężem.

Cała ta historia pozostała bez echa, nie licząc nic niedających rozmów na ten temat z Cornelią i Thomasem. Za to ja zyskałam dobrze wychowanego, o nienaganych manierach i wyrafinowanym intelekcie wroga. Czułam, że to nobilituje. Biedną, w wielu dziedzinach niedouczonej emigrantkę stamtąd.

Ślub Corneli i Hubera odbył się w terminie, późną jesienią, w gronie najbliższych przyjaciół. Na przyjęciu weselnym, zorganizowanym w stylizowanej bawarskiej restauracji - oryginalna bawarska knajpa byłaby w złym stylu - pojawiła się znaczna część elity kulturalnej miasta. Wcale nie miałam ochoty uczestniczyć w tej imprezie, mając w pamięci jeszcze świeże, nie najlepsze wrażenia z własnego ślubu, ale z drugiej strony byłam ciekawa, jak odnajduje siebie w tej nowej roli Cornelia. Poszłam z Maksymem, bo Thomas musiał gdzieś wyjechać. Od pierwszej chwili czułam się wyobcowana

w tym tłumie ludzi gadających bez przerwy o sobie. I byłam wdzięczna Maksowi, że po usilnych namowach w końcu wybrał się ze mną na przyjęcie. Tego wieczoru był najprzystojniejszym z gości

- byłam z niego dumna, podobało mi się to, że jest tak młody, młodszy ode mnie. Pozorna dominacja dawała mi niezwykle komfort psychiczny - czułam się pewna siebie i ogarnął mnie błogi spokój.

Tego wieczoru stało się to, co już od dawna było nieuchronne

- z pewną ulgą odkryłam, albo inaczej, uświadomiłam sobie, że jestem w Maksie zakochana. To odkrycie było dla mnie jak prezent pod choinką - jeszcze nie wiedziałam, co w sobie kryje, ale już zafascynowana byłam jego pięknym opakowaniem. Tańczyliśmy mocniej przytuleni, niż to było konieczne, oboje wiedząc już, że jest to początek naszej przygody.

W prezencie ślubnym przyniosłam Cornelii tekst, który specjalnie dla niej i o niej napisałam - *Portret prawie doskonały. Dla Cornelii od Kornelii*. Miałam zwyczaj nieustannego pisania wszędzie i na wszystkim, co akurat miałam pod ręką i co nadawało się do zapisania - notowałam na skrawkach gazet, pudełkach od zapalek, opakowaniach po czekoladkach czy na telefonicznych rachunkach. Tekst podarowany Cornelii składał się z zapisków na jej temat, jakie udało mi się w ciągu czterech lat naszej znajomości zebrać i przechować. Całość dałam do druku i oprawy w małym i ekskluzywnym studiu poligraficznym, tak aby wyglądało to jak prawdziwa, elegancka książeczka. Cornelia była zachwycona prezentem i tak bardzo ciekawa, co o niej napisałam, że od razu zaczęła ją czytać. Po chwili na jej zwykle bladej twarzy pojawiły się ciemne wypieki i mdły uśmieszek. Domyśliłam się, że nie wróży to nic dobrego. Pożałowałam trochę, że wcześniej nie zastanawiałam się nad rym, jak moja jedyna bliska koleżanka zareaguje na te spontaniczne, osobiste notatki. Zresztą wcale nie dla niej przeznaczone.

Patrząc na pochłoniętą czytaniem Cornelie, uświadomiłam sobie, że w moim codziennym życiu w ogóle nie ma kobiet. Nagle zatęskniłam za mamą, za siostrą Luizą i jej córeczką Marą. Po-



czułam w sercu dziwny niepokój, niespodziewany i całkiem nowy. Gwałtownie powróciło wspomnienie ostatniej rozmowy z Luizą. Mamę z Marą zostawiłyśmy na ławce w hali odlotów i - jak to mają w zwyczaju małe dziewczynki - poszłyśmy razem do toalety. Dla Luizy był to tylko pretekst, bo koniecznie chciała porozmawiać ze mną na osobności.

- Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale martwię się o Marę... ona jest taka inna.

- Może ci się tylko tak wydaje, w końcu żadna matka nie jest obiektywna - bardzo starałam się okazać zainteresowanie, ale tak naprawdę rozmowy na temat dzieci wydawały mi się śmiertelnie nudne i niewiele potrafiłam z siebie wykrzesać. - Dzieci rosną, no i zmieniają się, na pewno będzie z nią coraz lepiej, więc po co martwić się na zapas?

- Chyba źle mnie zrozumiałaś, martwię się o nią, bo to dziecko jest nieprzeciętnie wrażliwe i inteligentne...

Nagle Luiza urwała, dostrzegłszy zapewne w moim spojrzeniu ten cień kpiny wywołanej przez myśl, że chyba wszystkie matki bez wyjątku uważają swoje dzieci za geniuszy.

- Nie powinnaś kpić sobie z tego, co mówię, Mara zastanawia się nad sprawami, które dla większości ludzi pozostaną do końca życia tajemnicą...

- Na przykład?

- Na przykład powiedziała mi niedawno, że znalazła dowód na to, że nasz mózg, nasza świadomość ma decydujący wpływ na nasze pozornie obiektywne doznania.

- Ale konkretnie, co to konkretnie znaczy, nie wydaje ci się, że to takie trochę... wydumane?

- Teraz nie ma czasu na dłuższe rozmowy, ale co do tego jednego przykładu... wiesz, Mara przez kilkanaście dni brała na przemian zimny i gorący prysznic, aż w końcu zauważyła, że jak tylko pomyśli: „A teraz puszczę na moje ciało zimną wodę”, jeszcze nim to zrobi, nim zimna woda polecą na jej ciepłą skórę, zrozumiałaś?

dostaje gęziej skórki i dreszczy. Mara próbowała to sobie wytłumaczyć, powiedziała do mnie: „Mamo, to nasz mózg ma wpływ na to, co odczuwamy, a nie świat, który nas otacza”. Pamiętaj, że ona ma dopiero siedem lat.

- Aha. Muszę przemyśleć ten problem z gorącą i zimną wodą. A poza tym?

- Co poza tym? Nie rozumiem - Luiza nerwowo spojrzała na zegarek i tak nagle zmieniła temat naszej rozmowy, że w pierwszej chwili nie zrozumiałam, o czym mówi. - Dobrze zrobiłaś, że nie zaprosiłaś na ślub ojca, i dobrze że przez tyle lat nie odezwałaś się do niego ani słowem... Miałaś wtedy siedem lat, prawda, tak jak Mara?

Spokojnie czekałam, co nastąpi dalej, w duchu modląc się, aby siostra się nie rozpląkała. Robiła to za każdym razem, kiedy pojawiał się temat ojca.

- Myślę, że to przez niego wszystkie cztery nosimy jakieś przekłete piętno i nie potrafimy być szczęśliwe. Kiedy patrzę na ciebie, na mamę i nawet na Marę, wiem to z całą pewnością. On nas skrzywdził z premedytacją! Jesteśmy emocjonalnymi kalekami...

- Mów za siebie - przerwałam jej brutalnie, bo nie mogłam i nie chciałam tego słuchać, tym bardziej że usta Luizy wykrzywiły się w podkówkę, jak u małego dziecka, i bałam się, że za chwilę naprawdę zaczniesz płakać.

Stałyśmy oparte o wyłożoną kafelkami ścianę damskiej toalety, ściągając na siebie przelotne spojrzenia wchodzących i wychodzących kobiet.

- Przepraszam cię, Kornelciu, ale ostatnio jestem okropnie rozdrażniona, ciągle mi się śni, że mój samolot wpada do morza - wyszeptała nieco ochrypłym głosem, z oczami wbitymi nieruchomo w jakiś niewidzialny punkt na jasnej ścianie.

- Ale wiesz, to nie jest taki zwykły sen, gdyby tak było, nie mówiłabym ci o tym... to jest tak, jakbym naprawdę, ciągle od nowa, widziała swoją śmierć, ze szczegółami, zawsze tymi samy-

mi... to jest tak, jakby ktoś chciał ze mnie zażartować i pokazać mi to, czego inni ludzie nie są w stanie sobie wyobrazić - własną śmierć.

- Daj spokój z tymi snami, Lulu. Pewnie za dużo łątasz. W każdym razie dzisiaj na pewno twój sen się nie spełni, bo wasz samolot nie leci nad morzem - zażartowałam głupio, aby ukryć ogarniający mnie niepokój. - Oczywiście, że masz rację, Lulu, wszystkie wlecemy za sobą jakieś gówna z dzieciństwa, ale patrząc na nasze życie, tak z boku, to wcale nam się źle nie wiedzie... - nagle przestałam wygadywać te bzdury, bo mój głos zabrzmiał obco i fałszywie. Po co kłamać, skoro nigdy tego nie robiłam. W ten sposób nie mogłam pomóc ani Luizie, ani sobie, ani jej córce, ani naszej matce.

I na tym skończyła się nasza rozmowa, mimo że obie rozbudziłyśmy w sobie potrzebę bliskości.

Do końca życia będę żałować, że w tamtym momencie nie przytuliłam swojej siostry, mocno, tak aby poczuć ciepło jej ciała, poczuć bicie serca. I tak trwać, może do końca świata, aż w jej oczach pojawi się spokój w miejsce tej otchłani lęku i samotności. Tylko że dojmujący żal pojawił się za późno... I nic nie mogło przywrócić nadziei, nawet przeżywane wciąż na nowo inne zakończenie: obejmuję i przytulam Luizę. To z uporem powracające wyobrażenie rodziło się gdzieś w głębi brzucha, za każdym razem mając, że stanie się faktem i przeszłość się odwróci.

Polacy mówią w takich sytuacjach, że chce się zawrócić Wisłę kijem, byłam pewna, że gdyby tylko o to chodziło, zawróciłabym nie tylko Wisłę, zawróciłabym każdą rzekę, ale nie życie...

Zawsze wydawało mi się, że to ja powinnam wyznaczać kształt i granice każdej znajomości, a jeśli okazywało się to niemożliwe albo mało interesujące, wycofywać się, aby znów czerpać przyjemność z bycia z samą sobą.

Większość gości weselnych była wyraźnie zaskoczona zachowaniem Cornellii, a już najbardziej jej mąż Huber. Kilka razy podchodził do niej coś tam, najpierw łagodnie, a potem z nieukrywanym rozdrażnieniem, szeptał, a nawet próbował zamknąć książeczkę. Jednak Cornelia nie wypuszczała jej z ręki i natychmiast wracała do przerwanej lektury. Książeczkę odłożyła, uprzednio dokładnie owinąwszy ją w papier, dopiero po przeczytaniu ostatniej strony. Po czym, jakby nigdy nic promiennie uśmiechnęła się do gości siedzących przy stole, ale czułam, że myślami jest nadal przy moich notatkach. Wyraźnie unikała mojego spojrzenia, aż w końcu zaczęłam zachodzić w głowę, co też mogło ją tak poruszyć. Chwilę rozmawiałam o tym z Maksem, ale on, aby mnie uspokoić, stwierdził po prostu, że z ludźmi to nigdy nic nie wiadomo, a już szczególnie z tymi przeintelektualizowanymi osobnikami. Za kogoś takiego właśnie uważał Cornelię, podobnie zresztą jak mnie.

Z Maksem wszystko wydawało się być proste i przebywanie z nim spowodowało, że znowu czułam się bardzo młoda i całkowicie wolna. Resztę wieczoru, a właściwie nocy, spędziłam z moim chłopakiem, wólcząc się po mieście, a nad ranem kochaliśmy się na ławce w parku. Właściwie mogłabym powiedzieć, że dopiero od tej ławki wszystko się zaczęło, wszystko, co miało związek z Maksem.

Do pustego mieszkania wróciłam o siódmej rano, upojona nowym uczuciem i zachwycona faktem, że Olga, gosposia mojego męża, jeszcze nie przyszła do pracy. Dzięki temu miałam chwilkę samotności, aby wszystko jeszcze raz przeżyć, a potem przemyśleć. Nagle ogarnęły mnie wątpliwości, a w ślad za nimi przytłaczające podejrzenie, które zaparło mi dech: jestem taka sama jak ojciec? Sama myśl o tym, że mogłoby to okazać się prawdą, nappełniła mnie takim samym przerażeniem jak świadomość, że kiedyś muszę umrzeć. W bezsilnej próbie odpędzenia od siebie tej myśli spróbo-

wałam szybko przypomnieć sobie kogoś, kto zdradzał notorycznie, mężczyznę albo kobietę, postać realną lub tylko z filmu czy książki bądź z jakiejś zasłyszanej historii. Niestety, takich przypadków nie znalazłam wiele, więc nie bardzo miałam w czym wybierać. Doszłam do wniosku, że zdrada egzystuje w naszej mentalności w zupełnym oderwaniu od prawdziwego życia. Idea zdrady jest wszechobecna, ale tylko w teoretycznym wymiarze. „Zdradziłeś mnie?” - pyta żona męża. „Powiedz, że mnie nigdy nie zdradzisz” - prosi chłopak swoją dziewczynę. „Zdradził nas tata” - mówi mała dziewczynka do starszej siostry, trochę większej dziewczynki.

Tak, znałam tylko jedną jedyną osobę, która zdradzała notorycznie. I tą osobą nie byłam ja.

W końcu doszłam do przekonania, że mam prawo do życia z dwoma mężczyznami, nawet jeśli jeden z nich nic o tym nie wie. Kochałam ich jednakowo, choć każdego z nich z innego powodu, dlatego nie stanowili dla siebie konkurencji. Postanowiłam opowiedzieć Thomasowi o moim związku z Maksem, ale dopiero w momencie, gdy mnie o to zapyta. Zapyta o zdradę. Nie wcześniej, bo na razie nie potrafiłam zrezygnować z żadnego z nich, a trywializując całą tę historię - obaj uzupełniali się nawzajem, wspólnie byli moim mężczyzną doskonałym.

Niepostrzeżenie zamieniłam się w kogoś, kto unika tego, co większość ludzi nazywa prawidłową oceną rzeczywistości. Problem polegał jednak na tym, że nigdy tak do końca nie uda się zapomnieć bezgrzesznego raję i odgrodzić się od żalu za utraconą niewinnością.

Szkolę ukończyłam z wyróżnieniem i upomnieniem, abym w swej pracy nie kreowała własnej wizji świata i pozostała wierna dziennikarskiej rzetelności.

- Dziennikarz powinien pokazywać świat takim, jakim jest, a nie zmieniać jego obraz według swoich potrzeb.

Tak mniej więcej brzmiała rada dyrektora szkoły który zegnając się, podkreślił swoją życzliwość dla mnie bolesnym uściskiem dłoni. Znowu byłam bez pracy, obawiając się, że może to potrwać dłuższy czas. Miałam obsesję na punkcie bezrobocia, wydawało mi się, że tylko ten człowiek się liczy, który ma stałe zajęcie, choć niekoniecznie stałe dochody. Nagle zaczęłam żałować swoich, nieprzysparzających mi popularności, występów w szkole, bo w ten sposób zyskałam w środowisku opinię osoby nieprzewidywalnej, skrajnej, a może nawet niezrównoważonej. A na tym rynku było zapotrzebowanie na precyzyjnych rzemieślników. W panice, że w tej sytuacji kontakty ze szkoły na nic mi się nie zdadzą, poprosiłam Thomasa o pomoc w znalezieniu jakiegoś zajęcia. Nie komentując tego, obiecał, że mi pomoże, i pomógł. W kilka dni później otrzymałam pisemne zaproszenie na rozmowę kwalifikacyjną do jednego z najbardziej poczytnych brukowców w Niemczech. Długość tekstu w tego rodzaju dziennikach wahała się w granicach od czterech do dwunastu zdań. W wydaniu weekendowym mógł zdarzyć się artykuł

o kilka zdań dłuższy.

I choć miałam te i inne wątpliwości, nadzieja na stałą pracę ze składką emerytalną dodała mi skrzydeł.

Redaktor naczelny działu miejskiego, w którym miałam być zatrudniona, doktor Josef Rosenheimer, od razu przypadł mi do gustu. Z wyglądu przypominał polskiego majstra budowlanego - niewysoki, brzuchaty, z sumiastym wąsem, który, w przypadku mojego przyszłego szefa, nie służył jednak temu, żeby zakamufłować ubytki w uzębieniu. Cerę miał niezdrową, sinożółtą, twarz usianą maleńkimi bliznami, chyba po ospie wietrznej. Przy tych wszystkich niedostatkach urody trudno było nie zauważyć jego pięknych, zadbanych dłoni, w jakie w myśl zasady dopełniania się przeciwieństw wyposażała go natura. Ubrany był, jak większość zdeklarowanych Bawarczyków, w skórzaną ludową marynarkę bawarską ze stójką

i guzikami z poroża jakiegoś dzikiego zwierzęcia. Miał jednak rzadko spotykaną u Niemców, szczególnie tych na stanowiskach,

cechę: lubił żartować. W tonie jego głosu odczytać można było łagodną ironię i dobroduszny sarkazm.

Po krótkiej, przyjemnej rozmowie zgodził się, abym dla niego pracowała. Oczywiście przez pierwsze trzy miesiące bez stałej umowy o pracę, czyli bez składek na emeryturę, ale w tym momencie liczyło się przede wszystkim to, że dostałam własne biurko.

Mój entuzjazm nieco przygasł, gdy dowiedziałam się, że będę pracowała w dziale wypadków. Współpracując z miejscową policją i przydzielonym mi fotoreporterem, miałam pisać dramatyczne historie o zmarłych samobójczą śmiercią bądź zamordowanych współobywatelach. Jednak cały smaczek pracy polegał na tym, że nieboszczyk powinien być prawdziwy, historyjka zaś prawie w całości zmyślona. Oczywiście, nie każdy denat nadawał się jako temat do mojej gazety - miałam polować przede wszystkim na nieboszczyków żyjących samotnie, bez bliskiej rodziny, która mogłaby zaskarżyć mego pracodawcę za wypisywanie bzdur i szarganie dobrego imienia zmarłego.

- Praca ta wymaga finezji i taktu, reszta powinna być nocnym koszmarem naszych czytelników - tak brzmiała pierwsza dobra rada mojego szefa, przypieczętowana rubasznym wybuchem śmiechu.

- Domyślam się, że moim również?

- Dziecko, z twoją urodą i tym niewinnym wdziękiem robiłbym to, co do mnie należy, a noce zostawiłbym wyłącznie do użytku prywatnego, te nasze małe koszmarki nie są przeznaczone dla ciebie, ty masz je tylko puścić w świat jak nieznośne dzieciaki i o nich zapomnieć. Zrozumieliśmy się? - tak brzmiała druga rada mojego szefa, podkreślona tym razem poważnym kiwnięciem głowy.

- Chyba tak.

- Gdybyś miała jakieś problemy z zaśnięciem albo z czymś innym, to wal do mnie, drzwi są zawsze otwarte. Zauważyłaś to?

- Zauważyłam, choć pomyślałam, że...

- Ze co? Dobrze się zastanów, co chcesz powiedzieć.

- ... pomyślałam sobie, że jest pan szefem, który wszędzie chce wetknąć swoje trzy grosze, a otwarte drzwi pomagają podglądać sytuację w dziale - powiedziałam to, bo nie chciałam się przyznać, jak bardzo go od pierwszej chwili polubiłam i jak uszczęśliwił mnie fakt, iż mogłam dla niego pracować. Z niejasnych dla mnie powodów byłam gotowa zrobić dla niego wszystko.

- No, nieźle, chociaż nie do końca. Te półotwarte drzwi to znak, że czekam na awans. Pewnie go zaraz dostanę, jak tylko znajdę godnego następcę. Musisz się starać, ślicznotko, może to ty mnie wyciągniesz z tej nory, byłoby nieźle, w historii tego dziennika zapamiętano by nas jako „Piękną i bestię”.

- Wezmę to pod uwagę.

Popatrzył na mnie z kwaśnym uśmiechem, a następnie zerknął przez uchylone drzwi w głąb korytarza.

- Przykro mi, ale muszę cię już wysłać w świat, idź więc i rozgość się w nowym miejscu pracy.

Pomyślałam sobie, że jak na początek nie mogłam lepiej trafić i w euforycznym nastroju poszłam szukać przydzielonego mi biurka i fotoreportera.

Moje miejsce pracy znajdowało się w olbrzymim, wypełnionym przytłumionym gwarem pomieszczeniu, wśród kilkudziesięciu innych biurków, tyle że tuż przy wejściu do męskiej toalety. Ale nawet to nie było w stanie zmącić mojego szczęścia, w końcu miałam pracować głównie poza redakcją, bo właśnie tam, w terenie, jest miejsce dobrego reportera, a ja koniecznie chciałam być tym dobrym. Po raz pierwszy w życiu miałam ochotę dać z siebie wszystko i - żeby było śmieszniej - chciałam to robić przede wszystkim ze względu na szacunek, jaki miałam dla tego małego, brzuchatego Bawarczyka. To było dla mnie zupełnie nowe doświadczenie - miłość od pierwszego wejrzenia. Miłość córki do ojca albo podwładnej do szefa.

Fotografa, z którym miałam pracować, znalazłam w zakładowej stołówce, w miejscu, które - jak się później okazało - upodobał



sobie szczególnie, bo starał się dobrze żyć z paniami bufetowymi, odkładającymi smaczne kąski dla jego owczarka, oczywiście niemiec-kiego, wstrętnego, olbrzymiego psa, który na powitanie wylazł spod stolika i bez żadnych ceregieli próbował włożyć swój wielki łeb pod moją spódnicę. Przy czym robił to tak natarczywie, że o mały włos mnie nie przewrócił. Frekwencja w stołówce była nie najgorsza, w końcu pora lunchu to w Niemczech czas święty, choć kojarzy się z taką rutyną, że każdy, nawet kompletny nowicjusz w zawodzie, robi znużoną minę na samą myśl o obiedzie. Oczywiście, odrobina rozrywki ożywiającej monotonię spożywanego posiłku zawsze jest mile widziana. Mogłam to odczytać w oczach przyglądających mi się dziennikarzy, którzy, przeżuając w skupieniu góry zieleniny, wyraźnie czekali na ucieszny finał. W porę usiadłam, ratując tym samym, jak mi się wydawało, mój image poważnej, profesjonalnej dziennikarki, bo skończyło się tylko na niewyraźnych uśmiechach niektórych bliżej siedzących pracowników gazety. Wyobrażając sobie to, co mogłoby się zdarzyć, z miejsca znienawidziłam psa i jego właściciela, choć w duchu musiałam przyznać, że Tom - tak miał na imię przydzielony mi fotograf - był niezwykle przystojnym i pociągającym mężczyzną. Wszystko u niego wydawało się być złotawe - piękne, żywe oczy miały odcień złotego miodu, gęste, spadające na twarz włosy połyskiwały złotymi refleksami, nawet jego skóra miała odcień zmieszanego z miedzią złota.

Co było jeszcze u Toma złote, nie udało mi się dostrzec, bo z niechęcią zauważyłam, że rozwalony na krześle, spokojnie, bez jakiegokolwiek zażenowania taksuje mnie, centymetr po centymetrze, w sposób typowy dla niepoprawnego podrywacza. Przyzwyczajona do natrętnych męskich spojrzeń, nie reagowałam, w końcu jednak, speszona, wbiłam wzrok w podrapany blat stolika.

Właściwie nie było nic do omówienia poza wymianą numerów telefonu, na wypadek gdyby ktoś powiesił się po godzinach pracy.

- Wiesz, że nie chodzi nam o pierwszego lepszego nieboszczyka, nam chodzi tylko o takich, których bez naruszania prawa możemy

wykorzystać - Tom podkreślił to, o czym mówił już Rosenheimer, i uśmiechnął się w sposób zupełnie niepasujący do tematu. Szybko zorientowałam się, że ten ciepły, miły uśmiech właściwie nie schodził mu z twarzy nawet wtedy, gdy fotografował najbardziej przerażających nieboszczyków. Mało tego, wszyscy wokół ulegali jego urokowi i prawie automatycznie zaczęli się tak samo głupio uśmiechać, oczywiście oprócz tych zmarłych biedaków.

Umówiliśmy się na następny dzień w centralnym komisariacie policji, w pomieszczeniach przeznaczonych dla prasy, gdzie Tom na konkretnych przykładach miał mnie wprowadzić w tajniki naszej pracy.

Pożegnałam się z moim nowym kolegą i mszyłam ku wyjściu, czując jego wzrok na moich plecach, nogach, pośladkach, karku. No i nie tylko jego, miałam świadomość, że w ten sam sposób patrzy na mnie jeszcze co najmniej kilkanaście osób. Byłam już prawie w połowie drogi do drzwi, gdy nagle usłyszałam za sobą głośnie wołanie Toma:

- Z której to głuszy ten zabawny akcent, pani dziennikarko?

Nie zapadłam się pod ziemię, bo byłam w stanie powoli się odwrócić i z najpiękniejszym uśmiechem, na jaki mnie było stać, spokojnym głosem odpowiedzieć:

- Nie wiesz? Z tej samej co ty, Tom.

W Niemczech zawsze istnieje duże prawdopodobieństwo, że osoba uchodząca za rodowitego Niemca ma w najbliższej rodzinie kogoś z Polski, Rumunii, Słowacji czy innego kraju wschodnioeuropejskiego. O tym się nie mówi, podobnie jak nie mówi się o przebytych chorobach narządów płciowych czy innych równie wstydlivych przypadłościach.

Kiedy odwróciłam się ku wyjściu, usłyszałam za plecami radosny śmiech mojego kolegi specjalizującego się w sztuce sprzedawania nieboszczyków.

Nie po raz pierwszy z zażenowaniem pomyślałam o tym, jak wyglądam. Wyobraziłam sobie, w jaki sposób widzą mnie inni, choćby ci ludzie z redakcyjnej stołówki. Dość wysoka jasna blondynka, z dużym biustem, z okrągłym tyłkiem i zgrabnymi nogami, pochodząca

z biednej Polski, z dużo starszym od siebie mężem prawnikiem - zgoda, o moim mężu nie wszyscy musieli wiedzieć - chcąc zrobić karierę jako dziennikarka. Zrobiło mi się gorąco, szczególnie że wyobraziłam sobie, jak by zareagowali, gdyby to Cornelia przeszła przez tę samą stołówkę - nieduża, smukła, o chłopięcej figurze i fryzurze - i nawet gdyby nie otworzyła buzi, każdy dostrzegłby jej solidne zachodnie wychowanie i wykształcenie. Nikt nie uśmiechałby się z ironią na myśl o licznych łózkach czekających na nią przed każdym szczeblem zawodowej kariery. Obiecałam sobie, że nigdy więcej nie założę butów na wysokim obcasie, a w dodatku o szpiczastym nosku, i że nigdy więcej nie użyję żadnego kolorowego kosmetyku. Włosy proste, twarz bez makijażu, buty płaskie, ubranie luźne, raczej sportowe, paznokcie krótkie, niepoła-kierowane.

Resztę popołudnia spędziłam na drobiazgowym analizowaniu mojej sytuacji. Robiłam to podczas kompletowania nowej garderoby do pracy, bo postanowiłam nosić rzeczy, które manifestowałyby kompletny brak kokieterii z mojej strony, co wcale nie okazało się takie łatwe. No więc tak: albo mogłam wyglądać jak własna niechlujna ciotka, albo jak zakompleksiona nastolatka, albo jak zestresowana i umęczona matka, która swym wyglądem chce wszystkim udowodnić, że rodzenie to jej pasja, mogłam jeszcze wbić się w jakiś elegancki, stylizowany na męski garnitur, kostium bizneswoman... ale ta ostatnia wersja, chyba najlepsza z uwagi na rodzaj mojego zajęcia, najmniej mi się podobała. Przeglądając tysiące wieszaków i półek z ubraniami w kolejnych domach towarowych w centrum handlowym Monachium, zdawałam sobie oczywiście sprawę z tego, że moje rozterki są tylko próbą uniknięcia konfrontacji z zaistniałymi faktami. A fakty te, jakkolwiek by na nie popatrzyć, natrętnie psuły mi dobry nastrój, który miałam z powodu otrzymania pracy. Pisanie o nieboszczykach, i to na dodatek

pisanie zmyślonych historii, nie zapowiadało się najlepiej. Bardzo chciałam pracować i wiedziałam, że za wszelką cenę muszę sobie z tym jakoś poradzić. Z drugiej jednak strony ogarniała mnie panika na myśl, że mam pisać o tych nieżyjących biedakach, i to jeszcze wierutne bzdury. W końcu z tego biadolenia zaczęłam się nawet roztkliwiać, bo niby jak tu budować swoją przyszłość, czyli coś na kształt nowego życia, wcielając się w hienę cmentarną, niemodną już zresztą, albo upodabniać się do tych podejrzanych typów, ze zbolałą miną sprzedających po restauracjach kwiaty, podobno skradzione z cmentarza?

Śmiertelnie zmęczona przywlokłam się do domu wczesnym wieczorem, taszcząc ze sobą lalka toreb z ubraniami, i uświadomiłam sobie, że po raz pierwszy zapłaciłam za coś kartą kredytową otrzymaną od Thomasa. Ubrania, wszystkie bez wyjątku, były w czarnym kolorze, z czego zdałam sobie sprawę dopiero po wyłożeniu ich na łóżku.

Tak bardzo pochłonięta byłam swoimi myślami, że całkiem zapomniałam o zaplanowanej przed kilkoma dniami przez Thomasa wspólnej kolacji w domu. Jak dotąd nigdy mi się to nie zdarzyło, tym bardziej że ostatnio coraz rzadziej przebywaliśmy razem i zaczynałam odczuwać coś w rodzaju tęsknoty za mężem. Myjąc w pośpiechu sałatę i obierając tony czosnku, za którym Thomas przepadał, pomyślałam sobie, że to niemożliwe, aby mój mąż był tak powierzchowny, jak mi się wydawało, i że byłoby dobrze, gdybym w końcu spróbowała tchnąć w nasz związek więcej życia, więcej energii. Nie miałam jednak pojęcia, w czym miałyby się to wyrażać? Czy większe zaangażowanie z mojej strony miałyby polegać na zmuszeniu Thomasa do spędzania ze mną więcej czasu? Doszłam do wniosku, że bez jakichś zmian niepodobna tak żyć dalej i że przy najbliższej okazji muszę zastanowić się głębiej nad Thomasem i naszym małżeństwem. Z Makssem też widywałam się ostatnio bardzo rzadko, mimo że dzwonił do mnie prawie codziennie. Odmawiałam, bo ciągle byłam zajęta: koniec szkoły, pisanie podań z prośbą o pracę, jakieś zaległe lektury albo zupełnie coś innego, nic konkretnego, ale na tyle ważnego, żeby nie mieć czasu,

by się z nim spotkać. Do głowy by mi nie przyszło, że aż tak się od nich obu oddaliłam, bo wbrew temu, co mi się wcześniej wydawało, czas spędzany oddzielnie, zamiast nas łączyć, stwarzał między nami dystans tak duży, że aż nie do pokonania. To pewnie przez brak wspólnie przeżytych godzin nie interesowało mnie, gdzie mój mąż i mój kochanek się podziewają, co robią, czy mnie jeszcze kochają. A Cornelia? Z nią też widywałam się coraz rzadziej, nawet nie mogłam sobie przypomnieć, o czym rozmawialiśmy na ostatnim czy przedostatnim spotkaniu.

Kiedy myje się w pośpiechu sałatę i obiera tony czosnku (jak już wspomniałam, Thomas uwielbiał czosnek i nie dodawał go chyba tylko do słodkich deserów), można albo całkowicie się wyłączyć, albo myśleć o sprawach fundamentalnych. Ja wybrałam to drugie i wtedy w mojej głowie pojawiła się jeszcze nie do końca sprecyzowana myśl, że życie bez miłości nie ma większego sensu. Jakkolwiek z tym stwierdzeniem spotkałam się już wielokrotnie, to dopiero teraz nieoczekiwanie nabrało ono w moim życiu treści, zaczęło coś znaczyć, chociaż jeszcze nie bardzo wiedziałam co.

Nasza kolacja składała się z resztek: resztki wędzonego dzikiego łososia z Irlandii - musiał być dziki, ludzie, których znałam, nie jedli łososi hodowlanych, bo podobno były karmione mączką z padłych zwierząt - oraz resztek oryginalnej szynki parmeńskiej, kupowanej regularnie u Włocha naprzeciwko. Sprzedawca skwapliwie wykorzystywał skłonność Niemców do włoskiej kultury i do klientów mówił prawie wyłącznie po włosku, choć świetnie znał niemiecki, bo przypadkowo słyszałam, jak trajkotał w języku Goethego przez telefon. Stawał się Włochem po to, aby podkreślić włoskość sprzedawanych wiktuałów i uzasadnić nieprzyzwoicie wysokie ceny, które mu wybaczałam, bo mówił do mnie „bella Kornelia”.

Poza tym żadna kolacja nie mogła obyć się bez sałaty, tym razem była to roszonek, przy której trzeba spędzić pół życia, żeby ją

umyc, i pasty z awokado, czosnku i koziego twarożku. Do tego oczywiście bagietka i butelka wina, zawsze świeżo otwarta - bo wyjątkowo resztek wina z poprzedniego dnia nie piliśmy.

Thomas teoretycznie jadł wszystko, co postawiłam na stole, gdyż pozbył się już chyba wszelkich złudzeń i wiedział, że do gotowania nie mam ani serca, ani zapachu. I dlatego jedliśmy to, co proponowały luksusowe, błyszczące magazyny dla młodych kobiet, chcących w kuchni tak samo błyszczeć jak papier, na którym drukowano te modne, zdrowe, wyrafinowane i zarazem proste przepisy kulinarne, wymagające wyłącznie drogich śródziemnomorskich lub egzotycznych składników.

Tego wieczoru Thomas był w znakomitym humorze, choć nie uszło mojej uwagi, że wokół jego zmęczonych oczu rysowały się wyraźniej drobne zmarszczki, a w wieczornym zaroście pojawiło się więcej niż do tej pory siwizny. Swoją drogą trochę mnie to zdziwiło, w końcu większość czasu spędzał na polu golfowym z klientami i prawie codziennie chodził do salonu odnowy biologicznej, gdzie regularnie korzystał z usług kosmetyczki, dokładniej mówiąc kosmetyka, młodego mężczyzny o podobno cudownych dłoniach. Nigdy nie lubiłam zbyt długo roztrząsać wątpliwości, więc szybko doszłam do wniosku, że to jednak stres w pracy tak obciąża mojego męża. Takie wytłumaczenie nie ma w sobie nic przygnębiającego, jest niemal neutralne w swojej wymowie, pewnie dlatego, że w dzisiejszym świecie pojęcie stresu zdewaluowało się na dobre i podobnie jak aspiryna ma wygodne, bo uniwersalne zastosowanie.

Właśnie chciałam mu opowiedzieć o mojej pracy z nieboszczykami, gdy delikatnie głaszcząc mnie po dłoni, z przepraszającym uśmiechem oświadczył:

- Jadę do Stanów na jakiś czas. Sam. Zresztą ty i tak nie mogłabyś pojechać, Rosenheimer dzwonił do mnie i mówił, że dostałaś pracę. Jakoś sobie bez mnie poradzisz, prawda?

- Spróbuję. Mam nadzieję, że jakoś mi się to uda - parsknęłam głupim śmiechem, naprawdę ubawiona tą nagłą troską męża..

Chyba poczuł się obrażony, bo przestał mnie głaskać i zaczął bębnić palcami o mahoniowy blat stołu. To drewno miało już chyba ze sto lat, więc nie musieliśmy mieć wyrzutów sumienia z powodu nielegalnego wyrębu puszczy amazońskiej.

- Przecież żartuję, nie musisz się od razu tak naburmuszać - tym razem ja zaczęłam głaskać go po dłoni, jakbym chciała pocieszyć zawiedzione dziecko. - Powiedz mi lepiej, gdzie dokładnie jedziesz. Do Nowego Jorku?

Wydawało mi się, że żadne inne miejsce nie pasowało do Thomasa tak jak Nowy Jork, mimo że nie był typowym zmanierowanym i neurotycznym mieszczuchem, który nie wyobraża sobie życia poza miastem. Najbardziej lubił wypoczywać samotnie, na łonie natury. Minęła spora chwila, zanim się odezwał, wyglądało na to, że dopiero zastanawia się nad odpowiedzią. W jadalni panowała cisza, bo zapomnieliśmy włączyć muzykę i dlatego podczas żucia suchej bagietki słychać było ciche chrupnięcia szczęki Thomasa, uszkodzonej podczas treningów bokserskich w szkole.

- No wiesz, chcę trochę pojeździć po Stanach, trochę tak bez celu, pozwiedzać, zacznę chyba od Wielkiego Kanionu... zresztą dokładnej trasy jeszcze nie ustaliłem.

Jeszcze nie ustalił? Brzmiało to mało prawdopodobnie, bo Thomas zawsze miał wszystko szczegółowo zaplanowane, nigdy nic nie pozostawiał przypadkowi.

Nad ranem zadzwonił telefon. Oczywiście byłam pewna, że to tylko nieprzyjemny sen, i spałam dalej, ale ten przeraźliwy dzwonek nie chciał zamilknąć. W końcu wrzasnęłam wściekle do słuchawki: „Co jest?!”, odebrał Thomas, okazało się jednak, że to do mnie.

- Bierzesz jakieś prochy na sen, czy co, do cholery?! Przyjeżdżaj szybko na Apollostrasse trzynaście, mamy martwą samobójczynię.

W pierwszej chwili pomyślałam, że to głupi żart, jednak w sekundę później zarzuciłam na ramię torbę, czekającą - podobnie jak te spakowane przez przyszłe matki na wypadek nagłego porodu - na moją pierwszą wyprawę w teren. Miałam w niej przygotowane wszystko do pracy w terenie: mały profesjonalny magnetofon z zapasowymi bateriami, gruby, poręczny notes w twardej okładce, trzy długopisy, kilka równo złożonych kartek A4, na wypadek gdybym musiała wysłać skądś faks.

Podając zaspanemu taksówkarzowi adres, pomyślałam, że trzeba naprawdę trafić, aby popełnić samobójstwo akurat w domu z numerem trzynastym, co od razu podsunęło mi pomysł na początek reportażu o martwej kobiecie. Jeszcze jej nie widziałam, a już - mając tych kilka marnych faktów: kobieta, samobójstwo, mieszkanie pod trzynastką, nocna decyzja o odebraniu sobie życia - byłam w stanie napisać rozdzierający serce artykuł, bez wątpienia w pełni trafiający w gust czytelników mojej gazety.

Długo nie musieliśmy szukać feralnego adresu, bo choć w pobliżu nigdzie nie było jeszcze ani policyjnych samochodów, ani karetki pogotowia, to już z daleka widać było oświetlone okna starej, luksusowo odrestaurowanej kamienicy pod numerem trzynaście. Wielkie dębowe drzwi wejściowe z misternie wyrzeźbionymi motywami roślinnymi były szeroko otwarte, co mogło oznaczać tylko to, że coś nadzwyczajnego dzieje się w środku. Zwykle przecież szanujące się domostwa zazdrośnie strzegą wewnątrz swoich klatek schodowych.

Nogi miałam miękkie, jak z waty, gdy przez obszerny, marmurem wyłożony hol przechodziłam na drugą stronę kamienicy, skąd dobiegał gwar podnieconych, ale zniżonych prawie do szeptu głosów. Przerażeni lokatorzy stali stłoczeni na małym dziedzińcu. Od razu zobaczyłam Toma, machał do mnie, zachęcając, abym podeszła bliżej. I wtedy ją zobaczyłam - leżała na wyłożonej granitową kostką ziemi. Jak kupka szmat, jak bezradne, skulone dziecko. Obok porzucone osierocone buty.



Całkiem niedawno jakiś gadatliwy taksówkarz mówił mi; że ofiara wypadku drogowego bez butów jest z całą pewnością martwa.

Zrobiło mi się niedobrze, czułam, jak mój żołądek gwałtownie chce wyrzucić z siebie resztki z ostatniej kolacji, i w tym koszmarnym momencie, szukając odosobnienia, rzuciłam się w kierunku stojącego nieopodal kontenera na śmieci, postawionego tam zapewne na czas remontu jednego z mieszkań. Schowałam się za nim i, Męcząc, wymiotowałam.

Kontener stał w odległości kilku metrów od martwej dziewczyny. Panowała tam niemal całkowita ciemność. Błądząc wzrokiem po niewyraźnych kształtach, starałam się nie myśleć o koszarnej sytuacji, w której się znalazłam. Nagle pod wybrzuszonym dnem śmietnika dostrzegłam coś błyszczącego. Odruchowo wsunęłam głęboko rękę pod żelazny kontener i wyciągnęłam nieduży, oprawiony w lakierowaną okładkę zeszyt, rodzaj pamiętnika czy notesu. Nie mogąc się powstrzymać, zajrzałam do środka. Takież było moje zdziwienie, kiedy zobaczyłam, że jego strony są wypełnione równym dzieciennym pismem. Cyrylicą. Ostatni pisany po rosyjsku tekst widziałam przed wielu laty w szkole średniej w Polsce.

- Kornelia, jak tam, wszystko w porządku? Żyjesz? Nie udusiłaś się własnymi rzygami?

Obok śmietnika, obwieszony różnego rodzaju obiektami, stał Tom i usiłował przekrzyczeć coraz głośniejsze wycie syren nadjeżdżającej policji i karetki pogotowia. Ciekawe, że mogą tak hałasować po nocy. Niewiele myśląc, szybko schowałam zeszyt do torby i wygramoliłam się spod kontenera.

- Cześć!

- Cześć! Skąd wiedziałaś, że moja matka pochodzi z Rumunii? Chyba jesteś trochę za wrażliwa na ten rodzaj roboty, co? Za bardzo to przeżywasz... Zastanawiam się właśnie, który z niemieckich chłopaków wybierze Niemkę na swoją dziewczynę, skoro wokół jest tyle pięknych, samotnych i wrażliwych cudzoziemek...

Coś tam jeszcze mówił, nie miałam jednak zamiaru z nim się spoufalać, mimo że wyglądał wspaniale, aż dech zapierało w piersi, i przez moment poczułam nawet lekkie mrowienie w dole brzucha. Była w tym chyba jakaś perwersja, bo czy odczuwanie seksualnego pociągu wobec obcego mężczyzny w takich okolicznościach jest normalne? Przypomniała mi się scena z jakiegoś wojennego filmu, gdzie główni bohaterowie w obliczu śmierci kochają się zapamiętale, mimo że wszędzie wokół leżą martwe ciała. Śmierć i seks - postanowiłam zastanowić się nad tym później, może tylko po to, aby zainteresowanie Tomem móc przypisać niezwyklej sytuacji.

Tymczasem powinnam była wziąć się do roboty. Tom zdążył już oczywiście narobić całą masę zdjęć i z braku zajęcia deptał mi po piętach, i co rusz podpowiadał, kogo mogłabym jeszcze zagadnąć, bo sąsiedzi martwej dziewczyny nie byli zbyt skorzy do udzielania informacji, a może po prostu rzeczywiście nic o niej nie wiedzieli. Prawie wszyscy powtarzali w kółko to samo, jakby mogło to pomóc w zrozumieniu tego, co się stało: „Taka młoda i piękna dziewczyna, cicha, skromna, elegancka, samotna... nigdy żadnych gości, imigrantka, chyba z... Rosji”.

Z Rosji? W torbie miałam zeszyt zapisany po rosyjsku, mógł spaść z ostatniego piętra razem z dziewczyną i ześliznąć się pod kontener.

Do redakcji dotarliśmy o czwartej rano ze wszystkimi danymi Rosjanki, pochodzącymi od zaprzyjaźnionego z Tomem policjanta: Irys L., dwadzieścia cztery lata, panna, doktorantka na uniwersytecie w Monachium, od niedawna obywatelka Cypru, niekarana.

W redakcji o tej porze było pusto, Tom zniknął w laboratorium, mogłam więc w spokoju obejrzeć zeszyt znaleziony pod śmietnikiem. Oczywiście do tej pory nikomu nie powiedziałam o swoim znalezisku, bo najpierw sama chciałam poznać jego zawartość.

Zabierając się do czytania, w głębi serca miałam nikłą nadzieję, że notatki nie były robione przez dziewczynę, której przeraźliwie

smutny obraz nie chciał mnie opuścić ani na chwilę, i coraz bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że już nigdy go się nie pozbędę.

Nie bez trudu odczytywałam słowa składające się na tekst fragmentami mający formę listu, bo jego autorka zwracała się bezpośrednio do innej kobiety, nazywając ją „moja najukochańsza”. Co jakiś czas pojawiała się data, a nawet dokładna godzina. Ostatnie zapiski pochodziły z poprzedniego dnia.

Rosyjski nigdy nie był moją mocną stroną, ale na szczęście właścicielka zeszytu miała wyraźne, dziecinne pismo o dużych, okrągłych literach, jakie spotyka się u osób mało wykształconych, ale za to bardzo pilnych.

Była godzina piąta dwadzieścia, kiedy zdecydowałam się zadzwonić do Josefa Rosenheimera i poprosić go, aby jak najszybciej przyszedł do redakcji.

- Mam nadzieję, że masz naprawdę bardzo ważny powód, dziewczyno, bo jak nie, to załatwię ci pracę sprzątaczką redakcyjnych szaletów - był chyba trochę wkurzony, ale co ma czuć ktoś wyrwany z głębokiego snu, kto zamierzał jeszcze pospać co najmniej dwie godziny? W chwilę później stał przy moim biurku, co mogło oznaczać tylko jedno: musiałam przysnąć na moment i on to widział.

- Wal, kochana, póki mam cierpliwość i jeszcze w pełni nie uświadomiłem sobie tego, co mi zrobiłaś - powiedział na wstępie.

- Zrobiłam?

- A zrobiłaś!

- Ale co zrobiłam?

- Chryste, a to zrobiłaś, że pozbawiłaś mnie... - Rosenheimer urwał i machnął ręką. Przyjrzał mi się uważniej, a potem, z niejasnych dla mnie przyczyn, najcieplejszym tonem, na jaki chyba było go stać, powiedział:

- No, już dobrze, co takiego ważnego chciałaś mi powiedzieć?

- Młoda Rosjanka popełniła nad ranem samobójstwo. Na miejscu tego zdarzenia znalazłam jej pamiętnik, z którego wynika, że

pracowała na zlecenie jakichś ludzi z Luksemburga jako dziewczyna na telefon do zadań specjalnych. Pracowała tylko wtedy, kiedy miała owulację, bo chodziło o to, aby zaszła w ciążę z jakimś VIP-em. W grę wchodziły milionowe sumy odszkodowań lub zwyczajny szantaż gospodarczy, z którego też mogły wyniknąć miliony. Podobno takich dziewczyn jest na całym świecie więcej, są piękne, wykształcone, gotowe na zawołanie zająć ze wskazanym facetem w ciążę; Irys bała się, że jest skończona (choć nie bardzo wiadomo, co to miałyby oznaczać), bo wszystkie jej starannie zaaranżowane przygody seksualne kończyły się fiaskiem. Mimo że próbowano nawet sztucznego zapłodnienia nasieniem z prezerwatywy...

- Czekaj, czekaj... Czy ja, pomijając to całe science fiction o „jajeczkujących” Rosjankach, dobrze zrozumiałem początek tej historii? Popełniłaś przestępstwo, zabierając z miejsca wypadku, albo zabójstwa, dowód rzeczowy, jakim jest pamiętnik denatki. Czy myłę się w tej kwestii? - mój szef mówił coraz wolniej, aż wreszcie zaczął cedzić przez zęby.

Pospiesznie próbowałam obmyślić jakąś choćby w przybliżeniu prawdopodobną historię, wyjaśniającą, jakim cudem, bo tylko cud mógł to sprawić, weszłam legalnie w posiadanie notatnika zmarłej dziewczyny. Rosenheimer nie wyglądał jednak na takiego, co wierzy w cuda, tak że tę linię obrony mogłam sobie darować. Mogłabym też wyznać, że cała ta historia z pamiętnikiem jest zmyślona, a ja chciałam jedynie sprawdzić na nim, czy może się wydać wiarygodna. Po czym oczywiście natychmiast zniszczyć zapiski. Poza tym zostało mi jeszcze kajanie się i błaganie na kolanach o przebaczenie. Większego wyboru, zdaje się, nie miałam. Pomyślałam o martwej dziewczynie leżącej na bruku podwórza eleganckiej kamienicy - trudno mi było widzieć w niej kobietę, która pisała: *Moja najukochańsza, tak bardzo tęsknię za Tobą! Czasami czuję na policzka Twój oddech, rozglądam się, ale wokół dostrzegam nie Ciebie, moja najukochańsza, ale pustkę, zimną, przeraźliwą pustkę. Jednak w głębi duszy odczuwam radość i szczęście, że Życie podarowało mi Ciebie.*

Ktoś, kto dzień przed śmiercią słowo „życie” pisze z dużej litery, nie popełnia samobójstwa.

- Wcale nie zabrałam żadnego dowodu rzeczowego z miejsca przestępstwa, w końcu ta śmierć wyglądała na samobójstwo... ten zeszyt... znalazłam! Wymiotując za kontenerem na śmieci, zauważyłam go zupełnie przypadkowo... Nie. Tak, dobrze pan rozumiał, szefie: zabrałam go z miejsca wypadku czy przestępstwa.

Byłam załamana. Jeszcze przed chwilą chciałam triumfalnie zdemaskować pokątne interesy międzynarodowej mafii, teraz zaś zdałam sobie sprawę, że sama stałam się ofiarą żądzy łatwego i szybkiego sukcesu. Na domiar złego kątem oka dostrzegłam stojącego w drzwiach męskiej toalety Toma. Pewna byłam, że słyszał każde wypowiedziane przez nas słowo. Wpatrywał się we mnie w skupieniu i nawet się nie uśmiechał. Nie miałam pojęcia, o czym akurat myśli, ale instynkt samozachowawczy podpowiedział mi, abym nawet nie próbowała sobie tego wyobrazić.

Rosenheimer zdecydował, że nadeszła pora na poważną rozmowę u niego w gabinecie.

Ustaliliśmy wersję dla policji. Zeszyt dotrze do mnie dopiero jutro, przysłany pocztą. Wyślę go sama z jednego z urzędów pocztowych w centrum miasta. Tom poprosił jedną z zaprzyjaźnionych bufetowych o zaadresowanie szarej grubej koperty, tłumacząc, że grając w siatkówkę, zwichnął sobie prawą rękę.

Fragmenty z pamiętnika Irys pojawiły się na łamach gazety zaraz pierwszego dnia po tym, jak listonosz oficjalnie dostarczył do redakcji przesyłkę zawierającą zeszyt. Oczywiście stały się wielką sensacją, a zapowiedzi moich tekstów odsłaniających kulisy zdarzeń drukowano na pierwszej stronie. Nie zmieniło to jednak faktu, że mój szef codziennie rano pytał mnie, czy aby przypadkiem nie znalazłam czegoś fajnego w śmietniku, bo z takim szczęściem jak moje wszędzie uda mi się wygrzebać coś interesującego.

Śledztwo policyjne wykazało, że śmierć dziewczyny była upoźrowanym samobójstwem. Podobno morderca, czy też mordercy,

nie zadał sobie zbyt wiele trudu, aby wprowadzić policję w błąd, jednak nie pozostawił po sobie żadnych konkretnych śladów, a każdy wątek śledztwa kończył się w ślepym zaułku. Sprawcy nigdy nie ujęto.

W śmierci tkwi tajemnica, nawet jeśli współczesny człowiek „urynkowił” ją, choćby w mediach, gdzie jest wszechobecna, wystawiona na pokaz z tak bliską, że odbiorca może mieć wrażenie, że się z nią oswoił. Wydawać by się mogło, że padło następne tabu związane z misterium naszego pobytu na ziemi. Ale tak nie jest. Śmierć oglądana w telewizji czy opowiedziana w tekście rockowej piosenki nie ma nic wspólnego z tą prawdziwą, bo tej prawdziwej oswoić się nie da. Zrozumiałam to, przywołując w myślach obraz skulonego, pozbawionego duszy ciała dziewczyny na wybrukowanym podwórzu eleganckiej kamienicy. To ciało tylko ze względów ewidencyjnych było w dalszym ciągu j e j przypisywane, nosiło j e j nazwisko, ale tak naprawdę nie miało już z dziewczyną, która spisywała swoje myśli w zeszytach w błyszczącej twardej okładce, nic wspólnego.

Tajemnica tkwiąca w śmierci ma związek z naszą duszą.

Do nieboszczyków można się przyzwyczaić, z czasem tracą swą demoniczność, swoje przerażające niedopasowanie do nas, żyjących, stają się bardziej „ludscy”, choć są nieżywi. Wraz z nabytym doświadczeniem zaczęłam odczuwać coś w rodzaju sympatii do tych biedaków, pozbyłam się irracjonalnego lęku przed ich doczesnymi szczątkami, który nie jest niczym innym jak brakiem akceptacji własnej śmiertelności. No i musiałam zatoczyć duży krąg, aby obejść tabu, jakim w słowiańskiej kulturze jest nakaz mówienia czy pisania o zmarłych tylko w dobrych słowach.

Cornelia nie akceptowała moich artykułów zamieszczanych w dziale wypadków. Za każdym razem, kiedy rozmowa schodziła na ten temat, wyglądała na autentycznie oburzoną.

- Już gorzej nie mogłaś wybrać. Gdybyś mi o tym sama nie powiedziała, nie uwierzyłabym, że można upaść tak nisko. W szkole zaliczałaś się przecież do najlepszych... i pewnie gdyby nie to małżeństwo...

- A propos małżeństwa: to Thomas pomógł mi znaleźć tę pracę...

- No, proszę, ale ci się przysłużył, to do niego pasuje. Czułam, że on ma w sobie coś destrukcyjnego, ale żeby posunąć się aż tak daleko?

- Ach nie... Zwolnij trochę, Cornelia, jestem mu wdzięczna za tę pracę, w końcu byłam bezrobotna i, jeśli dobrze pamiętam, to jakoś redakcje się o mnie nie biły. Ponadto mam okazję wreszcie nauczyć się czegoś konkretnego...

- Nauczyć? Czego nauczyć? Jak najwygodniej popełnić samobójstwo w wielkim mieście. Jak ze śmierci zrobić cyrk objazdowy. Jak najlepiej wykorzystać świeżo znalezione zwłoki?

Coś w tym było, szczególnie w tym porównaniu do cyrku objazdowego, choć czułam, że Cornelia nie miała racji co do intencji mojego męża, bo byłam przekonana, że chciał mi wyłącznie pomóc. Ta zjadliwość, z jaką Cornelia krytykowała Thomasa, i to, co robię, zaczęła mi w końcu działać na nerwy. Przypomniałam sobie moją teściową i Dalajlamę i postanowiłam opanować uczucie narastającej złości.

- Wiesz, co na temat ludzkiego ciała mówi Dalajlama?

- Konkretnie? - słysząc pytanie Cornelii, nie mogłam się nie uśmiechnąć, i to z wyższością, bo po rozmowie z moją teściową Dalajlamę miałam w małym palcu.

- W przypadku największego przywódcy duchowego naszych czasów, jakim jest Jego Świątobliwość Dalaj...

- Chyba zapomniałaś o jeszcze jednym największym przywódcy duchowym naszych czasów, o Jego Świątobliwości Janie Pawle, w końcu to twój rodak?

- Nie zapomniałam, tylko że do takich ludzi jak ty łatwiej trafiają argumenty buddystów niż katolików.

- Masz rację, łatwiej trafią, bo nikt nie każe mi modlić się do starca z bujną czupryną.

- Do papieża? Przecież on nie ma bujnej czupryny? - Cornelia potrafiła mnie ciągle jeszcze zadziwiać.

- Nie do papieża, tylko do Boga, do Pana Boga.

- Uważasz, że Bóg to starzec z bujną czupryną?

- O Boże, czasami nie jestem w stanie się z tobą porozumieć. Może to i dobrze, że piszesz o nieboszczykach, bo z żywymi to trudno by ci się było dogadać.

- Staram się być tylko dosłowna, ale mniejsza z tym. O co ci chodzi z tą czupryną?

Cornelia wpatrywała się w dno filiżanki ze śladami czarnej jak smoła kawy i jasnymi punktami na wpół rozpuszczonych kryształków cukru. Już miałam ją zapytać, czy zamierza wróżyć z fusów, kiedy, bez odrobiny rozbawienia w głosie, powiedziała:

- W malarstwie sakralnym nasz Bóg jest najczęściej przedstawiany jako starzec z bujną czupryną. W dzieciństwie ten obraz tak wbił mi się w pamięć, że nie jestem w stanie inaczej o Nim myśleć, jak właśnie o starym mężczyźnie... z długimi, bujnymi włosami. No i nie jestem w stanie modlić się do takiego Boga, za dużo w nim człowieka... - nie zabrzmiało to zbyt przekonująco, nawet dla samej Corneli.

- Poczytaj sobie w wolnych chwilach świętego Tomasza z Akwinu, może on cię przekona, że Bóg to nie starzec z siwą brodą i że Bóg nie jest tym, co jesteśmy w stanie sobie wyobrazić - z niejasnych powodów chciałam Cornelię jakoś pocieszyć.

- Zwariowałaś? Jak zacząć mi płacić za całe to metafizyczne... grzęzawisko, to na pewno sobie poczytam i świętego Tomasza, póki co z braku czasu nie jestem w stanie przebrnąć nawet przez aktualne publikacje z branży - westchnęła ze smutkiem i szybko dodała: - Powiedz w końcu, co mówi na temat ludzkiego ciała Dalajlama. Konkretnie.



- Dalajlama mówi, żebyśmy w ogóle nie przejmowali się swoim wyglądem czy wyglądem innych ludzi, bo wszyscy jesteśmy tacy sami: pod skórą mamy surowe mięso i kości.

Cornelia udała, że chce zwymiotować na blat stolika w Cafe First Million Dollars. W jej wydaniu wyglądało to mało zabawnie.

- Co tak na mnie patrzysz?

- Nie patrzę, tylko czekam, aż zwymiotujesz.

Cornelia wybuchnęła swoim czkającym śmiechem, oczywiście marszcząc przy tym zabawnie nos. Ten śmiech i ten nos były jej tajemną bronią, nie sposób było oprzeć się jej urokowi. Ciekawe, czy Cornelia o tym wiedziała? Chyba wiedziała, musiała wiedzieć.

- Naprawdę tak to powiedział?

- Naprawdę. Sama możesz o tym przeczytać - sięgnęłam po torbę wiszącą na oparciu krzesła i wyjęłam z niej książkę Dalajlami *How to Practice. The Way to a Meaningful Life*, po niemiecku zatytułowanej *Droga do szczęścia*.

- Przeczytaj sobie o tym w rozdziale „O pierwszej szlachetnej prawdzie”. W gruncie rzeczy nic nowego się nie dowiesz: rodzimy się w cierpieniu, umieramy w cierpieniu, a po drodze jest starość i choroba.

- Oszalałaś? Nie chcę tego nawet słyszeć. Miałam rację, że do tej pory nie czytałam żadnych buddystów... zresztą katolicy nie są lepsi... no i ich też nie czytam.

- Amen.

Staralam się nie myśleć o tym, co mówiła na temat mojej pracy Cornelia, o jej lekceważącym stosunku do prasy brukowej według niej zastępującej niegdysiejsze egzekucje publiczne: najpierw jest obrzucanie błotem i kamieniami, potem wymyślne tortury, a na koniec Wprawne ścięcie głowy toporem.

Może z boku tak to wyglądało, jednak jak się jest przez cały dzień w towarzystwie tych, którzy robią taki dziennik, i jak się słyszy ich

zwyczajne rozmowy o dzieciach, randkach, ratach za samochód czy bólu w mięśniach, każde opublikowane słowo staje się zwyczajne, jak ludzie, którzy je tworzą.

Szybko zorientowałam się, czego chce mój szef i tym samym przeciętny czytelnik. Potrafiłam naprędce napisać tekst zmuszający do łez nawet redakcyjne maszynistki i korektorki, które po latach pracy stawały się tak samo nieczułe na słowo pisane jak kamień.

Thomas wyjechał na cztery tygodnie do Ameryki, miałam teraz trochę więcej czasu dla Maksa, który coraz częściej przyglądał mi się w zamyśleniu. Stał się sentymentalny, zmuszał do obchodzenia jakiś wspólnych rocznic: pierwsze spotkanie, pierwsza noc, pierwszy wspólny weekend. Ciągle domagał się, abym mówiła mu, że go kocham, aż w końcu nadszedł moment, który przeczuwałam, który wisiał w powietrzu już od dłuższego czasu, jak dojrzały wielki owoc: mój Max, duży, wesoły chłopiec, akceptujący do tej pory wyłącznie związki na luzie i bez zobowiązań, nie chciał tak dalej żyć.

Siedzieliśmy na ławce w Ogrodzie Angielskim, największym parku Monachium, wygrzewając się w ciepłym jesiennym słońcu, oczywiście na naszej ławce, bo Max nie chciał usiąść na żadnej innej, i nic nie zapowiadało nadciągającej burzy. A jednak ton jego głosu stawał się coraz bardziej rozdrażniony.

- Kiedy wraca Thomas?

- Za tydzień.

- Chcę, abyś się z nim rozwiodła, jak tylko wróci. W końcu już nie ma żadnego powodu, abyś z nim była.

- Powodu?

Naprawdę nie wiedziałam, o czym on mówi, i dławiący lęk ścisnął mi gardło.

- Właśnie - powodu. Teraz masz pracę, jesteś finansowo niezależna...

- Czy ja dobrze słyszę: finansowo niezależna? - Wiem, że powtarzałam za nim słowa jak jakaś idiotka, ale nie mogłam uwierzyć, że ta rozmowa naprawdę się odbywa. Było mi wstyd.

- Myślisz, że wyszłam za mąż za Thomasa tylko z powodu pieniędzy? Czy ty rzeczywiście tak myślisz... czy to naprawdę tak wygląda?

- Ach, daj spokój z tym czepianiem się słów. Nieważne, jak to wygląda, liczą się uczucia, to, co człowiek czuje, o tu - Max z przesadną siłą walnął się w pierś otwartą dłonią. Wyglądało to bardzo zabawnie, trochę tak jak na kreskówce dla dzieci. Uśmiechnęłam się cierpko, w irracjonalnej nadziei, że cała ta rozmowa obróci się w jakiś mało zabawny żart. Stało się jednak odwrotnie, to znaczy zdaje się, że mój dobry nastrój rozwścieczył go na dobre. Gwałtownie wstał, szarpnął mnie za poły trenca, który miałam na sobie, postawił na nogi i zbliżywszy swoją twarz do mojej, zaczął krzyczeć, jakby go coś opętało:

- Czy ty wiesz, co to jest zdrada? Zdrada! Rozumiesz. Zdrada! Czy całe życie chcesz żyć w zdradzie, bo jeśli tak, to ty masz poważny psychiczny defekt...

- Nikt nie jest doskonały - mocnym szarpnięciem uwolniłam mój płaszcz i znów usiadłam na ławce. Jacyś przechodnie zaczęli się na nas gapić, bo było akurat późne popołudnie, czas poobiednich spacerów. Max, milcząc, usiadł obok mnie, nie przy mnie, ale obok, zachowując nietypowy dla nas odstęp kilkudziesięciu centymetrów.

Nikt nie wiedział tak dobrze jak ja, co to jest zdrada.

Zdrada potrzebuje ludzi, którzy nie mogą bez siebie żyć, którzy bez siebie giną, a później tej rany, jaką jest zdrada, nigdy już nie wyleczą, bo ona będzie z czasem coraz większa, okrutniej sza... i zaważy na całym życiu człowieka zdradzonego... Zdrada jest niepospolita, niecodzienna, mając siedem lat, z powodu takiej zdrady chciałam po raz pierwszy umrzeć, a przecież siedmiolatek pragnie nieśmiertelności, siedmiolatek ma irracjonalną nadzieję na nieśmiertelność. Wszystko to chciałam powiedzieć Maksowi, ale

nie potrafiłam znaleźć odpowiedniego tonu, pasujących słów, choć wiedziałam, że on to zrozumie, odczuje, bo, paradoksalnie, to on czuje się zdradzany. Było mi go żal, gdyż znałam ten przeraźliwy ból.

- Nie możemy żyć tak jak do tej pory, ja nie mogę. Chcę, abyś rozeszła się z mężem, a potem rozpocznijmy życie od nowa, razem, jak normalna para, bez tego ciągłego kłamstwa.

Na chwilę znów zapadła cisza i miałam wrażenie, że Max wystraszył się tego, co właśnie powiedział, bo już ugodowym, łagodnym tonem dodał:

- To nieuczciwe, przede wszystkim w stosunku do nas samych, Kocham cię... i to boli. Zastanów się i jak podejmiesz decyzję, to daj mi znać.

Wstał powoli, chwilę stał jeszcze obok ławki, ociągając się z odejściem, w końcu pocałował mnie w rękę, czego nigdy nie robił, i poszedł wypielegnowaną dróżką gdzieś w kierunku miasta. Chyba nie chciał, abym cokolwiek powiedziała, bo po pierwszych kilku krokach przyspieszył, jakby próbował uciec od moich, niewypowiedzianych przecież, słów.

Przez chwilę łudziłam się, że wróci i wszystko będzie jak dawniej -wesoło, bez troski, niezobowiązująco. Na pocieszenie próbowałam sobie nawet wmówić, że tej rozmowy nigdy nie było, a wszystko, co przed chwilą usłyszałam, jest częścią jednej z tych melodramatycznych historyjek, które pisałam dla swojego brukowca. Trudno to sobie wyobrazić, ale miałam nadzieję, że Max wyjdzie gdzieś z tyłu, zza ławki, i zawoła: „Uhhh! Ale cię nabrałem!”.

Rozejrzałam się - świat wokół był kolorowy, pomarańczowożółte drzewa, zamiast delektować się w samotności swoim, jakże ulotnym kolorem, zdawały się prowadzić z sobą jakieś tajemnicze, szeptane rozmowy. W dzieciństwie wierzyłam w moc drzew, w to, że są one czymś więcej niż tylko kawałkiem drewna.

Postanowiłam posiedzieć jeszcze jakąś chwilę wśród nich, posłuchać ich cichego, kojącego szeptu. O czym? O tym, że ta dziewczyna na ławce nie ma serca, nawet dla siebie samej?

Broniąc się przed natrętnymi myślami, zasnęłam na chwilę, śniąc o jakimś nieznanym człowieku, którego zabił piorun w trakcie sikania pod drzewem. Człowiek ten miał żonę, która codziennie wysyłała go do diabła, bo każdego ranka nieskończenie długo, na pewno jej na złość, zajmował wspólną toaletę. Sen był płytki, cały czas w akcję śnionej historii włączona była moja świadomość komentująca poszczególne sceny. Wiedziałam, że jest to sen o mojej byłej ojczyźnie, gdzie widok mężczyzn sikających bez żenady na poboczach dróg jest codziennością i obok widoku bocianów jest najczęściej powtarzającym się obrazkiem.

Obudziłam się przerażona, wokół było już całkiem ciemno, w moim śnie miałam napisać historię o tym zabitym przez piorun biedaku, i w żaden sposób nie mogłam przypomnieć sobie z lekcji fizyki, jak to jest z tym wyładowaniem elektrycznym i przewodzeniem przez wodę.

Biuro Corneli i znajdowało się w przeszklonym, nowoczesnym wieżowcu, który na wzór katolickich kościołów miał każdemu, kto przekraczał jego progi, z miejsca udzielić ważnej lekcji: jesteś małym, anonimowym, nic nieznaczącym robakiem, a twój los zależy od gospodarza tego architektonicznego kolosa. Nie sposób było nie poczuć się nieswojo w monumentalnych, symbolizujących pieniądze i władzę holach. Już w olbrzymiej windzie, chyba większej niż połowa naszej redakcyjnej sali konferencyjnej, zatęskniłam za obskurnymi korytarzami w siedzibie mojego brukowca. Czułam się jak wiejskie dziecko prowadzone na pierwszy w życiu zastrzyk. Już zaczęłam żałować, że dałam namówić się Corneli i na to spotkanie u niej w biurze, kiedy okazało się, że właśnie jestem na miejscu, na dwudziestym drugim piętrze, przed grubą marmurową tabliczką ze skromnym napisem: ZARZĄD.

- Na szczęście nie udało mi się zrobić takiej kariery - pocieszyłam się w myślach, z ulgą opuszczając windę, poruszającą się chyba

z prędkością światła. Gabinet Cornellii w najdrobniejszych szczegółach prezentował się dokładnie tak, jak w moich wyobrażeniach powinno wyglądać miejsce pracy członka zarządu międzynarodowego koncernu, bez względu na to, czy produkuje on książki, czy konserwy rybne. Praktyczny futurystyczny z niewielką domieszką manii wielkości. Odpowiednie miejsce dla doskonałej Cornellii.

Jednak dopiero gdy przyjrzałam jej się lepiej, gdy zobaczyłam, jak siedzi za olbrzymim błyszczącym biurkiem z miną świadcząca o tym, że spełniło się jej marzenie o absolutyzmie, chyba po raz pierwszy zupełnie niespodziewanie poczułam ukłucie zazdrości. Paradoksalnie świadczyło ono o tym, że zaczynam się z Cornelią porównywać, bez kompleksów, co do tej pory nigdy nie przyszłoby mi do głowy. Tak, zazdrość była czymś nowym - taka nowa jakość w naszych stosunkach. To pewnie dlatego nagle odniosłam wrażenie, że znajduję się w stanie dobrze zapowiadającego się rauszu, który człowieka dopada po wypiciu szampana na pusty żołądek.

Chyba musiałam zrobić jakąś dziwną minę, bo Cornelia, wychodząc na powitanie z za swojego imperialnego biurka, na chwilę się zatrzymała, patrząc na mnie uważnie:

- Źle się czujesz? Stało się coś? Jakoś tak dziwnie wyglądasz... Przerwałam jej, bo nie mogłam opanować nagłej wesołości:

- Przeciwnie, czuję się świetnie, może tylko nie bardzo pasuję do tego - zatoczyłam ręką koło, pokazując jej biurowy wszechświat - sama wiesz, do tej lśniącej nowoczesności.

- Daj spokój z tymi twoimi kompleksami, mnie w to nie wciągniesz. Zresztą nie marnujmy czasu na rozmowy prowadzące donikąd. Usiądź, proszę - Cornelia wskazała mi proste skórzane krzesło stojące przed biurkiem. Byłam ciekawa, gdzie sama usiądzie, choć stawiałam na dyrektorski fotel. Miałam oczywiście rację, Cornelia rozsiadła się wygodnie na swoim stałym miejscu.

- Zanim przejdziemy do sedna, muszę cię zapytać, dlaczego biegasz po mieście zapuszczona jak ostatni lump? To, że twój mąż nie wrócił jeszcze ze Stanów, a twój kochanek ma cię dosyć, wcale

nie oznacza, że masz rezygnować z podstawowych zabiegów pielęgnacyjnych i dożywno skazywać się na te wystrzępione dzinsy i obskurną kurtkę.

Cornelia miała rację, od jakiegoś czasu ograniczałam się jedynie do codziennego prysznica i obsesyjnego dbania o zęby. Często zapominałam nawet się uczesać, związując włosy byle jaką gumką. Na pewno w jakiejś mierze wymuszał to charakter mojej pracy, bo większość ludzi nadających się na materiał do mojej gazety umierała w godzinach nocnych lub porannych. Nie zawsze udawało nam się z Tomem przybyć do nieboszczyka przed policją, a to oznaczało wiele godzin spędzonych gdzieś na ulicy, w parku czy w lesie, w oczekiwaniu na zakończenie rutynowych prac śledczych. Albo w komisariacie, w zadymionym pomieszczeniu dla prasy, w towarzystwie różnego rodzaju wyrzutków dziennikarskich, w dziewięćdziesięciu procentach rodzaju męskiego. To była najtrudniejsza część mojej pracy - odseparować się jakoś od tych psychicznie skrzywionych facetów, a równocześnie nie tracić z nimi bliskiego kontaktu, bo często wymienialiśmy się informacjami. Dotyczyło to również policjantów, i to obojga płci. Najlepszą metodą na uniknięcie natarcywych zalotów czy agresji było wyzbycie się wszelkiej kokieterii w stroju i zachowaniu. Działo to również na sąsiadów nieboszczyków, ludzie chętniej rozmawiają z kimś szarym, nie-zwracającym na siebie uwagi, niewzbudzającym emocji. Bardzo szybko stałam się profesjonalistką w swoim zawodzie - dziennikarką Kornelią byłam przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Żyłam sama, bo Thomas, nie dając żadnego znaku życia, przedłużył swój pobyt w Stanach już o ponad miesiąc, a Max od czasu naszej ostatniej rozmowy w parku nie odezwał się ani razu. Nikt nie narzucał mi żadnych ról, mogłam w pełni poświęcić swoje życie pracy, bo niby dlaczego nie miałabym tego zrobić? I tak przeoczyłam czas na tęsknotę za mężem, a kiedy się ocknęłam i zobaczyłam, że ostatecznie zniknął z mojego życia, na żal było już za późno, mogłam jedynie zaakceptować zaistniałe fakty.

- Okej, masz rację, muszę wziąć się trochę za siebie. Ostatnio byłam tak zapracowana, że prawie zapomniałam o naszym spotkaniu. Wiesz, wczesna zima to czas nieboszczyków.

Cornelia, zdziwiona, otworzyła szeroko oczy, a mnie korciło, aby ją zapytać, czy rzeczywiście się dziwi, czy tylko tak udaje.

- Czas nieboszczyków?? To znaczy, że ludzie częściej umierają wczesną zimą niż w innej porze roku?

- To znaczy tylko, że często umierają, częściej niż na przykład latem, ale rzadziej niż późną zimą... - nie bardzo wiedziałam, do czego zmierzam i żadne błyskotliwe zakończenie tematu nie przychodziło mi do głowy. - Dlaczego cię to interesuje?

- No dobrze, skończmy ten temat, bo nie po to się tutaj spotkałyśmy.

Zauważyłam, że Cornelia, występując jako członek zarządu i zadając pytania, nie zawsze czeka na odpowiedź, co rozpraszało i w rezultacie wyprowadzało pytanego z równowagi. Pewnie nauczyła się tego na którymś z międzynarodowych seminariów dla managementu wyższego szczebla, na przykład w Londynie. Opowiadała o tych zajęciach takim tonem, jakby te zwariowane drogie szkolenia były czymś najistotniejszym w jej życiu. Pewnie chciała dać mi do zrozumienia, że w tym układzie i w tym imperium wydawniczym odpowiedzi kogoś takiego jak ja w ogóle się nie liczą. Kompletny przypadek, że mogę sobie posiedzieć na dwudziestym drugim piętrze tego szklanego molocha, poddana działaniu potężnego magnetycznego smogu. No i w dodatku na niewygodnym krześle. Zaczynałam mieć dość Cornelii i jej imponującego gabinetu.

- To mów w końcu, po co spotkałyśmy się tutaj, bo pół ostatniej nocy spędziłam w towarzystwie największego gwiazdora bawarskiej sceny.

- Podobało mi się określenie „scena”, bo w tym wypadku miało ono perwersyjnie podwójne znaczenie. - Tym razem z prawdziwą dziurą w głowie, pochodzącą pewnie od któregoś z jego płatnych kochanków. Sama rozumiesz, że ta pedalska tematyka



wcale mnie nie bierze, ale w końcu muszę napisać jakąś story, bo inaczej nie zarobię na chleb.

Doskonale zdawałam sobie z tego sprawę, jak prostacko brzmią wypowiedziane przeze mnie słowa, ale chciałam, aby Cornelia poczuła się tym dotknięta. Odkąd wyjechałam z Polski, nauczyłam się przysłuchiwać temu, co mówię, kontrolować każde wypowiedziane słowo, jakby pochodziło ono od osoby trzeciej. Wychwytywałam błąd w wymowie, nieprawidłowo użyte słowo, zagmatwany sens...

Tym razem się pomyliłam. Cornelia nie wyglądała na urażoną.

- Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać, o zarabianiu na chleb. Mam tutaj teczkę ze wszystkimi tekstami, które napisałaś dla... swojej gazety. Nie będę ukrywać, że są doskonałe, wzbudzają emocje u zwykłych prostych ludzi. I o to nam chodzi: o łzy smutku i radości szerokich mas - Cornelia mówiła tonem członka zarządu, kładąc za każdym razem nacisk na zwrot „prości ludzie” i „szerokie masy”, jakby chciała przez to powiedzieć: i o to chodzi w tym całym biznesie. - Masz talent i jeśli podejmiesz odpowiedni wysiłek, zrobimy z ciebie niemiecką Danielle Steel czy kobiecą wersję Gonsalika...

- W tej chwili na rynku wydawniczym jest zapotrzebowanie na nową powieściopisarkę, my stworzymy ci szansę wybicia się, czyli osiągniesz sławę i zarobisz pieniądze... - Cornelia ponownie zawiesiła głos, jakby czekała na moją kwestię, lecz tak byłam zaskoczona jej planami, że nie bardzo wiedziałam, co mam powiedzieć. Zapadło kłopotliwe milczenie, które zawsze jest lepsze od opowiadania bzdur. - Przemysł naszą propozycję, jestem pewna, że możesz odnieść sukces. Tę ofertę składamy ci nie dlatego, że jesteś moją przyjaciółką, jest ona wynikiem głębokiej analizy rynku czytelniczego. Mamy podstawy, by sądzić, iż pisane przez ciebie powieści znajdą odbiorcę. Szkoda by było, gdybyś marnowała swój talent za te grosze, które ci płaci Rosenheimer.

Jestem pewna, że to ostatnie zdanie było zemstą Corneli za moje prostackie słowa o zamordowanym aktorze. Puściłam je mimo uszu, bo już w myślach zaczęłam pisać moją pierwszą powieść.

Potem nic już nie było takie samo jak dawniej.

W pracy starałam się za wszelką cenę skupić na osobie nieżyjącego pederasty, lecz moje myśli, jak niesforne chochliki, wymykały się i biegly ku sławnej i bogatej pisarce, którą mogłam zostać. Dlatego nie zauważyłam nawet, kiedy podeszła do mnie korektorka Anne-Frosch, dziewczyna tak przypominająca żabę, że nikt nie próbował zapamiętać jej prawdziwego nazwiska.

- Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam, ale wiesz, właśnie czytałam najnowszy serwis DPA i zaraz pomyślałam o tobie...

- Miło z twojej strony.

- Właśnie... bo wiesz, oni donoszą o katastrofie samolotu jakiejś arabskiej linii lotniczej i... przypomniałam sobie, że twoja siostra lata właśnie w takich liniach... - Anne-Frosch przerwała nagle, przerażona moją reakcją, bo wstając gwałtownie z krzesła, przewróciłam je, a biurko z przeraźliwym piskiem przesunęło się o kilkanaście centymetrów.

- Nad morzem?

Cała moja nadzieja, że siostra żyje, zawarta była w tym jednym krótkim pytaniu. W uszach czułam ogłuszający szum i ze strachu, że nie usłyszę słów korektorki, zawisłam wzrokiem na jej ustach, jakby od tego, co wypowiedzą, zależało życie najbliższej mi osoby. Ale tak naprawdę to znałam odpowiedź.

- Tak, samolot runął w morze, zdaje się, że do Oceanu Indyjskiego... jak chcesz, to sprawdzę... - Anne-Frosch w panice rozejrzała się wokół, szukając kogoś, kto mógłby jej pomóc. Nie widząc nikogo chętnego, pochyliła się, podnosząc przewrócone krzesło.

- Tom! Gdzie jest Tom? Zawołajcie Toma! - wrzasnęła piskliwym głosem, jakby gdzieś w pobliżu wybuchł pożar.

Jej wrzaski docierały do mnie jakby z oddali, zza grubej szyby, która dzieliła mnie od całego świata. Bezwiednie osunęłam się na krzesło i przyłożyłam policzek do chłodnego, gładkiego blatu biurka, w irracjonalnej nadziei, że jeszcze raz poczuję pieśczętę łagodnych dłoni Luizy.

- Lulu, obejmij mnie mocno, proszę - wyszeptałam i przed oczami miałam znowu scenę z lotniska, tę, która będzie mnie prześladować do końca życia, z niespełnionym pragnieniem czułości... z niespełnionym pragnieniem okazania miłości.

- Wstawaj, Kornelia! - Tom mocnym szarpnięciem postawił mnie na nogi. Miałam wrażenie, że odrywa mnie od Luizy, rozczapierzonymi palcami próbowałam uchwycić się gładkiej powierzchni blatu. - Chodź wreszcie, nie ma co robić z siebie widowiska.

Jak para podtrzymujących się pijaków wyszliśmy bez słowa z budynku redakcji. Na policzkach czułam piekące łzy, płakałam tak jak nigdy w życiu, jakby nagle została przerwana jakaś niewidzialna, gigantyczna tama...

Byłam bezradna, niema i strasznie, przeraźliwie sama.

I po raz pierwszy w życiu uczepiłam się rozpaczliwie tej samotności, bo wydawało mi się, że tylko w niej znajdę ukojenie.

Głos Toma wyrwał mnie z zamyślenia, byliśmy chyba u niego w mieszkaniu, bo ściany wypełniały setki fotografii.

- Siadaj, to moje najlepsze miejsce - Tom pchnął mnie lekko do tyłu i znalazłam się na czymś w rodzaju dwuosobowej sofy.

- Zaraz zrobię coś do picia... i opowiem ci ciekawą historię.

Po dwóch minutach, a może po dwóch godzinach, wcisnął mi do ręki kubek, mówiąc, że to herbatka ziołowa na nerwy, a sam usiadł na metalowym stołku naprzeciwko, bezceremonialnie kładąc tuż obok mnie obute nogi. Było mi wszystko jedno, co robi i mówi, chciałam tylko jak najszybciej znaleźć się zupełnie sama w moim

domu. Brakowało mi sił, aby to powiedzieć, a potem podnieść się, wyjść, dojechać do miejsca, w którym spędziłam ostatnie dwa lata życia.

Powoli zaczął do mnie docierać cichy głos Toma: - Miałem sześć lat, kiedy pewnego wiosennego popołudnia, wróciwszy do domu z podwórka, znalazłem mamę na podłodze w kuchni. Leżała zwinięta w kłębek, jak to miała w zwyczaju, tylko że tym razem nie na szerokim małżeńskim łóżku, lecz na kuchennej podłodze. Miała kredowobiałą twarz, a z jej ust sączyła się stróżka śliny zmieszanej z wymiocinami. Nie żyła. Później okazało się, że połknęła dużą ilość trutki na szczury. A ja spodziewałem się, że za chwilę dostanę jak zwykle talerz gęstej zupy... Tego dnia mama nie zdążyła nic ugotować. Siedziałem przy niej przez kilka godzin, aż do powrotu ojca z pracy... Później słyszałem, jak w sąsiednim pokoju wyjaśniał policji, że mama była Rumunką i tak naprawdę to nigdy nie przystosowała się do życia w Niemczech. Co innego on, Niemiec z Siedmiogrodu, on wrócił do swojej ojczyzny, znalazł pracę, kolegów. Żona z własnej woli zamknęła się w domu, żyła w coraz większej izolacji, coraz bardziej, w niezdrowy sposób, rozpieszczała ich jedyne go syna... Strychninę ojciec dostał od właściciela kamienicy, bo po godzinach - pracował jako konserwator torów w monachijskim metrze - był również dozorcą, a ostatnio miał za zadanie wytrzebić szczury, które pojawiły się w piwnicach.

Kiedy dziecko traci najbliższą, najukochańszą osobę, musi znaleźć w sobie siłę do przetrwania; jeśli zawiedzie je instynkt samozachowawczy, oznacza to dla niego koniec... Przez następne kilka tygodni każdego ranka, zaraz po wyjściu ojca do pracy, kiedy wreszcie zostawałem sam w domu, wyłem całymi godzinami. Wkładałem w to cały swój ból po stracie mamy. Możesz sobie wyobrazić, że te przeraźliwe wrzaski nie podobały się naszym sąsiadom, i mój ojciec, z braku innego wyjścia, postanowił zabierać mnie ze sobą do pracy, w podziemia metra, gdzie w jakimś ciemnym

kącie, z dala od stacji, mogłem wycić bez końca. Pewnego jesiennego, słonecznego i mroźnego poranka przeszło mi to i poprosiłem ojca, aby zostawił mnie w domu. Odtąd nie boję się śmierci, bo wierzę, że kiedyś, po tamtej stronie, spotkam ją znowu... moją mamę. Jeśli nie, to śmierć nie ma większego znaczenia. Ciągle za nią tęsknię.

Kiedy Tom zakończył swoją opowieść, zapadła długa chwila milczenia.

Dziecko wyjące jak wilk całymi tygodniami zawładnęło bez reszty moją wyobraźnię. Na szczęście do tej pory spotykałam się wyłącznie z przypadkami samotnych lub pozostających w luźnych związkach samobójców, ludzi niechcianych, poruszających się gdzieś poza nawiasem tego, co przyjęte ogólnie za normalne - i o takich ludziach pisałam. Nagle w moich myślach pojawiła się drobna twarz Mary...

- Wiesz, Tom, chyba zrezygnuję z tej pracy. Dostałam dzisiaj bardzo ciekawą propozycję, myślę, że powinnam ją przyjąć, spróbować czegoś nowego - byłam wdzięczna Tomowi za wszystko, co dla mnie zrobił w ciągu ostatnich godzin i dlatego nie mogłam mu powiedzieć, że nie jestem już w stanie grzebać w życiorysach wszystkich tych zmarłych ludzi.

Na twarzy Toma pojawił się smutny, pełen rezygnacji uśmiech.

- Rób, co uważasz za konieczne. Pewnie wiesz, że jesteś dobra, chociaż od początku jakoś nie pasowałaś mi do tej roboty.

- Dzięki, Tom, dzięki za wszystko... Nawet nie wiesz, jak mi pomogłeś - dłużej, niż to było konieczne, popatrzyliśmy sobie w oczy, właściwie nigdy tego nie robiliśmy, to znaczy nie patrzyliśmy sobie w oczy nawet wtedy, gdy omawialiśmy tematy wspólnych artykułów, bo wystarczały nam przelotne, nic nieznaczące spojrzenia. A może to ja unikałam jego wzroku, bo był taki piękny, tak bardzo pociągający. Poczulałam, jak ogarnia mnie fala gorąca, pewnie zrobiłam się czerwona jak burak.

- To przez nieprzyzwoite myśli - powachlowałam się trzymanym w rękę szalikiem i widząc jego pytające spojrzenie, szybko zamknęłam za sobą drzwi opatrzone tabliczką: TOM WEILLINGER. FOTOGRAF.

Na ulicy miałam wrażenie, że spałam się ze wstydu. Całe szczęście, że Tom był dosyć małowówny i flegmatyczny, więc nie zdążył wciągnąć mnie w żadną rozmowę na temat „nieprzyzwoitych myśli”. Co też strzeliło mi do głowy i na dodatek w tak ciężkich dla mnie chwilach? Może jestem potworem?

Cała ta historia z Tomem miała też swoją dobrą stronę, bo idąc do domu ponad godzinę szybkim marszem, czułam, że ból po stracie Luizy staje się na krótką chwilę mniej dotkliwy...

Po raz pierwszy, odkąd zamieszkałam z Thomasem, nasze dwustumetrowe, ascetycznie urządzone mieszkanie wydało mi się oazą bezpieczeństwa i spokoju. Miałam nadzieję, że mimo boleśnie dręczących mnie myśli będę mogła tej nocy zasnąć, bo następnego dnia postanowiłam jechać do Polski. Pierwszy raz po siedmiu latach. Ale tak naprawdę to nie jechałam do kraju, w którym się urodziłam i wychowałam, jechałam do starej, przez większość swego życia samotnej kobiety, i do małej osieroconej dziewczynki.

Z ciężkiego, lepkiego snu zbudził mnie ciągły, uporczywy dzwonek do drzwi. Za oknem było jeszcze prawie całkiem ciemno, ale dobiegające z ulicy odgłosy świadczyły, że dzień już się rozpoczął. Dzwonienie nie ustawało, co było dziwne, bo w Niemczech nikt nikogo nie odwiedza bez uprzedniego telefonu, a do drzwi dzwoni się dyskretnie, dwa, góra trzy krótkie dzwonki. W końcu zrezygnowana wstałam i poczłapałam do domofonu. Nim podniosłam słuchawkę, usłyszałam głośnie pukanie do drzwi i głos Toma:

- Kornelia, do cholery, jesteś tam? Nie spiesząc się, otworzyłam drzwi.

- Tom, do cholery - usiłowałam naśladować ton jego głosu

- masz jakiś problem?

Nie czekając na odpowiedź, odwróciłam się do niego plecami i poszłam długim ciemnym korytarzem w kierunku kuchni. Pierwsze, co należało zrobić, to zaparzyć kawę, mocną, z dużą ilością mleka. Starłam się nie myśleć o tym, co się wczoraj stało, ani

o tym, co w mojej kuchni robi Tom. A on właśnie rozsiadł się wygodnie przy oryginalnym bawarskim stole kuchennym z osiemnastego wieku i patrzył na mnie w skupieniu. Tego ranka nie byłam w najlepszym nastroju, bolała mnie głowa i miałam świadomość, że wyglądam pewnie jak zapuszczona gospodyni domowa, robiąca śniadanie dla swego chłopca, wracającego właśnie z nocnej zmiany. Irytował mnie wzrok Toma, może dlatego, że on sam wyglądał, jakby dopiero co wyszedł z salonu odnowy biologicznej

- nieprzyzwoicie wypoczęty, czysty, w świeżo upranych dżinsach i olśniewająco białej koszuli.

- Co tak się na mnie gapisz, podobam ci się tak saute? - ton mojego głosu zdradzał narastającą agresję.

- Powiedz, Kornelia, skąd wiedziałaś, że twoja siostra była w tym samolocie?

- Wiedziałam.

- Ale skąd? Anne-Frosch powiedziała tylko, że był to samolot jakichś arabskich linii lotniczych. Chyba domyślasz się, ile to różnych linii, ile różnych przelotów? Co dwie minuty startuje gdzieś na świecie jakiś arabski samolot... ale w tym samolocie, który runął w morze, rzeczywiście była na pokładzie polska stewardesa! Dowiadaliśmy się.

- Luiza powiedziała mi o tym. Ona dużo wcześniej wiedziała, że w ten sposób zginie... - głos mi się załamał, mimo że ze wszystkich sił próbowałam się opanować. Czułam, jak wiotczeją mi mięśnie, jak stają się miękkie i że robi mi się mdło, i nie mogę już utrzymać się na nogach. Łagodnie, niemal w zwolnionym tempie, oparta plecami o ścianę z kafli osunęłam się na podłogę, uświadamiając

sobie w tej samej sekundzie, że muszę się ratować, aby móc żyć, aby móc kochać Lulu, moją siostrzyczkę, której nie zdążyłam kochać, której nie zdążyłam powiedzieć, jak bardzo ją Kocham. Zamknęłam oczy i nabrawszy głęboko powietrza, nagle wydałam z siebie obcy przenikliwy krzyk, który powtarzałam kilkakrotnie, aż do utraty tchu, aż do momentu, kiedy zamienił się w chrapliwy szept.

Minęła dłuższa chwila, zanim odważyłam się spojrzeć na Toma. Siedział nieruchomo ze spuszczoną głową, a w kuchni pachniało świeżą kawą z ekspresu.

- Piję kawę, biorę prysznic i jadę do Polski - oznajmiłam z nagłą determinacją. Tom przyglądał mi się z dziwnym wyrazem twarzy.

- Muszę mieć wizę do Polski?

- Kto?

- No, ja, czy potrzebuję wizę wjazdową do Polski?

- Wybierasz się do Polski?

- Tak, pojedę z tobą. Jeśli, z niejasnych powodów, czujesz ogarniającą cię panikę, to się wyluzuj, nie będę ci przeszkadzał, w końcu ostatnio spędziliśmy razem tyle czasu i jakoś dało się wytrzymać. Mam rację, co?

Skoro tak mówił, to pewnie tak było, chociaż z reguły przebywanie z Tomem było tak samo przyjemne jak bycie z samą sobą.

- Poczekaj, poczekaj, muszę się zastanowić. Może najpierw kawa. W milczeniu piliśmy czarny jak smoła płyn, który w tym stężeniu

trudno było nazwać kawą, w dodatku nie znalazłam w lodówce ani kropli mleka. Pomysł Toma był mi nawet na rękę, w końcu stosunkowo niedawno zrobiłam prawo jazdy i tak naprawdę rzadko siadałam za kierownicą, bo w takim mieście jak Monachium łatwiej jest poruszać się metrem, rowerem czy taksówką niż własnym samochodem. Nawiasem mówiąc, własnego samochodu też nie miałam, więc postanowiłam wybrać się do Polski porsche należącym do mojego męża. Nigdy nie pasjonowały mnie samochody, ale ten był niewątpliwie cudem techniki, bo można nim



było jechać na dwójce z prędkością ponad stu kilometrów. Biorąc pod uwagę uciążliwość zmiany biegów, był to niezły wynik. Na samochód Toma nie było co liczyć, bo jeździł starym, rozpadającym się fordem, który jakimś cudem dopuszczony został do ruchu przez niezwykle rygorystyczną, niemiecką kontrolę techniczną. Miał jednak prawo jazdy, potrafił prowadzić, no i zawsze miałabym jakieś towarzystwo. Wolałabym oczywiście jechać z Cornelią, ale ona planuje swoje wyjazdy z półrocznym wyprzedzeniem, albo z Maksem, ale nie chciałam rozwodzić się z mężem, albo z Thomasem, ale jego nie było. Niestety, w dalszym ciągu nie wracał ze Stanów i od prawie trzech miesięcy nie dał żadnego znaku życia.

- Dobrze, ale pod dwoma warunkami: jedziemy moim samochodem, prowadzimy na zmianę, i jak ja kieruję, to ty powstrzymujesz się od jakichkolwiek komentarzy. Nie zniosę również dwuznacznych min, posykiwań, łapania się za głowę i tym podobnych zachowań. Jeśli nie dotrzymasz umowy, natychmiast wysiadasz, bez względu na to, gdzie akurat się znajdziemy.

- Tych warunków jest tu chyba więcej niż dwa, można by powiedzieć, cały pakiet... warunków, ale oczywiście zgadzam się, szczególnie na to, aby nie posykiwać... - po raz pierwszy chyba od początku naszej znajomości udało mi się szczerze roześmiać.

Na dalsze omawianie warunków, niestety, było za późno. Minęły dwie godziny, a my siedzieliśmy już w samochodzie - we trójkę, bo Tom zabrał ze sobą oczywiście tego wstrętnego owczarka niemieckiego. Byłam wściekła.

- A ten co tu robi? Nie miałaś gdzieś pod ręką jakiejś babci czy dziadka, którzy też chcieliby się przewietrzyć?! Ten przeklęty kundel jest okropny i okropnie śmierdzi... jak jakaś zaraza - nie przebierałam w słowach, bo czułam, że wreszcie mogę bez zahamowań objawić moją niechęć.

- Przede wszystkim to jest ona, suka, i jak włączymy klimatyzację, to przestanie... śmierdzieć.

- Proszę? Co powiedziałeś?

- Jak włączymy klimatyzację to przestanie śmierdzieć!

- Klimatyzację? Na dworze jest plus dwa, chyba trochę za zimno na klimatyzację! To ten dewiant jest ni ą? Ja chyba źle słyszę, psia lesbijka?

- Psia lesbijka? Co to jest? Nie zaskarżył cię jeszcze nikt z Towarzystwa Przyjaciół Zwierząt za psychiczny terror?

Nie było sensu rozmawiać dalej w tym tonie, choć byłam nieźle wkurzona i najchętniej rzuciłabym pod adresem tej parki, która wygodnie rozsiadła się w moim samochodzie, kilka soczystych wiązanek, ale nigdy na głos nie przeklinałam. To była moja zasada, od której nie robiłam odstępstw, no, może z wyjątkiem tego dupka, męża Corneli, któremu wydawało się, że będę zachwycona możliwością uprawiania z nim seksu. W tej sytuacji wypadało mi tylko milczeć, a że zaczynało robić się strasznie zimno, zapięłam dokładnie wszystkie guziki kaszmirowego, eleganckiego płaszcza, niestety, zbyt lekkiego jak na panującą w samochodzie temperaturę. To była pewnie kara za moją próżność, bo nie chcąc uchodzić za ubogą krewną Toma, wystroiłam się w drogie rzeczy, w jakich normalni ludzie idą w niedzielę do modnej restauracji na obiad z przyjaciółmi. Poza tym Tom zawsze wyglądał świetnie, choć to, co miał na sobie, nie dawało się porównać z kosztownymi, markowymi ubraniami mojego męża. Po co więc ubrałam się tak niepraktycznie? Po co wzięłam kaszmirowy płaszcz, skoro w pracy zawsze nosiłam prostą sportową kurtkę?

Wokół panowała ciemna noc, gdy po wielu godzinach jazdy przekroczyliśmy, gdzieś w okolicach Kudowy, czesko-polską granicę. Przez całą drogę odzywaliśmy się do siebie tylko wtedy, kiedy trzeba było się zatrzymać, zmienić za kierownicą i wybrać prawidłową trasę.

Po raz kolejny stwierdziłam z ulgą, że z nikim nie milczy mi się tak dobrze jak z Tomem, bo ta cisza niczego nie skrywała, była po prostu sobą.

Tom odezwał się pierwszy:

- Nie wydaje ci się, że ta ciemność tutaj jest jakaś niesamowita? Powoli zaczynam mieć wrażenie, że wpadliśmy w wielką czarną dziurę.

Rzeczywiście, wokół panowały nieprzeniknione ciemności, jakby świat zanurzył się w czarnej ciężkiej wodzie. Wijąca się wśród niewielkich wzniesień wąska droga przypominała raczej żywe stworzenie nieruchomo przyczajone w tej gęstej ciemności niż zwykłą, podziurawioną, pamiętającą jeszcze czasy niemieckie, szosę. Przed nami i za nami nie było nikogo, z rzadka mijaliśmy jakieś przydrożne, wyglądające na opuszczone, na wpół zrujnowane domostwa. Jechaliśmy bardzo szybko, ja prowadziłam i czułam się przy tym jak uczestnik gry komputerowej, mający w szaleńczym tempie pokonać trasę z ciągle nowymi i nowymi zakrętami, za którymi być może czyha niebezpieczeństwo... Chciałam akurat Tomowi coś odpowiedzieć, gdy poczułam, że prawą stroną samochodu najechaliśmy na coś, bo jednocześnie usłyszeliśmy głuchoe tąpnięcie i lekko nas podrzuciło. Gwałtownie zahamowałam i wrzuciłam wsteczny bieg. W słabym czerwonym świetle tylnych reflektorów ujrzeliśmy... dwie leżące na jezdni nogi, reszta ukryta była w cieniu. Bez słowa wysiedliśmy z samochodu, Tom trzymał w ręku aparat, nawet nie wiem, skąd go tak szybko wyciągnął.

Mężczyzna leżał na wznak, dłonie miał skrzyżowane na piersiach, podobnie jak robią to ludzie śpiący na plecach.

Nie ma butów, gdzie są jego buty - pomyślałam przerażona, bo ich brak mógł oznaczać tylko jedno.

- O buty się nie martw, są tam, zobacz, jak równo ustawione - Tom albo czytał w moich myślach, albo bał się tego samego co ja, bo wskazał w kierunku leżącej w ciemnościach głowy mężczyzny.

Odetchnęłam z ulgą i bezradnie popatrzyłam na Toma. Choć nie miał zbyt pewnej miny, postanowił wziąć sprawy w swoje ręce.

- W porządku, ja sprawdzę, czy żyje - powstrzymał mnie ruchem ręki i nachylił się nad leżącym. - Żyje, ale nie wiem, czy wkrótce nie umrze na zatrucie alkoholowe.

- *Welcome home* - zachichotałam histerycznie. Tom powoli ustawiał obiektyw aparatu.

- I to w tobie lubię, zawsze wiesz, co w danym momencie powiedzieć. Trzeba będzie gdzieś go chyba zawieźć, w końcu przejechaliśmy mu po nogach, a swoją drogą może to być oryginalny sposób na złapanie okazji, w dzisiejszych czasach nikt dobrowolnie nie chce się zatrzymać.

Przestałam go słuchać, bo jak zwykle przy robieniu zdjęć mówił przede wszystkim do siebie. Rozejrzałam się wokół - nic tylko ciemność i absolutna cisza, przerywana znajomym trzaskiem migawki. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz minęliśmy jakieś zabudowania.

Nagle za swoimi plecami usłyszałam niski i chrapliwy głos. Trudno było powiedzieć, czy należy do mężczyzny, czy do kobiety.

- Dobry wieczór! Nie chcę wam tu namieszać, ale szukam mego chłopca. Coś mi się widzi, że on tam leży.

Nim dostrzegłam wyłaniającą się z ciemności postać, szybko spojrzałam na Toma. Był chyba trochę przestraszony, bo wysunął przed siebie aparat fotograficzny. Zza samochodu wyłoniła się postać z rowerem, kobieta, choć gdyby nie wysuwające się za szaroburej chustki siwe kosmyki włosów, trudno byłoby stwierdzić to jednoznacznie.

- Stary jak zwykle uchlał się i spieszno mu było uciąć sobie drzemkę. No, chyba nie narobił państwu zbyt wielu kłopotów?

Kobieta zbliżyła się i poczułam jej ciepły, przesiąknięty czosnkiem oddech. W każdej innej sytuacji byłoby to dla mnie nie do zniesienia, ale nie w tym momencie, bo teraz ogarnęło mnie dziwne, zniewalające przeczucie, że zaraz nastąpi coś nieoczekiwane-

go. Przez dłuższą chwilę patrzyłyśmy sobie badawczo w oczy, zaminając o istnieniu tamtych dwóch: śpiącego na poboczu pijaka i przystojnego fotografa robiącego zdjęcia niedoszłemu nieboszczykowi.

Miała niepokojące, przeraźliwie jasne oczy, pokryte srebrzystą mgiełką, zdradzającą początki bielma.

- Dziwną rodzinę masz, dziecko, chcesz od niej uciec. Twoja siostra nie żyje, wiedziałaś o tym, że umrze, i nie zrobiłaś nic... - oznajmiła spokojnym głosem, jakbyśmy rozmawiały o przepisach kulinarnych.

- Pani mnie zna? - przerwałam jej.

- I znam, i nie znam, w każdym razie nie tak, jak sobie myślisz. Większość ludzi nie może uciec od przeznaczenia, ale ty możesz. Musisz tylko to w sobie zobaczyć.

- Zobaczyć? Ale co zobaczyć? Jak? - Już mnie nie słuchała. Powoli odwróciła się do mnie plecami i podprowadziła rower do leżącego na poboczu męża, po czym kopnęła go kilkakrotnie w udo.

- Patrzcie państwo, jak to sobie zdrowo pochrapuje, parch jeden! Wstawaj, pijaku, pora znaleźć drogę do chałupy!

Mężczyzna, postępując, przewrócił się powoli na bok i macając jedną ręką ponad głową w poszukiwaniu butów, drugą podpierając się na łokciu, niezdarnie, przyklękawszy na chwilę na jednym kolanie, wstał. Teraz, w świetle tylnych świateł samochodu, mogliśmy zobaczyć jego twarz. Był starym, zniszczonym ciężką harówką i alkoholem mężczyzną, jakich na polskich wsiach można spotkać tysiące.

- Idę, idę, kurwa mać, kobieto - mrużąc pod nosem, jedną ręką uczepił się siodełka roweru, w drugiej zaś ścisnął skórzane robocze buty z cholewkami; i tak jakby ciągnięty na niewidzialnym sznurku, poczłapał za swoją żoną. Wychodząc z kręgu światła, nie zwalniając, kobieta odwróciła na chwilę głowę.

- Nie marnuj czasu, dziecko, dróg jest wiele, a ty nie znalazłaś jeszcze żadnej z nich. Idź!

A może powiedziała: „Jedź!”? Chciałam, aby powiedziała: „Jedź!”, bo wtedy to wszystko nabrałoby jakiegoś sensu. Najnowszy model porsche z pootwieranymi drzwiami i zapalonymi światłami czekał tylko na sygnał do odjazdu w kierunku cywilizowanego świata.

- Chryste, co to była za parka? Co to w ogóle było? Jakiś horror kręcą w okolicy, a może to program *Ukryta kamera*, czy coś w tym stylu?

Wyglądało na to, że dopiero teraz Tom pojął absurdalność całego wydarzenia.

Nisko pochylony, dokładnie badał miejsce, gdzie leżał mężczyzna. Ale po tych dwojgu nie zostało ani śladu, nawet nie wiedziałam, w którą poszli stronę. Równie dobrze mogło nam się to wszystko przyśnić.

- Zahipnotyzowała cię czy co? - Tom delikatnie dotknął mego policzka i przesunął mi przed oczami rękę. - Pobudka! Zawsze wiedziałem, że Polacy to pokręcony naród, ale żeby aż tak? W środku nocy, na jakimś przeklętym odludziu, przejeżdżasz gościowi po nogach, a on nic, cały i zdrowy ucina sobie na drodze przy zerowej temperaturze drzemkę. Na gołej ziemi, ale bez butów, bo pewnie myśli, że jest w domu. Kornelia, co ta baba ci nagadała?

- Nie wkurzaj się, Tom, wsiadaj do samochodu i jedziemy, bo zrobiło się cholernie zimno. Pogadamy po drodze. A propos, ten twój pies obronny to kompromitacja dla całej psiej rasy, śpi w najlepsze, jakby był u siebie w koszyczku - parsknęłam pogardliwie, chcąc całą jego uwagę skupić na tym psim odszczepieńcu, który okazał się suką. - Tepe to, i na dodatek suka - nijak nie mogłam jej wybaczyć tego wpychania pyska pod spódnicę.

Tom jednak nie dał odwieść się od interesującego go tematu. Gdy tylko ruszyliśmy, znów zapytał mnie o to samo:

- Powiedz w końcu, o czym mówiła ta baba!

Byłam zmęczona, nie chciało mi się wymyślać żadnych historii i chyba tylko dlatego powiedziałam:

- Sama nie wiem, nic konkretnego nie mówiła... W każdym razie wiedziała, że moja siostra nie żyje. No i że ja o tym, że zginie, dużo wcześniej wiedziałam. To by się zgadzało, bo rzeczywiście wiedziałam, że ona zginie, sama mi o tym powiedziała... I coś tam jeszcze o poszukiwaniu własnej drogi, i o tym, że ja - w przeciwieństwie do innych ludzi - mogę uciec od swego przeznaczenia. To wszystko.

- Chryste, mam nadzieję, że nie ja jestem twoim przeznaczeniem. Tym, od którego możesz uciec, oczywiście - miało to zabrzmieć żartobliwie, ale nie zabrzmiało. Tom westchnął ciężko, jakby naprawdę przejął się tym, co usłyszał, chociaż nie wydawało mi się to możliwe, prawdopodobnie był już wykończony tą wielogodzinną podróżą. Do końca jazdy nie odezwaliliśmy się do siebie ani słowem.

W niecałe dwie godziny później, grubo po północy, znaleźliśmy się wreszcie na miejscu. Alejka biegnąca między dwoma zarośniętymi stawami rybnymi była pusta. Podjechaliśmy na dziedziniec okazałego pruskiego pałacu zbudowanego w stylu neogotyckim, z salą balową w formie przybudówki i niewysoką wieżą.

Wieżę tę, choć była niewiele wyższa od całego kompleksu pałacowego, wzniesiono na tyłach głównego budynku, w miejscu, gdzie ziemia załamywała się nagle, tworząc naturalną kilkunastometrową przepaść. Miejscowi opowiadali, że ostatnia właścicielka pałacu popełniła w czasie wojny samobójstwo, skacząc z tej wieży. Podobno chciała w ten sposób uratować swych synów, przebywających od początku wojny w Stanach Zjednoczonych, bo władze faszystowskie, chcąc zmusić ich do powrotu do Rzeszy, szantażowały rodzinę groźbą wysłania matki do obozu koncentracyjnego.

Patrząc tej nocy na ciemne kontury wieży, dobrze widoczne na tle granatowego nieba, po raz pierwszy mogłam sobie wyobrazić determinację niemieckiej hrabiny.

Po wojnie pałac stał się siedzibą dyrekcji miejscowego pegeeru. Był również miejscem, gdzie spędziłam dzieciństwo i wczesną młodość. Choć pegeer właściwie przestał już istnieć i biura na dole zamknięto na cztery spusty, moja mama tak jak dawniej, nadal, zajmowała olbrzymie pierwsze piętro między pustym parterem a mansardowym poddaszem.

Pałac otaczał rozległy, zdziczały park w stylu angielskim, od strony południowej w naturalny sposób łączący się z bukowym lasem. Podobno przed wojną miejsce to znane było w całej okolicy z malowniczych stawów, kanałów, alei i polan widokowych. Na jednym z kanałów była nawet romantyczna wysepka. Z dawnej świetności pozostało jedynie kilka starych, trzystuletnich dębów. Szczególnie widać to było późną jesienią, kiedy park nie potrafił ukryć swojego kalectwa i rok po roku, pozbawiany bogactwa zieleni, musiał przyznawać się do klęski.

I w parku, i w pałacu panowały całkowite ciemności, jedyne światło padało z pozbawionej szybek kutej żelaznej lampy, zawieszanej prawie trzysta lat temu nad tymi samymi dębowymi drzwiami wejściowymi. W słabym świetle żarówki można się było raczej domyślać istnienia bogato rzeźbionego, wykutego w kremowym piaskowcu pięknego portalu.

Tom zdawał się drzemać, choć w momencie, kiedy wyłączyłam silnik, natychmiast otworzył oczy.

- Jesteśmy na miejscu? Co to? *Psychoza osiemnaście?*

- Osiemnaście? To nakręcili już siedemnaście części? - postanowiłam dostosować się do głupekowatego tonu Toma, choć w duchu musiałam przyznać, że skojarzenie z amerykańskim dreszczowcem było niezwykle trafne.

- Wyprowadź kundla na siusiu, bo jak się zsika u mamy na salonach, to będzie pierwszą ofiarą śmiertelną w tym odcinku. I pospiesz się, bo tu łatwo się zgubić.

- Mnie tak łatwo nie nastraszysz, co innego Socke, ją możesz taką gadką bardzo łatwo wpędzić w stany lękowe - Tom zaśmiał



się stanowczo za wesoło jak na tak późną porę, no ale w końcu przyzwyczajony był do pracy w nocy i do koszmarnych scenerii.

Wysiedliśmy z samochodu i pierwsze, co poczułam, to dawno zapomniany zapach otaczającego posiadłość parku. Był niepowtarzalny - mieszanina gorzkich ziół, siana, zbutwiałych gałęzi i liści, wilgotnego powiewu od strony pól i lasu... Plecami oparłam się

O samochód i chyba po raz pierwszy w moim życiu poczułam żal za dzieciństwem, żal i czułość do tej małej, samotnej dziewczynki, którą byłam przed dwudziestu laty. Tylu ludzi odeszło i tyle zdarzeń minęło bezpowrotnie, a ten zapach, najpiękniejszy zapach na świecie, ciągle był taki sam, niepowtarzalny, niosący z sobą tajemnicę czasu, tajemnicę trwania... O każdej porze roku inny, każdego roku taki sam.

Noc była zimna, a niebo granatowe, bezchmurne, migocące słabym światłem gwiazd. Nagle zmęczenie podróży, świadomością śmierci Luizy i życiem w dużym mieście zniknęło, gdzieś się ulotniło, ciało i dusza przestały mi ciążyć, i zaczęłam istnieć, czując wypełniającą mnie, rozpierającą radość. To było szczęście.

Gdzieś niedaleko w ciemnościach cicho pogwizdywał Tom i słychać było szaleńcze susy owczarka.

Szczęście nie może trwać wiecznie, szybko staje się nudne, i chyba dlatego raj nie jest miejscem dla człowieka. Szczęście, żeby było szczęściem, powinno trwać krótką chwilę i pozostawić po sobie niewyraźny cień wspomnienia.

- Czekałam na ciebie do późna w nocy, w końcu przysnęłam, chyba akurat wtedy, gdy podjechałaś - mama zdawała się nie dostrzegać Toma, choć mówiła do mnie po niemiecku; może myślała, że skoro po tylu latach przyjechałam z Niemiec, będę chciała mówić tylko w tym języku. Chyba miała trochę racji, bo później zauważyłam, że mój polski brzmi sztucznie, zresztą podobnie jak niemiecki mamy.

- Skąd wiedziałaś, że przyjadę dzisiaj?

- Mara mi powiedziała. Początkowo czekałyśmy obydwie, ale potem mała nie wytrzymała i poszła spać.

- A skąd Mara wiedziała, że przyjadę?

Cichy, niemal czuły ton głosu mamy dziwnie działał mi na nerwy i nie potrafiłam ukryć zniecierpliwienia. Między nami nigdy nie było czułości, więc skąd teraz to uczucie?

- Mara potrafi przewidywać przyszłość, podobnie jak jej matka... zresztą to nic takiego, ona potrafi wiele innych rzeczy - mama zawiesiła głos, jakby czekała na moje następne pytanie. Teraz byłam pewna, że ona również wie o śmierci Luizy, i przez sekundę miałam wrażenie, że ma mojej siostrze za złe... to, że zginęła.

- Jak to „wiele innych rzeczy”?

- No, na przykład lewitować, wiesz, unosić się w powietrzu, jak się nad czymś zamyśli albo jest smutna...

W dalszym ciągu staliśmy w olbrzymim, prawie całkowicie ciemnym, bo oświetlonym tylko przez dwa barokowe kinkiety przedpokoju; w pewnej chwili za plecami usłyszałam głębokie westchnienie Toma. Chyba już miał na dzisiaj dosyć tych czarów-marów. Zrobiło mi się trochę głupio, więc na wszelki wypadek zmieniłam temat.

- Pora iść spać. Masz, mamó, jakiś pomysł, jak nas położyć?

- Twój pokój jest tam gdzie zwykle, od twojego wyjazdu nic się w nim nie zmieniło, a twój znajomy - przepraszam, jak ci na imię?

- Tom - wrzasnęliśmy prawie jednocześnie, tak jakby mama była głucha.

Rozśmieszyło nas to i po raz pierwszy, odkąd weszliśmy do pałacu, odczuliśmy ulgę. Zauważyłam, że mama śmieje się jak mała dziewczynka, osłaniając dłonią usta.

- No więc Tom może spać, gdzie mu się podoba, na przykład w bibliotece albo w salonie, albo w gościnnym, choć tam jest najmniej przytulnie, bo nikt od lat nas nie odwiedza. Myślę, że biblioteka, tak, biblioteka będzie dla Toma w sam raz.

Nie miałam pojęcia, o co mamie chodziło, ale było mi to obojętne, chciałam już wreszcie zostać sama, zamknąć oczy i o niczym nie myśleć. Pies został w holu i było to nie lada ustępstwo ze strony mamy, bo mimo że z wykształcenia była weterynarzem, wyraźnie oddzielała świat zwierząt od świata ludzi. Pies, a w dodatku pies wielki jak koń, powinien siedzieć na dworze.

Musiałam się chyba zdrzemnąć, bo ocknęłam się gwałtownie, gdy usłyszałam, jak modrzewiowy parkiet dziecinnego pokoju trzeszczy pod ciężarem ostrożnie stawianych kroków. Wokół panowały nieprzeniknione ciemności, ale od razu wiedziałam, że to mama. Ostrożnie usiadła na brzegu łóżka w stylu biedermeier - prezentu od jakichś znajomych, którzy z uwagi na to, że mieszkamy w pałacu, ciągle uszczęśliwiali nas zabytkowymi meblami.

Chwilę milczała, tak jakby wsłuchiwała się w mój oddech.

- Dziękuję, córeczko, że przyjechałaś. Jakoś nigdy ze sobą nie rozmawiałyśmy, nawet jak byłaś mała... Zawsze miałam poczucie winy w stosunku do was, zawsze wydawało mi się, że mnie obwiniecie, szczególnie ty, że mnie obwiniasz za postępowanie ojca...

- Twój ojciec zranił mnie tak bardzo, że już nikomu nie potrafiłam okazać uczuć... nawet moim dzieciom. To milczenie pozwoliło mi żyć. Wiesz, tyle lat, miesięcy, dni, godzin... do tego można się przyzwyczaić, ale teraz, kiedy nie ma już Lulu, myślę sobie, że nie miałam prawa milczeć, nie wolno mi było zamykać się, nie przed moimi dziećmi, a teraz... teraz w przypadku Lulu jest już za późno.

Mama chyba płakała, bo nagle przestała mówić, tak jakby nie miała już siły, jakby smutek zabrał jej wszystkie słowa świata. Leżałam nieruchomo, sztywna ze strachu, że będę musiała coś powiedzieć, że matka i córka będą musiały przyznać się do swojej obecności, a tak w ciemnościach, przykryta ciężką pierzyną, mogłam udawać, że mnie nie ma, że nas nie ma.

Poczułam gorące łzy, wbrew mojej woli płynące po policzkach, pierwsze łzy przy mojej matce. I poczułam jej dłoń na moich włosach, ciężką, szorstką dłoń, która nieporadnie przesuwiała się po mojej głowie, ciągle niżej, niżej, aż w końcu dotknęła ciepłego od łez policzka.

- Kocham cię, córeczko, zawsze cię kochałam, bardziej niż kogośkolwiek na świecie.

Z trudem podniosła się z łóżka i tak jakby chciała je zaścielić, powolnym, szerokim ruchem dłoni wygładziła pierzynę, którą byłam przykryta.

- Śpij dobrze, kochanie.

I tak jak się pojawiła, prawie bezszelestnie, ostrożnie omijając skrzypiące deski podłogi, tak samo wyszła.

Dopiero wtedy pozwoliłam sobie na płacz, rozpaczliwy szloch, który wydarł się z głębi mego serca.

Gdzieś koło południa obudziło mnie głośne szczekanie psa i wesołe pokrzykiwania dziecka, mocnym echem odbijające się od wysokich pałacowych ścian. Za moich czasów w domu tym zawsze panowała cisza; nie żeby ktoś zabronił nam hałasować, ale wszystkie trzy wtapiałyśmy się w ten spokój i odgłosy dochodzące z zewnątrz - warkot traktorów na polu, nawoływania robotników, głosy zwierząt - i one całkowicie nam wystarczały. Mało kto czuł się u nas dobrze, bo mało kto jest w stanie znieść taką ciszę.

Wszystkie drzwi na naszym piętrze były pootwierane i wyglądało na to, że Mara bawi się z psem, biegając po całym domu. Nie sądziłam, że ten senny olbrzym ma w sobie tyle witalności, widocznie psy lubią dzieci, a dzieci lubią psy.

Mamę zastałam w kuchni samą, siedziała przy starym dębowym stole, pamiętającym oczywiście czasy mojego dzieciństwa, i czytała gazetę. To było coś nowego, nigdy wcześniej nie widziałam jej czytającej prasę. Stałam cicho w drzwiach, bo najpierw chciałam

oswoić się z jej widokiem. Czas oddala ludzi od siebie, ale i czas łagodzi zniszczenia, które życie po sobie zostawia.

Wiedziałam, że przede wszystkim powinnam przywitać się z siostrzenicą. Tylko jak wita się z dzieckiem, które nigdy nie miało ojca i właśnie straciło matkę? Bałam się spojrzeć małej w oczy, bo bałam się jej bólu, jej rozpaczy, i odetchnęłam z ulgą, gdy usłyszałam, że dziewczynka razem z psem zbiega na dół po schodach, aby wyjść na dwór w poszukiwaniu nowego miejsca do zabawy. Właśnie chciałam przywitać się z mamą i zapytać, jak Mara przyjęła wiadomość o śmierci Luizy, kiedy poczułam, że czyjeś ręce obejmują mnie w talii. Nawet nie musiałam odwracać głowy, aby wiedzieć, kto wywołał we mnie taką falę gorąca. Chyba zbyt gwałtownie zareagowałam, bo odpychając Toma, dostrzegłam w jego oczach zdziwienie. Zaraz potem na jego twarz powrócił promienny uśmiech.

- Mam nadzieję, że dobrze spałaś, bo martwiliśmy się już z Różą, czy przypadkiem nie zapadłaś w śpiączkę. W takim zamku pewnie o to nietrudno, wiesz - te bajki o śpiących królewnach - zaśmiał się wesoło, tak jakby naprawdę było z czego. Spojrzałam uważnie na mamę, bo przez chwilę miałam wrażenie, że widzę zalotny błysk w jej oczach. Postanowiłam zignorować Toma i... mamę... Różę.

- Kawa, tylko kawa pozwoli mi znieść wasze towarzystwo - aby ukryć zażenowanie, zmusiłam się do lekkiego, żartobliwego tonu. Tom roześmiał się szczerze, a mama z uśmiechem pokiwała głową.

Na szczęście nie odezwała się ani słowem i zabrała się do robienia kawy. Tom wygodnie rozsiadł się przy stole i zaczął machinalnie przeglądać gazetę. Wyglądał wspaniale w tej olbrzymiej pałacowej kuchni, tak jakby się tu urodził i nigdy stąd nie wyjeżdżał. Kiedy się w końcu odezwał, głos miał cichy i skupiony, właśnie taki, do jakiego przywykłam w tych murach:

- Wiesz, Kornelia, postanowiłem nie wracać do Rosenheimera, postanowiłem rzucić pracę w dzienniku. Już mnie to nie bawi...

- Co cię nie bawi? Fotografowanie nieboszczyków?

- Właśnie.

- A co cię teraz bawi? - w moim głosie zabrzmiała niezamierzona kpina. Wiedziałam, że mama uważnie przysłuchuje się naszej rozmowie, pozornie zajęta robieniem dla mnie śniadania.

- Będę szukał... dróg jest wiele. Rano pochodziłem po okolicy, zupełny odlot dla fotografa, trochę taka zona Tarkowskiego.

- To znaczy, że co, chcesz się tutaj osiedlić?

- Może? Dlaczego by nie? To, co tu się dzieje, jest niesamowite...

- Fałszywy romantyzm - parsknęłam pogardliwie. - Masz na myśli tych wykończonych wódą i ciężką pracą ludzi, te zrujnowane poniemieckie gospodarstwa, upadłe pegeery, bezrobocie, beznadzieję na każdym kroku i hordy małych zasmarkanych dzieciaków?

- Co to jest właściwie ten pegeer?

Dłuższą chwilę patrzyliśmy na siebie bez słowa. Byliśmy tacy sami. Natura obdarzyła nas atrakcyjną powierzchownością, taką, która kojarzy się ze szczęściem, z sukcesem, świat lubi ładnych ludzi i daje im większy kredyt zaufania niż innym. W redakcji czy na konferencjach prasowych często słyszałam komentarze zdradzające podziw i uznanie: „Ta piękna Polka z tym przystojnym fotografem”.

Tylko że w środku było z nami coś nie tak, i to nie dlatego, że kiedyś mama dała nam klapsa.

- Jeśli chodzi o twoje pytanie, to mam na myśli siebie, Toma Weillingera, trzydziestoletniego fotografa, którego życie upływa na fotografowaniu zwłok, na fotografowaniu kupy gówna... Nie przyszło ci do głowy, że jesteśmy jak hieny cmentarne?

Nie mogłam już dłużej tego słuchać, w końcu po tylu latach wróciłam do domu, aby ostatecznie pożegnać się z jedyną siostrą, i to było ważne, a nie to, czy obiekt westchnień większości dziennikarek i policjantek w Monachium przerzuci się na fotografowanie wegetujących ludzi i walących się domów.

- Hieny cmentarne? To już nikogo nie rusza, wyszło z mody. Kto by dziś przejmował się takim określeniem?

- Czasami nie rozumiem...

- Naprawdę masz już trzydzieści lat? Szkoda, miałam nadzieję, że jesteś młodszy ode mnie, lubię młodszych od siebie facetów. A tu okazuje się, że jesteś moim rówieśnikiem, szkoda, szkoda, jak dla mnie jesteś za stary.

Miało być na luzie, dowcipnie, a zabrzmiało tylko głupio.

- Też myślałam, że jesteś młodsza... Wiesz, że dowcip nie jest twoją mocną stroną - głos Toma zdradzał zdenerwowanie.

- Sorry, Tom, jakoś nie jestem dziś w nastroju...

- Cześć, Kornelia! Chciałam ci podziękować za to, że pozwoliłaś Tomowi zabrać Lotte, ona jest taka świetna - na twarzy mojej siostrzenicy pojawił się promienny uśmiech.

Nie miałam pojęcia, od kiedy tak stała w drzwiach, ale na pewno dłuższą chwilę, bo zdążyła już wygodnie oprzeć się o framugę, podobnie jak ja to zrobiłam, obserwując mamę czytającą gazetę. Po raz pierwszy w moim życiu zauważyłam, że małe uśmiechnięte dziewczynki potrafią stworzyć wokół siebie atmosferę bez troski i radości.

- Cześć, Mara! Jak ty nazywasz tego psa, Lotta? Przecież on się wabi Socke, czyli Skarpeta.

- Możliwe, Tom mówił mi o tym, ale ja nazwałam ją Lotta, ona przepada za tym imieniem. Popatrz!

I nagle drobna Mara wrzasnęła na całe gardło silnym głosem:

- Lotta, Lotta, do nogi!

W mgnieniu oka pies usiadł przy nogach dziewczynki i chyba się uśmiechał, psim uśmiechem oczywiście, w każdym razie takie odniosłam wrażenie. Byłam wdzięczna psu za to, że jest, i postanowiłam puścić w niepamięć te wszystkie psie odchody walające się po chodnikach i trawnikach, a nawet to pchanie łba pod spódnicę.

- Niesamowite, ujarzmiłaś potwora...

- Potwora? Kornelia, coś ty, takiego potwora jak na przykład... na przykład... smok wawelski?

Zrobiło mi się głupio i ucieszyłam się, że dziecko mówi po polsku, bo Tom nic z naszej rozmowy nie rozumiał. Chcąc ukryć zmieszanie, wstałam od stołu i podeszłam do Mary, aby się przywitać. Mój pocałunek zamiast na policzku wylądował gdzieś z boku głowy, całkiem zapomniałam, że małe dziewczynki nie lubią ciocinych buziaków, przecież sama ich nienawidziłam. Luiza, w przeciwieństwie do mnie, z uśmiechem znosiła wszystkie uściski, pocałunki i głaskania. Najgorsze były chyba prababcie - stare pomarszczone kobiety, których oddech obrzydliwie śmierdział i za którymi snuł się gryzący zapach moczu. Miałyśmy ich aż dwie - dwie dobiegające osiemdziesiątki siostry bliźniaczki, obie uwielbiały nas ścisnąć, to znaczy Luizę, bo ja starałam się nie zbliżać do nich na odległość mniejszą niż dwa metry, choć były to niezwykle żywotne prababcie i czasem potrafiły złapać mnie znienacka.

- Jakiś narowisty ten twój dzieciak - mówiły do mojej mamy albo do babci, która je od czasu do czasu do nas przywoziła.

- W porządku, masz rację, Lotta to bardzo miły piesek, ale skąd przyszło ci do głowy takie ładne imię?

- Dziadek czytał mi po niemiecku książkę o podwójnej Lotcie, czyli o dwóch bliźniaczkach, które rozłączono i dlatego żyły w dwóch różnych krajach. Moja Lotta jest co prawda jedna, ale ma dwa życia: jedno jako Socke u Toma, drugie jako Lotta u mnie.

- Ahaaaaa! Fajnie to sobie wymyśliłaś - nic lepszego nie przyszło mi do głowy, a poza tym byłam zdziwiona, że dziadek, czyli mój ojciec, spotykał się z Marą, a skoro z Marą, to czy także z moją mamą? Właściwie nie byłam zdziwiona, tylko zirytowana, no, raczej nie zirytowana, ale wprost wściekła.

Na razie miałam dosyć, zapragnęłam samotności, bo przywracała mi spokój, tak samo niezbędny jak powietrze do oddychania. Niczego tak panicznie się nie bałam, jak wewnętrznego rozdygotania, bo wiedziałam, że tylko dystans wobec ludzi i zdarzeń pozwala uniknąć cierpienia...

- A teraz wybaczcie, muszę na godzinkę gdzieś pojechać.



- Chętnie pojedę z tobą... - Tom spojrzał na mnie z takim niewinnym chłopcim uśmiechem, że po raz drugi tego dnia zrobiło mi się gorąco.

- Przepraszam, Tom, ale chciałabym jechać sama.

- Skoro tak... - Tom wzruszył tylko ramionami, byłam mu wdzięczna, że nie robi urażonych min i nigdy nie próbuje mnie przekonać do czegoś, na co nie mam ochoty.

W przytłumionym jesiennym słońcu przypałacowy park i przylegająca doń wieś wyglądały szaro i smutno. Osierocony skrawek ziemi. Gdy wyjeżdżałam ze wsi, towarzyszył mi jedynie skołtuniony, wściekle obszczekujący mój samochód kundel.

Postanowiłam pojechać do pobliskiego miasteczka, Tom prosił mnie o oddanie do wywołania filmu z poprzedniej nocy i zawsze był to jakiś powód, aby tam się wybrać.

W miasteczku, w którym chodziłam do szkoły średniej, prawie nic się nie zmieniło: te same kocie łby, krzywe i dziurawe chodniki, pełne liszajów fasady przedwojennych kamieniczek i peerelowskich bloków. Tylko setki byle jakich tablic i napisów z reklamą zachodnich produktów świadczyły o zmianie ustroju w Polsce. Coca-Cola, Triumph, Opel, Always, L'Oreal, Adidas, Kodak... Niech żyje kapitalistyczna rewolucja!

Zakład fotograficzny mieścił się na parterze jedynej odnowionej w okolicy kamienicy. W jego wnętrzu pachniało świeżą farbą i zapowiedzią lepszej przyszłości. Może wystarczyło popatrzeć przez obiektyw jednego z aparatów fotograficznych, grzecznie stojących w zamykanej na kłódkę oszklonej gablocie, każdy znanej zachodniej marki...

Młoda sprzedawczyni, pochłonięta lekturą jakiegoś kolorowego czasopisma, obrzuciła mnie przelotnym spojrzeniem, uśmiechnęła się uprzejmie do ściany naprzeciwko i powróciła do lektury. Ciekawe, skąd wiedziała, że mi się nie spieszy? W spokoju przestudiowałam

wiszący na ścianie cennik usług: wywoływanie filmów, powiększanie zdjęć, zmniejszanie zdjęć, robienie kopii i odbitek, portrety w różnych formatach, zdjęcia pamiątkowe, zdjęcia do paszportu, a nawet robienie okolicznościowych filmów wideo. Właśnie dobrnęłam do ostatniej pozycji, kiedy kątem oka zobaczyłam wychodzącego z zaplecza olbrzyma, na oko sto dwadzieścia kilogramów żywej wagi i metr dziewięćdziesiąt wzrostu.

- Kaśka, ścisz do cholery to radio, ogłuchnąć można - huknął z miejsca na czytającą sprzedawczynię. Dziewczyna z ironicznym grymasem, przeciągając się przy okazji, odłożyła na bok pismo < i ściszyła radio stojące tuż obok niej na nowoczesnej szklanej ladzie w chromowym stelażu.

- Z torbami mnie puścisz, dziewczyno, jak tak dalej będziesz obsługiwać klientów - mówiąc to, olbrzym przyglądał mi się z nieukrywanym zainteresowaniem.

- Kornelia? Nie do wiary! Kornelia! - krzyknął ucieszony i błyskawicznie, z niespodziewaną jak na taką masę ciała energią, zgrabnie omijając szklane regały, podszedł do mnie, wyciągając na powitanie śmiesznie małą i drobną dłoń.

- Witam! Jak się masz?!

Podając mu rękę, uśmiechnęłam się słabo, bo w żaden sposób nie mogłam go skojarzyć. W końcu, biorąc pod uwagę jego wzrost i ciężar, z pewnością trudno go było przeoczyć. Cerę miał niczym gigantyczny bobas, gładką i zaróżowioną. Mężczyzna z taką cerą był na pewno stuprocentowym impotentem. Sama nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy.

- Pewnie się znamy, skoro pan mnie zna, tylko że ja nie bardzo...

- Co tam, nic nie szkodzi, że mnie nie pamiętasz, pozwolisz, że będę mówił ci na ty? Chodziliśmy razem do ogólniaka, tyle że ja byłem o dwie klasy niżej, no i ważyłem o kilka deka mniej. No niech mnie... - olbrzym wyrzucał z siebie słowa, nie spuszczając ze mnie ani na sekundę wzroku, czujnie taksując mnie milimetr po milimetrze, aż w końcu poczułam irytację.

- W naszej klasie wszystkie chłopaki w tobie się kochały, ja też oczywiście.

Za plecami rozległo się głośne parsknięcie sprzedawczyni Kaśki. Jej szef zdawał się nie zwracać na to najmniejszej uwagi.

- Naprawdę? A możesz mi przypomnieć, jak się nazywasz? - nic mądrzejszego nie przyszło mi do głowy i nie bardzo wiedziałam, jak zakończyć tę rozmowę - co mnie w końcu obchodził jakiś cichy wielbiciel sprzed kilkunastu lat.

- Marek, Marek Kowalczyk - olbrzym po raz drugi uchwycił moją rękę i z przesadną kurtuazją głośno ją pocałował. - Strasznie jestem ciekawy, co tam u ciebie słychać, opowiadaj, czym się zajmujesz.

- Ja? Czym się zajmuję...? Hmm... jestem pisarką - po chwili wahania palnęłam pewnym siebie głosem.

- Niesamowite! Nie dość, że taka piękna kobieta, to jeszcze pisarka? Opowiadaj, o czym piszesz, może już coś twojego czytałem, nie wiedząc, że znam autorkę.

Grubas nie wyglądał na takiego, co czyta, ale było mi to obojętne.

- Tak naprawdę nie napisałam jeszcze ani jednej... dopiero mam taki zamiar.

Znowu za plecami usłyszałam parsknięcie, tyle że tym razem dużo głośniejsze niż to pierwsze.

- Będę pisać po niemiecku - dodałam tonem usprawiedliwienia.

- Wspaniale! Wspaniale! To coś tak jak nasz... jak mu tam? Przybylski... Przybyszewski? Ten przed wojną, oczywiście.

- Przybyszewski. Stanisław Przybyszewski, pisał przed dwiema wojnami: przed pierwszą i przed drugą. Chociaż raczej powinno się powiedzieć: w okresie pierwszej wojny światowej, bo to oznacza, że tworzył przed nią, w jej trakcie i po niej - zupełnie niechcący wpadłam w ton znerwicowanej nauczycielki, od dawna zdającej sobie sprawę z bezsensowności wszelkich wysiłków pedagogicznych.

- Pewnie, pewnie. Masz rację. Podoba mi się to powiedzonko: "Przed wojną", wszystko, co było, było przed jakąś wojną, no nie?

- No, niezupełnie...

- Pewnie, że niezupełnie, to tylko czysta teoria. Powiedz lepiej, jak tam mąż, dzieci?

- Dzieci nie mam, a mój mąż zaginął, chyba w Grand... w Wielkim Kanionie - tym razem to ja parsknęłam śmiechem, bo cała ta rozmowa przybierała karykaturalny wymiar. Marek Kowalczyk zrobił lekko zdziwioną minę, choć widziałam, że jego niezaspokojona ciekawość sięgnęła zenitu. Ale co tam, nie każdemu ginie mąż w Wielkim Kanionie. Szybko zmieniłam temat.

- Mam prośbę, kolega, z którym pracuję, prosi o wywołanie tego filmu, bardzo zależy mu na czasie...

- Nie ma sprawy, załatwimy to, dla starych przyjaciół zrobi się ekspres. Może być na szóstą wieczór?

Chyba byłam uzależniona od kawy, bo kiedy w końcu wyszłam z zakładu fotograficznego Kowalczyka, naszła mnie taka ochota na filiżankę mocnej czarnej kawy, na podwójne, ciężkie od kofeiny espresso, że postanowiłam natychmiast zaspokoić to pragnienie. Okazało się jednak, że w pięcioletnim prowincjonalnym miasteczku, późną jesienią, wcale nie jest to takie łatwe. Małe miasta mają to do siebie, że są za małe, aby jeździć po nich samochodem, i za wielkie, kiedy trzeba oblecieć je pieszo. Przemarznięta, w lekkich zamszowych półbutach od Prądy, prezent od Thomasa sprzed roku, i cienkim kaszmirowym płaszczu - kupiłam go również przed rokiem, na wyraźne życzenie Thomasa, bo sama nie wpadłabym na to, żeby wydać fortunę na okrycie, które mogło uchodzić za ciepłe chyba tylko na południu Włoch - po prawie godzinnym poszukiwaniu, włącznie z nagabywaniem spieszących się gdzieś przechodniów - a jeszcze kilka lat temu ludzie w tym miasteczku wcale się tak nie spieszyli - poddałam się. Nigdzie, ale to nigdzie, nawet na dworcu PKP, nie znalazłam miejsca, gdzie mogłabym napić się kawy, choćby zwykłej neski, choćby z plastikowego

kubka. Później okazało się, że gdzieś za miastem jest hotel obsługujący autokary pełne niemieckich babć odbywających tak zwane „podróże nostalgiczne do kraju ich dzieciństwa i młodości”, a wiadomo, że kawa, oczywiście ta świeżo zmielona i przepuszczona przez papierowy filtr, jest w Niemczech, obok piwa, napojem decydującym o treści, jakości, a nawet istocie życia. Postanowiłam więc wracać do mamy.

Po drodze zastanawiałam się, czy mogę mieć coś wspólnego z niemieckimi babciami przyjeżdżającymi w te strony. W końcu zdecydowałam, że chyba nie, choćby z powodu różnicy wieku. Ja miałam przypuszczalnie całe życie przed sobą, ich czas już minął, w każdym razie jako indywiduum, bo ich duch będzie żył jeszcze przez wiele pokoleń. Mój duch nie miał większych szans na przeżycie, a to dlatego, że nie należał do żadnej określonej kultury, tradycji, błąkał się gdzieś między światami, nie mając szans na odegranie jakiejś większej roli w historii ludzkości.

Przez chwilę wahałam się, czy nie pojeździć trochę po sąsiadujących z pałacem wsiach, popatrzeć choć przez okno samochodu na otaczające go lasy i olbrzymie połacie pofałdowanych pól... Latem, porośnięte gęstą, równą pszenicą wyglądały jak pełen złotej wody ocean, szczególnie wtedy, kiedy od wschodu nagle dmuchał orzeźwiający wiatr i wszystkie kłosa, jak na komendę, upodabniały się do prawdziwych morskich fal.

Jednak przemożna ochota na kawę była silniejsza niż nostalgiczne zapędy przyszłej pisarki.

Na myśl, że zostanę sławną pisarką, nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Wiedziałam już dokładnie, jakie książki będę pisać: na pewno bez szarzyzny i sztucznie skonstruowanych dylematów psychologicznych nudzących się, przez setki stron, bezbarwnych postaci, ale za to z porządną dawką eksplodujących emocji, z całą gamą intensywnych, wielkich uczuć. Media pierwsze odkryły pustkę w duszy swoich odbiorców i tę tęsknotę za prawdziwą miłością, prawdziwą nienawiścią, a nawet prawdziwą śmiercią, w każdym

razie nie taką, jaka czekała na niemieckie babcie podróżujące „w przeszłość”. Na nie czekała śmierć typu science fiction, długa, bezosobowa śmierć w jakiejś nowoczesnej klinice, specjalizującej się w sztucznym podtrzymywaniu procesów życiowych za pomocą podłączonych do komputera plastikowych węży. Wszystko dla dobra gospodarki globalnej, bo każde takie życie przynosi dochód właśnie gospodarce globalnej. Całe szczęście, że w końcu dojechałam do domu, bo moje myśli stanowczo za daleko odbiegły od filiżanki kawy.

W domu oprócz kawy, mamy i Toma, którzy w dalszym ciągu siedzieli w kuchni i wyglądało na to, że świetnie się ze sobą czują, czekała na mnie wiadomość od Cornelia z prośbą o telefon. Nie miałam najmniejszej ochoty akurat teraz z nią rozmawiać, bo świat, w którym tkwiła ona i jej telefon, wydawał mi się równie odległy jak Mars czy Wenus. Gdy pół godziny po moim powrocie z miasteczka ponownie rozległ się dzwonek telefonu, wiedziałam, że mnie to nie ominie; po drugiej stronie była oczywiście Cornelia.

- Całe szczęście, że zostawiłaś na sekretarce swój numer telefonu w Polsce. Pewnie o niczym jeszcze nie wiesz, ale dzisiaj rano większość dzienników zamieściła informację, że policja wszczęła śledztwo w sprawie zaginięcia twojego męża w Stanach. Piszą o nim jako o znanym monachijskim prawniku, współwłaścicielu kancelarii adwokackiej, a ciebie opisują jako świetną dziennikarkę pochodzącą z Polski, po której również ślad zaginął. Spekulacji jest wiele: pierwsza żona, jakaś historia z międzynarodową mafią, o której podobno pisałaś, jakiś młody mężczyzna, z którym widywano cię w intymnych sytuacjach...

- Cornelia, daj już spokój! Rzeczywiście nazwano mnie „świetną dziennikarką”? - Musiałam powiedzieć coś głupiego, aby rozluźnić trochę naszą rozmowę i zyskać kilka sekund na zebranie myśli.

Moja przyjaciółka potraktowała to pytanie śmiertelnie poważnie, choć wyczułam nutę zniecierpliwienia w jej głosie.

- Tak, właśnie tak o tobie napisano, jeśli chcesz, przeczytam ci ten fragment, ale mówiąc szczerze, to ta informacja jest w tym wszystkim najmniej ważna. Nie wiesz przypadkiem, kto mógł wystąpić o wszczęcie dochodzenia w sprawie zaginięcia Thomasa?

- Wiem. To ja poprosiłam o to policję.

- Ty?! Jak to ty?

- Normalnie. Nie ma go już trzeci miesiąc. Nie wydaje ci się, że coś jest nie w porządku? W końcu miał wrócić po dwóch tygodniach. Nie wkurzyłoby cię to, że twój mąż nawet do ciebie nie zadzwoni, nie da najmniejszego znaku życia? Nie mogę żyć tak w zawieszeniu, weź choćby pod uwagę fakt, że mieszkanie tylko dla mnie samej jest za duże... ale tak naprawdę to jeśli mam zostać znaną pisarką, potrzebuję trochę rozgłosu. Sama wiesz, jako dziennikarka piszę o innych, a teraz powinni pisać o mnie, dlatego zgłosiłam tę sprawę wczoraj rano na policję, oczywiście nie żałując im pikantnych szczegółów, bo wiedziałam, że wszystko to przesiąknie do mediów... - Celowo zrobiłam dłuższą pauzę, tak jakbym zastanawiała się, czy dobrze zrobiłam, że się wygadałam. Doskonale wiedziałam, o czym myśli Cornelia, nie była zakłamana i to, co robiła, było zawsze dokładnie przemyślane i precyzyjnie wykonane. Nigdy nic nie pozostawiała przypadkowi, nigdy nic nie robiła pod wpływem chwili czy uczuć. - Zatkąło cię, co? Ty sobie siedzisz w tej swojej szklanej wieży, a ja działałam.

- Kornelia, Matko Boska, przecież tu chodzi o życie twojego męża!

- Matko Boska? Od kiedy to odwołujesz się do Boga? A tak na marginesie - czy rodzice wychowali cię w ogóle w jakiejś religii?

- Kornelia! Nie o tym chyba mówimy! - była chyba nieźle wkurzona, bo nagle, mimo marnego połączenia, wyraźnie usłyszałam jej przyspieszony oddech.

- Oczywiście, że nie o tym, ale nie rozumiem, czemu jesteś nagle taka święta, zawsze mi mówiłaś, żebym nie przejmowała się biedakami, którym w życiu nie wyszło, bo albo są głupi i leniwi, albo zbyt sentymentalni. Cornelia, sama mi mówiłaś, że liczy się tylko efekt.

Sądząc po reakcji Cornellii, zorientowałam się, że kompletnie nie wyczuła ironii w moim głosie.

- Jasne, sorry, masz rację. Zareagowałam zbyt impulsywnie. W żaden sposób nie możesz przejmować odpowiedzialności za Thomasa, w końcu jest pełnoletni i wie, co robi. A skoro nadarza się okazja do niezłej reklamy, trzeba to wykorzystać. Szkoda tylko, że nie zgłosiłaś się z tym do mnie, mamy przecież najlepszych specjalistów od public relations, oni mogliby przygotować doskonały *statement*, szczegółową strategię całej tej kampanii...

Cornelia jeszcze coś tam mówiła, ale ja już jej nie słuchałam, bo nagle doznałam olśnienia: z niewiadomego powodu Cornellii zaczęło na mnie zależeć, pierwszy raz w ciągu naszej wieloletniej znajomości odniosłam wrażenie, że to ja nad nią dominuję, a nie odwrotnie.

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

- Tak, tak, oczywiście, ale nie mogę w tej chwili dłużej rozmawiać. Pogadamy innym razem. Cześć! - i nie czekając na jej odpowiedź, odłożyłam słuchawkę.

Chciałam przekonać się, czy mam rację. Jeśli się obrazi, to jakoś się usprawiedliwię, i będzie tak jak dawniej, a jeśli nie... - na samą myśl, co to mogłoby oznaczać, zrobiło mi się wesoło. Nie potrafiłam powstrzymać się od uśmiechu i wtedy zorientowałam się, że cała trójka, mama, Tom i Mara, patrzy na mnie uważnie: musieli przysłuchiwać się mojej rozmowie z Cornelią. Staromodny czarny aparat telefoniczny stał na małym stoliku - ładna replika z początku wieku - tuż przy otwartych drzwiach prowadzących do kuchni.

- Co się tak wszyscy na mnie gapicie?



Pierwszy odezwał się Tom:

- Lepiej powiedz, co ty knujesz?

- Knuję?

- Tak, knujesz, myślisz, że tego nie widać? Normalnie wyglądasz jak... jakiś buddyjski mnich, i to w stanie głębokiej medytacji... od razu po tobie widać, że coś kombinujesz.

Wyglądało na to, że natychmiast po wypowiedzeniu tych słów pożałował ich, bo szybko dodał:

- Zresztą, co ja będę się o ciebie martwił, co mnie to obchodzi! Nie mów nic, może wyjdzie z tego jakaś dobra robota dla mnie.

- Może. Może będziesz mógł zrobić ze mną sesję zdjęciową - uśmiechnęłam się zalotnie.

- Mało prawdopodobne, wiesz przecież, że robię zdjęcia tylko nieboszczykom.

W pierwszej chwili pomyślałam, że uległam złudzeniu optycznemu, bo nagle zobaczyłam, że Mara, do tej pory oparta plecami o szafkę kuchenną i przysłuchująca się naszej rozmowie, unosi się jakieś dziesięć centymetrów nad podłogą. W kuchni zaległa cisza, bo wszyscy to zauważyli. W popłochu spojrzałam na mamę, która na znak, że mamy być cicho, przytknęła do ust wskazujący palec.

Oczy dziewczynki powoli zamykały się, tak jakby ogarniała ją przemożna senność albo jakiś niesłyszalny dla nas głos wprowadzał ją właśnie w trans; już nie opierała się plecami o szafkę, wisiała po prostu w powietrzu, jak święta Katarzyna na szesnastowiecznych obrazach, tak jakby przyciąganie ziemskie przestało istnieć, jakby jej drobne ciało nic nie ważyło. Aby przekonać się, że to wszystko mi się nie śni, z całej siły wbiłam sobie paznokcie w wewnętrzną stronę dłoni. Zabolalo. W chwilę potem Mara zaczęła powoli opadać, wreszcie jej stopy dotknęły ziemi. Zanim otworzyła oczy, cichym, dziecinnym głosem powiedziała:

- Kornelia, twój mąż nie wróci, nie chce wrócić, on już nie chce swojego poprzedniego życia, bo wtedy był nieszczęśliwy... Teraz

jest sam, daleko, w dużym mieście, i tam już zostanie, bo tak chce, na zawsze...

Mara otworzyła szeroko oczy i z bolesnym zdziwieniem popatrzyła najpierw na swoją babcię, a potem na mnie. W jej głosie pojawiła się dziecięca bezradność:

- Czemu mężczyźni w naszej rodzinie od nas uciekają?
- Uciekają od nas? - Babcia udawała, że nie rozumie pytania.
- Właśnie, uciekają: dziadek, mój tata, a teraz mąż Kornelii.
- O czym wy mówicie? Mówcie po niemiecku, proszę. Chryste, co to, jakieś czary? - Tom był blady jak ściana, nawet bym nie przypuszczała, że jest w stanie tak się tym przejąć. Nikt jednak nie zwracał na niego uwagi.

Mara wyglądała na zmęczoną, podeszła do babci, usiadła jej na kolanach i objęła za szyję. Zaczęła płakać, najpierw cichutko, potem coraz głośniejsze. Ludzie płaczą, bo przynosi im to ulgę. W płaczu mojej siostrzenicy słyhać było tylko bezgraniczny smutek. Podeszłam do mamy i niezdarnie przytuliłam je obie, szepcząc jakieś uspokajające słowa.

Tom miał twarz mokrą od łez i nie starał się ich nawet otrzeć.

Pod wieczór postanowiłam pojechać do miasteczka po odbiór filmu z zakładu fotograficznego. Nie bardzo potrafiłam wytrzymać w domu. Nie mogłam znaleźć sobie miejsca, nie chciałam na nowo przyzwyczajać się do zapachów, rytuałów, odgłosów czy barw z dzieciństwa. Męczyła mnie bezczynność. Musiałam coś robić. Całe lata pracowałam, uciekając przed samotnością, gnana ambicją i żądzą sukcesu. Po raz pierwszy w życiu czułam, że mam przed sobą świetne perspektywy, że nie mogę zatrzymać się w biegu, i nagle zatęskniłam za Monachium, miejscem nieskończonych możliwości i spełniających się nadziei - a może też za ciepłem mojego męża i kochanka.

W rodzinnym domu chciałam pożegnać się ze zmarłą siostrą, a natknęłam się na jakiś metafizyczny horror, o którym z nikim nie chciałam i nie umiałam rozmawiać. Postanowiłam więc nie przyjmować go do wiadomości, choć musiałam przyznać, że mógł stanowić dobry wątek do którejś z moich przyszłych powieści.

Tym razem do miasteczka zabrałam ze sobą Toma. Trudno nie mieć słabości do pięknego mężczyzny, który w dodatku jest powściągliwy, małowówny i ma promienny uśmiech.

W zakładzie fotograficznym Kowalczyka okazało się, że nasz film, z wyjątkiem kilku zdjęć z Monachium, jest pusty.

- Jak to pusty? To niemożliwe. Słyszysz: nie-mo-żli-we! - Tom był wkurzony. Nie wierzył, że dobrze zrozumiałam i dobrze przetłumaczyłam to, co powiedział Kowalczyk. Mieszając bezkoliczniki angielskie, niemieckie i polskie, niezdarnie próbował wyjaśnić sytuację. Mój szkolny kolega patrzył na niego ze spokojem właściwym chyba wszystkim grubym olbrzymom, po czym, ku naszemu zaskoczeniu, odezwał się po niemiecku:

- Niestety, nie chce być inaczej, sam nie wiem, co tam się stało, chyba że fotografowałeś noc, czarną noc - Kowalczyk mrugnął do mnie porozumiewawczo i roześmiał się rubasznie.

- Muszę to koniecznie zobaczyć. Mogę skorzystać z laboratorium? - Tom nie ukrywał zniecierpliwienia i wyglądało na to, że wesołość naszego rozmówcy w tej sytuacji zirytowała go na dobre. Zaczęłam domyślać się, o co Tomowi chodzi. Szczerze mówiąc, mnie też zaskoczyła ta wiadomość, bo wiedziałam, że należy on do tej klasy fotografów, którym coś takiego się nie zdarza.

Kowalczyk z ironicznym ukłonem wskazał drzwi do laboratorium fotograficznego.

- Proszę bardzo, zapraszam. Dla przyjaciół moich przyjaciół wszystko.

Kpił z nas, czy co? Ton jego głosu pozostawał jednak obojętny, nie zdradzał niczego poza polskim, twardym akcentem.

- Ale po skończonej robocie musicie wpaść do mnie do domu na wódeczkę, w końcu trzeba pogadać o starych Polakach, otrzeć łzy za tym, co było, minęło...

Zawsze czułam się nieswojo, odwiedzając obcych ludzi w ich domach, bo za każdym razem narastało we mnie nieprzyjemne uczucie, że nie tylko ich mieszkańcy, ale i ja muszę podzielić się swoją intymnością.

Co innego w pracy dziennikarskiej. Nachodzenie ludzi nie stanowiło dla mnie takiego problemu, bo wiedziałam, że w moim zawodzie sfera intymności nie może stanowić tabu i bez jej ciągłego przekraczania nie miałabym najmniejszych szans na „przeżycie”.

Kowalczyk mieszkał na obrzeżach miasteczka, w nowo wybudowanym, na wzór niemieckich bungalowów, domu jednorodzinnym, który on sam nazywał willą. Nieporządek na podjeździe i w przylegającym do domu małym ogródku świadczył o tym, że prace budowlane wciąż trwały bądź dopiero co zostały zakończone. W środku nie wszystko było jeszcze gotowe i już od progu uderzał w nozdrza mocny zapach farby, świeżego cementu i wilgotnego powietrza. Żona Kowalczyka, Hanka, była chyba przyzwyczajona do niezapowiedzianych wizyt gości, bo nie okazała jakiegoś specjalnego zdziwienia na nasz widok. Podczas powitania mojej uwagi nie umknął fakt, iż dłużej, niż to było konieczne, przytrzymała dłoń Toma i przeprosiwszy nas na chwilę, zaraz poleciała się przebrać. Ciekawa byłam w co, bo wystrojona była zgodnie z modą obowiązującą w amerykańskim serialu telewizyjnym *Dynastia*. Tak czy inaczej, była to ładna, dość wysoka i bardzo szczupła dziewczyna o czarnych, długich włosach, z mocnym makijażem. Byłam pewna, że w miasteczku i okolicach uchodziła za wyjątkową piękność.

- Wszystkie baby są takie same, tylko łachy im w głowie. Chłop wraca zrypany z pracy, a te, zamiast o niego zadbać, to tylko by się stroiły - z jowialnym uśmiechem skomentował wyjście żony Ko-

walczyk, mrugając do mnie porozumiewawczo. Po czym, manifestując swoje zmęczenie, rozsiadł się wygodnie w czarnym skórzanym fotelu i znanym mi już tonem ryknął:

- Hania! Hanka, do cholery, głodni jesteśmy! Stawiaj na stół jakieś żarcie! - i ponownie puścił do mnie oko.

- Głodna jesteś, co, Kornelciu?

Nienawidziłam, jak ktoś mówił do mnie „Kornelciu”, nie mówiąc już o tym, że nie bardzo wiedziałam, jak interpretować te wymowne spojrzenia. Czy oznaczały one, że „my, faceci, wiemy, co jest grane”, czy może „my, absolwenci tego samego ogólniaka, jesteśmy ponad podziałami płci”? Cokolwiek by to było, w tym momencie uświadomiłam sobie, jak bardzo są mi obce układy męsko-damskie w polskiej rodzinie, tak jakbym dorastała na jakiejś bezludnej wyspie. W końcu w moim rodzinnym domu nie mieszkał żaden mężczyzna, a moja mama była osobą samodzielną, konkretną i chyba, jak na polskie normy, mało kobiecą. Nigdy się nie malowała i nie stroiła, chodziła prawie wyłącznie w spodniach, włosy zaczesywała gładko w koński ogon lub splatała w warkocz, a ponieważ zawsze była szczupła i chodziła wyprostowana, miała w sobie coś chłopięcego, nawet teraz, kiedy przekroczyła sześćdziesiątkę. Nie dosyć, że mama pracowała prawie z samymi mężczyznami, to w dodatku większość z nich jej podlegała. Wiem, że budziła respekt, narzucając swoim zachowaniem należyty jej szacunek, więc gdy tylko pojawiała się w pobliżu, cichły ordynarne rozmowy i ludzie stawali prawie na baczność. Nigdy nie słyszałam, żeby mama krzyczała, kłóciła się czy klęła, co w każdym pegeerze było na porządku dziennym.

- Głodna to może nie, ale chętnie napiłabym się kawy. Tom, też się napijesz?

Tom siedział na skórzanej czarnej sofie tuż obok mnie i wydawał się głęboko pogrążony w myślach. Chyba nie usłyszał mojego pytania, ale wiedział, że się do niego zwróciłam, bo pytając spojrzał mi w oczy i mocno chwycił za rękę.

- Kornelia, co z tym przejechanym facetem na drodze i jego wiedźmowatą żoną, przecież to nam się nie śniło?

- Przejechaliście faceta? Naprawdę czy tylko tak nawijacie? - Kowalczyk z uciechy klepnął się po grubych udach.

Byłam zła na Toma, że wciąż obcych ludzi w nasze historie, choć wiedziałam, że zwracał się wyłącznie do mnie.

- No, nie tak całkiem. Przejechaliśmy mu tylko po nogach, ale nic mu się nie stało... był pijany i wiesz, jak to jest - pijanego Pan Bóg strzeże - mówiłam jakby od niechcienia, nie ukrywając irytacji w głosie, ale i tak nie zdołało to zniechęcić naszego gospodarza.

- Niesamowite... Ale, wiesz, ja też miałem podobną sprawę, leciutko potrąciłem taką jedną starą kłepę, trochę byłem po kielichu, tamta chyba nie... - Kowalczyk na chwilę zawiesił głos, jakby usiłował rozstrzygnąć, czy kobieta piła alkohol, czy była trzeźwa. - No, nie wiem, raczej nie była na gazie, w końcu poderwała się

z asfaltu, jakby ją kto gonił, otrzepała się, całkiem nieźle bluzgnęła > i popedałowała dalej na tym swoim rowerku. Szkoda, że tego nie widzieliście, ten jej grat miał trochę scentrowane koło - ryknął śmiechem na samo wspomnienie tego zabawnego widoku. - No, ale teraz przydałoby się czegoś napić.

Kowalczyk wstał, a właściwie z trudem wygrzebał się z fotela, z nowoczesnego, oświetlonego halogenowym światłem barku wyciągnął butelkę czystej wódki z patriotycznie brzmiącą nazwą, plastikową dwulitrową butelkę coli i cztery kryształowe, grubo rżnięte szklanki.

- Hanka, przynieś lodu! - ryknął ze zdwojoną energią, choć kuchnia znajdowała się tuż obok, po czym ustawił wszystko na niskim stoliku ze szklanym blatem i znowu ciężko opadł na fotel. Na szczęście pojawiła się Hanka. Jeszcze mocniej umalowana, ale tym razem miała nie ciemnobrązowe, tylko ciemnofioletowe. Z kolei jej kostium, ozdobiony sztucznymi perełkami i złotymi guzikami, zmienił kolor z fioletowego na czarny z połyskiem.

- Jest i lód, a zaraz będą kanapeczki, nie musisz, Misiaczkule, tak się od razu denerwować - Hanka mówiła po polsku, przesadnie akcentując każde „ą” i „ę”. I rzuciwszy zalotne spojrzenie w kierunku Toma, dodała:

- Kolega będzie musiał nauczyć się naszego języka, bo ja tylko po polsku. Misiaczek mówi po niemiecku, bo ciągle wyjeżdżał do roboty do Niemiec, to się nauczył, ale mnie to nie puścił... bo niby „co ja bym tam robiła”? Inne jeżdżą i jakoś sobie radzą...

- Hanka, kobieto, nie zaczynaj znów tego tematu! Nie będziesz sprzątać szwabskich brudów i już! - Kowalczyk tupnął ze złością nogą, aż echo rozeszło się po całym domu.

W ten sposób Hanka już na samym początku spotkania została wyeliminowana z ogólnej rozmowy, której poziom z każdym wypitym kieliszkiem stawał się coraz bardziej żenujący. Byłam jedyną niepijącą osobą, choć przy każdym ponownie napełnianym kieliszku musiałam tłumaczyć od nowa, że będę prowadziła samochód, i to nie swój, i że wtedy nigdy, ale to nigdy, nie piję. Kowalczyk traktował moje usprawiedliwienia jako nędzną wymówkę i obrazę naszej wieloletniej przyjaźni.

Tom w picu wódki dotrzymywał kroku goszczącemu nas małżeństwu. Po raz pierwszy widziałam, jak pije alkohol, choć nie było w tym nic szczególnego, w końcu do tej pory spotykaliśmy się tylko w pracy, a tam, przynajmniej oficjalnie, nie piło się alkoholu - oczywiście z wyjątkiem piwa. Wielu kolegów po fachu, włącznie z moim szefem, uważało, że piwo to nie alkohol, choć była w tym pewna sprzeczność, bo nawet po „małym jasnym” raczej nie siadali za kierownicą.

Prawdopodobnie pod wpływem zalotnych, a z każdym następnym kieliszkiem coraz bardziej natarczywych spojrzeń Hanki Tom poczuł się niepewnie, bo kurczowo trzymał mnie za rękę, tak jakbyśmy byli nierozłączną parą. Co jakiś czas wykorzystywałam zamieszanie przy stole i zaczynałam krążyć po pokoju albo chowałam ręce w kieszenie spodni, ale na niewiele to się zdało, bo Tom z uporem

maniaka odnajdywał moją dłoń i coraz mocniej ją ścisnął. W końcu dałam za wygraną i modliłam się tylko w duchu, aby „miła imprez-ka”, jak to picie wódki i nieskładne gadki o wadach i zaletach Polaków i Niemców określał Kowalczyk, jak najszybciej miała wreszcie swój finał. Byłam kompletnie zrozpaczona, kiedy dołączyło do nas jeszcze dwoje Polaków, sąsiadów Kowalczyka, którzy przedstawiali się jako Andreas i Dorothea. Wyglądali, jakby przekroczyli już czterdziestkę, choć było to raczej mało prawdopodobne, bo Kowalczyk powiedział, że chodzili razem do tej samej klasy, a on nie skończył przecież jeszcze trzydziestu lat. Kobieta miała głębokie cienie pod oczami, charakterystyczne dla ludzi o ciemnej karnacji, i szeroką twarz o wyraźnie zaznaczonych kościach policzkowych. Ufarbowane na żółty blond włosy niedbale spięła pozłacaną plastikową klamrą w krótki, wystrzępiony koński ogonek. Jednak moją uwagę zwróciły szczególnie jej lekko skośne, brązowe oczy, z których do końca wieczoru promieniowały ciepło i życzliwość dla całego świata. Mężczyzna był zaprzeczeniem swojej żony: drobny, wyłysiały blondyn z rudawym rzadkim wąsikiem miał rozbiegane, niespokojne oczy, które zdawały się wszędzie upatrywać jakiegoś zagrożenia. Oboje ubrani byli w ciemne, połyskujące dresy firmy Adidas, bo podobno wpadli tylko na chwilę i dlatego nie chciało im się przebrać.

- W końcu w domu to najlepiej na sportowo, no nie? - z szerokim uśmiechem przekonywała nas Dorothea. - Wpadliśmy tylko na pięć minetek, żeby zobaczyć, kto przyjechał tym porszakiem na białych tablicach, bo mój stary myślał, że to może ktoś z naszych wrócił taką maszyną z Reichu.

Oboje mówili dość dobrze po niemiecku, bo już od lat krążyli między Polską a Niemcami.

- Taka bryka to musi kosztować ze sto pięćdziesiąt tysięcy marek albo coś koło tego? - Andreas, którego Kowalczyk nazywał Jędrkiem, najwyraźniej skierował to pytanie w moją stronę. Nie miałam najmniejszego pojęcia, ile może kosztować samochód mo-



jego męża, bo nigdy o tym nie rozmawialiśmy. W ogóle nigdy nie rozmawialiśmy o sprawach finansowych Thomasa i nasz ślub w tej kwestii niczego nie zmienił. Cieszył mnie ten układ, bo nie musiałam zawracać sobie głowy sprawami, na które i tak nie miałam wpływu i które tak naprawdę mnie nie interesowały. Ale tego wszystkiego nie mogłam powiedzieć znerwicowanemu Jędrkowi, bo i tak by mi nie uwierzył, a na dodatek pomyślałby, że zadzieram nosa i udaję kogoś, kim nie jestem. Z kolei, jeśli przyznałabym mu rację, że rzeczywiście samochód, którym jeżdżę, kosztuje tyle, co cztery małe mieszkania w jego rodzinnym miasteczku - a byłam przekonana, że trzy pokolenia w jednym ciasnym mieszkanku stanowiły w Polsce raczej regułę - mogłabym uchodzić za osobę, jaką - wydawało mi się - jednak nie jestem: Polkę, żyjącą dla pieniędzy z obrzydliwie bogatym Niemcem, pewnie starym seksualnym dewiantem.

- No nie, aż tyle to on nie kosztował, to znaczy, jak był nowy, to pewnie tak, ale to jest już stary grat, z trzeciej ręki...

Tom zakrztusił się nagle przetykaną colą, tak że poczułam lekką mgiełkę lepkiego płynu na szyi, dekolcie i twarzy. Chcąc uniknąć dalszych inwigilacji, z zapalem skupiłam uwagę na klepaniu go po plecach. Chyba mu się to spodobało, bo przysunął się tak blisko, że nasze ciała prawie do siebie przylgnęły, czułam na karku jego gorący oddech i równie gorący dotyk... Ogarnęła mnie obezwładniająca słabość. Niechętnie odsunęłam się od niego w obawie, że zauważy bezwolność mojego ciała i to, że jego bliskość sprawia mi taką przyjemność.

- E tam, daj spokój, Jędrus, tym samochodom, przyjrzyj się lepiej tej kobiecie, pamiętasz, jak wszystkie chłopaki się w niej kochały? Popatrz teraz na nią - prawdziwa słowiańska piękność. Może w tych Niemczech mają porsche i mercedesy, ale takich kobiet to oni nie mają i mieć nie będą!

- Chyba że wszystkie tam wyjadą - Jędrak był jeszcze trzeźwy i z czujną podejrzliwością spoglądał to na Kowalczyka, to na mnie.

- Masz rację, chłopie, ale póki co ładnych bab to tam nie ma, zgadzasz się ze mną, Tom?

Tom roześmiał się szeroko i mrugając, zupełnie jak Kowalczyk, w kierunku Hanki, teatralnie pocałował mnie w rękę.

- Racja, jak do tej pory to najlepszy polski produkt eksportowy. Na chwilę zapadła cisza, tak jakby obecni zastanawiali się nad tym, co powiedział Tom. Pierwszy zaśmiał się Kowalczyk.

- Co prawda, to prawda. A ty, Kornelciu, jak to widzisz?

- Coś w tym jest, ale produktowi raczej nie wypada wypowiadać się na swój temat. Trzeba by zapytać raczej konsumenta...

- Konsumenta? A to ci dobre! - Kowalczyk nie posiadał się z radości, choć powoli tracił werwę, widać alkohol robił swoje.

- A kto taki jest twoim konsumentem, Kornelciu? Może mój kolega po fachu, Tom?

- Tom to też i mój kolega po fachu, mówiłam ci przecież, że wyszłam za mąż.

Nie wiem, co mnie podkusiło z tym zamążpójściem, przecież nie miałam najmniejszego zamiaru rozwodzić się na ten temat, i to w dodatku przy jakichś obcych ludziach.

- Twój mąż, aniołku, wypadł już z gry - Tom uśmiechnął się zadowolony. Wyglądało na to, że jest już porządnie pijany.

- Wypadł z gry? To znaczy, że co? Że rozwiedliście się czy że nie żyje? - Dorothea, czyli Dorota, po raz pierwszy włączyła się do rozmowy. Głos miała dość wysoki, ale tak samo ciepły i przyjazny jak oczy.

- To znaczy, że nie wiadomo, czy żyje, w każdym razie zaginął. W Ameryce, tak, Kornelciu? - Kowalczyk był dumny ze swojej znajomości tematu.

- Nie ma go i nie będzie, tak mówi pewna jasnowidząca osoba, prawda, Kornelciu? - Tom naśladował przeraźliwie twarde akcent Kowalczyka. Tego było już za wiele, miałam dość tych ludzi i na samą myśl, że tej rozmowie mogłaby przysłuchiwać się Cornelia, zrobiłam się czerwona.

- Dajcie dziewczynie spokój, w końcu to jej osobiste sprawy - Dorota mówiła bez przekonania, bo widać było, że i ją zaciekał temat zaginionego męża i jasnowidzącej osoby. Kogo by zresztą taki temat nie zaintrygował? Chyba zauważyła, że szukam wzrokiem torebki i pewnie zbieram się do wyjścia, a wtedy skończy się zabawa, bo postanowiła, przynajmniej na jakiś czas, odwrócić uwagę od mojej osoby.

- Dzisiejsze chłopcy są gorsze od bab, tylko ploty im w głowie, jak na jarmarku, bla-bla-bla. Mój tatuś był na ten przykład prawdziwym mężczyzną, przez cały dzień potrafił się nie odezwać, ale jak się już odezwał...

- Dziewczyno, tylko nie zaczynaj znowu z tym swoim tatusiem, starym pieprzonym ubekiem - mąż Doroty sprawiał wrażenie, jakby mu ktoś pomachał czerwoną płachtą przed oczami.

- Ubekiem? Tylko nie ubekiem, popatrz lepiej na swoją rodzinę, same świętoszki, pielgrzymki i te rzeczy, samo zakłamanie, bo między sobą jak żyją?

Przez moment byłam pewna, że Dorota zaraz się rozplacze, chociaż wyraz jej oczu nie zmienił się ani trochę, nadal biła z nich ta sama życzliwość.

- Ludzie, co wy? Przecież chcemy się wódeczki razem napić, a nie rodzinny teleturniej prowadzić... - Kowalczyk próbował z właściwą mu jowialnością rozładować napiętą sytuację, tyle że nikt go nie słuchał.

Jego żona Hanka była już chyba nieźle pijana. Bezgłośnie, jak senna ryba, lekko poruszała rozchylonymi ustami, jej szklane oczy przyglądały się wypielęgnowanym dłoniom leżącym nieruchomo na udach, po czym powoli wędrowały w dół, w kierunku smukłych nóg w czarnych rajstopach. W tym samym momencie, jak w transie, dłonie zaczynały przemieszczać się w stronę kolan, głaszcząc połyskującą materię jedwabnych rajstop pieszczotliwym, łagodnym ruchem, i po chwili znów powracały na uda, aby tam zostać poddane ponownym dokładnym oględzinom. I tak w kółko, ciągle od nowa.

Przestałam przysłuchiwać się coraz głośniejszej i coraz mniej składnej rozmowie. Miałam wrażenie, że od ludzi siedzących razem ze mną przy stole odgradza mnie coraz grubszy mur. Obce mi były ich emocje, i chyba nie tylko dlatego, że w grę wchodził alkohol. Postanowiłam natychmiast wracać do domu i właściwie to mogłabym zostawić tam Toma, w końcu co on mnie obchodził. Nie miałam w stosunku do niego żadnych zobowiązań i na szczęście w stosunku do nikogo ich nie miałam. Wszystkie te myśli przeleciały mi przez głowę, kiedy już stojąc, patrzyłam z góry na wygodnie rozpartego, sennego Toma. Na krótką chwilę nasze oczy spotkały się - jego były zadziwiająco trzeźwe, skupione. Kiedy się jednak odezwał, głos brzmiał bełkotliwie, w sposób typowy dla ludzi pijanych:

- Kornelia, muszę ci to w końcu powiedzieć. Jesteś niedobrym człowiekiem!

- Cieszę się, że masz to w końcu za sobą... - niespodziewanie poczułam ucisk w żołądku i następujące po nim rozdrażnienie.

- A wiesz dlaczego? Pewnie nie wiesz, bo inaczej zastanowiłabyś się nad sobą - Tom mocno uczeplił się mojej ręki i z trudem wstał. Staliśmy blisko siebie, wciśnięci w wąską szczelinę między szklanym stolikiem o ostrych krawędziach a skórzaną sofą. - Ale ja ci powiem, dlaczego jesteś niedobrym człowiekiem! Dlatego, że nie lubisz mojego psa, mojej Socke, a ona tak cię pokochała, od pierwszego wejrzenia pokochał cię ten pies.

- Tom, stary przyjacielu, kobieta to nie człowiek, jak można mówić do takiej piękności jak Kornelcia „jesteś dobrym człowiekiem” albo „jesteś złym człowiekiem”, co ona ma z tym wspólnego... - Kowalczyk z zadowoleniem głośno beknął, wygrzebał się z fotela i usiłował precyzyjnie przesuwać się w naszym kierunku między fotelem, stolikiem i sofą. Na szczęście nic z tego nie wyszło, stracił równowagę i w pełnym skupieniu, wymachując zamasyżycie rękami, próbując jeszcze się ratować, runął na zastawiony pustymi tale-

rzami szklany stolik. Stolik z głośnym jękiem stalowych nóżek przesunął się w kierunku przeciwległym do sofy. W tak powstałą wolną przestrzeń runął nasz gospodarz.

W zamieszaniu, które nastąpiło, przerzuciłam sobie przez plecy ramię Toma, tak jak wyprowadza się rannych z pola bitwy, i z nikim się nie żegnając, wyszliśmy na zewnątrz. Na dworze ciężar jego ciała jakby zelżał, bez problemu znalazłam w torebce kluczyki i wepchnęłam go na tylne siedzenie samochodu. Ruszając, pomyślałam, że do rzeczy najbardziej przeze mnie znienawidzonych dochodzi jeszcze jedna: pijani ludzie - mężczyźni i kobiety.

Do Monachium wróciłam następnego dnia. Sama. Tom postanowił zostać jeszcze jakiś czas w Polsce, dokładniej mówiąc u mojej mamy i jej wnuczki. Chyba wstydził się trochę swojej decyzji, bo kiedy go zapytałam, dlaczego zostaje, zbył mnie jakimś dowcipem o idealnym klimacie dla fotografa. Za oknem padał zimny, szary deszcz. Żegnając się z całą trójką, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że odetchną z ulgą, kiedy wreszcie mój samochód zniknie za zakrętem.

Wracałam do Monachium ze świadomością, że muszę uporządkować swoje życie, może nawet spróbować zmienić się, nie po to, aby bardziej podobać się innym, raczej po to, aby wprowadzić w nie ład i spokój, za które byłam w stanie zapłacić każdą cenę. Od dziecka w tym się specjalizowałam, stąd radykalne zerwanie więzi z ojcem, mur między mną a siostrą i mamą, ślub z Thomasem, romans z Maksem i chyba przyjaźń z Cornelią, bo od początku byłam przekonana, że nie jest zdolna do głębszych więzi.

Podczas wielogodzinnej, nużącej drogi do Monachium zaczęłam zastanawiać się, czy aby nie pomyliłam się w swoich ocenach. Po raz pierwszy chyba od czasu zaginięcia Thomasa czułam jakiś dziwny niepokój, coś na kształt wyrzutów sumienia czy poczucia winy. Wspomnienie osoby mojego męża stawało się coraz bardziej odległe,

on sam coraz bardziej obcy. I chyba dlatego natrętnie zaczęło mnie dręczyć pytanie, czy ja w ogóle znałam człowieka, z którym spędziłam pod jednym dachem trzy lata. Dziwne to uczucie, kiedy dochodzi się do wniosku, że osoba bliska okazuje się kimś zupełnie innym, niż się myślało. Pospiesznie zaczęłam przywoływać obrazy ludzi, z którymi mnie coś łączyło. Nic się nie zgadzało. Przypomniałam sobie niepewność w głosie Corneli i smutek mamy, żal w oczach Maksa, zmęczenie Thomasa, miłość Luizy... To były dokładnie te uczucia, których się obawiałam.

Akurat dojeżdżałam do granicy czesko-niemieckiej, kiedy tępy szloch szczelnie wypełnił mi gardło. Zjechałam na boczny pas dla ciężarówek, bezsilnie oparłam głowę na kierownicy i płakałam. Nienawidzę płakać. To luksus, na który rzadko sobie pozwalam. Wtedy na tej granicy płakałam z żalu nad sobą, te wszystkie nie-domówienia, powikłania, które niespodziewanie wypełzały z zakamarków mojej świadomości, przytłaczały mnie swoim ciężarem, wywoływały panikę. Nie chciałam tych zależności, świat moich przeżyć kończył się na mnie samej i nie było w nim ani miejsca, ani czasu na uczucia dla innych. Przez większość swojego życia uciekałam od nich, bo uczucia to odpowiedzialność. Nigdy nie chciałam jej ponosić, po prostu się jej bałam. Mając osiemnaście lat, wyjechałam z rodzinnego domu po to, aby nigdy tam nie wrócić, z własnej nieprzymuszonej woli. Moja ucieczka zaprowadziła mnie do punktu wyjścia.

Jak wygląda młoda, ładna, elegancko ubrana kobieta płacząca w biały dzień na pasie dla ciężarówek w samochodzie wartym ponad sto tysięcy marek? Gdy podniosłam głowę, poczułam na sobie wzrok kilku mężczyzn, chyba kierowców TIR-ów; stali zbici w szarą grupkę w odległości najwyżej jednego metra od mojego samochodu, widziałam ich gęste oddechy na szybie. I przekrwione, opuchnięte oczy bez wyrazu. Pozornie bez wyrazu, bo wystarczyło raz w nie spojrzeć i można było z nich czytać jak w otwartej książce: ciężka praca, byle jakie posiłki, alkohol w zbyt dużych

dawkach, brak snu i ruchu na świeżym powietrzu, dziesiątki lichych papierosów, tanie proszki przeciwbólowe. To był koszmar.

Z Cornelią spotkałam się następnego dnia na śniadaniu w bardzo modnej aktualnie Cafe Start Up, szczelnie wypełnionej tłumem eleganckich ludzi w designerskich ciuchach. Większość z nich skupiona była na pochłanianiu rogalików z marmoladą, pełnoziarnistego muesli ze świeżymi owocami i picciu kawy z mlekiem z porcelanowych miseczek. W olbrzymiej, utrzymanej w jasnych beżach sali restauracyjnej panował przeraźliwy zgiełk. Uśmiechając się, pomyślałam, jak wielkie zdziwienie mieszkańców rodzinnego miasteczka Kowalczyka wywołałby widok tego modnego lokalu: humorzaści, nieprofesjonalni kelnerzy, wysokie ceny, zaduch, hałas, prawie bezmięsne, dietetyczne śniadanie, ścisk przy stolikach, brak jakiegokolwiek intymności. Nikt o zdrowych zmysłach nie powinien czuć się w takim miejscu dobrze. A jednak. W powietrzu wisiało radosne podniecenie, na większości twarzy malowało się samozadowolenie, świadomość własnej wyjątkowości, niepowtarzalności miejsca, atmosfery. Wszyscy razem podobnie zachowujący się i ubrani, a każdy z osobna anonimowy, niezależny, wolny. Lubiłam to.

Co jakiś czas czułam na sobie zaciekawione spojrzenia zarówno mężczyzn, jak i kobiet; ludzi wolnych od paraliżujących duszę i ciało związków, pewnych siebie, zarabiających wystarczająco dużo na bycie sobą, wolnych od moralnych zobowiązań, na przykład opieki nad rodzicami czy dziećmi. Lubiłam tych ludzi, zwłaszcza kobiety, szczególnie tego ranka, zaraz po powrocie z rodzinnego domu, w którym pozostała starzejąca się matka i osierocona siostrzenica. I piękny fotograf, którego delikatny, pulsujący dotyk dłoni czułam nawet teraz. Gdzieś w podbrzuszu pojawił się lekki skurcz.

- Przepraszam, że chwilę się spóźniłam. Śpisz z otwartymi oczami czy co? - Cornelia uśmiechała się niepewnie, wydawało się,

że już całą wieczność stoi tak przy moim stoliku w eleganckim krótkim płaszczku w kolorze antracytu i jasnoszarym prostym kostiumie. Chyba trochę zmieniła fryzurę, wcześniej wszystkie włosy zaczesywała do tyłu, teraz miała krótką grzywkę a la Kleopatra. Ta grzywka podkreśliła coś dziecięcego, frywolnego w jej postaci, tak kłócącego się z jej czujnym spojrzeniem i nienagannym strojem.

Już dawno nie ucieszyłam się tak na jej widok. Szybko poderwałam się z krzesła i uściskałam ją mocniej, niż wymagał tego zwykły ceremoniał powitalny.

- Trochę jestem nieprzytomna po wczorajszej jeździe. Dziewięć godzin z krótką przerwą na granicy byłam w drodze... - przerwałam, bo Kornelia słuchała mnie z udaną grzecznością, w końcu co to kogo obchodzi, ile godzin wczoraj jechałam. To było wczoraj, już się nie liczy, wystarczyło kilka dni w Polsce i już o tym zapomniałam. - No, i w związku z tym mogłabym opowiadać tylko o tej drodze, więc lepiej mów, co tam u ciebie, jakieś sensacje w szklanej wieży, jakieś księgarskie wzloty i upadki na giełdzie? - chcąc pokryć zmieszanie, uciekłam w ironię.

- U mnie wszystko według planu. Dzwonił do mnie Rosen-heimer, podobno oznajmiłaś mu, że rzucasz pracę, i w dodatku ciągniesz za sobą jeszcze jakiegoś młodego, zdolnego fotografa. Kornelia, co ty wyprawiasz?

- Co ja wyprawiam? Nie rozśmieszaj mnie, mówisz do mnie, jakbym była twoim dzieckiem. W końcu to ty twierdziłaś, że w tym brukowcu marnuję talent i że mam pisać dla ciebie powieści. Przecież powiedziałam ci kilka dni temu przez telefon, że zgadzam się na twoją... waszą propozycję. Czy coś mi się pomyliło?

- Nie, nie o to chodzi. Chodzi o twoje zachowanie, ten nagły wyjazd z tym młodym fotografem, ta sprawa z zaginięciem Thomasa...

Przerwałam jej, parsknąwszy śmiechem. Czyżby była zazdrosna? O Toma? Czy o to, że robię coś, nad czym ona nie ma kontroli?



- Co ty ciągle z tym młodym fotografem, Tom jest moim rówieśnikiem, dlaczego więc, mówiąc o mnie, też bez przerwy nie podkreślasz, że jestem młoda? - była w moich słowach solidna dawka jadu, której nie można było nie zauważyć, ale wyglądało na to, że Cornelia zdecydowała się ją zignorować. Ujęła mnie tym, dlatego już bardziej pojednawczo dodałam: - Wiesz przecież, że zginął mi mąż, rzucił mnie kochanek, każdy potrzebuje w takiej chwili czyjegoś ciepła... no wiesz, ramienia, na którym może się wypłakać...

Popatrzyłyśmy sobie w oczy. Cornelia nie była głupia, wiedziała, że za banalnością tego, co mówię, kryje się dużo więcej. Jej spojrzenie stało się jeszcze bardziej czujne, a może trochę przestraszone. Zrobiło mi się jej żal i zaczęłam się zastanawiać, jak pokierować rozmową, aby stała się zwyczajna, bez podtekstów, bez tego męczącego napięcia, które i mnie się udzieliło. Miałam ochotę na jedzenie francuskich rogalików, picie kawy i opowieści Cornelii o tym, jak na aukcji kupiła dwa jedwabne, ręcznie tkane stare dywany, każdy po trzydzieści tysięcy marek, z których jeden okazał się tkaną maszynowo podróbką. Oczywiście współczesną podróbką.

- Wiesz co, Cornelia, dajmy spokój tym poważnym tematom... Pięknie wyglądasz, jak zwykle zresztą. Zawsze się zastanawiam, jak ty to robisz, że nigdy nie jesteś zmęczona. A może ty nigdy nie jesteś zmęczona? Może to skutek uboczny tego, że od niemowlęcia żyjesz w dobrobycie?

Cornelia uśmiechnęła się słabo, i odniosłam wrażenie, że chce spróbować włączyć się do zabawy, którą właśnie zaproponowałam.

- Dziękuję za uznanie, ale jak zwykle przesadzasz. Teraz, kiedy masz zostać pisarką, wybaczam ci... Jeśli chcesz wiedzieć, jestem kompletnie wykończona...

- Tak? Nie widać tego po tobie.

- Może nie widać, ale jestem - Cornelia zawahała się na chwilę, udając, że rozgląda się za kelnerem. W takich lokalach o kelnera

równie trudno jak o komplet rodziców z dziećmi. W końcu, patrząc przed siebie, beznamiętnie dodała:

- Rozchodzę się z mężem, w pracy narażona jestem na potworny stres, nigdy nie miałam naraz tylu stresów.

- To może wyjedź gdzieś, na przykład do Cannes albo na Tene-ryfę - nic innego nie przychodziło mi do głowy.

- Na Teneryfę? - Cornelia kapryśnie wyduła usta, tak jakbym zaproponowała jej połknięcie żywej żaby. - Zresztą to nieistotne, dokąd miałabym jechać, bo w mojej sytuacji nie mogę pozwolić sobie na żadne prywatne wyjazdy, muszę trzymać rękę na pulsie. Tobie radzę to samo, uporządkuj wszystkie osobiste sprawy i zabierz się do pisania.

Zaczęła mnie boleć głowa, chyba przez ten hałas i zaduch. Już nie cieszyłam się ze spotkania z Cornelią, bo była zbyt zestresowana, za mało pozytywna jak na mój gust. Nie miałam ochoty na dalszą rozmowę, dokładnie przeżuwałam muesli, udając, że w tym tkwi przyczyna mojego milczenia. Czułam, jak ostre kawałki płatków głęboko wrzynają mi się między zęby.

Pierwsza odezwała się Cornelia:

- Wiesz już, o czym będzie twoja książka? Masz już jakiś plan?

- Mhh... mam gotowy plan. W głowie. Chcesz naprawdę wiedzieć, o czym będzie?

- Oczywiście, że chcę wiedzieć, w końcu to ja jestem odpowiedzialna za wykreowanie ciebie.

- Co byś powiedziała, jakbym napisała historię o tobie: młoda, piękna, dynamiczna, wcześniej cudowne dziecko, sukces od kołyski, i do tego wszystkiego klasyczny brak szczęścia w miłości? Co ty na to?

Zażartowałam, nie spodziewając się takiej reakcji. Cornelia zrobiła się blada jak ściana, jakby cała krew odpłynęła jej z twarzy. Nerwowo rozpięła żakiet. W tym momencie przypomniałam sobie jej wzburzenie wywołane lekturą notatek, które dostała ode mnie

w prezencie ślubnym. Tym razem chyba przesadziłam, a swoją drogą ci Niemcy nie mają za grosz poczucia humoru, nawet jeśli im się wydaje, że jest inaczej. Większość z nich jest przekonana, że ma poczucie humoru, choć odzywa się ono wyłącznie w ściśle określonym czasie i miejscu, na przykład podczas zbiorowych parad karnawałowych.

- To był żart, oczywiście żartowałam! Cornelia, ty chyba jesteś rzeczywiście zestresowana, skoro poważnie traktujesz każdą głupotę, jaką ode mnie usłyszysz. Chcesz aspirynę?

Nic lepszego nie przychodziło mi do głowy, zaczynałam żałować, że zamiast spotkać się u niej w biurze, gdzie z pewnością nie traciłaby tak łatwo panowania nad sobą, zaproponowałam śniadanie w tej pieprzonej dekadencej kawiarni. Siedziała teraz, opierając się łokciami o blat stolika, wpatrzona w puste talerze, przybita i nieobecna.

- Aspiryna na mnie już nie działa, od lat potrzebuję silnych środków nasennych i antydepresyjnych. Ty nie masz o tym najmniejszego pojęcia... Większość z nich przywożę ze Stanów, bo tam mają silniejsze i skuteczniejsze. Panicznie boję się, że któregoś dnia i one przestaną działać...

- Nie martw się, do tego czasu na pewno wymyślę coś innego, dużo lepszego - mówiłam to tonem kosmetyczki oskarżonej o to, że po jednodniowym wspaniałym efekcie dopiero co zrobionego zabiegu twarz klientki zyskała następne dziesięć lat. Takie ryzyko istnieje zawsze.

Przez krótką chwilę patrzyłyśmy sobie prosto w oczy i obie równocześnie wybuchnęłyśmy śmiechem. Wiele razy już przekonałam się, że śmiech to wybawienie, to inna perspektywa dla tego, co złe, to prysznic dla umęczonej, przykurczonej duszy. Śmiałyśmy się głośno i radośnie, Cornelia charakterystycznym dla niej czkaniem i marszczeniem nosa wywoływała we mnie kolejne napady Wesołości.

- To w końcu o czym ma być ta twoja książka?

- Myślałam o tym, aby opisać historię młodej kobiety, stewardesy, która przeżywa burzliwy romans z jednym z pilotów; z tego związku rodzi się nieślubne dziecko, bo kochanek na wieść o ciąży daje nogę, z kolei dziewczyna od czasu ciąży ma wizje, tak jakby dokładnie widziała własną i cudzą przyszłość, przeżywa rozterki, bo nie rozumie obrazów powstających w jej głowie, chwilami myśli, że oszalała albo że jest pod wpływem jakiś halucynogennych -środków, w końcu zwierza się koleżance, ta przy okazji lotu do Manili zaciąga ją do znanej w mieście szamanki - wiedz, że stewardesy to bardzo podatna na wszelkie wróżby, przepowiednie

i okultystyczne znaki społeczność... Okazuje się, że filipińska wiedźma już na nią czekała, bo mało kto ze śmiertelników posiada tak wielkie zdolności przewidywania przyszłości jak ta europejska stewardesa...

- W porządku, podoba mi się. Najdalej za dwa dni przedstawię cię u nas w zarządzie, musimy podpisać umowę, bo chcę cię zmusić do konkretnych terminów i rygoru panującego w naszym wydawnictwie. Nie wykluczam, że w zamian za to otrzymasz zaliczkę na poczet przyszłego honorarium. Dobrze by było, gdybyś na dwóch stronach maszynopisu zgrabnie ujęła temat powieści. I...

- Cornelia, już całkowicie opanowana, spojrzała na mnie wymownie - po pierwsze ureguluj wszystkie swoje bieżące sprawy, a po drugie... nie traktuj tego zbyt osobiście, ale na spotkaniu w wydawnictwie postaraj się odłożyć na bok te swoje polskie nawyki. Pamiętaj, że leży to przede wszystkim w twoim interesie.

Nie bardzo wiedziałam, o jakich polskich nawykach mówi Cornelia, i nawet gdybym ją zapytała, pewnie sama dokładnie by nie wiedziała, o co jej chodzi: w końcu nie zamierzałam przyjść na spotkanie z kilkugodzinnym opóźnieniem, pijana, bezzębna, niedomyta, tylko po to, aby ukraść któremuś z nadętych członków zarządu zegarek i powiedzieć, że nie chce mi się nic pisać, ale jak mi dadzą zaliczkę, to na pewno coś skrobnę, tyle że nie wiem na kiedy.

Czy o to jej chodziło? Prawdopodobnie nie, bo wszystkie te nawyki miały bezsprzecznie osobisty charakter, a przecież wyraźnie powiedziała: „nie traktuj tego osobiście”. A czy niepunktualność, pijaństwo i lenistwo można traktować inaczej? Swoją drogą, zawsze w takich momentach czułam wzbierającą we mnie frustrację...

Zrobiło mi się niedobrze, chyba zjadłam za dużo, zresztą bolała mnie głowa, też prawdopodobnie z przejedzenia. Powinnam brać przykład z Cornelii, ona, w przeciwieństwie do mnie, nigdy się nie objadała, zawsze długo, w skupieniu zastanawiała się, co zamówić - chyba liczyła kalorie i zestawiała węglowodany z węglowodanami, tłuszcze z tłuszczami, błonnik z błonnikiem i tak dalej. Zawsze dziwiłam się, że przy tej całej „strategii żywieniowej” chce się jej jeszcze jeść. Ja w takich wypadkach liczyłam jedynie pieniądze, bo nawet mając już kartę kredytową, zawsze bałam się, że zabraknie mi na rachunek.

- Stało się coś? Jakoś dziwnie wyglądasz - Cornelia delikatnie dotknęła mojej dłoni. Odruchowo cofnęłam rękę i starłam kropelki potu zbierające mi się nad górną wargą. Zawsze się tam pojawiały, gdy źle się czułam.

- Trochę tu duszno, muszę jak najszybciej wyjść na powietrze. Zapłać za mnie, oddam ci moją część przy najbliższym spotkaniu. Pa! - już stojąc, nachyliłam się nad stolikiem i cmoknęłam w jej kierunku. Cornelia, trochę zaskoczona tym pośpiechem, lekko podnosząc się z krzesła, odwzajemniła mi się takim samym buziakiem w powietrze.

Co do rachunku, nie miałam najmniejszej wątpliwości: przy pierwszej lepszej okazji Cornelia wyciągnie ze swojej torebki, wartej ze dwa tysiące marek, równo złożony paragon i bez komentarza wsunie mi go do ręki. Z czasem zaakceptowałam jej śmiertelnie poważny stosunek do pieniędzy i wcale mnie nie dziwiło, że 2 równą powagą traktuje dwanaście marek, jak i dziesięć tysięcy. Kiedyś powiedziała mi, że na grosze trzeba tak samo zapracować jak na miliony. Coś w tym było.

Resztę dnia spędziłam w domu pogrążonym w ciszy. Zawsze czułam, że mieszka w nim Thomas, nawet wtedy, gdy gdzieś wyjeżdżał. Tak było do tej chwili... Cisza nie oznacza pustki. Aż nagle zostały po nim tylko przedmioty: nieme, bezpieczeństwa, bezużyteczne. Zrozumiałam, że on już nie wróci, i to, co było do niedawna tylko idea, stało się faktem. Fakty sprowadzają nas na ziemię, zakotwiczą w rzeczywistości, w chwilach bezmyślności czy wspaniałej beztroski. Jakkolwiek by było, obok faktów nie sposób przejść obojętnie, nie zmieniając, choć trochę, kierunku swej drogi. Thomas nie wróci. Mara miała rację, on uciekł, i wiedziałam, że nie tyle ode mnie, co od siebie samego. Moja obecność w jego życiu była pewnie generalną próbą do tej ucieczki. Szkoda, że na tym nie poprzestał.

Pocieszałam się faktem, że Thomas żyje i że może będzie bardziej szczęśliwy niż wcześniej. Ktoś, kto świadomie decyduje się rozpocząć drugie życie, zasługuje na to. Wiedziałam jednak, że los jest często niesprawiedliwy, bo jednak ślepy, więc my powinniśmy mieć oczy szeroko otwarte.

Przestałam czuć obecność Thomasa w naszym mieszkaniu, czułam za to, że gdzieś jest, może całkiem niedaleko, i myśli o mnie, tak jak myśli się o mało konkretnym wspomnieniu, o sennym majaku.

Niezależnie od rad Corneli postanowiłam zrobić porządek z moim życiem. Dojrzałam do tej decyzji w chwili, kiedy wreszcie doszło do mnie, że Thomas naprawdę zniknął i nigdy nie wróci. Z prawnego punktu widzenia, mimo podpisanej przed ślubem intercyzy, po uznaniu mojego męża przez policję za zaginionego, dziedziczyłam wszystko, co posiadał. Nie było co do tego wątpliwości, bo Thomas oprócz testamentu złożył u zaprzyjaźnionego adwokata notarialnie potwierdzone dokumenty, upoważniające mnie do zarządzania jego majątkiem. Prawdopodobnie nie był to zbieg okoliczności, że na krótko przed jego wyjazdem do Ameryki sąd rodzinny uznał, na podstawie szczegółowych badań genetycznych, że Thomas nie może być ojcem dziecka jego pierwszej żony.

Postanowiłam pozostawić wszystko tak, jakby Thomas miał któregoś dnia wrócić. Znalazłam bank, który zaczął zarządzać jego udziałami w kancelarii adwokackiej i jego inwestycjami finansowymi. Wiedziałam, że Cornelia uznałaby mnie za niepoczytalną, gdyby dowiedziała się o mojej decyzji, ale nie zamierzałam jej o tym mówić. Samochód postanowiłam zatrzymać, rozważałam nawet możliwość sprzedania go, ale przy tak wielkim majątku, jaki posiadał Thomas, te kilkadziesiąt tysięcy chyba nie miało większego znaczenia. Po załatwieniu wszystkich formalności obdzwoniłam jego rodzinę w sprawie rzeczy osobistych, informując na wstępie

o upoważnieniach i testamencie (wszyscy bez wyjątku znali już ich treść), i o wyznaczeniu zarządcy majątku Thomasa. Potem pytałam, czy chcieliby na pamiątkę jakieś rzeczy z mieszkania. Nikt niczego nie chciał. Ellena, czyli moja teściowa, właśnie wyjeżdżała do Nepalu.

- Wybacz mi, skarbie, ale nie mam dziś głowy do tych spraw. Właśnie się pakuję, bo dosłownie w ostatniej chwili udało mi się załatwić miejsce w klasztorze, chyba tylko dzięki cudom i moim świetnym koneksjom. Szkoda, że Thomas nic mi nie zostawił, bo wiesz, te klasztory żyją ze sponsoringu i ci ludzie są za każdą kwotę wdzięczni.

- Może Thomas jeszcze wróci, dlatego wyznaczyłam zarządcę finansowego - rzuciłam bez przekonania.

- Z tym zarządcą majątku miałaś świetny pomysł, właśnie, jakby Thomas miał wrócić... właśnie, zastanie wszystko po staremu - moja teściowa powiedziała to tonem zwolennika przymusowej eutanazji.

- Właśnie.

- A w sprawie tych rzeczy, to może spytaj Stephana, może on miałby do tego głowę?

- Pytałam.

Przy okazji dowiedziałam się, że Stephan nas nienawidzi, mnie i swojego brata, czyli mojego zaginionego męża, ale nie zamierzałam

mówić o tym Ellenie, w końcu to nie miało nic wspólnego z rzeczami Thomasa. Dlatego dodałam tylko:

- On też wybiera się właśnie na terapię do ośrodka uzależnienia od... seksu, tak, od seksu! No i nie ma do tych „rupieci”, jak się wyraził, głowy. A to wcale nie są rupie...

- Dlaczego też?

- Co też?

- Dlaczego mówisz, że też wybiera się na terapię do ośrodka leczącego uzależnienia na tle seksualnym? Kto jeszcze tam się wybiera? - Moja teściowa mówiła jak ktoś, komu wydaje się, że pracuje w ośrodku dla psychicznie upośledzonych.

- Nikt.

Miałam ochotę spytać, dlaczego czepia się słów, zamiast poprosić o dyplom ukończenia studiów lub ulubiony fotel syna. Jednak pospiesznie i dość pojednawczo dorzuciłam:

- Mówiąc „też”, miałam na myśli, że też się gdzieś wybiera, przecież ty też gdzieś się wybierasz?

- Przecież mówiłam ci już, że wybieram się do Nepalu, do klasztoru, do klasztoru.

- Aha.

Trochę mnie jednak korciło, aby wyprowadzić ją z jej buddyjskiego, ciężko wypracowanego spokoju, za karę... Za karę? Ale za co? Za to, że była równie obojętną matką co ja żoną? To by było chyba nie fair.

- To czy mam ci coś podrzucić?

- A dokładniej? Co mi podrzucić? - prawie krzyczała do słuchawki.

- Czy ja wiem? No, coś z osobistych rzeczy Thomasa, coś z tych rzeczy, do których był szczególnie przywiązany...

- Zadzwoń do tego człowieka, który jest jego ojcem, i daj mi święty spokój z tym... pieprzonym sentymentalizmem!

- Do niego też już dzwoniłam, do ciebie zadzwoniłam na końcu, bo ciągle miałaś zajęty telefon...



- No i co z tego? - W słuchawce usłyszałam ciężkie, pełne rezygnacji westchnięcie.

- Nic. Było zajęte i dlatego zadzwoniłam najpierw do twojego syna, a potem do byłego męża.

- Nie wspominaj mi nawet o nim!

- O kim? O synu czy o byłym mężu?

- O obu, do cholery!

- No, dobrze, nikt niczego nie chce, w takim razie ubrania i takie tam drobiazgi oddam do Caritasu.

Nie miałam najmniejszego pojęcia, że pomysł z Caritasem aż tak uszczęśliwi moją teściową. W słuchawce usłyszałam miły, odprężony głos; z takim talentem do zmiany tonacji głosu powinna pracować w słuchowiskach radiowych.

- O, Caritas to świetny pomysł! Człowiek powinien wszystkim się dzielić i pomagać, komu tylko może. Pomaganie innym jest podstawową regułą buddyjskiej etyki...

Musiałam jej przerwać, bo była przecież zajęta pakowaniem rzeczy niezbędnych do medytacji. A poza tym nigdy nie miałam ochoty na żadne umoralniające nauki. Mój świat obywatel się bez religii, czymkolwiek by ona miała być. Nie widziałam więc powodu, aby mówiąc o rzeczach Thomasa, rozpocząć dyskusję o duchowym życiu moim czy mojej teściowej.

- Też myślałam, że ten pomysł ci się spodoba. Gdybyś jednak czegoś potrzebowała, zadzwoń.

- Oczywiście, oczywiście, skarbie, chociaż wiesz sama, taki pobyt w klasztorze może trwać i kilka lat, oby jak najdłużej, czuję, że jestem już blisko oświecenia - moja teściowa zaśmiała się tak bez troski, że nie bardzo wiedziałam, czy naprawdę mówi zupełnie poważnie.

Po odłożeniu słuchawki jeszcze przez chwilę siedziałam nieruchomo na niewygodnej sofie. Mebel ten, pokryty drogą, sygnowaną nazwiskiem Laury Ashley tkaniną, stanowił przedmiot ciągłych rozterek Thomasa, bo co jakiś czas dręczyły go wątpliwości, czy jej

obicie pasuje do oryginalnych osiemnastowiecznych tkanin żakardowych dwóch starych foteli. Ale nie o tkaninach w naszym mieszkaniu myślałam, nie o Thomasie i jego rodzinie, bo nagle wydało mi się, że czuję ból mojej mamy po stracie Luizy, jej pierworodnego dziecka, urodzonego w ciemną i zimną grudniową noc, niemalże na saniach leśniczego zaprzężonych w cztery konie. Wokół panowała ciężka zima z dwudziestostopniowym mrozem, wszystkie drogi, również i te prowadzące do stacji meteorologicznej jej męża, zasypał głęboki śnieg. Znowu była w domu sama... Na szczęście między stacją a leśniczówką działała akurat linia telefoniczna, co w tamtych czasach nie było regułą, i mama mogła w ostatniej chwili, tak samotna, przepełniona paralizującym lękiem o tę małą, bezbronną istotę w jej brzuchu, zadzwonić do leśniczego z prośbą o odwiezienie do oddalonego o jakieś piętnaście kilometrów ośrodka zdrowia. Leśniczy podobno spał jak kłoda, bo właśnie w tym dniu od rana świętował swoje imieniny i już wczesnym popołudniem morze wypitego samogonu zmoгло go na dobre, ale leśniczyna, twarda i uczynna kobieta z kresów wschodnich, jakoś zdołała postawić na nogi zapitego męża. Do ośrodka zdrowia dojechali w ostatniej chwili... Czasami, przy okazji jakichś świąt czy urodzin Luizy, mama nieśmiało wspominała, jakim to pięknym noworodkiem była jej pierwsza córeczka, jak położna nie mogła się nadziwić, że zaraz po urodzeniu tak prosto trzymała główkę i tak rozumnie patrzyła na świat, jakby wszystko już wiedziała. Za każdym razem, gdy mama o tym mówiła, w jej cichym głosie słychać było tę samą matczyną dumę i to samo matczyne wzruszenie. Wydawało się, że czas nigdy nie zdoła osłabić tych uczuć. A teraz? Co czuje, co myśli matka pamiętająca narodziny swojej córki, jakby to było dopiero wczoraj, w konfrontacji ze świadomością, że to upragnione dziecko, przynoszące z sobą tyle absolutnego szczęścia, nie żyje? Wiedziałam, że od tamtej grudniowej nocy bez wahania gotowa była oddać swoje życie za życie dziecka. Gdyby to tylko było możliwe. Gdyby to było takie proste.

Mogłabym tak godzinami siedzieć bez ruchu, smak nieszczęścia jest zniewalający i destrukcyjny. Poczuć go, znaczy *przegrać*. Nagle ogarnął mnie szal - głośno dysząc, rzuciłam się na najbliższej stojący sekretarz, pełen papierów, książek, albumów. Rzucałam wszystkim, co wpadło mi w ręce, tak jakby otaczające mnie przedmioty ponosiły winę za to, że nagle, nieoczekiwanie, nie mogę dać sobie rady ze swoimi uczuciami. Niszczyłam wszystko konsekwentnie, wręcz planowo, nie pomijając niczego, co można podrzeć, potłuc, podeptać albo roztrzaskać. Z małego salonu przeniosłam się do dużego, potem do gabinetu, sypialni, łazienki, aż wreszcie w kuchni straciłam chęć niszczenia czegokolwiek, za dużo było w niej przedmiotów, a ja nie miałam już siły. Nie chcąc patrzeć na to, co zrobiłam z mieszkaniem, szybko przebrałam się w bawełniane czarne spodnie do joggingu i szarą bluzę z kapturem, taką, jaką noszą amerykańscy bokserzy na rozgrzewającym treningu. Buty do joggingu czekały od wielu dni równo ustawione tuż przy drzwiach wyjściowych. Musiałam uśmiechnąć się na ich widok, przypominały wiernego psa czekającego na panią, która lada moment wyprowadzi go na wolność.

Biegając lekkim truchtem, skierowałam się w stronę rzeki. W środku tygodnia o tej porze, przy szybko zapadającym zmierzchu, ścieżki dla rowerzystów i spacerowiczów zawsze świeciły pustką. Starłam się nie myśleć, ostry wysiłek fizyczny jest na to dobrym sposobem. Nauczyłam się tego od Thomasa, tak odreagowywał stresy, wyłączał się... Zatrzymałam się. Thomasowi nie pomogło nic: ani związki z kobietami, ani regularnie, z zaangażowaniem uprawiany sport, ani sukcesy w pracy, ani pieniądze, ani ponoć dający szczęście amerykański prozac. A był przecież zdrowy, przystojny. Miałam nie myśleć, a przed oczami przemykali mi ludzie, którzy niby wszystko mieli, a jednak nie byli szczęśliwi, mimo że uparczywie starali się sobie pomóc. Przyciągam takich ludzi, czy co? Wydawało mi się, że słyszę przytłumiony odgłos bębenków, na których Max w zapamiętaniu próbował coś wyębnić. Od początku wiedziałam,

że to duże dziecko próbuje coś przemyścić w tym głucho brzmiącym dum-dum-dum.

Dawno już nie myślałam o Maksie, o jego wesołym głosie, ciepłych dłoniach, naiwnie dziecięcych oczach. Zaczęłam znowu biec, bez zastanowienia kierując się w stronę jego domu. Dzieliły mnie od niego jakieś trzy, góra cztery kilometry, właściwie niewiele, jednak tempo, jakie sobie narzuciłam, było stanowczo za duże. Gdy za jakąś kobietą obarczoną dwiema torbami pełnymi zakupów wbiegłam na klatkę schodową kamienicy, w której mieszkał Max, ledwo mogłam złapać oddech. W lewym boku czułam przeszywające klucie, a związane w koński ogon włosy, mokre od potu i jesiennej wilgoci, w ciężkich strąkach kleiły mi się do głowy i szyi. Chyba zwariowałam. A jak nie będzie żadnego z chłopaków w domu? Co za pomysł biec tak przez pół miasta bez pieniędzy, bez uprzedniej telefonicznej zapowiedzi! Przypomniało mi się nasze pierwsze spotkanie, w środku nocy, na pustej drodze. Teraz miałam przynajmniej buty na nogach... Na trzecie piętro dosłownie wczołgałam się, klnąc na siebie pod nosem, że nie skorzystałam z domofonu na dole, tylko wepchnęłam się do środka za tą kobietą, przynajmniej upewniłabym się, czy są w domu. Ta baba patrzyła na mnie, jakbym chciała ją udusić, zgwałcić i obrabować, a schody na trzecie piętro ciągnęły się w nieskończoność. Nacisnęłam dzwonek, przytrzymując go dłużej, niż to było przyjęte, i zaraz po tym mocno zapukałam, za mocno, bo boleśnie obtłukłam sobie wszystkie kostki prawej dłoni. Drzwi otworzyły się prawie natychmiast. Stała w nich długonoga ciemna dziewczyna, - gdybym była trochę niższa, moja twarz znalazłaby się pewnie na wysokości jej gołego brzucha. Wielkie sarnie oczy patrzyły na mnie z zaciekawieniem i chyba z lekkim rozbawieniem, choć tego nie byłabym do końca pewna. Może cień uśmiechu kryjący się w jej spojrzeniu przeznaczony był dla tego, kto właśnie przed chwilą bawił się jej lokami... Takie wspaniałe włosy mogą mieć tylko kolorowi, byłam przekonana, że każdy im ich zazdrości.

- Ja do Maksa - nie chciałam się wdawać w żadne konwenanse, bo ledwie udało mi się wykrztusić, a właściwie wysapać to krótkie zdanie.

- A z kim mam przyjemność? - zapytała niskim, lekko zachrypniętym głosem, ukazując w uśmiechu olśniewająco białe zęby. Posługiwała się najczystsza pod słońcem niemczyzną. Nienawidziłam jej. Nigdy nie należałam do szarych myszek, które czują kompleks niższości wobec każdej pięknej kobiety. Ale stojąca przede mną dziewczyna miała wszystkiego stanowczo za dużo: za dużo centymetrów, za dużo biustu, za dużo białych zębów, za dużo lśniących włosów, za dobry gust, no, pomijając może tę przykrótką bluzeczkę, która nie była w stanie przykryć śniadego, płaskiego brzucha.

- Z żoną.

Na krótką sekundę uśmiech zamarł na jej doskonałej twarzy, aby szybko tam powrócić.

- Max! Żona!

- Chyba wdowa, jeśli wierzyć prasie - Max wyłonił się z półmroku długiego przedpokoju, tak jakby zatrzymał się tam na chwilę, aby, na przykład, podciągnąć sobie opadające dzinsy. Chyba trochę nie dowierzał, że mnie widzi, albo razilo go wpadające z klatki schodowej ostre neonowe światło, bo zmrużył oczy, lekko przechylił głowę i w takiej pozycji, stojąc ramię w ramię z dziewczyną, wytrwał dobre kilka sekund, które wydawały mi się stanowczo za długie jak na powitanie... właściwie kogo? Dwojga starych przyjaciół, kochanków, znajomych? Długonoga piękność spoglądała raz na mnie, raz na Maksa. Musiałam chyba zrobić jakąś głupią minę, bo w końcu Max wybuchnął śmiechem, a ja z ochotą mu zawtórowałam, gdyż zawsze lepiej pośmiać się głupio, niż tak stać w drzwiach jak ostatni kołek. Max rozłożył ręce, jakby chciał mnie objąć:

- Wejdz do środka, tęskniłem za tobą.

Przekroczyłam próg i znalazłam się w jego pachnących ciepłem i dobrą wodą kolońską ramionach. Taki mały happy end. Ogarnęło

mnie uczucie błogości i rzadko zaznawanego spokoju, choć mimo zamkniętych przez chwilę oczu wyraźnie czułam obecność tej drugiej. Każda baba to wróg - przemknęło mi przez głowę zdanie bufetowej z redakcyjnej stołówki, które padło w rozmowie z Tomem. Uwielbiała go, czemu dawała wyraz, obdarowując smakowitymi kaskami Socke-Lottę. Słyszała też z długich filozoficzno-światopoglądowych monologów na temat stosunków damsko-męskich.

To nie był dobry moment na wspomnienie Toma.

Sądząc po reakcji Maksa, miałam szczęście do mężczyzn. Tak mi się przynajmniej wtedy wydawało.

- To dobrze, że się za mną stęskniłeś, ale żeby od razu zadawać się z cyborgami? - szepnęłam Maksowi do ucha, na co on ponownie zaśmiał się wesoło. Nikt nie śmiał się tak zaraźliwie jak Max, szkoda, że Tom był tak zgryźliwie poważny, wyłączając jego promienny uśmiech, który nie miał nic wspólnego z wesołością.

- Chyba powinienem was poznać? - Max nagle odsunął się ode mnie, jakby poczuł, że myślę o kimś innym; co mnie znów napadło z tymi porównaniami?

- To jest Maya, a to Kornelia.

- Cześć, Maya z Majów - kiwnęłam w jej kierunku ręką, na wypadek gdyby chciała przywitać się uściskiem dłoni. Znowu odzyskałam spokój i pewność siebie, które przecież tak rzadko traciłam w towarzystwie obcych ludzi.

- Cześć, Conny, miło mi cię poznać! - dziewczyna-cyborg rzuciła mi promienny uśmiech. Nienawidziłam, jak ktoś tak do mnie mówił, bo to niemieckie zdrobnienie imienia Kornelia miało w sobie coś tak okropnie mieszczańskiego, że za każdym razem byłam przekonana, iż osoba mówiąca do mnie w ten sposób chce mnie obrazić. Postanowiłam ją zignorować.

- Właściwie to wpadłam tylko na chwilę, Max, bo chciałam cię zaprosić na kolację... pewnie już wiesz... jestem sama. Musiałam się jakoś pozbierać, nie każdego dnia ginie mąż w Wielkim Kanionie.

- Cool! To twój mąż zginął w Wielkim Kanionie, w Arizonie? To ten prawnik?

Popatrzyłam na nią chłodno i odwróciłam się, manifestując swoje lekceważenie.

Zrobiłam to instynktownie i sama byłam zaskoczona swoją wrogą reakcją. W końcu to nie jej wina, że wyglądam przy niej jak Kopciuszek, że Książę nie był Księciem, a mnie zginął mąż w... Chyba trochę się zamyśliłam, bo nagle poczułam delikatne szarpnięcie za rękaw.

- Pobudka! Nad czym tak rozmyślasz? - Max objął mnie w tali ramieniem i lekko popchnął w kierunku swojego pokoju. Weszliśmy pierwsi, cyborg za nami. Pośrodku dość dużego pomieszczenia, które służyło za sypialnię, pracownię i pokój dzienny, stały różnej wielkości bębunki. Widząc, ile ich jest, zorientowałam się, że grały na nich co najmniej dwie osoby.

- Gracie razem? - po raz pierwszy tego dnia zrobiło mi się naprawdę wesoło.

- Tak jakby... dużo jeszcze razem nie ćwiczyliśmy... poznaliśmy się właśnie na tych warsztatach...

- Dokładniej mówiąc - Maya miała dość jękaniny Maksa, bo włączyła się do rozmowy lekko zirytowana - były to warsztaty pomagające odnaleźć w sobie, w swoim wnętrzu, mistyczne pra-dźwięki, oczywiście odnaleźć i odpowiednio zinterpretować, i dzięki temu lepiej zrozumieć siebie, bardziej pokochać siebie - dziewczyna uśmiechnęła się, chyba sama do siebie, to znaczy do swoich wewnętrznych pradźwięków, bo nie patrzyła ani na mnie, ani na Maksa.

Ta Maya-cyborg była niewątpliwie świrnięta, i w tej samej chwili, w której to sobie uświadomiłam, polubiłam ją, wydała mi się bardzo sympatyczna. No cóż, chyba nikt nie lubi ludzi doskonałych, co jest stwierdzeniem optymistycznym, chociażby z powodu groźby klonowania ludzi na przemysłową skalę. Nieprzyjemna wizja samych doskonałych *homo sapiens clonus* mogłaby zostać w ten

sposób odesłana do lamusa. Nie wiem, co mnie podkusiło, chyba przez solidarność chciałam dołączyć do klubu nawiedzonych, bo nagle, pozornie bez związku, wypaliłam:

- A mnie ostatnio udało się przejechać człowieka, który okazał się nie być istotą materialną!

- ...?

- Zresztą jego żona też... też nie była materią...

Oboje patrzyli na mnie, jakbym była na haju czy straciła zmysły. I chyba mieli rację. Zrobiło mi się jeszcze bardziej wesoło na duszy i znowu roześmiałam się radośnie.

- To, co? Pobębniemy sobie trochę?

Niektórzy milczą, bo mają za dużo do powiedzenia, inni, bo nie mają świata nic do zakomunikowania. Znów pomyślałam o Tomie. Co do niego, całkowicie pomyliłam się w ocenie.

Otwierając drzwi do mieszkania, czułam na karku ciepły oddech Maksa. Pomyślałam o Thomasie, to on zawsze je otwierał, gdy wracaliśmy razem do domu. Nawet gdy miałam przy sobie klucze, cierpliwie czekałam za jego plecami, aż będę mogła wejść, do otwartego mieszkania. Rola gościa we wspólnym życiu całkowicie mi odpowiadała, zresztą od początku była mi przez Thomasa narzucona. Dziwna to była zależność, bo była nią tylko z pozoru, dotyczyła tylko mało ważnych, drobnych spraw życia codziennego. Thomas chyba o tym wiedział i dlatego tak kultywował te nic nie-znaczące rytuały, chcąc w ten sposób stworzyć pozór głębokiej więzi, obopólnych zależności. Życie jest jednak dużo bardziej skomplikowane, bo człowiek sam jest nieprzewidywalny, nie daje sobą powodować. Weszliśmy do środka.

- O, w mordę! A tutaj co się stało? Miałaś najazd mafii ojczyźnianej czy co?!



Całkiem zapomniałam o demolce w mieszkaniu.

- Jeszcze nie. Zaczęłam robić porządki... takie tam. Wielu rzeczy właściwie nie potrzebuję, ale... w kuchni jest porządek! Zaraz sobie coś ugotujemy.

Otworzyłam lodówkę, która, przecież mogłam się tego spodziewać, świeciła pustką, tylko nieprzyjemny zapach, chyba zjełczałego sera, świadczył o tym, że kiedyś przechowywano w niej artykuły spożywcze.

- To co, może po amerykańsku? - Max jak zwykle starał się nie tracić optymizmu. Duży chłopiec, który próbuje na wszystkie sposoby uciec przed powagą dorosłego życia. Przypomniałam sobie, że zdarzały się momenty, kiedy jego niefrasobliwa radość wydawała mi się drażniąco infantylna. Chociaż z drugiej strony to właśnie jego chłopięcość pociągała mnie najbardziej. Teraz patrzyłam na niego z wyrzutem, nieświadomie naśladując Kornelię, która wszystkie rodzaje fast foodów uważała za jeden z najbardziej wyrafinowanych rodzajów kulturowego barbarzyństwa. Zdaje się, że Max źle zrozumiał moje intencje. Wyglądał na przestraszonego. - O, przepraszam, Kornelia, nie chciałem cię urazić. Miałem na myśli coś do jedzenia, gotowego, na zamówienie... wiesz, tak jak w Ameryce, siedzisz przed telewizorem i jesz to, co zamówisz przez telefon i co przyniosą ci do domu w papierowych pudełkach.

Rozdrażniona pokręciłam z niedowierzaniem głową. Trzeba było zostawić tego chłopaka razem z jego cyborgiem przy ćwiczeniach na dwie pary bębenków. Ochotę na seks powinnam zaspokajać w inny sposób. Tylko w jaki? Korzystać z płatnych chłopców na telefon? W wyobraźni zobaczyłam takiego płatnego, przez telefon zamówionego kochanka. O mało nie parsknęłam śmiechem, bo przez ułamek sekundy wyobraziłam sobie dwie usługi w jednym: przystojny dostawca pizzy zdejmuje płócienny uniform w barwach macierzystej pizzerii, a pod nim ma tylko wyłącznie obcisłe, czarne tangi.

- Nie musisz mnie przepraszać. A swoją drogą, jak ci się wydaje, o czym ja myślę na dźwięk słowa „Ameryka”? O amerykańskim

nieznanym grobie mojego męża? Mam udawać, że jestem żoną zaginionego na wojnie bohatera, szlachetnego, pełnego poświęcenia żołnierza? Czy wszyscy muszą mieć na tym tle jakąś obsesję? Nie ma dnia, żeby ktoś nie próbował tego tematu na nowo drążyć, wszystko jedno w jaki sposób. Thomasa nie ma i kropka. Jak dłużej się zastanowię, to i tak go nie było. Równie dobrze mógł wpaść pod tramwaj albo zakrztusić się spaghetti, bo było zbyt al dente, albo po prostu dać nogę z tancerką go-go...

- Nie rozumiem cię, choć bardzo się staram, ciągle zmieniasz nastroje, sam nie wiem, co jest fikcją w tym, co mówisz, a co prawdą... zapędziłaś mnie w ślepią uliczkę, nie próbuję odgadnąć twoich myśli, bo i po co... - Max z rezygnacją zawiesił głos, jakby szukał i nie znalazł uzasadnienia dla dalszych słów. Przedstawił żalony obrazek - jak młody psiak skarcony przez surową mamę-sukę.

Jedno było pewne: w tym momencie nie było anonimowego dostawcy pizzy, był za to chłopak, który kochał mnie tym bardziej, im bardziej wydawałam mu się nieosiągalna. Banalne, ale prawdziwe. Poczułam zmęczenie, zaczęła boleć mnie głowa, więc usiadłam przy kuchennym stole. Pomyślałam sobie, że nie jest tak źle, bo przynajmniej w kuchni nie udało mi się niczego zniszczyć. Reszta krzesel i foteli była poważnie uszkodzona. Max z bezradnym wyrazem twarzy usiadł obok, poczułam przyjemne ciepło i odurzający zapach jego ciała. Pochyliłam się lekko w jego stronę i objęłam go za szyję:

- To co, ty dzwonisz, a ja otwieram wino, czy odwrotnie?

- Jak chcesz, to ty w końcu tu rządzisz, więc decyduj.

- Dobrze, to ty dzwonisz i zamawiasz pizzę, a ja zajmuję się winem. Tylko nie myśl, że aby cię uwieść, muszę mieć alkohol we krwi - szepnęłam mu do ucha, śmiejąc się i całując równocześnie jego opaloną skórę gładko wygolonego karku.

Kochaliśmy się długo i namiętnie, tak jakby poza ciepłem naszych ciał nic nie istniało na świecie. Max był znowu tym czułym,

nieskomplikowanym kochaniem, chcącym dawać i brać przyjemność, świadomym swojej witalności, swojej urody. Szkoda, że seks jest jak dobry film, kończy się za szybko, nieodwołalnie, pozostawiając po sobie tylko coraz słabsze wspomnienie i gorzką pewność, że świat, w który przenieśliśmy się na ten krótki czas, był sprawnie zrealizowaną fikcją.

Następny tydzień spędziłam samotnie w domu. Maksa zbyłam zapewnieniem, że jak tylko uporam się z porządkami w mieszkaniu, to zadzwonię. Nie wiedziałam kiedy. Kiedyś. Wyglądał na upokorzonego, pewnie w myślach powtarzał sobie, że wcale mu na tym telefonie nie zależy, że on też nie ma dla mnie czasu i żebym w końcu się od niego odczepiła. Może nawet w duchu przeklinał, wyzywał mnie od najgorszych... W każdym razie na głos nie powiedział nic. Na pożegnanie, w drzwiach, pocałował mnie lekko w policzek i popatrzył na mnie - popatrzył mi nie w oczy, nie na mój brzuch czy stopy, tylko na mnie, tak jakby robił mi zdjęcie z dość dużej odległości. Patrzył dobrą chwilę za długo, zbyt długo, aby to mogło być przyjemne.

Zostałam sama. W końcu chciałam zacząć pisać, a pisanie oznaczało dla mnie wyciszenie i przeniesienie się w świat moich postaci; to one budzą mnie w nocy i nie pozwalają zasnąć, bo wtedy właśnie mają najwięcej do powiedzenia, z nimi prowadzę w myślach niekończące się dialogi, z których jakaś część zawsze pozostaje na papierze. Z fikcyjnymi postaciami było podobnie jak z tymi rzeczywistymi, z którymi stykałam się podczas pracy dziennikarskiej - wszystkie, bez wyjątku, próbowały zawładnąć moimi myślami, nieodwracalnie wpełznąć się do mojego mózgu - sposób, w jaki mówią, w jaki się śmieją czy płaczą, ich lęki stawały się moimi, ich radości wywoływały u mnie euforię. Pewnego dnia, czytając gotowe już strony, doszłam do wniosku, że wszystko to jest możliwe ze względu na mój emocjonalny dystans wobec ludzi i rzeczy, który

pojawił się we mnie w dzieciństwie. Nie interesowało mnie to, co na mój temat sądzą inni. I to jest wolność.

W przedsiębiorstwie oczyszczania miasta zamówiłam dwa wielkie kontenery na śmieci.

Do głowy by mi nie przyszło, że tyle rzeczy można zniszczyć w tak krótkim czasie. Musiałam zadzwonić jeszcze po dwa następne pojemniki. Niektóre sprzęty, mniej zniszczone, ustawiłam pod wieczór w równym rzędku obok kontenerów, mając nadzieję, że do rana, jeszcze przed przyjazdem śmieciarki, znajdą nowych właścicieli i że w tym czasie nikt z mieszkańców mojej kamienicy lub sąsiednich domów nie wezwie straży miejskiej, bo stwierdzi, że jego poczucie bezpieczeństwa zostało poważnie zagrożone - w końcu moje porządki robiłam poza oficjalnym terminem wystawiania na ulicę niepotrzebnych sprzętów. Wieczorem, wyglądając przez okno w łazience, w świetle ulicznych latarni zobaczyłam kobietę i mężczyznę - pakowali te rzeczy na przyczepkę ciągniętą przez starego opla z polską rejestracją. Zanim odjechali, zajrzeli również do kontenerów. Kobieta, w czymś w rodzaju uszatki na głowie, wyciągała po kolei kawałki potłuczonych wazonów i połamanych krzesel; nie kryła przy tym - jak się można domyślić - oburzenia, bo każda dokładnie zbadana rzecz z hukiem lądowała w czarnych czeluściach kontenera, a echo tego hałasu docierało aż na moje poddasze.

W końcu odjechali, bo ktoś z mieszkańców mojej kamienicy, wściekle krzycząc przez otwarte okno, zagroził, że natychmiast wzywa policję. Gdy samochód ciągnący wysoko załadowaną przyczepkę skręcił wreszcie na pierwszym skrzyżowaniu, odetchnęłam z ulgą.

Ubrania i rzeczy osobiste Thomasa zawiozłam do Caritasu. Mój mąż w materialnym sensie ostatecznie zniknął z mojego życia.

Pisałam w pokoju, który kiedyś był gabinetem Thomasa. Oprócz wielkiego biurka z komputerem, który służył mi wyłącznie jako maszyna do pisania, i kupionego przeze mnie fotela do siedzenia na klęczkach, bo w normalnej pozycji bolał mnie kręgosłup, nie stało w nim nic więcej. Zielone ściany pokoju i dwa duże okna wychodzące na pięknie zadbane wewnętrzny dziedziniec były zupełnie nagie. Jedynie na ścianie po lewej stronie wisiał olbrzymi arkusz papieru ze schematem powieści, którą właśnie pisałam. Zawsze tak robiłam, również przy okazji małych reportaży dla mojej gazety. Najpierw opracowywałam materiał graficznie, to znaczy wypisywałam na papierze nazwiska postaci, które najczęściej układały się w kształt piramidy. Obok każdego nazwiska zamieszczałam krótką charakterystykę wraz z opisem środowiska, z jakiego dana postać pochodziła. Następnie wszystkie osoby łączyłam liniami, na których znajdował się opis ich wzajemnych stosunków. Posługując się takim schematem, miałam uproszczone zadanie, wystarczyło tylko tchnąć w niego życie, ze wszystkimi jego radościami, napięciami, dramataми i... nieustającymi dialogami.

Pewnego dnia, po zrobieniu któregoś z kolei schematu powieściowego, stwierdziłam nawet, że mam umysł ścisły, czego nigdy nie zauważali moi nauczyciele w szkole średniej i na studiach humanistycznych. We wszystkim, co robiłam, starałam się doszukać jakiegoś logicznego schematu, chyba tylko po to, żeby potem trzymać się go kurczowo jak ślepiec laski. Bez tych geometrycznych sztuczek czułam się zagubiona i bezradna.

Większość czasu, właściwie każdą wyrwaną życiu minutę - w końcu musiałam myć się, coś jeść i pić, no i od czasu do czasu spać, spędzałam w tej pustej, nierozpraszającej niczym mojej uwagi pracowni, bo wydawało mi się, że tylko tam jestem w stanie pisać.

Kiedyś obudziłam się w nocy i długo nie mogłam zasnąć, postacie z mojej powieści tłoczyły się w niewielkiej sypialni, z zazdrością

przysłuchiwałam się ich dialogom: tak doskonałych rozmów nigdy nie udało mi się wymyślić, siedząc przy biurku. I wtedy postanowiłam postawić obok łóżka niewielki laptop, aby szybko móc zapisać to, co rozbudzona wyobraźnia będzie mi podszeptowała. Następnego dnia rano pobiegłam do najbliższego sklepu ze sprzętem elektronicznym i kupiłam strasznie drogi osobisty komputer. Potem przez kilka nocy z rzędu czekałam na tę bezsenną, płodną fazę, w wyobraźni widziałam już siebie, jak piszę w łóżku dalsze fascynujące rozdziały mojej powieści. Niestety, nic z tego nie wyszło. Gdy wreszcie ta noc nadeszła, nie mogłam się skupić, przeszkadzało mi dosłownie wszystko, włącznie z inicjałami mojego męża, misternie wyszytymi złotą nitką na kremowej pościeli z adamaszku. Po kilku bezowocnych próbach rozwinięcia wątku wpadłam we wściekłość i zupełnie dla siebie niespodziewanie rzuciłam nowiuteńkim laptopem o ścianę. Oczywiście to drogie elektroniczne „cacko”, jak pieśczośliwie nazwał zakupiony przeze mnie komputer młody sprzedawca, rozleciało się na kilka milczących kawałków. Obyło się bez specjalnych efektów akustycznych, czyli piszczenia lub syczenia - nowoczesny sprzęt do pracy jest niemy, podobnie jak ludzie spędzający przy nim życie. Zaskoczyła mnie ta moja porywczność. Coraz częściej zdarzały mi się napady złości, których nie potrafiłam i chyba nie chciałam opanować czy choćby kontrolować. Na nieprzyjemne skojarzenie z moim ojcem cholerykiem długo czekać nie musiałam. Pojawiło się w mojej głowie bez ostrzeżenia, jak jakiś niezapowiedziany gość. I stało się moją obsesją. Odkąd dowiedziałam się od Mary, że widuje się z dziadkiem, co jakiś czas z niechęcią wracałam myślami do mojego ojca, czasem nawet prowadziłam z nim jakieś upiorne dialogi, bo w końcu jak rozmawia się z kimś po ponad dwudziestu latach milczenia?

Nawet nie zauważyłam, kiedy rozpoczęła się gorączka przygotowań bożonarodzeniowych, na ulicach i w witrynach sklepowych

wystawiono słodkie aniołki, infantylnie uśmiechniętych świętych Mikołajów i szkaradne sztuczne choinki. Wokół pobliskiego Viktualienmarkt, snobistycznego bazaru z drogą i doskonałą żywnością, już od początku grudnia unosił się mocny aromat prażonych orzeszków, pieczonych kasztanów i korzennych przypraw, dodawanych do grzanego wina. Ale ja skrętnie omijałam to miejsce, bo każde zapuszczenie się w ciasne uliczki między eleganckie stragany kończyło się, bez względu na porę roku, gorączkowym, niepohamowanym kupowaniem olbrzymiej góry żywności. Część pochłaniałam zaraz po przekroczeniu progu kuchni, nie zwracając uwagi na kolejność, to znaczy wędzonego łososa zagryzałam mandarynkami, oliwkami nadziewanymi migdałami i czosnkiem, świeżymi truskawkami, oryginalną owczą fetą, turecką chałwą lub gorącym ciastkiem podobnym do polskiego pączka, tyle że z dziurką w środku. Reszta jedzenia, czyli większa część zakupów, prędzej czy później trafiała do śmietnika, bo wiele z tych wiktuałów apetycznie wyglądało na straganie i zwykle miałam na nie ochotę natychmiast po nabyciu, później niestety już nie. I dlatego starałam się omijać to miejsce. Cornelia nauczyła mnie powściągliwości w jedzeniu, obżeranie wydawało mi się teraz grubiańskie i nie na miejscu.

O nadejściu świąt Bożego Narodzenia dowiedziałam się w delikatesach u Włocha na rogu mojej ulicy. Musiałam kupić coś do zjedzenia, a konkretnie *pomodoń secchi*, włoskie, suszone na słońcu pomidory w oliwie, które z mozzarellą lub bez i z białym chlebem stanowiły podstawę mojego codziennego menu. Gdybym się nad tym chwilę zastanowiła, na pewno wydałoby mi się to trochę dziwne, ale do głowy by mi nie przyszło, żeby coś zmienić. Cornelia, która co kilka dni wpadała do mnie, by kontrolować moje postępy w pisaniu i pogadać o nowych wątkach powieści, któregoś dnia, siedząc ze mną przy stole w kuchni, wyznała, że nigdy nie podejrzewała, iż uda mi się wzbudzić w niej tak głęboką odrazę do tego włoskiego specjału, jakim są *pomodoń secchi*. Pozostałam

to stwierdzenie bez komentarza, myśląc o tym, do ilu *rzeczy* ona mnie bezpowrotnie zraziła, i to takich, które wcześniej sprawiały mi wiele przyjemności. Wracając jednak do świąt Bożego Narodzenia, to dowiedziałam się o nich, kupując u mojego Włocha tradycyjnie suszone pomidory, trochę mozzarelli i zieloną sałatę. Po chwili wahania zamówiłam jeszcze skrzynkę białego soave.

- Seniora Kornelia, wyjeżdża pani gdzieś na święta? Do rodziny?

- pytał Włoch z wyraźną troską w głosie. W sklepiku oprócz mnie kręciło się jeszcze kilka osób i dlatego zdziwiłam się, że ma ochotę • na pogawędkę, bo zwykle nawiązywał rozmowę tylko wtedy, gdy było mu nudno, a sklep świecił pustkami.

- Na święta? Na jakie święta? Nie, nigdzie się nie wybieram

- nie bardzo wiedziałam, o czym mówi, wyrwana z zamyślenia czułam się przyłapana na gorącym uczynku. Wydawało mi się, że wszyscy patrzą na mnie z kpina w oczach, i zrobiło mi się gorąco, choć normalnie nie przejmuję się ludzkim zainteresowaniem moją osobą bez względu na to, jaka jest jego przyczyna.

- Seniora Kornelia, rozmawiamy o świątach Bożego Narodzenia! Myślałem, że wy, Polacy, przygotowujecie się do tych świąt przez cały rok.

Nie chciałam być niegrzeczna, bo wiedziałam, że sklepikarz miał do mnie słabość, którą najczęściej wyrażał przyjaznym uśmiechem i wybraniem naprawdę świeżej sałaty i jędrnych pomidorów. Mimo to wyrwało mi się:

- Racja. Zupełnie tak samo jak wy, Włosi, cały rok nic nie robimy, tylko się modlimy.

Ktoś za moimi plecami zachichotał. Postanowiłam jak najszybciej zapłacić i nie wdawać się w dalsze rozmowy, choć czułam, że i tak mam już popsuty dzień. Jak mogłam zapomnieć o świątach Bożego Narodzenia!

- Seniora Kornelia, niech się pani nie obraża, pani jest taka delikatna, to chyba przez tę samotność...



- I przez te *pomodoń secchi*, które tu tonami kupuje. Niech pan jej więcej tego świństwa nie sprzedaje, bo będzie jeszcze bardziej samotna.

Cornelia! Gdy usłyszałam jej głos, od razu zrobiło mi się różniej na duszy i z najpiękniejszym uśmiechem, na jaki było mnie stać, podałam Włochowi pieniądze za zakupy - z niewiadomych przyczyn za każdym razem płaciłam coraz więcej za to samo.

- Pani jest Włoszką, seniora?

Teraz błyszczące, śmiejące się oczy zwrócone były tylko na Cornelie.

- Tak, ze Starnbergu, od czasów Karola Wielkiego.

Cornelia zaśmiała się zalotnie, w jej postawie nie wyczuwało się typowego dla niej napięcia, pojawiło się natomiast coś w rodzaju wylewności, nawet ubrana była jakoś inaczej, ze zwykłą dla niej perfekcją, ale bardziej na luzie, tak jakby wybierała się na przykład na lunch w klubie golfowym. Włoch odwzajemnił się jej za tę pełną wdzięku kokieteryę głośnym, naprawdę wesołym śmiechem. Taki śmiech jest wielką rzadkością, bo jest możliwy tylko wtedy, gdy chce się dać upust wypełniającej człowieka radości.

- Ale ma pani niepowtarzalny urok południowych kobiet, widocznie pozostałość po rzymskich legionistach.

Wiedział coś na temat Karola Wielkiego?

- Na to wygląda, pewnie dlatego tak mnie ciągnie na południe, do gorącego słońca.

Pomyślałam, że chyba źle słyszę i na dodatek źle widzę. Cornelia, nawet jak jechała gdzieś na południe, to nigdy w okresie upałów. I ten ton, jakby próbowała poderwać tego sklepikarza. Jak każdy zadbany Włoch, mógł się tu podobać, ale żeby Corneli? Tymczasem w niewielkim sklepie przybyło klientów, z których część zaczęła niecierpliwie pochrząkiwać i przestępować z nogi na nogę. Włoch zdawał się tego nie zauważać, podobnie zresztą jak

moja przyjaciółka. Rozbolały mnie nogi i poczułam straszny, ssący głód w żołądku. Najwyraźniej nie potrafiłam docenić uroku tej miłej pogawędki.

- To co, Cornelia, idziemy? I gdybym jeszcze dostała resztę, to byłabym wdzięczna.

- Oczywiście, tu pani reszta, seniora, dlaczego nie pochwaliła się pani wcześniej taką piękną znajomą?

- Bo wcześniej było za wcześnie.

Oboje popatrzyli na mnie ze zdziwieniem, jakbym im oznajmiła, że dopiero co zmieniłam płeć... albo coś równie dziwnego. Bez pytania podałam Cornelii najcięższą siatkę z zakupami. Wzięła ją do ręki bez słowa, tak jakby przez całe życie nic innego nie robiła, tylko nosiła moje zakupy.

- To co, dostarczy mi ktoś wino do domu jak zwykle wieczorem?

- Dzisiaj może być wcześniej - spojrzał na zegarek - jest akurat piąta,- może być za godzinkę?

- W porządku, za godzinę. Dzięki. Cześć.

- Ciao, do zobaczenia.

- Ciao, do zobaczenia - Cornelia, wychodząc ze sklepu, z zapalem pomachała Włochowi na pożegnanie.

Na dworze czuło się przyjemny, rześki chłód górskiego powietrza. Nie wiem, skąd się ono wzięło w tym mieście, skoro najbliższe góry znajdują się w odległości kilkudziesięciu kilometrów, a wokół rozpościera się gęsta sieć autostrad. Przez dłuższą chwilę szliśmy obok siebie pogrążone w milczeniu. Zastanawiałam się, jak mogłam zapomnieć, że następnego dnia jest już Wigilia. Kilkakrotnie obchodziłam Boże Narodzenie samotnie, w ostatnich latach z Thomasem, ale nigdy nie zapomniałam o świętach, smażyłam rybę, gotowałam kiszoną kapustę i kartofle, nakrywałam stół białym obrusem, w radiu lub w telewizji słuchałam kolęd. Właściwie to obchodziłam Boże Na-

rodzenie podobnie jak moja mama: skromnie, w pełnym powagi skupieniu, tak jakby każdy człowiek był od zawsze sam na tej ziemi.

To była nasza religijność, chwila refleksji, zatrzymanie czasu przez regularnie powtarzający się rytuał. W tym roku, gdyby nie Włoch z delikatesów na rogu, zapomniałabym o świętach, nie byłam do nich przygotowana, moja dusza bawiła gdzieś poza mną, nieobecna, albo inaczej - obecna na stronach pisanej przeze mnie powieści. Czas skończyć tę książkę, wtedy będę mogła trochę pomyśleć o sobie... Boże, całkiem zapomniałam o Maksie, miałam przecież do niego zadzwonić. Natychmiast pojawiło się też pytanie, z kim będę mogła pogadać, jak skończę powieść. Przeleciałam w myślach listę znajomych. Nie była zbyt długa, i tak naprawdę na spotkanie z żadną z tych osób nie miałam ochoty. Została mi tylko Cornelia... Cornelia szła obok mnie. Popatrzyłam na nią, uśmiechała się leciutko do swoich myśli. Rzeczywiście była piękna. Poczułam lekkie ukłucie zazdrości. Tylko o co czy o kogo? O względy Włocha, którego komplementy zarezerwowane były do tej pory wyłącznie dla mnie, czy o to, że Cornelia może się bardziej niż ja podobać? Spojrzałam w okno wystawowe sąsiadującej z moim domem apteki - wyglądała jak źle opłacana gosposia z Europy Wschodniej, która wyszła ze swoją skąpą, ale elegancką pracodawczynią na większe zakupy. Na myśl o tym, jakie sprawiam wrażenie, cicho zachichotałam. Właściwie to powinnam płakać nad sobą, a kiedyś, przy okazji, zastanowić się wreszcie, skąd u mnie tyle optymizmu, tyle tolerancji wobec samej siebie. Cornelia jakby czytała w moich myślach, bo znienacka się odezwała:

- Co ci tak wesoło? Ja na twoim miejscu nie miałabym większych powodów do radości. Twój były mąż, jakkolwiek by on był, potrafił cię chociaż zdyscyplinować...

- Dlaczego mówisz „były mąż”? Przecież wcale się z nim nie rozwiodłam.

- Potrzebujesz kogoś, kto by się tobą zajął. Jakiejś sekretarki, albo kogoś w rodzaju gosposi... zresztą czy ja wiem?

- Przecież pytałam cię o coś?

- O co? Aha, dlaczego mówię „twój były mąż”? Nie bądź dziecinna, ten człowiek...

- A może młodego i przystojnego sekretarza? - w porę zre-flektowałam się i zrezygnowałam z kolejnej sprzeczki na temat Thomasa.

- Sekretarza? Czy ja wiem...? Może to i dobry pomysł, musimy się nad tym wspólnie zastanowić, nie wiem tylko, czy płęć w tym wypadku ma jakieś szczególne znaczenie. Powinnyśmy raczej pomyśleć o kimś, kto ma mocno rozwinięty instynkt opiekuńczy, jest dobrym organizatorem, ma w sobie ciepło... jest niedrogi, tak... oczywiście, to może być również mężczyzna... dlaczego by nie? Nasz dyrektor finansowy ma do dzieci chłopaka z Białorusi - Cornelia zaśmiała się cicho, zaczęła chyba poważnie rozważać ten pomysł.

Przyjrzałam jej się badawczo, czyżby przeszła jakąś nową terapię, coś w rodzaju elektrowstrząsów albo hipnozy, podczas której można wymienić pasażera z podróży reinkarnacyjnej na kogoś bardziej przyjaznego światu?

- Powiedz, Cornelia, właściwie to miałam cię już o to zapytać zaraz po wyjściu od tego Włocha, co z tobą, źle się czujesz?

- Ten chłopak z Białorusi... a może z Ukrainy? Mniejsza z tym! A więc ten chłopak podobno tylko śpi i je, je i śpi, i tak od kilku już miesięcy, niedawno udało się mojemu koledze z pracy zmusić go do regularnego korzystania z prysznic...

- No więc źle się czujesz czy co?

- O co ci chodzi z tym „czy co”? Powiedz lepiej, czy ty się dobrze czujesz? Zawsze byłaś trochę inna, ale w ostatnim czasie ta twoja odmienność nasiliła się, chorobliwie się nasiliła... Nie masz żadnych znajomych, przyjaciół, nie dbasz o siebie, nie robisz żadnych planów, jesz ciągle to samo, nie robisz okresowych badań...

Czułam, jak tracę cierpliwość i czerwienię się ze złości.

- Czego ty ode mnie chcesz? Daj mi spokój, w końcu nie codziennie ginie komuś mąż i umiera jedyna siostra! - wyrzuciłam to z siebie z furją, o jaką się nie podejrzewałam.

Cornelia, usiłując mnie zatrzymać, gwałtownie szarpnęła rękaw mojej starej skórzanej kurtki. Całkiem zapomniałam, że nie miała pojęcia o śmierci Luizy.

- Siostra? Twoja siostra nie żyje? Umarła? Kiedy? Czemu mi nic nie powiedziałaś?

- Przecież ci mówię... zresztą nie ma co się na ten temat rozwodzić, to było prawie trzy miesiące temu, chwilami wydaje mi się nawet, że to mi się tylko śniło...

I już o wiele łagodniej, ścisząc głos prawie do szeptu, dodałam:

- I że Luiza gdzieś jest, może całkiem blisko. Często bywała gdzieś na lotniskach zupełnie niedaleko od Monachium. Gdybym wiedziała, że zginie, wykorzystałabym każdą taką okazję, żeby się z nią choć przez krótką chwilę zobaczyć...

Niespodziewanie rozplakałam się, bo znowu poczułam dojmujący ból, żal za bezpowrotnie utraconym czasem, który mógł należeć do nas, do mnie i mojej siostry. Stałyśmy z Cornelią przed bramą wejściową do kamienicy, w której mieszkałam. Nie mogąc opanować płaczu, siatki z zakupami rzuciłam na kamienne płyty chodnika i nerwowo grzebiąc w kieszeniach kurtki, starałam się jak najszybciej znaleźć klucze do drzwi wejściowych i jakąś chusteczkę, bo twarz miałam mokrą od łez. Nie chciałam żadnych scen pod domem, moje stosunki z sąsiadami i tak nie były najserdeczniejsze. A Cornelia, jakby się w niej zaciął jakiś mechanizm, ciągle próbowała mnie objąć i przytulić. Nie bardzo jej to wychodziło, bo byłam prawie o głowę od niej wyższa i sporo potężniejsza, szczególnie w tej za dużej kurtce po Thomasie. Ktoś, kto obserwowałby nas z boku, mógłby pomyśleć, że szarpiemy się z sobą. Chciałam wreszcie wejść do domu, a ona chciała mnie koniecznie objąć. Byłam już trochę tym wkurzona, ale w końcu udało mi się odnaleźć właściwą kieszeń z kluczami.

- Poczekaj, poczekaj chwilę - dobrze, że nie powiedziałam: poczekaj chwilę z tymi czułościami - wejdźmy lepiej do domu, na dworze jest zimno.

Jakoś udało mi się wyswobodzić z objęć Cornelli i energicznie otworzyłam ciężkie, mahoniowe drzwi na klatkę schodową. Szybko pozbierałam z ziemi siatki z zakupami i nie oglądając się na Cornelię, ruszyłam pieszo na czwarte piętro.

W milczeniu wchodziłyśmy na górę.

- Nie wydaje ci się, że to niedopuszczalne, aby w tak eleganckiej kamienicy nie było windy? Może powinnaś zwrócić się w tej sprawie do związku właścicieli mieszkań?

- Po co?

- Jak to po co? Brak windy w tym domu zmniejsza wartość twojej nieruchomości, czyli twojego mieszkania. Jako społeczeństwo starzejemy się i właśnie starzy ludzie stają się tą grupą, która ma pieniądze, bo w odróżnieniu do swoich rodziców nie musieli łożyć na wychowanie dzieci - Cornelia znacząco zawiesiła głos - bo ich po prostu nie mieli. Ale wracając do sprawy windy: kto ze starszych ludzi zechce kupić twoje mieszkanie i wdrapywać się potem na czwarte piętro? Na przykład z uszkodzonym dyskiem?

- Z uszkodzonym dyskiem nikt.

- Doskonale wiem, co czujesz. Zabrzmi to może trochę niezręcznie, ale ja też przeżyłam podobną sytuację, wiem, jak to boli...

- Też miałaś mieszkanie bez windy?

- Jakie mieszkanie? Mówię o twojej siostrze... Bardzo ci współczuję.

- Miałaś siostrę? Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

Zdziwiona zatrzymałam się między drugim a trzecim piętrem i odstawiłam na schody siatki z zakupami. Cornelia wyglądała na zakłopotaną.

- No, niezupełnie...

- To znaczy, że co, miałaś brata?

Rodzice jej żyli, z mężem się rozwiodła i jak słyszałam, powodziło mu się nie najgorzej. O bliższych przyjaciółach nie wiedziałam, bo ludzie, których Cornelia nazywała przyjaciółmi, zmieniali się jak w kalejdoskopie i ich wzajemne więzi ograniczały się do hedonistycznego poglądu na życie i, co za tym idzie, nadmiernej konsumpcji dóbr tego świata, więc w grę wchodzili jeszcze ewentualnie dziadkowie.

- Nie, nie... miałam psa, Tolo przez trzynaście lat był najbliższą mi istotą, kochałam go. To znaczy kocham go nadal, jak umierał, modliłam się, żeby został ze mną jeszcze miesiąc, jeszcze tydzień, a potem zależało mi już tylko na godzinach.

- Jaka to była rasa?

- Jamnik. Jamnik gładkowłosy.

Cornelia z jamnikiem! Z gładkowłosym jamnikiem! Jakoś udało mi się nie parsknąć śmiechem i powiedzieć coś niezobowiązującego, bo nic sensownego nie przychodziło mi do głowy.

- Czas jest niesamowicie relatywnym pojęciem, cokolwiek by mówić... właściwie to powinniśmy wyrzucić wszystkie zegarki i kalendarze na śmietnik.

Trochę mnie Cornelia zaskoczyła z tym psem, bo po pierwsze poczułam się odrobinę nieswojo, słysząc to porównanie, po drugie nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że Cornelia miała kiedykolwiek jakieś zwierzę, które na dodatek kochała. Oczywiście, doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, że uczuć nie można mierzyć, porównywać, ważyć, bo każdy ma swoją osobistą miarę, nawet jeśli takie przykładanie miary wydaje się komuś zupełnie nie na miejscu.

- A propos upływu czasu - wskazałam Cornelii krzesło. - Życie rzadko przydziela nam rozsądnie to, co ma nas spotkać. Moje życie jest tego przykładem, bo poruszam się między lawinami wydarzeń, po których zawsze następują długie fazy spokoju, takiego mdłego bezruchu. Wtedy całymi dniami, a nawet tygodniami, nie dzieje się

nic. Absolutnie nic. Trzeba się nauczyć taką ciszę polubić, trzeba nauczyć się pojmować ją jako szczęście, a to nie jest takie łatwe, kiedy ma się w domu telewizor z pięcioma albo pięćdziesięcioma kanałami, kiedy świat każe ci robić coraz więcej rzeczy naraz, kiedy każda reklama wymaga od ciebie więcej i więcej, lepiej i coraz lepiej, piękniej i jeszcze piękniej. Mało kto nie da się zwariować, mało kto jest w stanie zatrzymać się, a zatrzymać się, znaczy zdrwić z nieubłaganej dyscypliny czasu, znaczy wolność... - Urwałam swój monolog tak samo nagle, jak go zaczęłam, bo poczułam się jak ksiądz na ambonie i tak naprawdę sama nie wierzyłam w to, co mówię. Siedziałyśmy w kuchni przy stole z resztkami mozzarelli, suszonych pomidorów i białego soave. Odkąd weszłyśmy do mieszkania, Cornelia prawie się nie odzywała, zjadła w milczeniu kawałek suchej bagietki, popijając ją winem, jakby to była woda. Chyba od nowa przeżywała śmierć swojego psa, a może powinnam powiedzieć: swojego najbliższego przyjaciela? W końcu słowo „pies” brzmi tak jakoś niepoważnie.

- Same banały, same pieprzone banały - Cornelia popatrzyła na mnie, jakbym była jakimś nieznośnym bachorem. - Ze też ty masz skłonność do tak nieznośnej trywialności, czasami aż zęby mnie od tego bołą.

- To idź do dentysty. Za naszych zmarłych! - rzuciłam wesoło, wznosząc toast kieliszkiem białego wina. W tej samej sekundzie wybuchnęłyśmy głośnym śmiechem. Łzy napłynęły mi do oczu, krztusiłam się, nie byłam w stanie powiedzieć słowa. I wreszcie poczułam się dobrze, bo przez ten krótki moment miałam wrażenie, że w ten sposób, zostaję poddana zbawiennemu katharsis. Gdy zadzwonił dzwonek do drzwi, byłam pewna, że to pomyłka, bo na listonosza było za późno, a nikt inny nie odwiedzał mnie bez zapowiedzi. W domofonie odezwał się męski głos mówiący z włoskim akcentem:

- Ciao! Przyniosłem zamówione wino. Które to piętro?



Trochę mnie zdziwiło, że chłopak od Włocha, który już kilkakrotnie dostarczał mi wino, zapomniał, gdzie mieszkam.

- Czwarte - sucho rzuciłam do domofonu i zostawiwszy drzwi do mieszkania otwarte, wróciłam do kuchni. Jakież było nasze zdziwienie, gdy w chwilę potem w drzwiach kuchennych stanął właściciel włoskich delikatesów. Nie było go prawie widać zza olbrzymiego kartonu z winem, na którym piętrzyły się szare papierowe torebki z wiktuałami. Pod pachą trzymał bukiet z kilkunastu ogołoconych z liści pomarańczowych róż, chyba było to teraz modne, a Włosi zawsze z wyprzedzeniem wiedzą, co jest w danym sezonie najbardziej na topie. W kuchni od razu zapachniało inaczej, zapachniało męczyzną. Popatrzyliśmy na siebie zdziwione i zdaje się, że pomyślałyśmy o tym samym.

- Ciao, piękne dziewczyny, mam nadzieję, że czekałyście na mnie z kolacją i jesteście głodne.

Krytycznie zlustrował leżące na stole resztki.

- Widzę, że *antipasto* macie już za sobą.

- Miły jesteś, że tak nazywasz to, co Kornelia serwuje swoim gościom

- Cornelia z zapalem rzuciła się ku Włochowi, aby mu pomóc w wyjmowaniu zakupów.

- Mnie to nie przeszkadza, odkąd zaginął jej mąż, znacznie wzrosła u mnie sprzedaż mozzarelli i suszonych pomidorów...

- Nawet mi o tym nie mów, bo zaraz dostanę mdłości.

I tak wesoło gawędząc, zaczęli krzątać się po mojej kuchni, udając, a może i nie, że mnie tam nie ma. Siedziałam w dalszym ciągu przy stole jak gość zaproszony z obowiązku. Przedemną stał wazon z bukietem obdartych z liści róż. Z braku innego najpierw przyjrzałam się kwiatom, wyglądały jakoś tak żałośnie, a potem Włochowi. Ciekawe, że wcześniej tego nie zauważyłam, ale był młody i przystojny. Drobnej budowy, mniej więcej mojego wzrostu, z czarnymi, zaczesanymi do tyłu włosami, które ciągle niesfornie opadały mu na oczy, mógł uchodzić za brata Corneli. Ale tylko na pierwszy rzut oka. Włoch bez przerwy coś opowiadał, gestykulując

przy tym tak żywo, jakby każdemu słowu przypisany był jakiś ruch. Cornelia, w przeciwieństwie do niego niezwykle opanowana, w ogóle nie gestykulowała, a mówiąc wprost, w rozmowie nie używała ani rąk, ani innych części ciała; jedynie oczy, ale tylko czasem, mówiły więcej niż słowa. I dlatego, mimo fizycznego podobieństwa, różnili się od siebie jak dzień od nocy.

Chyba byłam ślepa, że nie zauważyłam tak atrakcyjnego chłopaka. Z drugiej strony czułam się trochę nieswojo, bo nachalnie prześladowały mnie sceny z popularnej w Niemczech reklamówki, w której pełen lepkiego uroku sąsiad, oczywiście Włoch, odwiedza wpatrzoną w niego jak w słońce trochę bezbarwną sąsiadkę Niemkę i proponuje jej wspólne picie cappuccino w proszku. Niemieckie gazety, od brukowców po porządne pisma, pisały później, że większość kobiet marzy o tym, by być „tą pianką z cappuccino na ustach przystojnego Włocha”. Niewiele mnie to jednak obchodziło, w końcu to Cornelia patrzyła na niego z zachwytem, mrużąc oczy, jakby raziło ją słońce.

- Nie chciałam być wścibska, ale może byś się nam przedstawił, w końcu pichcisz w mojej kuchni z moją koleżanką i za chwilę mamy zjeść razem kolację.

- Antonio, Antonio Leone. Byłem pewien, że wiesz, jak się nazywam, w końcu trochę się już znamy - popatrzył na mnie z wyrzutem.

- Znamy się od dawna, ale nigdy nie byliśmy sobie przedstawieni... Będę mówiła do ciebie Antek, w porządku?

Cornelia, która akurat myła sałatę pod bieżącą wodą, spojrzała na mnie z irytacją, widocznie nie spodobał jej się ten pomysł. Poczulałam się osamotniona i zaczęło mi przeszkadzać, że nie ma przy mnie nikogo, kto by słyszał słowa tak samo jak ja.

- Antek... ? Podoba mi się. To po polsku?

- Po polsku.

- Piękny język, ten polski... taki pełen ekspresji, właśnie to jest dobre słowo, ekspresyjny i przy tym *romántico*.

Cornelia zachichotała wesoło, zupełnie jakbym słyszała samą siebie, a zawsze myślałam, że nie podoba się jej ten mój chichot. Kiedyś nawet z niesmakiem stwierdziła, że śmieję się jak niezrównoważony podłotek.

- Romantyczny? Chyba nigdy nie słyszałeś polskiego, brzmi twardo, jakby ktoś włączył piłę tarczową...

- Co ty wygadujesz, Cornelia? Piłę tarczową? Jesteś zazdrosna czy co?

Ona chyba rzeczywiście zwariowała, bo rzuciła we mnie mokrym dużym liściem lodowej sałaty i do tego trafiła mnie w ramię. Przez sekundę zastanawiałam się, czy się nie obrazić, i właśnie wtedy dokonałam tego odkrycia! Wyglądało na to, że zaczynamy zamieniać się rolami: ja staję się opanowaną, zimną i przewrażliwioną na swoim tle neurotyczną Cornelią, ona zaś robi się zalotna, przewrotna i swobodna. Przestraszyłam się, bo choć Cornelia mnie intrygowała, za żadne skarby nie chciałam być nią, no, może trochę, bo często imponowała mi rzeczami, których nie można było się nauczyć, które można było osiąść jedynie przez urodzenie.

Przypomniała mi się tamta stara kobieta na szosie. Powiedziała, że jeszcze mam szansę, jeszcze mam trochę czasu na to, aby zmienić swoje życie. Cokolwiek by to znaczyło, poczułam, że nadszedł czas na zmianę.

Decyzję podjęłam właściwie bez namysłu. Powieść była w zasadzie skończona, choć miałam ochotę jeszcze trochę nad nią popracować, nadać jej ostateczny szlif.

- Wiecie co, właśnie postanowiłam wrócić do Polski. Jutro. Jadę jutro.

- Co takiego? A moja książka? Jak to tak po prostu wrócić? Przecież jesteś Niemką, masz niemiecki paszport, mogłabyś trochę pojeździć po świecie - Cornelia wyglądała na zaskoczoną. Odłożyła dwie drewniane łyżki, którymi mieszała sałatę, i powoli, z niewyraźną miną podeszła do stołu.

- O książkę się nie martw, jest już gotowa.

- Przynajmniej jedna dobra wiadomość. Ale co z tą Polską? To jakiś żart, tak? Przecież sama mówiłaś, że miałaś tam problemy nawet ze znalezieniem miejsca, gdzie można się napić kawy.

- Nie mogłaś się napić kawy... tam, w Polsce? Serio? - Antek aż otworzył usta ze zdziwienia. - To ja jadę z tobą. Mogę jechać z tobą? Ten mój sklep w Monachium już mi się znudził... właśnie: znudził. Pewnie się zdziwicie, ale na sałacie i makaronach zarobiłem już tyle, że właściwie do końca życia nie muszę pracować.

- Już taki jeden pojechał ze mną do Polski i do tej pory jeszcze nie wrócił, to znaczy na razie nie ma zamiaru wracać.

- Nie mów! Nie wrócił? Zaginął? O kim mówisz?

Cornelia najwyraźniej oczekiwała jakiejś niesamowitej historii, bo aż przysiadła obok mnie na krześle.

- Zaraz zaginął! To, że zdarzyło się to mojemu mężowi, nie znaczy wcale, że wszyscy, którzy mają ze mną kontakt, giną bez śladu. Po prostu został w Polsce... z moją mamą został, to znaczy u niej w mieszkaniu - miałam pełną świadomość, że to, co mówię, może brzmieć dosyć dziwnie, jednak starałam się przybrać obojętny ton, uśmiechając się do nich radośnie, choć tak naprawdę wcale nie było mi do śmiechu. Trudno być wesołą, mając świadomość, że staję się coraz bardziej podobna do Corneli.

- Z twoją mamą? - Antek i Cornelia zawołali zgodnym chórem, tak jakby do tej pory nie robili nic innego, tylko ćwiczyli wejścia w rozmowę na dwa głosy.

- Właśnie, z moją mamą. Widocznie spodobała mu się bardziej niż ja. Chyba z raz go widziałas, Cornelia, to ten przystojny fotograf, z którym pracowałam, wiesz, ten od nieboszczyków. Wybrał wolność. ... znudziły mu się trupy.

Włoch wpatrywał się we mnie jak w obrazek Madonny, wyglądało na to, że rzeczywiście za długo stał za ladą sklepową. Najwyraźniej był w marnym stanie psychicznym i potrzebował na gwałt trochę mocniejszych wrażeń, dlatego mogłabym mu wmówić wszystko,

nawet to; że jestem wcieleniem jamnika Corneli. Ciekawe, że nic na to wcześniej nie wskazywało, właściwie jeszcze przed chwilą był zrelaksowanym, zadbanym południowcem, który ma ochotę na piękną Cornelię, a może jeszcze i na drugą Kornelię.

- Dziewczyny, o czym wy w ogóle mówicie? A wiecie co? Ja też piszę... piszę wiersze... awangarda postmodernistyczna.

- Co? - tym razem to my z Cornelią stworzyłyśmy zgodny duet, po czym jednocześnie ryknęłyśmy śmiechem. Antek nie potrafił ukryć zmieszania, i choć było mi go żal, nie byłam w stanie stłumić tej wesołości, w końcu pomyślałam, że się uduszę. Pierwsza przestała się śmiać Cornelia i widać było po jej minie, że bardzo żałuje tego braku opanowania, w końcu prawie jej się to nie zdarzało, opanowanie było częścią jej profesjonalizmu. Duszką wypięłam całą szklankę wody mineralnej. To pomogło.

- Okej, nie ma się z czego śmiać, każdy pisze tak, jak umie... to znaczy to, co czuje, albo to, co musi, no nie, Cornelia? Nie martw się, Antek, ja jestem chyba trochę stuknięta, zapytaj Cornelię, to niejedno o mnie usłyszysz, kiedyś na przykład pisałam o samobójcach różne niesamowite, od początku do końca zmyślane historie, i nawet to lubiałam...

Przestałam na chwilę mówić, bo zauważyłam, że oboje mieli wzrok utkwiony gdzieś w podłogę.

- No dobrze, i tak muszę was opuścić na chwilę, bo akurat to mój czas na jogging. Posiedźcie sobie trochę sami, możecie nawet mnie obgadać, jak nie będziecie mieć innego tematu... a tak szczerze, Antek, bardziej byś mi pasował na kogoś, kto śpiewa, wiesz, pewnie dlatego, że jesteś podobny do Erosa... Erosa Ramazzottiego, zresztą wy, Włosi, wszyscy jesteście podobni do Erosa Ramazzottiego.

Boże, co ja wygaduję, zawsze mi jest głupio, kiedy czuję, że kogoś uraziłam. Niechcący uraziłam. Szybko wstałam i poszłam do sypialni, gdzie czekał na mnie zestaw z poprzedniego dnia, czyli ubranie zdjęte jednym ruchem: gruba bluza z kapturem, a w niej - cienka

bawełniana z golfem, a w niej - bawełniany T-shirt, obok grabę bawełniane spodnie i skarpety. Nie tracąc czasu, wskoczyłam w mój nie pierwszej świeżości zestaw. Potem ze sterty różnych ubrań, leżących tak od tygodni na kremowozłotym fotelu, wygrzebałam jeszcze bawełnianą czapkę, bo w taką pogodę sam kaptur nie wystarczał. Byłam gotowa do biegu. Po chwili wahania wsunęłam jeszcze głowę do kuchni, aby powiedzieć swoim gościom na pożegnanie coś miłego, choć w duchu miałam nadzieję, że po moim powrocie już ich w moim mieszkaniu nie zastanę. Czekają na mnie jeszcze sporo niezbyt przyjemnej pracy, musiałam przejrzeć po raz ostatni, stronę po stronie, cały manuskrypt, kilka razy skopiować dyskietkę z gotową powieścią, no i spakować się. W drzwiach do kuchni prawie zderzyłam się z Cornelią, wyglądało na to, że nie mogła się zdecydować, czy odgrywać oburzoną, czy zdziwioną.

- Ty faktycznie idziesz biegać!

- Właśnie. Właśnie chciałam wam powiedzieć, że zaraz wracam, pogadajcie sobie chwilę, w niecałą godzinkę jestem z powrotem.

- W niecałą godzinkę? Powiedz, Kornelia, czy ty choć raz w życiu nie mogłabyś się opanować i wykazać trochę samodyscypliny, odłożyć ten twój egocentryzm na stronę, wczuć się w sytuację innych...

Chyba tak biadolilaby do rana, gdybym jej nie przerwała.

- Sorry, Kornelia, ale dobrze wiesz, że o tej porze codziennie biegam, muszę biegać, bez tego biegania chyba bym oszalała. Siedzę tu całymi dniami sama i piszę, tygodniami nie widzę ludzi, z nikim nie rozmawiam. Muszę biegać!

Powoli traciłam wątek, bo w końcu skoro tak doskwierała mi samotność, to akurat miałam gości, co powinnam wykorzystać, ale ja wolałam biegać, dlatego ostatnie słowa wypowiedziałam w płaczliwym, błagalnym tonie i tak się tym przejęłam, że naprawdę o mało co się nie rozplakałam. Zresztą w tym momencie ważne było dla mnie tylko jedno: zacząć biec. Chyba byłam uzależniona, postanowiłam to w wolnej chwili przemyśleć, lecz teraz prze-

stępowalam z nogi na nogę jak koń przed gonitwą pobudzony środkami dopingującymi. Cornelia dziwnie szybko skapitulowała i machając z rezygnacją ręką, odwróciła się do mnie plecami, zwracając się tym razem do Antka:

- To nam. nie pozostaje nic innego, jak posprzątać po kolacji i przy okazji pogadać o poezji.

Bieganie z pełnym żołądkiem to męka, może dlatego moje myśli pozostawały cały czas przy sprawach całkowicie przyziemnych i uporczywie krążyły między Maksem a Tomem, po czym zataczały koło, wracając do Thomasa i Antka. Takie pełne emocji rozważania to nie tylko męka, to prawdziwy koszmar każdego szanującego się amatora joggingu. Pod koniec zwykłej, mniej więcej pięciokilometrowej trasy wszystkie trzy warstwy, z których składało się moje ubranie, były kompletnie mokre. Poczułam się trochę lepiej, ale nie tak dobrze jak zwykle, brakowało mi uczucia euforii wyzwalanego, zdaje się, przez hormon szczęścia, produkowany pod wpływem wysiłku fizycznego przez przysadkę mózgową. Tym razem moja przysadka mózgową zajęta była produkowaniem hormonów mających związek wyłącznie z mężczyznami.

Cornelię i Antka zastałam w wysprzątanej kuchni, siedzących obok siebie przy kuchennym stole.

- Powiedz, Cornelia, znasz jakąś szczęśliwą parę, wiesz, taką jak w tych z reklamówek funduszy emerytalnych? Co to od młodości są razem i zestarzelili się razem albo wygląda na to, że zestarzeją się razem?

Chyba nie słyszeli, jak weszłam do mieszkania, bo przez dłuższą chwilę patrzyli na mnie jak na zjawę albo na kogoś, kto wszedł nieproszony do cudzego mieszkania. Czekaając na odpowiedź, zdjęłam z głowy kaptur i kompletnie mokrą, bawełnianą czapeczkę, nalałam sobie soku pomidorowego z butelki stojącej w lodówce

i patrząc z wyczekiwaniem na Cornelie, usiadłam po przeciwnej stronie stołu. Pierwszy odezwał się Antek.

- Nie pij takiego zimnego soku prosto z lodówki, jesteś cała spocona, jakbyś dopiero co wyszła spod prysznic, przeziębisz się.

I po chwili:

- Dostaniesz zapalenia płuc.

W tym momencie przypomniał mi się obrazek, który widziałam na jakiejś stacji benzynowej gdzieś w drodze do Polski, chyba jeszcze w Czechach, zresztą nieważne gdzie. Kobieta z nastoletnią córką czekały na parkingu na męża i ojca, który zamierzał jeszcze dopompować powietrza do kół. Na dworze było dość zimno, dlatego kobieta co chwila mocno przytulała do siebie dziewczynkę i raz za razem naciągała jej włóczkową czapczkę głębiej na uszy. Po każdym takim zabiegu córka zadzierała głowę do góry i z ciepłym uśmiechem patrzyła na matkę, po czym nieznacznie odsuwała się od niej i prawie niewidocznym muśnięciem dłoni zsuwała czapczkę z uszu na tył głowy. Moja mama nie miała na takie rzeczy czasu, a nawet jeśli go miała, to z reguły była na tyle zajęta swoimi myślami, że nie zastanawiała się, czy jest mi za zimno, czy za ciepło, czy jestem spocona, czy też nie.

Zrobiło mi się żal mamy, bo prawdopodobnie nigdy nie doświadczyła tego pełnego miłości i ciepła uśmiechu, w każdym razie nie przypominam sobie podobnej sceny z naszego życia. Szybko pocieszyłam się, że na pewno miała w zamian inne pozytywne przeżycia. Próbowałam jakieś wymyślić, nic jednak nie przychodziło mi do głowy, choć byłam pewna, że mama musiała z czegoś innego czerpać... miłość. Każdy człowiek tego potrzebuje.

- Zapalenia płuc? To raczej niemożliwe, nigdy nie choruję. Uśmiechnęłam się i rzuciłam Antkowi ciepłe spojrzenie.

- Jak wychodziłam za męża, to myślałam, że będę mogła trochę pochorować, ale nim zdążyłam się rozchorować, okazało się, że mój mąż chorobliwie nie znosi chorych ludzi i bardzo mu



imponowało, że jestem zdrowa jak koń... Wiecie, że on z obrzydzeniem patrzył nawet na ludzi z katarem lub z bólem głowy?

- To co, on sam nigdy nie chorował? - wybąkał z niedowierzaniem Antek. Ton jego głosu sugerował, że należał do tych wiecznie kwękających.

- Pewnie, że zdarzało mu się złapać jakąś infekcję, ale w pogotowiu miał zawsze jakieś amerykańskie specyfiki, które, wzmocnione przekonaniem, że jest niezastąpiony w pracy, błyskawicznie stawiały go na nogi. Zresztą Cornelia zna się na tym, bo ona też zażywa tego typu prochy. Nie wiem, czy wiesz, Antek, ale Cornelia jest również ważnym menedżerem, takim, co to nie może chorować.

Oboje popatrzyliśmy z uśmiechem na Cornelie, która zrobiła minę, jakby została przyłapana na gorącym uczynku.

- Mówisz to takim tonem, jakbyś miała mi to za złe, a ja jestem przekonana, że gdyby ludzie nie cackali się tak z sobą i mieli poczucie spełnienia w życiu, to lekarze poszliby z torbami, a szpitale by splajtowały, a tak interes kwitnie i jeśli ktoś splajtuje, to kasy chorych...

- Tak, wiemy: kasy chorych, reforma służby zdrowia, reforma ubezpieczeń socjalnych. Czytamy gazety, oszczędź nas dziś wieczorem. Pogadajmy lepiej o czymś ciekawszym, no nie, Antek... ?

- Właśnie. Książka naprawdę jest już gotowa? - Cornelia chyba ucieszyła się ze zmiany tematu, bo wreszcie mogła zagadnąć mnie rzeczowo, tonem, którego używała w sprawach zawodowych.

- Gotowa. Jutro rano będzie na twoim biurku. Swoją drogą to pobiłam chyba rekord w szybkości pisania powieści; dwa i pół miesiąca to chyba rekord?

- Prawdopodobnie tak. Masz jednak świadomość, że czytelnika nie obchodzi, jak szybko ta książka została napisana, bardziej interesuje go jej treść.

- Tak, tak, nic się nie martw. Powiedziałam ci, że całkowicie dostosuję się do twoich wskazówek, i dostosowałam się, tak więc nie przejmuj się... i nie marudź. Jutro dostaniesz całość i jutro jadę

do Polski... może wrócę tam na zawsze - dodałam specjalnie, bo chciałam się trochę podroczyć z Cornelią, wcale nie myślałam poważnie o tym, aby wracać do Polski. Byłam zmęczona. Przez ostatnie tygodnie pisałam po kilkanaście godzin dziennie, co wcale nie byłoby takie złe, gdyby nie całkowita, męcząca pustka w głowie, tak jakbym odzyskiwała świadomość po dłuższej utracie przytomności.

- Ale po co? Po co jedziesz do tej Polski? Co tam będziesz robić? Co z twoją karierą? Przecież nie zdążyłaś jeszcze dobrze wystartować? To wcale nie było łatwe, aby przekonać do ciebie zarząd, oni chcieli Niemkę, swoją niemiecką pisarkę, piszącą matkę dwojga dzieci i gospodynię domową, taką, z którą mogłyby utożsamiać się miliony czytelniczek. Ja wiem, że ty jesteś ponad to, bo jesteś... arogancką egoistką, której ślepa natura przez pomyłkę dała olbrzymi talent.

- Oj, nie denerwuj się tak, zadzwonię, jak tylko dojadę na miejsce.

- Kornelia, jadę z tobą!

- Z kim? - udałam, że nie wiem, o kogo chodzi.

- Czy wy musicie mieć tak samo na imię? Chciałem powiedzieć: Kornelio blondynko, jadę z tobą do Polski.

- Już ci mówiłam, że taki jeden pojechał ze mną do Polski i jak do tej pory jeszcze stamtąd nie wrócił. Słuch po nim zaginął.

- Żartujesz. Przecież mówiłaś, że mieszka z twoją mamą?

- Mieszkał z moją mamą, ale gdzie teraz jest, to nie wiem.

- Kornelia, nie zmieniaj tematu. Co ty chcesz tam robić?

- Jeszcze nie zdecydowałam, muszę coś zmienić w moim życiu, muszę sama się zmienić. Teraz mam pustkę w głowie, na oczekaniu nic nie wymyślę, ale czuję, że jest coś, co muszę dopiero odkryć. A ty, Antek, co chciałbyś robić w Polsce?

- Mówisz do mnie?

- A niby do kogo? Jest tu jeszcze jeden Antek, który chce jechać do Polski?

- Przepraszam, ale nie przyzwyczaiałem się jeszcze do polskiego brzmienia mojego imienia.

- Ładnie to powiedziałaś, wierszem, ale skoro chcesz ruszyć na wschód, to najwyższy czas, żebyś przyzwyczaiał się do tych słowiańskich brzmień. Wracając jednak do tematu, to co chcesz tam robić?

- Nie wiem, tak samo jak ty. Wiem tylko jedno, że jutro jest Wigilia, i że chyba los mi was zesłał właśnie teraz, bo już prawie popadałem w obłąd.

- Ta Polska to jakieś antidotum na wszelkie problemy egzystencjalne czy co? Jakby tak wszyscy potrzebujący ruszyli do Polski, większość tutejszych psychoterapeutów musiałaby zwinąć interes.

Cornelia patrzyła na nas z politowaniem, a może i z rozczarowaniem.

- Wiadomo, podobnie jak w przypadku kas chorych. Nie denerwuj się, Cornelia, wszystko będzie dobrze, będziemy w kontakcie telefonicznym, jak tylko mnie będziesz potrzebować, zaraz przyjadę, oczywiście wypełnię wszystkie obowiązki wynikające z kontraktu, nie będziesz miała przeze mnie kłopotów, chyba że książka okaże się niewypałem...

Nagle strach chwycił mnie za gardło. Do tej pory o tym nie myślałam, ale co będzie, jeśli książka nie spodoba się czytelnikom? W kontrakcie miałam zagwarantowany druk dalszych powieści, jeśli pierwsza z nich osiągnie ściśle określoną minimalną wysokość sprzedaży. Poczułam na skórze lepką wilgoć ubrania, nie zdążyłam go przecież jeszcze zmienić. Dobry pretekst, aby w końcu pozbyć się tych dwojga. Poczułam też ból w kręgosłupie, to pewnie od tej wilgoci, może nabawiłam się reumatyzmu? Podobno ludzie, którzy rzadko uprawiają seks, cierpią na reumatyzm.

- ... ale to już inna historia. Teraz muszę wziąć prysznic i włożyć na siebie coś suchego, bo w przeciwnym wypadku będę miała swój udział w obskubywaniu kasy chorych.

Wstałam i uśmiechnęłam się grzecznie do swoich gości. Myślami byłam już na stronach mojej powieści, koniecznie chciałam wprowadzić jeszcze kilka poprawek. Poza tym zaczęła mnie prześladować myśl, że nie stać mnie było na napisanie prawdziwej powieści, takiej, która przeciwstawiłaby się tezie, że koniec dwudziestego wieku jest końcem europejskiej powieści. Europejska powieść umarła. Kto to powiedział? Cornelia i Antek też wstali. Ucieszyłam się, że wreszcie zostanę sama, stanowczo za długo u mnie zabawili, choć było całkiem miło. Cornelia podeszła do mnie, cmoknęła powietrze w okolicach mojego policzka i tonem członka zarządu powiedziała:

- Jutro widzimy się o dziesiątej u mnie w biurze. Odpowiada?

- Pewnie, że odpowiada, o dziesiątej jestem u ciebie z manuskrypcem i dyskietką.

Odwrociłam się na pięcie w stronę Antka, stał niezdecydowany, widocznie nie wiedział, czy też będziemy się całować, czy nie. Pomachałam mu na pożegnanie.

- A co do ciebie, Antek, to jak się nie rozmyślisz, czekaj na mnie o wpół do dwunastej przed moją kamienicą. Jeśli nie, to wezmę cię innym razem.

- Będę czekał, na pewno! Mam wziąć z sobą coś konkretnego?

- Coś konkretnego? To znaczy co?

- No, na przykład jakieś puszki...

- Na przykład z pomidorami? Nie żartuj sobie, nie jedziemy przecież do cici na przyjęcie. Weź kilka butelek dobrego wina, bo z tym jest w Polsce krucho.

- A kawę?

- Kawę? Zwariowałaś? Lepiej zabierz ze sobą ciepłe skarpety.

I idź już do domu, bo się rozmyślę.

Nie widziałam twarzy Cornelii, bo szłam pierwsza, prowadząc ich do drzwi wyjściowych długim i ciemnym korytarzem, ale mogłam przypuszczać, że była na mnie wściekła. W końcu wyglądało na to, że podobał jej się ten Włoch. Trochę mnie to zaskoczyło:

obcokrajowiec i do tego ktoś spoza kulturalno-intelektualnej elity? Jeśli sobie dobrze przypomiinałam, ubrany był jak każdy Włoch, w dżinsy i coś kolorowego. W czerwony sweter? Mężczyźni z towarzystwa Cornellii zawsze nosili się na szaro lub czarno, biała koszulka polo, biały T-shirt lub koszula były jedynymi odstępstwami od tej reguły.

Uśmiechnęłam się złośliwie pod nosem. Wcale nie zależało mi na towarzystwie Antka, jego osoba była mi całkowicie obojętna. A Cornellii, zdaje się, nie. I to było piękne.

## **Część druga**

Punktualnie o godzinie dwunastej trzydzieści podjechałam pod moją kamienicę. Chciałam spakować trochę rzeczy na drogę, może nawet więcej niż trochę, bo tak naprawdę nie wiedziałam, kiedy wrócę do Monachium. I wcale nie musiałam tego wiedzieć: w moim mieszkaniu nigdy nie było nic żywego, to znaczy żadnych kwiatów doniczkowych, żadnych złotych rybek czy kanarków. Opłaty za energię elektryczną, gaz, wywóz śmieci czy telefon ściągane były automatycznie z konta w banku. Praktyczne, pod warunkiem, że nie myśli się ciągle, że ktoś tam przez pomyłkę może skasować dwa razy za to samo albo nie tyle, co trzeba; teoretycznie mogłabym wszystkie rachunki co miesiąc sprawdzać, ale kto by to robił.

U Cornelia w biurze wszystko poszło gładko. Pobieźnie przerzuciła kilka kartek manuskryptu, który jej przyniosłam, złożyłyśmy sobie życzenia z okazji świąt, przypieczętowane cmoknięciem powietrza na wysokości ucha, no i oczywiście musiałam jej przyrzec, że zaraz po świątach zadzwonię i powiem, gdzie jestem i kiedy wrócę. Boże Narodzenie Cornelia zamierzała spędzić w pracy, bo jak mówiła, „zawsze to lepsze od siedzenia w rodzinnym gniazdku na zimnej kanapie”. Jej rodzice byli nieugięci i niezmiennie obstawali przy wspólnym spędzaniu świąt w ich domu, chociaż nigdy nie mieli dla swojej jedynaczki czasu, również we wczesnym dzieciństwie. Tu trzeba dodać, że swój dom rodzinny Cornelia

opuściła, nie mając jeszcze skończonych szesnastu lat, a jej rodzice nigdy nie byli wyznawcami żadnej wiary, a więc również chrześcijańskiej. Ich święta Bożego Narodzenia ograniczały się do wyciągnięcia całej masy najróżniejszych, w większości kosztownych, bożonarodzeniowych bibelotów tylko po to, by stworzyć świąteczną atmosferę. W luksusowej willi na przedmieściach Monachium brakowało jedynie kolęd, ale muzyki nie słuchano tam wcale. Muzyka była u nich zabroniona, bo takie było życzenie matki Corneli, niespełnionej pianistki. Odświętną kolację, składającą się z homarów, ugotowanych oczywiście żywcem, spożywali w prawie absolutnej ciszy, bo od lat nie mieli sobie nic do powiedzenia.

Jak się spodziewałam, o Antku nie wspomniała w swoim gabinecie ani słowem. Dopiero odprowadzając mnie do windy - zrobiła to zresztą po raz pierwszy - powiedziała jakby od niechcienia:

- To co, zabierasz Antonia do Polski? Zdaje się, że to jakaś jego idée fixe.

- Jeśli chodzi o mnie, to nic się nie zmieniło: będzie czekać pod moim domem o wpół do dwunastej, to może ze mną jechać. Nie mam pojęcia, co on sobie po tej podróży obiecuje, ale na mnie niech nie liczy, nie jest w moim typie, a samarytanką też nie jestem. Zresztą z takim facetem jak on czułabym się cały czas jak na planie tego spotu reklamowego o kawie.

- Spotu o kawie? Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz.

- A widzisz, gdybyś od czasu do czasu oddawała się takim proletariackim rozrywkom, jak oglądanie reklam w telewizji, tobyś wiedziała. Ale tak szczerze: podoba ci się ten Antonio?

W moim pytaniu była spora doza zjadliwości, taki rewanż za uszczypliwe uwagi na temat Thomasa, Cornelia powinna potraktować to jednak jako żart. Ale nie potraktowała. Najwidoczniej temat Włocha i uczuć, jakie budził w Corneli, nie nadawał się na żartobliwe pogaduszki.

- Wyobraź sobie, że mi się podoba... sama wiesz, że takich mężczyzn nie spotyka się codziennie.



- Nie wiem, bo ostatnio jakoś nie rozglądałam się za mężczyznami.

Chciałam jej jeszcze na koniec powiedzieć, że spotykałam go prawie codziennie przez trzy długie lata i oprócz tego, że jest Włochem i z przesadą podkreśla swój włoski akcent, nie zauważyłam w nim nic szczególnego, ale nie zdążyłam, bo z windy, która właśnie podjechała, wysiadła grupka nadętych typów w jednakowych garniturkach. Ze zrozumiałych względów nie chciałam wykrzykiwać zza zamykających się drzwi jakichś banałów na temat mężczyzn. W dodatku Włochów z delikatesów na rogu.

Antek stał przy domofonie. Widać go było już z daleka, wyglądał jak jakiś egzotyczny rajski ptak: w ciemnych okularach, mimo że światło dzienne było ponure i nic nie zapowiadało pojawienia się słońca. Tym razem miał na sobie czerwone dżinsy, biały wełniany golf o grubym splocie i jasną, prawie białą, kurtkę z weluru. Przypominał trochę polską flagę. No i ta stojąca obok olbrzymich rozmiarów lotnicza waliza, podobna do monstrualnego psa, który cierpliwie czeka na dalszy ciąg spaceru; jego pan też cierpliwie czekał, próbując podrzucać czubkiem buta bryłkę zlodowaciałego śniegu. Dopiero gdy zaparkowałam tuż obok, przed bramą wjazdową na wewnętrzny dziedziniec kamienicy, podniósł głowę i popatrzył w moją stronę. Zsunął okulary na czoło, oczy rozbłysły mu z radości.

- Cześć! Musisz przyznać, że jestem nad podziw punktualna - to moja zaleta! - wysiadłszy z samochodu, zaśmiałam się wesoło, bo uwielbiałam chwalić sama siebie. Co ciekawe, jeśli się z pochwałami nie przesadza, ludzie w nie wierzą.

- Ciao, Kornelia! Bałam się, że już nie przyjedziesz.

- Coś ty, znasz to powiedzenie: „Jedna kobieta - jedno dane słowo”?

- Znam, ale trochę inaczej.

- Nie szkodzi. Wrzucaj walizkę do bagażnika, chociaż nie, ona chyba się do niego nie zmieści, cholera, chyba rzeczywiście ten bagażnik jest za mały, nikt nie przewidział, że tym porsche będą podróżować osadnicy „Let's go East”, z całym swoim dobytkiem oczywiście. No nic, spróbuj wrzucić ten kufer na tylne siedzenie, zaraz wracam. I nie daj się straży miejskiej, bo tutaj nie wolno parkować.

Antek stał ciągle w tym samym miejscu, tak jakby razem ze swoim kufrem przyrósł do ziemi, i miał nadzwyczaj rzadko spotykany w naturze wyraz twarzy szczęśliwego nastolatka. Ciekawe, ile mógł mieć tak naprawdę lat, trzydzieści, czterdzieści? Chyba nie zdawał sobie sprawy, jaki kawał drogi nas czeka.

- To co, będziesz tak stał do nocy? Musisz mi po drodze opowiedzieć, co masz w tej olbrzymiej walizce, strasznie jestem ciekawa. A teraz leczę, samochód zostawiam otwarty.

Biegłam na górę, przeskakując po dwa, a nawet trzy stopnie naraz. Od momentu oddania Corneli gotowej powieści czułam się tak, jakby wyrosły mi skrzydła, jakby moje ciało i moje myśli znajdowały się w stanie nieważkości. Dawno nie miałam tak wspaniałego humoru. Pierwsze, co zrobiłam w mieszkaniu, to włączyłam zakurzoną automatyczną sekretarkę, łudząc się, że ktoś będzie chciał złożyć mi życzenia z okazji świąt Bożego Narodzenia albo z okazji Nowego Roku. Max? A co z Makssem? Miałam do niego zadzwonić, obiecałam mu to ponad dwa miesiące temu. Mój dobry nastrój gwałtownie zniknął, jego miejsce zajmowały wyrzuty sumienia. Długo nie musiałam czekać i zrobiło mi się smutno, bo lubiłam chłopaka, również za tę bezkrytyczną miłość. I chyba po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że wraz z zaginięciem Thomasa również Max przestał istnieć, tak jakby ci dwaj byli jednym organizmem i żaden z osobna nie mógł brać udziału w moim życiu. Max-Thomas - mężczyzna doskonały. Musiałam na chwilę usiąść, bo zdałam sobie sprawę, jak bardzo takimi wnioskami mogłam ich obu zranić.

Pozornie bez związku stanęły mi przed oczami majaki z ostatniej nocy z pogranicza snu i czuwania; były tak wyraźne jakbym

oglądała czarno-biały, a właściwie szaro-brudnobiały film z sobą w roli głównej. Z czułością obejmowałam starego, chudego mężczyznę leżącego na szarej nagiej ziemi, z głową opartą na moim udzie. Jego twarz, poraną bruzdami, z kilkudniowym siwym zarostem, prawie całkiem zakrywały długie, opadające na ramiona wypłowiałe włosy. Był słaby, chory? A może umierał? Bezgraniczny smutek i bezgraniczna miłość wypełniały moją duszę... Ciekawe, jak teraz wyglądał mój ojciec? Ostatni raz widziałam go przez krótką chwilę ponad dwadzieścia lat temu.

Mogłabym tak siedzieć i rozmyślać jeszcze całą wieczność, gdyby nie zegar pobliskiego kościoła, który akurat - z początku ociężałe, potem coraz raźniej - zaczął wybijać południe. Przypomniałam sobie Antka i źle zaparkowany samochód. Automatyczną sekretarkę zapakowałam do foliowej reklamówki i z elegancką skórzaną torbą podróżną, prezentem od Thomasa na ostatnią gwiazdkę, zesłam na dół. Z ulgą wrzuciłam reklamówkę wraz z jej zawartością do kontenera na śmieci i przez moment poczułam się tak, jakbym niespodziewanie otrzymała szansę na wymazanie nieprzyjemnego zdarzenia z przeszłości.

Antek siedział już w samochodzie. Na mój widok pospiesznie wyskoczył na chodnik i otworzył bagażnik, tak że z marszu mogłam wrzucić do niego moją torbę. W puste kąty upchnęłam jeszcze buty i zestaw do joggingu, z ulgą się ich pozbywając, bo nie zmieściły się do torby, i aż do tej chwili kurczowo trzymałam je pod pachą, bojąc się, że mi się wyślizną.

- No to co, ruszamy na wschód, makaroniarzu? Masz jeszcze ostatnią szansę wysiąść z samochodu i wrócić do domu - przekręciwszy kluczyk w stacyjce, popatrzyłam z uśmiechem na Antka. Jakoś trudno było mi skojarzyć mężczyznę, który siedział obok mnie, z pewnym siebie, zaradnym właścicielem włoskich delikatesów. Ten obok mnie uśmiechał się nieśmiało i nie potrafił ukryć rozpierających go emocji.

- Makaroniarzu? Co to znaczy makaroniarzu? Ma to coś wspólnego z włoskim *maccherom*?

- Właściwie tak. Polacy tak pieszczotliwie nazywają Włochów. No to co? Ostatnia szansa na święta w Monachium?

- Teraz nawet gdybyś chciała mnie z samochodu wyrzucić, to się nie dam... hm... przykuję się kajdankami do kierownicy! - to powiedziawszy, Antek wygrzebał z wewnętrznej kieszeni swojej eleganckiej welurowej kurtki najprawdziwsze w świecie kajdanki. Akurat wjeżdżaliśmy na obwodnicę wyprowadzającą nas z miasta w kierunku wschodnim. Przez chwilę nie wiedziałam, co powiedzieć, bo mnie po prostu zatkało. Nie potrafiłam sobie tego racjonalnie wytłumaczyć, ale kajdanki kojarzyły mi się prawie wyłącznie z perwersyjnym seksem. Ciekawe, czemu na przykład nie z wymiarem sprawiedliwości czy z zadośćuczynieniem krzywd? Starając się przybrać jak najbardziej obojętny wyraz twarzy, jeszcze raz spojrzałam na przedmiot, który mój pasażer trzymał w ręku. To były bez wątpienia najprawdziwsze kajdanki. W końcu odezwałam się, chyba najgłupiej jak tylko mogłam, ale nic lepszego nie przychodziło mi do głowy, a wiedziałam, że w takich sytuacjach, czyli będąc sam na sam z jakimś maniakiem, w tym przypadku chyba seksualnym, trzeba rozmawiać:

- Ładna biżuteria. To teraz we Włoszech taką się nosi?

- Biżuteria? Nie widzisz, co to jest? - Antek zamachał mi kajdankami przed nosem. - To są przecież kajdanki! Policyjne kajdanki! Tylko kobieta może być aż taką ignorantką w tych sprawach.

- Już dobrze, dobrze, nie irytuj się tak. Przyznaję, że nie jestem w tej kwestii znawczynią, chyba w życiu nie widziałam prawdziwych kajdanek, no oprócz tych w telewizji, ale to chyba się nie liczy. - Oczywiście, niejednokrotnie widziałam w komisariatach albo na miejscach wypadków policyjne kajdanki, ale nie wydawało mi się, że powinnam dać się poznać jako specjalistka od tego typu sprzętu. - A tak szczerze to po co ci one? - Moja wrodzona ciekawość zwyciężyła zdrowy rozsądek, który, jak się później nad tym zastanowiłam, wcale nie był zdrowym rozsądkiem, tylko zniekształconą przez media fantazją.

Antek udawał, że nie bardzo wie, o co mi chodzi.

- Po nic. To pamiątka. Po prostu pamiątka, taki amulet przynoszący szczęście, choć czasami zastanawiam się, czy tak jest na pewno.

- Co jest na pewno? Że to amulet przynoszący szczęście czy że to pamiątka? Gdyby nie ryzyko raka, kazałabym ci się uszczypnąć.

- A co w tym takiego dziwnego?

- A to w tym takiego dziwnego, że kajdanki kojarzą mi się głównie z dewiacjami seksualnymi.

- Z dewiacjami seksualnymi? - mój pasażer roześmiał się, choć miałam niejasne przeczucie, że jest gotów natychmiast się rozplakać.

- *Scusa*, Kornelia, *scusa*. Pewnie pomyślałaś, że jestem jakimś napalonym zbrojcem, ale popatrz, te kajdanki mają przestrelony zamek, nie nadają się już do niczego... Przepraszam, chciałem powiedzieć, że są zepsute. To pamiątka po moim ojcu. Należały kiedyś do mojego ojca.

Na chwilę umilkł i nawet nie musiałam na niego patrzeć, żeby już mieć pewność, że płacze. Boże, co mnie podkusiło, żeby go zabrać, czy naprawdę chciałam zrobić Cornelii na złość? Szlag by to trafił. Zaczęłam modlić się o trzęsienie ziemi, nagłą zamieć śnieżną, pękniętą oponę, zatarty silnik, cokolwiek by to oznaczało, byleby nie musieć jechać dalej.

- Różne są pamiątki... przepraszam, jeśli cię jakoś uraziłam, to niechcący.

- Nie ma o czym mówić, wcale mnie nie uraziłaś, skąd mogłaś wiedzieć, że ten kawałek metalu to dla mnie świętość. Mój ojciec był policjantem, a to - Antek potrząsnął kajdankami - a to był jego amulet. Już podczas pierwszej poważnej akcji uratowały mu życie. To znaczy kula utknęła w zamku... w zamku zamiast w sercu. Wyobrażasz to sobie? Teraz ja je noszę i przynoszą mi szczęście - Antek popatrzył na mnie triumfalnie, choć jeszcze przed chwilą siedział ze wzrokiem wbitym w czubki swoich butów. No i domyśliłam się, skąd u niego ta chłopięć. Mężczyźni, którzy cierpieli w dzieciństwie na brak ojca, nie mogli nigdy naprawdę wyorośleć.

- Co się stało z twoim ojcem, że ciągle mówisz o nim w czasie przeszłym?

- Nie żyje. Zastrzelił go jakiś wariat-samobójca. Najpierw tatę, potem siebie.

- Kiedy to było?

- Miałem osiem lat.

Oboje zamilkliśmy. O czym tu było mówić, kajdanki nie uratowały po raz drugi życia ojcu ośmioletniego chłopca. Antonio Leone za krótko był ze swoim tatą, by stać się mężczyzną, za to stał się ulubieńcem kobiet. Szczególnie te z niezrealizowanymi uczuciami macierzyńskimi uwielbiają takich wiecznych chłopców. Właściwie pozostawał jedynie aspekt wiary w cudowną moc tych kajdanek, bo skoro jego ojciec nie żyje, to chyba nie były takie magiczne?

Właśnie chciałam go o to zapytać, ale Antek mnie ubiegł.

- Wystarczy, że tylko raz w cudowny sposób zostanie uratowane ci życie, to już i tak jest dużo. To wystarczy.

- Chyba masz rację, ale muszę się nad tym jeszcze zastanowić.

- Obiecałem sobie, że natychmiast je wyrzucę, gdy tylko coś takiego mi się przydarzy...

- To znaczy co?

- Że coś lub ktoś uratuje mi życie.

- Aha - powiedziałaś bez przekonania i całkiem straciłam ochotę na dalszą rozmowę. Chyba wolałabym widzieć Antka w roli seksualnego dewianta niż wrażliwego poety rozpamiętującego przedwczesną śmierć ojca. Takim z reguły trzeba się więcej zajmować.

- Możesz się teraz na chwilę zdrzemnąć, w Czechach zmienimy się.

- Zmienimy się? W czym się zmienimy?

- To chyba jasne, zmienimy się za kierownicą.

- Ale ja nie potrafię prowadzić samochodu i nawet nie mam prawa jazdy.

- Co? I ty jesteś Włochem? Podobno wszyscy Włosi już w kołysce robią brum-brum - byłam nie na żarty przerażona, bo doskonale

jeszcze pamiętałam samotny powrót do Niemiec, to była męka, choć drogi były przeważnie suche i nie panował na nich zbyt duży ruch. Ale w dzień Wigilii? Już wyobrażałam sobie te kawalkady tirów, które przyjdzie mi wyprzedzać na krętych, dziurawych drogach.

- Wyobraź sobie, że jestem Włochem, ale czy robiłem w kołysce brum-brum, to nie wiem. Powiedz jednak, co ty się tak przyczepiłaś do mojego włoskiego pochodzenia? Ciągłe to podkreślasz, jakbym... jakbym miał żółtą febrę albo coś w tym rodzaju. Czy ja mówię do ciebie, że Polacy to, Polacy tamto?

- Nie mówisz, ale sam sobie jesteś winien, bo kto specjalnie kaleczył niemiecki, aby podkreślić swoje pochodzenie? Przecież ty lepiej mówisz po niemiecku niż niejeden rodowity Niemiec! I te ciągle: *prego, bello, scusa, signorina*. Po co to było? Chyba tylko po to, aby nikt, ani przez sekundę, nie zapomniał, skąd pochodzisz - byłam wściekła nie na żarty, lecz nie dlatego, że Antek tak nachalnie manifestował swoją narodową przynależność, ale dlatego, że nie miał prawa jazdy. Czy dzisiaj, w czasach pierwszych prób klonowania człowieka, jest to w ogóle możliwe?

- Nie mów mi nawet o tym, to służyło wyłącznie biznesowi, a nasz związek jest czysto prywatny.

- Aha!

Nic dodać, nic ująć. Typowo męska logika, z którą nie miałam zamiaru dyskutować. Ja postrzegałam życie jako integralną całość, natomiast mężczyźni, których znałam, dzielili je na odrębne kawałki, twierdząc, że nie mają one ze sobą nic wspólnego. Dlatego facet potrafi na przykład w pracy kraść i oszukiwać, a w domu być wrażliwym, sprawiedliwym tatusiem, albo zdradzać żonę na prawo i lewo, ale dla swojej córki szukać wiernego kandydata na męża. Nie chciałam o tym mówić Antkowi, i tak by nie zrozumiał, a gdyby nawet zrozumiał, o czym mówię, i tak by się z tym nie zgodził. Postanowiłam zapytać go, co zamierza robić w Polsce. Właściwie pytanie powinno brzmieć: co zamierza robić w tej głuszy, na tym zapomnianym końcu świata?

- O czym tak rozmyślasz? Czy wiesz, że jesteś najmilszą dziewczyną, jaką spotkałem w ciągu ostatnich lat?

- Naprawdę?! A Cornelia? - moje pytanie o Cornelię zabrzmiało trochę głupio, tak jakbym była o nią zazdrosna, to znaczy zazdrosna o Antka, albo o nich oboje. W rzeczywistości nie byłam zazdrosna ani o nią, ani o niego. Ale na tłumaczenia było już za późno.

- Mam nadzieję, że nie jesteś o nią zazdrosna, Cornelia to co innego, ona jest jak... jak cenna sztuka biżuterii, wiesz, co mam na myśli?

Wzruszyłam tylko ramionami, bo nawet jeśli to porównanie wydało mi się w pierwszej chwili strasznie banalne, to doskonale do niej pasowało, zresztą Antek wcale nie oczekiwał odpowiedzi, prawdopodobnie w sprawach kobiet polegał wyłącznie na swoim zdaniu. Pewnie uważał się za znawcę, konesera płci pięknej.

- Cornelia to luksus, zbytek, który może dodać blasku wszystkiemu, co wyrafinowane, kosztowne, z klasą. Takich kobiet naprawdę jest na świecie niewiele, choć od imitacji aż się roi. Cornelia to współczesna muza: inteligentna i ambitna, ma duchowość i intelekt godny cybernetycznego mędrca i powierzchowność dziewczyny z okładki eleganckiego magazynu.

- Pięknie to powiedziałaś, na pewno bardzo by się ucieszyła, słysząc te słowa - starałam się, aby mój głos wyrażał tylko radość z powodu posiadania tak wspaniałej koleżanki, bo za żadne skarby świata nie chciałam, aby Antek pomyślał, że jednak jestem o nią zazdrosna.

- Ale ty, Kornelia, jesteś zagadką, ty mogłabyś być wszystkim, takie kobiety jak ty zaludniają męską wyobraźnię... z tobą można się zapomnieć, z tobą można mieć marzenia, czuć, że ma się jeszcze czas na rzeczy wielkie...

- Boże, ty naprawdę jesteś poetą! Jak mogłeś tak długo wytrzymać za tą ladą? Ile ty właściwie masz lat?

Antek zaśmiał się cicho, tak jakby wstydził się tego, co zamierzał właśnie powiedzieć, albo tego, co się kiedyś zdarzyło. Doskonale



znałam ten rodzaj śmiechu, pozwalał zaakceptować własne wady i przyjąć porażki.

- Czterdzieści. Właśnie dzisiaj skończyłem czterdzieści lat.

- O! Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, szkoda, że nie powiedziałeś o tym wczoraj, miałabym dla ciebie jakiś prezent, a tak...

- Już zrobiłaś mi wspaniały prezent tym, że wyrwałaś mnie z za tej lady...

Nie sprostowałam tego, co powiedział, bo nie chciałam sprawić mu przykrości, w końcu miał urodziny, i to w dodatku czterdzieste, ale wcale nie wydawało mi się i nie chciałam, aby on tak sądził, że to ja „wyrwałam go z za tej lady”. Przez następne kilka godzin milczeliśmy, to znaczy ja milczałam, bo Antek prowadził przez telefon komórkowy niekończące się rozmowy, wszystkie po włosku, wszystkie dla mnie niezrozumiałe, najdłuższa z nich była chyba z jego matką, bo ciągle powtarzał lekko zniecierpliwiony: *mamma*. Chyba ją o coś prosił.

Cieszyłam się, że mam spokój i nie muszę z nim więcej rozmawiać, mogłam skupić się na tym, co dzieje się na drodze, i kompletnie o niczym nie myśleć. Tempo, w jakim pisałam swoją pierwszą książkę, było jednak zabójcze, dopiero w czasie tej jazdy poczułam obezwładniające zmęczenie, piekły mnie oczy, bolał kręgosłup, byłam wewnętrznie rozdygotana, czułam się jak na strasznym kacu. Może byłam chora, w końcu kiedyś musi nastąpić ten pierwszy raz. Przyłożyłam sobie nawet dłoń do czoła, aby sprawdzić, czy przypadkiem nie mam gorączki. Na przejściu granicznym postanowiłam, tak na wszelki wypadek, zażyć aspirynę, podobno u kogoś, kto rzadko coś łyka, nawet najslabszy lek ma zwielokrotnione działanie.

Po przekroczeniu niemiecko-czeskiej granicy zjechałam na parking dla tirów, ten sam, na którym nie tak dawno wylałam morze łez. Teraz też chciało mi się płakać, ale tym razem ze zmęczenia. Wysiadłam półprzytomna, mrucząc pod nosem do Antka coś o zmęczeniu i aspirynie. Po kilku skłonach, nie oglądając się na mojego

towarzysza podróży, powlokłam się do sklepu z napisem BALTO-NA, akurat go zamykano, co uświadomiło mi, że w końcu jest to wieczór wigilijny i normalni ludzie spieszą do domów, by wziąć udział w tych wszystkich przygotowaniach do uroczystej kolacji. Krzątająca się przy wyjściu sprzedawczyni, gruba i, jak na swój wiek, za mocno umalowana Czeszka, okazała się miłą kobietą. Bez zbędnego gderania i wzdychania otworzyła ponownie kasę i sprzedała mi opakowanie aspiryny i dwie wody mineralne. Na koniec poradziła mi, abym zażyła od razu dwie, a może nawet trzy tabletki, bo jedna nie zadziała.

Po powrocie do samochodu zastałam Antka przy czyszczeniu tylnych świateł; wyglądało to dosyć zabawnie, bo na nosie miał słoneczne okulary, a zapadała właśnie noc, tak ciemna, jak tylko potrafi być noc grudniowa. Na desce rozdzielczej stały dwa plastikowe kubki czarnej jak smoła kawy, a jej zapach był kwintesencją szczęścia. Popite kawą trzy aspiryny chyba rzeczywiście zadziałały, bo gdy już ruszyliśmy, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że całe życie chciałabym spędzić za kierownicą. Za Pragą drogi stawały się coraz bardziej puste, przejeżdżaliśmy przez wyludnione miasteczka i tylko światła w oknach skromnych domów zdradzały obecność ludzi. Na przejściu granicznym nie było żadnego innego samochodu osobowego poza naszym. Polski urzędnik bez zapału kartkował paszporty, najpierw mój, a potem Antka.

- Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin Antonio Leone - powiedział w kierunku Antka tonem, który mógł sugerować, że zapraszał go do kontroli osobistej. Antek wyglądał na nieco zdenerwowanego.

- Kolega nie rozumie po polsku - wyjaśniłam urzędnikowi, bo po jego słowach na moment zapadła kłopotliwa cisza.

- Nie szkodzi. Pani mu przetłumaczy, to się chłopak ucieszy - rzucił beznamiętnie.

- Urzędnik życzy ci wszystkiego najlepszego z okazji urodzin i ma nadzieję, że się z tego powodu ucieszysz.

Antek wyglądał na jeszcze bardziej zdenerwowanego niż przedtem.

- Z czego mam się ucieszyć: że mam urodziny czy że on składa mi życzenia?

- Kolega się cieszy i bardzo dziękuje - powiedziałam uprzejmie w kierunku okienka, zdając sobie w tym momencie sprawę, że urzędnik bez wątpienia rozumie po niemiecku. Sądząc po jego minie, miałam rację.

- Co on taki nerwowy, ten pani kolega?

- Wie pan, jacy są mężczyźni po czterdziestce... nerwowi, przeważnie rzucają palenie ze złudną nadzieją, że im to pomoże na potencję, to znaczy jakoś pomoże na brak potencji - zachichotałam głupkowato. Mężczyzna w okienku był na pewno po czterdziestce. Z obrzydzeniem na twarzy oddał nam paszporty, bez słowa obrócił się w kierunku ekranu małego telewizorka, w którym nadawano akurat wieczorne wiadomości, i głęboko zaciągnął się papierosem.

W przygranicznej strefie nie warto było robić postoju, bo wszystkie budki z tanim alkoholem czy kiełbaskami z rusztu pozamykano już na cztery spusty i tylko sterty śmieci rozsypane wokół wypełnionych po brzegi koszy przypominały o tłumach, które dopiero co przetoczyły się przez to miejsce.

Zaraz po przekroczeniu granicy nacisnęłam mocniej pedał gazu. Droga była kompletnie pusta, tak jak za pierwszym razem, choć wtedy byliśmy w tym miejscu trzy godziny później. Zaczął padać mokry, klejący się do samochodu śnieg, z każdą chwilą stawał się coraz bardziej gęsty i coraz wścieklej uderzał w przednią szybę.

- Ale pogódka - mruknęłam sama do siebie i jeszcze bardziej Przyspieszyłam.

- Dokładnie. I telefon komórkowy też tu nie działa.

Nie widziałam jego twarzy, ale po głosie mogłam się domyślić, że jest zmęczony.

- Czy ty przypadkiem nie jedziesz za szybko? - wymamrotał cicho, po czym usłyszałam jego głęboki, miarowy oddech. Antek spał. Na siedzeniu obok mnie tak po prostu spał jakiś obcy człowiek, i mógł to być równie dobrze ktoś inny. Ktoś zupełnie inny. To, że był to Antek, wynikało z przypadku. A może to nie był przypadek? Takie myśli prowadzą donikąd i choć uważam je za czystą stratę czasu, pojawiają się w mojej głowie uporczywie, maniakalnie, tak że muszę się przed nimi bronić, buntując się tym samym przeciw transcendentalnemu pojmowaniu świata. Akurat nabrałam bezpiecznego dystansu wobec tego, o czym myślałam, gdy niespodziewanie samochód gwałtownie podskoczył, jakbym najechała na coś leżącego na drodze... Mocno nacisnęłam na hamulec, stanowczo za mocno, bo przy tej prędkości na śliskiej nawierzchni obróciło nas prawie o sto osiemdziesiąt stopni. Na szczęście nie wpadliśmy do przydrożnego rowu.

- Matko kochana, co się stało? Mamy wypadek? - Antek wyglądał na przerażonego, kto wie, może śnił o doskonałym klejnocie, jakim jest Cornelia.

- Niezupełnie. Nic się nie martw, chyba znowu kogoś przejechałam.

- Znowu kogoś przejechałaś? Święta Madonno, to ty już kogoś przejechałaś?

Nie znoszę histerycznych mężczyzn, nawet jeśli wydaje się im, że są poetami, tym bardziej że głos Antka nabrał tak wysokich tonów, jakby akurat przechodził mutację.

- Cicho siedź, muszę się skupić... uszczypnij mnie, może zasnęłam przy kierownicy - wyciągnęłam rękę w kierunku Antka.

- Mam cię uszczypnąć? Przecież powiedziałaś, że od szczypania można dostać raka?

- Co? To chyba jednak sen, tyle że dużo gorszy niż przypuszczałam.

- ...?

- Jakie to szczęście, że nie urodziłam się mężczyzną!

- Wiedziałem, że jesteś... kimś w rodzaju ascetki albo jeszcze gorzej - feministki!

Przez dłuższą chwilę w zaciętrzewieniu patrzyliśmy sobie w oczy. Odezwałam się pierwsza, już ugodowym tonem, bo zrobiło mi się go żal, widząc, jak trzęsącą się ręką próbuje odsunąć opadający na twarz kosmyk ciemnych włosów.

- W porządku, pierwszą kłótnię mamy za sobą, nie denerwuj się, wszystko ci wytłumaczę, muszę tylko zobaczyć, na co najechałam.

Włączyłam ponownie silnik, który zgasł, gdy nas obracało na drodze. Powoli ruszyliśmy w kierunku tego czegoś. Nie ujechaliśmy jeszcze kilkudziesięciu metrów, gdy je zobaczyłam. W świetle reflektorów nie było mowy o pomyłce czy jakimś optycznym złudzeniu: to były nogi! Nieobute nogi człowieka, który leżał w poprzek jezdni, z głową i klatką piersiową na poboczu, dokładnie w tej samej pozycji jak tamten poprzednio. W milczeniu, jakby mnie ktoś zahipnotyzował, wpatrywałam się w leżącą na drodze postać, próbując spokojnie i miarowo oddychać. W końcu zdecydowałam się wysiąść.

- Zobaczą, co z nim jest, ty zostań w samochodzie, w razie czego cię zawołam.

Antek nie odezwał się, chyba tylko kiwnął głową, przynajmniej tak mi się wydawało.

Idąc w kierunku leżącego na ziemi człowieka, próbowałam skupić się tylko na tym, co widzę, i nie bawić się w żadne spekulacje, nie robić porównań, nie rozglądać się nerwowo w poszukiwaniu kobiety z rowerem. Wokół panowały czarne jak smoła ciemności, żadnych świateł, żadnych zabudowań, żadnych ludzi, nawet wiatr ucichł. Mokre płatki śniegu sennie opadały na ziemię, aby prawie natychmiast zamienić się w maleńką plamkę wody. Mężczyzna spał, w każdym razie świadczył o tym wydobywający się z półotwartych ust miarowy, lekko chrapliwy oddech. Leżał na wznak ze skrzyżowanymi na piersiach dłońmi, dokładnie tak samo jak tamten, skórzane, obłoczone trzewiki stały grzecznie obok jego głowy.

Nie potrafiłam jednoznacznie stwierdzić, czy to był ten sam człowiek - takimi mężczyznami z kilkudniowym zarostem i poklejony-mi strąkami źle ostrzyżonych włosów, w brudnych, wypłowiałych spodniach z drelichu i w takiej samej połatanej kufajce zaludnione są setki polskich wsi. Chciałam, aby to był ktoś inny, wydawało mi się to niewiarygodne, nie do pojęcia, że można po raz drugi przejechać po nogach tego samego człowieka. Ta kobieta, jego żona, co ona zrobiła? Kopnęła go w udo? Zrobiłam to samo, najpierw delikatnie, potem dużo mocniej. Tuż za moimi plecami rozległ się przeraźliwy krzyk Antka:

- Kornelia, co ty robisz?! Święta Madonno, kopiesz leżącą na ziemi ofiarę wypadku?

- Mówi do mnie „święta Madonno” i krzyczy jak rozhisteryzowana baba - mruknęłam do siebie pod nosem. Nie miałam ochoty na żadne dyskusje, byłam coraz bardziej zdenerwowana, bałam się momentu, kiedy pojawi się ta kobieta... czułam, że za chwilę się pojawi...

- Za chwilę przyjdzie tu chyba kobieta, z rowerem... albo i bez, to nie ma zresztą znaczenia... masz aparat fotograficzny? - mówiłam szeptem, ale byłam pewna, że Antek mnie słyszy. - Przynieś go, prędko, i rób zdjęcia tym dwojgu...

- Tym dwojgu? - szept Antka zabrzmiał strasznie teatralnie. Może Włosi nigdy nie szepczą? Ale już go nie było. Kątem oka zobaczyłam, jak w pośpiechu grzebie w swoich rzeczach na tylnym siedzeniu samochodu, czyli miał aparat. A to oznaczało, że wybrał się do Polski jak najzwyczajniejszy w świecie turysta, a nie jak człowiek pragnący odmienić swoje życie - pomyślałam o tym z lekkim rozczerowaniem, bo, niestety, w życiu roi się od zwyczajnych turystów.

Stałam nieruchomo w świetle reflektorów i czekałam na dalszy rozwój wypadków. Wiedziałam, że jestem doskonale widoczna dla kogoś stojącego poza światłem, kogoś, kogo nie mogłam zobaczyć, nawet najbardziej wyężając wzrok. Ciemność spowijała nas niczym gruba, czarna zasłona. Miałam nawet wrażenie, że gdybym wysunęła rękę poza krąg światła, mogłabym jej dotknąć, fizycznie

poczuć. Jednak najbardziej nieprzyjemne było uczucie, że cały czas bez przerwy czułam na plecach spojrzenie kogoś, kto tam stał w\* kompletnych ciemnościach.

Nie mam pojęcia, skąd wiedziałam, co mam robić, to znaczy, że mam czekać. Przez głowę przemknęło mi kilka wariantów wyjścia z tej absurdalnej sytuacji. Jednym z nich był na przykład pomysł udania się na najbliższy posterunek policji, w końcu jezdni to nie łóżko, ale szybko go zarzuciłam, bo instynktownie czułam, że muszę tam zostać.

Najpierw usłyszałam jej głos, dochodził gdzieś z ciemności za moimi plecami - niski, donośny głos, w którym przeplatał się senny spokój z nutą zrzędlowości:

- Ten stary pijus znowu się urznął i leży na gołej matce ziemi jakby to było puchem wyściełane łóżko. Mam nadzieję, że nie narobił państwu zbytniego kłopotu?

Poznałam ją od razu, gdy tylko weszła w krąg światła. To była ta sama kobieta, tak samo ubrana i tak samo jak wtedy prowadziła stary, odrapany rower. Patrzyła na mnie pustym wzrokiem człowieka zmęczonego życiem. I tak jak za pierwszym razem spod szaroburej chustki wymykały się poprzetykane siwizną kosmyki jasnych włosów. Te niesforne pasemka nadawały kobiecie figlarny wygląd, zupełnie w tej sytuacji niestosowny...

- Z tymi moimi kudłami to ciągły kłopot, nijak ich nie mogę ujarzmić, każdy włos tańczy w swoją stronę, nawet teraz na stare lata...

- Czyta pani w moich myślach czy ja mówię i nie wiem o tym, że mówię?

Kobieta nie odpowiedziała na moje pytanie,- wciąż oparta o rower, pochyliła się nad swoim mężem.

- Śpi w najlepsze! Wstawaj, stary koniu, do domu, mówię: do domu! - I podobnie jak za pierwszym razem, kopnęła go kilkakrotnie w udo. Mężczyzna powoli przeciągnął się, przetarł oczy i zaczął macać wokół głowy, prawdopodobnie w poszukiwaniu

swoich butów. Właśnie je znalazł, gdy usłyszałam tuż obok mojego ucha przerażony szept Włocha:

- Co ta tutaj chce? Pieniędzy?
- Chcą nas szantażować? A może to porwanie?
- Zwariowałaś? Kazałam ci przecież robić zdjęcia...
- Biedak, ten twój przyjaciel - kobieta patrzyła spod przymrużonych powiek na Antka - strachy go trawia, za dużo w nim strachów.
- To nie jest mój przyjaciel.
- Wiem, ale to tak się w dzisiejszym świecie mówi... tak, tak, narobiło się wokół tych przyjaciół. Ty nie potrzebujesz przyjaciół, masz szczęście być przyjacielem samej siebie. Takich ludzi nie ma dużo, na palcach od ręki by policzył. Pamiętaj o tym, masz coś, czego inni nie mają... - kobieta zawiesiła na moment głos, przechyliła na bok głowę, tak jakby chciała mi się lepiej przyjrzeć, i na jej wąskich, bladych ustach pojawił się cień uśmiechu - wiesz, o czym myślę?

Pokiwałam głową, że wiem. I rzeczywiście wiedziałam, właśnie w tym momencie nie potrzebowałam już słów, żeby wiedzieć, o czym myśli. I nie potrzebowałam słów, żeby jej powiedzieć, jak bardzo tęsknię za Luizą. I ona nie musiała mi mówić, że nie powinnam już martwić się o moją siostrę, ale tęsknota za nią pozostanie we mnie na zawsze, bo w świecie, w którym żyła, pozostało puste miejsce...

Rozstałyśmy się bez słowa, ze świadomością, że widzimy się po raz ostatni.

Gderając coś niezrozumiałego pod nosem, powoli, bez pośpiechu pomogła wstać mężczyźnie. I tak, prowadząc stary rower i podtrzymując swojego męża, zniknęła gdzieś w ciemnościach.

Stali się dla mnie wspomnieniem, tym droższym, że poczułam jakąś dziwną więź z kobietą o nieobecnych oczach i mężczyzną w ubłoconych trzewikach.

- Co tak patrzysz na mnie? Gdzie są ci ludzie? - w głosie Antka ciągle słychać było tę samą histeryczną nutę, choć najwyraźniej



próbował się opanować. Pewnie gdyby nie on, sterczałabym na tej mokrej i ciemnej szosie do rana. Nie zdawałam sobie sprawy, że na niego patrzę. Dopiero gdy się do mnie odezwał, zobaczyłam, że stoi tuż obok, na wyciągnięcie ręki. Kobieta miała rację, Antek przepełniony był strachem. Kiedy zdałam sobie z tego sprawę, przeszedł mnie zimny dreszcz.

- Co taaak na mnie patrzysz? Odpowiedz!

- Jak patrzę?

- No, tak jakoś dziwnie. Co powiedziała ci ta kobieta? Wiem, że mówiła coś o mnie. To jakaś wiedźma czy co?

- Pewnie coś w tym stylu. Wsiadaj do samochodu, musimy jechać dalej.

- Ale nie odpowiedziałas na moje pytanie.

- Na jakie pytanie?

- No, co ci ta kobieta o mnie powiedziała? Ona coś ci o mnie powiedziała, na pewno ci coś powiedziała!

Przez chwilę bałam się, że znowu się rozplacze, próbował nawet złapać mnie za ramiona, ale w porę się cofnęłam. Właściwie nie miałam zamiaru rozmawiać z nim na ten temat, jednak w nagłym przyptywie współczucia zmieniłam decyzję. Nie chciałam się nad tym zastanawiać, bo nigdy nie robiłam nic z litości, nie doświadczyłam dotąd takiego uczucia. Kiedyś weszłam do kościoła, ksiądz mówił akurat o współczuciu i o tym, jak bardzo Bóg jest litościwy, i chyba wtedy uświadomiłam sobie, że litość przypisana jest Bogu.

- Najpierw wsiadaj do samochodu, bo jesteśmy całkiem przemoknięci. I zrobiło się zimno, zaraz ci wszystko opowiem.

Otworzyłam drzwi od strony pasażera i wpuściłam Antka do środka. Prawie natychmiast z ciepłego jeszcze silnika popłynęło rozgrzane powietrze i dopiero wtedy poczułam, jak bardzo zmarzły mi stopy, bo znowu nie pomyślałam o tym, jak zimno jest teraz Polsce, i na nogach miałam cienkie skórzane półbuty.

Wszystko, co wydarzyło się przed kilkoma minutami, wydawało się teraz nierealne. W takich momentach lubiłam swój samochód,

bo jego techniczna sprawność, dzięki której mogłam na przykład w ciągu kilku sekund przyspieszyć do setki, zapewniała mi poczucie normalności, nabierałam wtedy ufności do świata, w którym żyłam.

Jakiś czas jechaliśmy pogrążeni w milczeniu, ale nie miałam wątpliwości, że Antek powróci do swoich pytań. Nie chciałam go niepotrzebnie upokarzać, więc zaczęłam mówić pierwsza:

- Ta kobieta nie powiedziała nic, z czego sam nie zdawałbyś sobie sprawy. To znaczy mówiła o tym, że żyjesz przepęlniony strachem i że właśnie on tobą kieruje.

- I to wszystko?

- Ten strach cię niszczy.

- Wiem.

- Jak wiesz, to po co pytasz? - Wzruszyłam lekko ramionami zdziwiona jego powściągliwą reakcją.

- Ale skąd ona to wiedziała? Mam to napisane na czole czy co? - Antek postukał się w czoło, po czym kilka razy je potarł. - No powiedz, mam to napisane na czole?

- Nie, nie masz. Chociaż... - przerwałam, bo nie chciałam mu tłumaczyć, że kobieta z rowerem pokazała mi, jak trzeba patrzeć na ludzi, jeśli chce się ich widzieć, i że wiedziałam o nim wiele innych rzeczy, o których ona nic nie wspomniała, bo to, co powiedziała, było wystarczające. Problem polegał na tym, że nie istniała żadna gotowa recepta, bo odpowiedź była w nim samym. Aby ją odnaleźć, należało zatrzymać się, tak by poczuć pod stopami nieruchomą ziemię, zrozumieć, że tu jest nasz świat. Odwrotnie niż to zrobił Kopernik: zatrzymać Ziemię i ruszyć Słońce, bo tylko wtedy człowiek może odnaleźć szczęście.

Antek milczał, a ja czułam, że milczenie to, jak wszystkie inne w jego życiu, podyktowane jest strachem.

- Nie masz powodów do zmartwień, wszystko będzie dobrze... jesteś jeszcze młody i zdrowy... wszystko będzie dobrze.

Nie widziałam jego twarzy w ciemnościach, zresztą wcale nie patrzyłam w tamtą stronę, ale przez cichy szum silnika i wiatru na

dworze usłyszałam westchnienie ulgi, podobne do tego, z jakim pacjent przyjmuje wiadomość, że nie grozi mu żadna śmiertelna choroba. I ze zdziwieniem po raz kolejny odkryłam, jak łatwo jest pocieszyć drugiego człowieka. Często wystarczy wypowiedziany pewnym głosem najzwyklejszy banał.

Drzwi w pałacu były jak zwykle pootwierane. Zresztą nie przypomniałam sobie, aby moja mama kiedykolwiek je zamykała, a stare, zardzewiałe zamki nie dawały nadziei, że gdzieś jeszcze istnieją do nich klucze. Za to schody były swoistym strażnikiem tego domu: każdy stopień wydawał z siebie całą gamę przeraźliwie głośnych dźwięków, które, spotęgowane przez echo olbrzymiego, pustego holu, zdawały się być słyszalne na całą okolicę. Rozbawiło mnie, gdy zobaczyłam, jak Antek, obarczony wielką walizką, stara się jak najdelikatniej po nich stapać, aby uniknąć tego okropnego hałasu.

Wszyscy domownicy siedzieli w kuchni przy odświętnie nakrytym stole i w skupieniu oczekiwali naszego nadejścia. Pierwsza na mój widok wstała mama: uśmiech rozjaśnił jej twarz, odejmując jej co najmniej dwadzieścia lat. I objęła mnie mocno, tak jak obejmuje się dzieci w geście bezgranicznej miłości. Przez dłuższą chwilę trwałyśmy w tym uścisku. Poczulałam znajomy z okresu dzieciństwa zapach kremu Nivea, widocznie mama ciągle go jeszcze używała. Tak, w tym domu czas zatrzymał się w miejscu, choć kobieta, która mnie obejmowała, była teraz co najmniej o pół głowy ode mnie niższa i nawet przez płaszcz czułam jej drobne, niespodziewanie kruche ciało. Kiedyś było inaczej, kiedyś byłam pewna, że moja mama jest dużą, mocno zbudowaną kobietą.

- Wesółych świąt, córeczko, nawet nie wiesz, jak się cieszymy, że przyjechałaś - mama odsunęła mnie na odległość wyciągniętych ramion i przyjrzała mi się z miłością w oczach. Zaskoczyła mnie swoją spontanicznością i tym, że okazywanie czułości przychodziło jej tak naturalnie.

- Wesołych świąt, mamó - pocałowałam ją głośno w policzek. -  
Widzę, że od mojego ostatniego pobytu nic się tu nie zmieniło.

Dopiero teraz popatrzyłam na Toma, który wstał od stołu, aby się ze mną przywitać. Patrząc w jego jasne miodowe oczy, czułam, jak ogarnia mnie gwałtowna fala gorąca, jak tracę poczucie rzeczywistości i tonę w ich głębi, jak uginają się podę mną kolana, jak robi mi się przed oczami ciemno...

Zemdlałam. Kiedy znów otworzyłam oczy, leżałam na biedermeierowskiej sofie, tuż obok największej choinki, jaką kiedykolwiek w tym domu widziałam. Choinki z prawdziwymi, płonącymi świeczkami, które z sykiem gubiły krople wosku w pachnących gałęziach.

Mara trzymała mi rękę na czole. Miała tak drobną dłoń, że wcale nie czułam jej ciężaru, tylko przyjemne, promieniujące na całą twarz, ciepło.

- Ludzie muszą jeść, aby żyć, nie wiesz tego, Kornelia? - w głosie Mary słyhać było naganę, tak jakby mówiła to moja matka albo starsza siostra. Byłam jej wdzięczna, że tak jednoznacznie potraktowała sprawę mojego omdlenia; w naszej szerokości geograficznej zawsze to lepiej mdleć z głodu niż na widok mężczyzny.

- Wiem, tylko zapomniałam.

- Masz dla mnie prezent?

Na bladej, poważnej twarzy dziewczynki widać było pełne napięcia oczekiwanie. Patrząc na nią, uświadomiłam sobie, że szukam w tym dziecku podobieństwa do Luizy, do naszej mamy, do mnie, a nawet do naszej babki bliźniaczki. Ale Mara zewnętrznie nie była podobna do żadnej z nas, miała jasne brwi i rzęsy, i ciemne, chwilami prawie czarne oczy. Przy bardzo jasnej karnacji jej oczy niepodzielnie królowały na szczupłej, lekko pociągłej buzi i do tego stopnia zdominowały inne detale twarzy, że patrząc na nią, wcale nie dostrzegało się ust, nosa, czoła, włosów.

- Pewnie że mam dla ciebie prezent, tylko muszę go jeszcze zapakować.

- To dobrze, że masz, w końcu jesteś moją ciotką... - przez chwilę Mara zastanawiała się nad czymś, po czym dodała: - Z tej samej krwi i kości. Hm... z tej samej krwi i kości? Jakoś dziwnie to brzmi, no nie?

- Rzeczywiście dziwnie. Może lepiej powiedzieć, że jesteśmy najbliższą rodziną, a może jeszcze lepiej - na moment zawiesiłam głos, bo nie byłam pewna, czy to, co chcę powiedzieć, nie zabrzmiałoby zbyt banalnie albo sztucznie - że jesteśmy najbliższymi sobie osobami.

Nim zdołałam skończyć to zdanie, Mary już nie było, pobiegła do kuchni, skąd dochodził donośny głos Antka. Byłam pewna, że opowiadał o naszym spotkaniu na drodze. Szybko usiadłam na sofie, bo wydawało mi się, że w tej pozycji łatwiej mi będzie wymyślić, co mogłabym dać siostrzenicy w prezencie. Oczywiście o czymś takim jak upominki pod choinkę całkowicie zapomniałam, w końcu nawet nie zauważyłam nadchodzących świąt. Jediną nową rzeczą, jaką posiadałam, był supernowoczesny laptop. Kupiłam go zaraz po spotkaniu z Cornelią w wydawnictwie z myślą o następnej książce. Mając taki przenośny komputer, mogłabym ją pisać wszędzie... Był drogi, bardzo drogi, był najdroższą rzeczą, jaką kiedykolwiek kupiłam, oczywiście miałam wiele dużo droższych rzeczy, choćby nawet samochód czy jakieś sprzęty w domu, ale to nie było to samo, bo one zostały kupione przez Thomasa. Postanowiłam go dać Marze w prezencie, w końcu stać mnie było na kupno drugiego takiego samego. Byłam ciekawa, czy Mara wiedziała, co ode mnie dostanie, umiała przecież przewidywać różne rzeczy, a nawet lewitować... biedne dziecko, wcześniej nie myślałam o tym, ale gdyby rzeczywiście wiedziała o wszystkim, co ma dopiero nastąpić...? Na myśl o tym ogarnęło mnie przerażenie, postanowiłam zapytać mamę, jak to naprawdę jest z tym dzieckiem.

Kiedy po raz drugi tej nocy weszłam do kuchni, oprócz mamy, Antka, Toma i Mary siedział przy stole jeszcze jeden mężczyzna: bez wątplenia ten z mojego snu, ten sam chudy, stary mężczyzna

o przeplatanych siwizną, długich, sięgających ramion, jasnych włosach. Siedział profilem do drzwi, w których stanęłam, niewiele widziałam, ale i tak byłam pewna, że to właśnie on śnił mi się ostatniej nocy przed wyjazdem. I mimo że Antek barwnie i z werwą opowiadał o naszej podróży do Polski, wszyscy w skupieniu spojrzeli w moim kierunku, wszyscy oprócz tego mężczyzny, choć byłam pewna, iż on wie, że stoję tuż obok niego, w zasięgu wyciągniętej ręki... Każdy patrzył inaczej: Antek pytająco, mama stanowczo, jakby chciała mnie utwierdzić w raz dokonanym wyborze, Mara była lekko rozbawiona i przede wszystkim zaciekawiona, Tom natomiast patrzył na mnie, tak jakby próbował odgadnąć moje najgłębiej skryte uczucia.

Na szczęście mała wystraszona dziewczynka, która na moment się we mnie pojawiła, mogła tym razem odejść bez żalu. Przy moim rodzinnym stole siedział jakiś obcy mężczyzna, i gdyby nie pojawił się w moim śnie, mogłabym przysiąc, że nigdy wcześniej go nie widziałam. Ale nie miało to większego znaczenia. Odezwałam się cichym, swobodnym głosem, po niemiecku, bo ten język siłą rzeczy stał się obowiązujący w domu mojej matki.

- Cześć! Co się tak na mnie patrzycie, jakbyście zobaczyli zjawę? Antek pewnie was nastraszył swoimi opowieściami o przydrożnych duchach?

Starszy mężczyzna powoli obrócił głowę w moim kierunku, popatrzyliśmy sobie prosto w oczy, w jego spojrzeniu nie było nic szczególnego. Pierwsza wyciągnęłam rękę i uśmiechnęłam się szeroko, jakbym miała zamiar reklamować pastę do zębów:

- My się chyba nie znamy, Kornelia Bernreuter. Jestem strasznie głodna, bo dopiero co przyjechałam z Niemiec.

Mężczyzna wstał powoli, tak jakby coś trzymało go na krześle, i uścisnął mi rękę chłodną, kościstą dłonią.

- Steiner, Eryk Steiner.

- Miło mi pana poznać - delikatnym ruchem uwolniłam dłoń z jego uścisku i nie czekając, aż usiądzie, podeszłam do Toma.

- Jeszcze z tobą nie zdążyłam się przywitać.

Objęliśmy się mocno, wtulając się w siebie, jakbyśmy byli parą stęsknionych kochanków, jego ciepło przeniknęło moje ubranie, moją skórę, zamknęłam na sekundę oczy...

- Co za dupka przywiozłaś ze sobą? - usłyszałam szept Toma; jego usta delikatnie dotykały mojego ucha.

- Masz na myśli Antka? - powiedziałam na głos, uwalniając się jednocześnie z jego objęć; i tak nikt nas nie słuchał.

- Właśnie jego.

- Spytaj go o to sam!

- Spytam. W swoim czasie. Uśmiechnęliśmy się do siebie porozumiewawczo.

Obcość, którą czułam między nami od chwili przekroczenia progu pałacu, znikła bez śladu. Usiadłam przy stole pomiędzy Tomem a Marą, wdzięczna za to miejsce, bo bezpośredniej bliskości Antka chwilowo miałam dosyć. Na stole przykrytym olśniewająco białym obrusem stała piękna stara porcelana, przy czym prawie każda sztuka pochodziła z innego serwisu. Mimo to, albo może właśnie dlatego, był to najbardziej elegancko nakryty stół, jaki widziałam. Ciekawe, czyja to była zasługa, Toma czy Mary?

- Moja. To ja tak pięknie nakryłam stół, bo ani Tom, ani Róża nie mieli czasu, byli zajęci gotowaniem.

- Nieźle, nieźle - powiedziałam, sama nie wiedząc, czy chodzi mi o stół, czy o czytanie w moich myślach. Mama posunęła w moim kierunku wazę z tradycyjną u nas zupą grzybową z maleńkimi pierożkami nadziewanymi kiszoną kapustą i kaszą gryczaną.

- Naprawdę go nie poznajesz? - szepnęła prawie niesłyszalnie, pochylając się lekko w moim kierunku. Zresztą nie musiała tak szeptać, przy stole toczyła się właśnie ożywiona rozmowa, ze Steinerem w roli głównej, o szczególnych właściwościach klimatycznych miejsca, w którym stoi pałac.

Nie miałam zamiaru jej odpowiadać. Nie chciałam i koniec. Moja decyzja była nieodwołalna. Odłożyłam łyżkę i w tej samej chwili poczułam na palcach ciepły dotyk dłoni Toma.

- Napijesz się wina? Włoch przywiózł całkiem niezłe chianti... Stęskniliśmy się za tobą... stęskniłem się za tobą - Tom delikatnie pogłaskał moją dłoń.

- Oczywiście, że się napiję, zwłaszcza że to wino od Antka, w końcu wino to jego żywioł...

- A co, jest alkoholikiem? - oczy Mary zrobiły się jeszcze bardziej okrągłe i większe niż zwykle. Z tym dzieciakiem nigdy nic nie było oczywiste.

- Może i jest, tak dobrze go nie znam, żeby wiedzieć. Chciałam tylko przez to powiedzieć, że Antek handluje winem, to znaczy do wczoraj handlował, no i podobno rzucił to...

- Picie? Czy handlowanie winem?

- Antek, Antonio Leone! - zawołałam w jego kierunku. - Mara chciałaby cię o coś zapytać.

Antek wyglądał na zadowolonego. Jego oczy znów rozsypywały wokół wesołe iskierki, przez co bez wątpienia zyskał sympatię wszystkich uczestników kolacji, nawet Lotta położyła się obok jego krzesła, uważnie śledząc żywą gestykulację Włocha.

- Fuuuuj - Antek skrzywił się nagle z niesmakiem, zatykając sobie nos.

- Ten pies puszcza bąki! I to jakie śmierdzące!

- To pewnie po tej kociej karmie, Lotta wsunęła cały woreczek. I tonem usprawiedliwienia Mara dodała:

- Zostawiłam go na dole, bo chciałam w Wigilię nakarmić koty z okolicy. Normalnie ich nie karmimy, bo wszędzie aż roi się od myszy, ale dzisiaj jest w końcu Wigilia... - Mara uśmiechnęła się wyrozumiale.

- No to co, że jest Wigilia?

- Antek, jak to? U ciebie w domu zwierzęta nie przemawiają w Wigilię ludzkim głosem?

- Ja nie mam w domu żadnych zwierząt. Fuj, znowu puścił bąka! Wszyscy roześmialiśmy się, widząc komiczną minę Antka. Popatrzyłam na mamę, czułam, że myśli o tym samym co ja: po raz pierwszy w tej kuchni rozbrzmiewał tak wesoły, niepohamowany



śmiech. Szkoda, że nie było z nami Luizy... W ułamku sekundy oczy Mary pociemniały, tak jakby zgasło w nich jakieś światełko, i dziecko popatrzyło na mnie i na babcię bezgranicznie smutnym wzrokiem. Miałam ochotę przytulić ją do siebie, ochronić własnym ciałem przed okrucieństwem życia... niewyobrażalnym okrucieństwem, jakim jest utrata matki w wieku siedmiu lat. Ale trwało to tylko krótką chwilę, tak krótką, że nie zdążyłabym nawet wstać i podejść do niej, wesoła rozmowa na temat bąków Lotty i gadających ludzkim głosem kotów potoczyła się dalej, aż do momentu kiedy mama zaintonowała piękną pieśń o cichej nocy gdzieś w zasypanej śniegiem austriackiej wsi. Wszyscy przyłączyliśmy się do niej, śpiewając razem i każdy dla siebie, myśląc o swoich nadziejach, o dobroczynnym przemijaniu, o nowym, które może przynieść dobro..

Tej nocy/nim śmiertelnie zmęczona położyłam się spać, zapakowałam mój nowy laptop w kolorowy papier, przyozdabiając paczkę czerwoną kokardą i zieloną, intensywnie pachnącą gałązką świerkową. Starając się jak najciszej stąpać po skrzypiącym parkiecie, z prezentem pod pachą wśliznęłam się do pokoju Mary. Dziewczynka spała zwinięta w mały kłębuszek, przytulając do policzka pluszowego pieska. Na dużym, pięknym mahoniowym łóżku w stylu późnego austriackiego empire wydawała mi się jeszcze bardziej drobna i krucha, niż była w rzeczywistości. Wstrzymując oddech, przez dłuższą chwilę stałam bez ruchu, wpatrując się w spokojnie śpiące dziecko. Po raz pierwszy w życiu poczułam się odpowiedzialna za życie drugiego człowieka, odpowiedzialna za tę małą dziewczynkę. Wraz z nowym uczuciem pojawił się paraliżujący lęk przed odpowiedzialnością, której nie mogłam już uniknąć. Wyobraziłam sobie, ile niebezpieczeństw może na nią czyhać, zawsze mogło spotkać ją coś złego. Sama nie wiem, jak to się stało, ale poczułam obezwładniający strach. Nigdy nie byłam przesadnie lękliwa

i w pierwszym odruchu myślałam raczej o tym, co dobrego może mnie spotkać...

Wiedziałam już, że ten lęk o Marę będzie stale mi towarzyszył, że będę musiała się do niego przyzwyczaić, jakoś go oswoić, tak jak ktoś chronicznie chory musi przyzwyczaić się do swojej dolegliwości, aby móc żyć.

- Dlaczego nie lubisz mojego dziadka?

Mara mówiła po polsku, tak jakby uważała, że temat ten powinien interesować wyłącznie nas obie, choć na pewno nie umknęło jej uwagi, że Tom i Antek przerwali na moment ożywioną rozmowę o tajemniczej parze na drodze i spojrzeli na nas z pytaniem w oczach. Siedzieliśmy w olbrzymim, prawie pustym salonie, wokół pięknego, choć zniszczonego stolika z wiśniowego drewna, ozdobionego wąskimi paskami ciemnej intarsji z hebanowego drewna. Popijaliśmy poranne cappuccino, bo jak się okazało, Antek przywiózł ze sobą niewielkich rozmiarów maszynę do espresso, która była prawdziwym cudem techniki, gdyż oprócz aromatycznej kawy potrafiła spieniać mleko.

- Dlaczego nie lubię twojego dziadka? - powtórzyłam za dziewczynką, jakbym była jej echem. W rzeczywistości chciałam zyskać czas na zastanowienie, bo trochę zaskoczyło mnie jej pytanie, szczególnie że Mara jeszcze przed chwilą, bezgranicznie szczęśliwa, jak tylko dzieci potrafią być szczęśliwe, opowiadała o swoim nowym laptopie, uświadamiając mi jednocześnie, że potrzebna jest do niego jeszcze drukarka i ewentualnie jakieś gry komputerowe.

- Właśnie, dlaczego go nie lubisz?

- Nie wydaje mi się, abym go nie lubiła, raczej zachowuję w stosunku do niego dystans, bo go nie znam.

Mara przewróciła oczami, jakby za chwilę chciała zemdleć.

- Czy ten dystans to nie jest to samo co nie lubić?

- Myślę, że nie. Nie lubić jest negatywnym uczuciem, a ja w stosunku do twojego dziadka nie żywię żadnych uczuć, również tych negatywnych. Rozumiesz?

- Nie. Ale to nic nie szkodzi.

Na chwilę zapadło między nami milczenie. Miałam wrażenie, że Mara zastanawia się, czy zapytać mnie o coś jeszcze. W końcu z tego zrezygnowała, bo wróciła do tematu laptopa.

- Znasz Mateusza? - I nie czekając na moją odpowiedź, ciągnęła dalej.

- Pewnie nie znasz, to mój najlepszy kolega. Czasem mnie strasznie denerwuje, bo to w końcu chłopak, zresztą Tom też mnie czasem denerwuje, choć jego też lubię... Mateusz jest tylko o rok ode mnie starszy, ale chodzi do tej samej klasy co ja...

- A co, musiał siedzieć?

Mara popatrzyła na mnie ze zdumieniem.

- Siedzieć? Coś ty, on jest najlepszym uczniem w klasie i pewnie dlatego nikt go nie lubi, nikt poza mną.

- To czemu jest starszy od ciebie?

- No bo ja poszłam o dwa lata wcześniej do szkoły, a Mateusz tylko o rok. Proste, prawda?

- Prawda.

Było mi głupio, że nic kompletnie nie wiedziałam o swojej jedynej siostrzenicy, i fakt ten zaczął mi niespodziewanie ciążyć. Nawet nie wiedziałam, czy Mara zawsze potrafi czytać w moich myślach.

- Nie przejmuj się tym, w końcu to nie takie ważne.

- Co nie jest takie ważne?

- No to, że o dwa lata wcześniej poszłam do szkoły. Dziadek mówi, że to bardzo praktyczne. Mogę nawet dwa razy siedzieć w tej samej klasie i nikt się nie dowie. To znaczy później nikt nie pomyśli, że kiedyś nie zdałam do następnej klasy. Mogę to zrobić nawet dwa razy, to znaczy dwa razy siedzieć!

- Aha, niezły pomysł, ale co z tym Mateuszem, zaczęłaś o nim coś mówić.

- Tak, tak. Jak Mateusz do mnie dzisiaj przyjdzie, to mu pokażę komputer. Na pewno nie będzie chciał uwierzyć, że to mój własny. On co prawda ma komputer, od swojego taty z Niemiec, ale to stary grat i niewiele można na nim zrobić...

Mara umilkła. Było widać, że to, nad czym się zastanawia, jest dla niej bardzo ważne. Widok tej jasnej, małej twarzyczki sprawiał mi ogromną przyjemność, mogłabym tak siedzieć i patrzeć na nią nieskończenie długo, nawet zaczęłam się zastanawiać, jak Luiza wytrzymywała te długie rozłąki z dzieckiem... poczułam w żołądku nieprzyjemny ucisk. W końcu musiała jakoś zarabiać na życie, przecież ojciec Mary tak jakby nie istniał, nie płacił alimentów, nie było nawet sprawy o ojcostwo, bo nie wiadomo było, gdzie się w ogóle podziewa.

- Wiesz co, Kornelia, dzisiaj z Mateuszem przyjdzie jego mama, pani Magda, wiesz, ta, co u nas sprząta, odkąd Tom mieszka z nami... no i pracuje w kotłowni, przy centralnym. Ona chciała cię o coś zapytać, już mnie o to pytała, ale ja się na tych sprawach nie znam...

- O co cię pytała?

- No wiesz, o te sprawy damsko-męskie.

Mara poważnie na mnie patrzyła, choć w jej dużych ciemnych oczach kryły się wesołe iskierki. Zastanawiałam się, jak to jest, że każdym swoim zdaniem potrafi mnie zaskoczyć. Pewnie dlatego, że nie byłam w ogóle przyzwyczajona do dzieci.

- Jeśli rzeczywiście o to cię pytała, to chyba będzie lepiej, jeśli przyjdzie z tym na przykład do mnie, choć z góry uprzedzam, że nie jestem w tych sprawach ekspertem. Sama wiesz, że skończyłam już trzydzieści lat, nie mam męża, dzieci...

- Masz mnie... i wcale nie widać, że masz aż tyle lat, jesteś taka ładna i tak młodo wyglądasz - Mara powiedziała to cichym, ciepłym głosem i spojrzała na mnie lekko zawstydzona.

Bez wątpienia był to najpiękniejszy komplement, jaki kiedykolwiek w życiu słyszałam. Poczulałam łzy napływające mi do oczu... Boże, co się ze mną dzieje - pomyślałam przerażona, bojąc się, że

ze wzruszenia zaraz się rozplączę. W salonie na szczęście nikogo nie było, Tom z Antkiem gdzieś zniknęli, pewnie poszli zwiedzać pałac, bo Włoch aż się palił do oglądania zakurzonych kątów naszego olbrzymiego domu.

Po południu wybraliśmy się w trójkę, to znaczy ja, Tom i Antek, do fryzjera w miasteczku. Mama poleciła nam panią Monikę, podobno bardzo zdolną fryzjerkę, choć jeszcze u niej nigdy nie była, bo od lat sama podcinała swoje długie, proste włosy. I od lat tak samo zaplatała je z tyłu głowy w równy gruby warkocz, a na większe wyjścia upinała nisko na karku w węzeł. To chyba po niej odziedziczyłam niechęć do fryzjerów i przekonanie, że każda wizyta w takim salonie musi kończyć się jakąś katastrofą, oczywiście katastrofą na głowie.

Z tym strzyżeniem to był pomysł Toma. Po obiedzie stwierdził, że już ani minuty więcej nie wytrzyma z takimi długimi włosami, i aby przywrócić wiarę we własne ego, musi natychmiast jechać do fryzjera. I chyba miał rację, bo jego i tak zwykle dość długie włosy teraz zaczęły zawijać się na końcach, co przydawało mu niewątpliwie niewieściego uroku. Antek też musiał udać się do fryzjera, bo zazwyczaj robił to raz na tydzień - w przeciwnym wypadku jego fryzura traciła właściwą linię. Tego wszystkiego dowiedziałyśmy się z mamą przy popołudniowym espresso. Oczywiście podczas tej rozmowy na temat włosów nie omieszkałyśmy wymienić kilku wymownych spojrzeń. W końcu wcisnęliśmy się w trójkę - a właściwie we czwórkę, bo Lotta, przyzwyczajona w Monachium do codziennej jazdy samochodem, nie pozwoliła się z niego wypchnąć - do mojego porsche. Do ostatniej sekundy namawialiśmy jeszcze na ten wyjazd mamę i po nieudanych próbach ruszyliśmy w kierunku miasteczka. Antek był tak podniecony, jakby co najmniej leciał w kosmos, co z grubsza by się zgadzało, bo zaraz na początku jazdy przyznał, że czuje się, jakby przebywał na innej planecie. Patrząc

na biegnącą przede mną dziurawą i wąską asfaltową szosę, byłam skłonna w to uwierzyć. Mijane po drodze pola i wsie przykrywała lekka pierzynka pierwszego grudniowego śniegu, którego sinoszara biel zlewała się z ciężącym ku ziemi niebem.

Mijane przez nas wsie, wszystkie do siebie podobne, wszystkie składające się z jednakowych szaroburych domów z odpadającym tynkiem i szczerbatym, krzywym płotem, przedstawiały żaloszny widok. Antek zdawał się tego nie widzieć, co jakiś czas krzyczał na całe gardło:

- O, koń! Fura z koniem! Albo:

- Widzieliście tego starca na krzyżówce? Miał chyba drewnianą nogę! To chyba jeszcze z wojny.

Tom nic nie mówił, choć widziałam, że jego skupione oczy fotografa jak zwykle skrupulatnie rejestrowały zostające za nami okolice.

W salonie pani Moniki odkryłam, że zawód fryzjerki ma w sobie coś niezwykle zmysłowego. Tego odkrycia nie dokonałam od razu, bo pierwszy obrazek, jaki rzucił mi się w oczy po otwarciu drzwi salonu, mało miał wspólnego z erotyką: była to kobieca głowa o groteskowym wyglądzie: z dziurek srebrnej folii, w którą była owinięta, sterczały dziko na wszystkie strony postrzępione kosmyki włosów.

Zakład pani Moniki składał się z jednego dużego pomieszczenia i, jak głosił napis nad drzwiami wejściowymi, przeznaczony był dla klientów obojga płci.

Monika była niedużą dwudziestokilkuletnią kobietą o wschodnich rysach twarzy, pewnie będących pamiątką tatarskich i mongolskich najazdów na Polskę, i ciemnych, gęstych włosach, świadczących o wielu fryzjerskich eksperymentach. Ale moją uwagę, i nie tylko moją, przykuwały przede wszystkim jej olbrzymie, kształtne piersi, takie jakie można zobaczyć wyłącznie w reklamach produktów silikonowych. Oczywiście tych, które używane są w chirurgii plastycznej.

Na nasz widok Monika uśmiechnęła się szeroko i starannie obciągnęła obcisły niebieski sweterek. Efekt był dość absurdalny, bo

szyję dziewczyny okalał ortopedyczny kołnierz, jaki nosi się przy uszkodzeniu kręgów szyjnych.

- Boże, czy to samolot z Hollywoodu wylądował gdzieś w pobliżu? Jej zdumiony wzrok przeskakiwał z Antka na Toma i z Toma na

Antka. Ci z kolei, zaskoczeni tak żywym zainteresowaniem fryzjerki i chyba trochę zażenowani widokiem kobiety z folią na głowie, stanęli pośrodku salonu jak wryci, zdając się czekać, aż załatwią za nich wszystkie formalności.

- Dzień dobry! Przyprowaździłam chłopaków na strzyżenie. Ma pani teraz jakiś wolny termin czy mamy przyjść później?

Fryzjerka spojrziała na mnie tylko przelotnie, bo jej wzrok uparcie wracał do moich towarzyszy.

- Dla tych dwóch, zawsze. Co ma być? Komplet?

- Komplet? Muszę najpierw tych dwóch zapytać, bo nie rozumieją po polsku.

- Boże, obcokrajowcy! Od razu tak to sobie skojarzyłam, takich chłopaków widuje się u nas rzadko. Rozbierzcie się i siadajcie, mam tylko jedną klientkę, ale ona już prawie gotowa, resztę załatwi moja praktykantka... akurat poleciała po ciacha.

Tom z Antkiem zgodnie potakiwali głowami, tak jakby cokolwiek rozumieli z tego, co mówi pani Monika, a ona w dalszym ciągu nie odrywała od nich oczu.

Usiedliśmy grzecznie w rzędku naprzeciwko luster i trzech foteli fryzjerskich.

- Który pierwszy? - Monika zapraszającym gestem wskazała krzesło stojące przy umywalce. Miała przy tym tak rozbrajająco radosną minę, że naszła mnie ochota na skorzystanie z jej usług. Obaj popatrzyli na mnie pytającym wzrokiem.

- Co tak na mnie patrzycie, jestem waszą mamą czy co? Który pierwszy?

Antek poderwał się tak energicznie, że o mało nie przewrócił krzesła. Nim usiadł przy umywalce, skłonił się lekko przed fryzjerką, wyciągnął do niej rękę i śmiertelnie poważnym tonem powiedział:

- Antonio Leone, po polsku: Antek.

- Monika Rataj czuk.

Wzajemne przedstawianie się najwyraźniej ją zaskoczyło, bo wykraczało poza zawodową relację klient-fryzjer, ale szybko opanowała zdumienie i powróciła do poprzedniego tonu.

I właśnie wtedy, gdy pochylona nad Antkiem zaczęła myć mu włosy, odkryłam w delikatnych, powolnych ruchach dłoni głębię zmysłowości zawodu fryzjerki.

I przez chwilę pożałowałam nawet, że nie jestem fryzjerką... Na szczęście marzenia o myciu i stryżeniu męskich głów zostały przerwane pojawieniem się praktykantki. Dziewczyna uosabiała przeciwieństwo swojej szefowej: wysoka, chuda, nadąsana. Zdawała się nie zauważać naszej obecności.

- Kremówek nie było, to wzięłam napoleonki.

Praktykantka odłożyła ciastka na mały stolik pod oknem, na którym stały jakieś naczynia i elektryczny dzbanek do gotowania wody.

- Panią Elę to ja mam skończyć, co?

I nie czekając na potwierdzenie, zajęła się klientką ze srebrną folią na głowie, która przyglądała się nam cierpliwie i z nieukrywaną ciekawością.

Z Antkiem poszło pani Monice dość szybko, ale jeszcze kilka ruchów nożyczkami i biedak byłby zupełnie łysy. Jednak Antek wyglądał na zadowolonego, kilka razy przejechał dłonią po świeżo ostrzyżonych włosach i podniesionym do góry kciukiem pokazał, że jest świetnie.

Za to Tomowi poświęciła więcej czasu, widać było, że delektuje się każdym obciętym pasmem włosów.

- Takie piękne włosy to rzadkość - powiedziała, puszczając oko do mojego odbicia w lustrze. - Odlotowe chłopaki, co? I do tego obcokrajowcy. To co, obaj należą do pani? - I nie czekając na moją odpowiedź, szybko dodała: - Zresztą, co my będziemy sobie tu „paniować”, wszyscy mówią do mnie Monika, bo wszyscy mnie



tu znają. A ty jak masz na imię, bo głowy bym nie dała, ale mam wrażenie, że skądś cię znam?

- Kornelia. Mam na imię Kornelia. Chodziłam tu do ogólniaka i stąd możesz mnie znać.

- Aaaa... Nie. Chyba nie stamtąd, ja chodziłam do medyka...

- I co, nie podobał ci się zawód pielęgniarki?

- Coś ty! W służbie zdrowia to nędza, praca wredna, nocki odwalasz, a grosze płacą! A tu jestem na swoim, chcę, to tyram, nie chcę, to ciacha z Helką wcinamy. No nie, Helka?

Helka trzymała właśnie w ustach mały fryzjerski grzebień, którym czesała panią Elę, i nie wyglądała na zadowoloną z perspektywy objadania się ciastkami. Nawet nie popatrzyła w stronę lustra, w którym wszyscy byliśmy doskonale widoczni, tylko wzruszyła pogardliwie ramionami.

- Helką się nie przejmuj, to gburowaty małolat, normalka w jej wieku. A swoją drogą to straszny wiek, pryszczki, kocha, nie kocha, starzy siedzą ci na karku, a hormony już buzują - Monika wybuch-nęła wesołym, zaraźliwym śmiechem.

- No to co, który jest twój?

- Żaden.

- Ee, żaden? Czyli co, jest jeszcze jakiś trzeci?

- Muszę cię chyba zmartwić, ale nie ma żadnego trzeciego.

W salonie zapadła cisza i słychać było tylko cichy szczełk nożyczek, którymi Monika strzygła Toma. Klientka ze srebrną folią w międzyczasie już wyszła, oczywiście bez folii, za to z platynowym blondem na głowie. Praktykantka siedziała beczynnie ze wzrokiem utkwionym nieruchomo w okno, a Antek nie odrywał zafascynowanych oczu od dekoltu Moniki.

Monika wyraźnie się nad czymś zastanawiała, w końcu przerwała strzyżenie i odwróciwszy się plecami do lustra, spojrzała mi po raz pierwszy w oczy:

- Jeśli kobieta nie ma mężczyzny, to świat się od tego nie zawali... chyba gorzej jest, jeśli kobieta nie potrafi przyjaźnić się

z kobietą, bo to chyba znaczy, że z nią coś nie tak, że tak do końca nie potrafi szanować siebie samej... Jak myślisz, mam rację?

- Myślę, że masz rację... i bardzo trafnie to ujęłaś.

Byłam szczęśliwa. Kiedyś myślałam, że szczęście, aby być szczęśliwym, może trwać tylko krótką chwilę. Okazało się, że jest inaczej i że ta cicha tęsknota, która całe życie we mnie tkwiła, gdzieś znikła. W jej miejsce pojawiło się uczucie, którego nie potrafiłam nazwać inaczej jak tylko szczęściem.

Po wyjściu z salonu fryzjerskiego postanowiliśmy oddać do wywołania film Antka ze zdjęciami z szosy. Do zakładu fotograficznego Marka Kowalczyka było zaledwie kilka kroków. Po drodze nie obyło się oczywiście bez omówienia naszej wizyty w salonie fryzjerskim Moniki.

- Widzieliście kiedykolwiek w życiu takie piersi? Tobie, Kornelia, nic nie brakuje, ale ty przy niej jesteś płaska jak deska. Znałaś ją wcześniej?

- Dzisiaj widziałam ją po raz pierwszy. Jest ode mnie o kilka dobrych lat młodsza. A szczerze mówiąc, gdy przyglądam się tu ludziom, to nie wydaje mi się, żebym kogokolwiek znała, w końcu kilkanaście lat mnie tutaj nie było...

- No tak, ale jeśli ktoś ma takie piersi jak ona?!

- Ty chyba żartujesz? Kilkanaście lat temu mogła jeszcze wcale nie mieć piersi, a jeśli nawet, to nie jest to dla mnie jakiś znak szczególny, który mógłby mi utkwić w pamięci.

Tom, który szedł pół kroku za nami, bo chodnik częściowo zastawiony samochodami był zbyt wąski dla całej trójki, w końcu też włączył się do rozmowy.

- Dajcie już spokój tym piersiom, wystarczy, że ponad godzinę gapiliśmy się na nie, jakby nas zahipnotyzowały...

- Co nas zahipnotyzowało? Te piersi? - To, że Antek plótł trzy po trzy, nawet mnie bawiło, ale to, że Tom nadawał sprawie głębszy wymiar, trochę mnie zezłościło.

- Kornelia, czyżbyś była zazdrosna? - Tom przytrzymał mnie delikatnie za rękaw płaszcza i spojrzał mi w twarz. Zatrzymaliśmy się na środku chodnika, tarasując przejście nielicznym przechodniom, którzy spokojnie okrążali nas, schodząc na jezdnię.

- Mam nadzieję, że nie... jak dotąd nigdy zazdrosna nie byłam.

- To dobrze, bo ja jestem o ciebie zazdrosny... To takie gówniane uczucie, tracisz kontrolę...

Staliśmy tak blisko siebie, że czułam ciepło jego oddechu na twarzy i zapach salonu fryzjerskiego, którym przesiąknięte były jeszcze jego włosy. Piękne, miodowozłote włosy. Odruchowo wyciągnęłam rękę i lekko pogładziłam go po skroni, jednak natychmiast ją cofnęłam, uświadamiając sobie, że na dłoniach mam zamszowe rękawiczki.

- Chciałeś mnie o coś zapytać?

- Zapytać? - Tom miał nieobecne spojrzenie.

- Właśnie, zapytać. Coś w związku z tą fryzjerką.

- Aha! O czym rozmawialiście pod sam koniec? Co ona ci powiedziała?

Tom potrafił patrzeć na ludzi, rzadko umykało mu to, co istotne. Pewnie dlatego był dobrym fotografem, bo widział więcej niż przeciętny człowiek. Zaraz na początku naszej współpracy zauważyłam, że ta jego leniwa oszczędność w ruchach i słowach była podporządkowana oczom: skupione, a nawet spięte, wyłapywały każdy szczegół, i to nie tylko taki, który można było zobaczyć. Tom miał talent, czyli coś, co wynosiło go ponad przeciętność... Chyba byłam w nim zakochana, bo skąd te myśli o jego talencie? I te fale gorąca na jego widok? Ale dlaczego akurat w nim?

Nie zwracając uwagi na Toma i Antka, ruszyłam przed siebie. Najpierw wolno, a potem coraz szybciej. Musiałam się zastanowić. Włosy miały w sobie jakąś tajemnicę, dlatego pewnie włosy

Samsona pojawiły się w Starym Testamencie jako symbol niezrównanej siły.

Miałam wrażenie, że dotykając włosów Toma tym, wydawać by się mogło, niewinnym gestem, przekroczyłam jakąś niewidzialną granicę, za którą piętrzyły się całkiem nowe uczucia. Wcześniej ich istnienia tylko się domyślałam. Rozpięłam płaszcz i zdjęłam szalik, bo zrobiło mi się gorąco, brakowało mi powietrza, rozpuściłam włosy związane aksamitną gumką, ubranie krępowało moje ciało i ruchy. „To chyba napad paniki, chyba tak, to panika” - przerażona powtarzałam sobie w myślach w kółko to samo zdanie, próbując jak najszybciej się uspokoić. Do tej pory w moich związkach z mężczyznami wszystko było proste, każdy związek był jedną z równoległych ścieżek w moim życiu, jedną z wielu... Nagle przypomniało mi się dalekie dzieciństwo i słowa mojej babki, chętnie i obszernie komentującej życie córki Róży:

„Dobrze, żeś wyгнаła tego bawidamka. Po co ci taki chłop, co za każdą spódnicą się ugania i żadnej okazji nie przepuści, jak zwierzę jakieś? Teraz jesteś sobie panią, teraz ty tu rządysz i nie musisz spod łóżka wyciągać brudnych skarpetek. Chłop w domu to tylko męka...”.

- Kornelia, gdzie tak pędzisz? Przecież chcieliśmy pójść do Kowalczyka - Tom mocno chwycił mnie za ramię. Zdziwiony patrzył mi prosto w twarz. Po raz pierwszy wstydziłam się tego spojrzenia, chciałam ukryć się przed tymi oczami, w których tak często gościła drwina. I było mi głupio z powodu tego, co dzieje się ze mną na ulicy jakiegoś obskurnego miasteczka, w marnej scenerii dla romantycznych rozważań, rozmyślań o miłości, tkliwych scen, gdzie wszystko to razem urastało do rozmiarów karykatury.

- Co ci się stało? Źle się czujesz?

- Tak, chyba tak. Chyba mam coś z krążeniem... to ta pogoda, marzec w grudniu.

Tom objął mnie tak, jak obejmuje się dziecko, nie oczekując, że ono ten uścisk odwzajemni: mocno przycisnął moje ramiona do

tułowia i staliśmy tak przez chwilę bez ruchu. Mój oddech powoli wracał do normy, a mięśnie traciły to bolesne napięcie... Tom rozluźnił uścisk i odsunął mnie lekko od siebie.

- Już lepiej, co? Mógłbym tak stać z tobą dłużej, ale makaroniarz strasznie się niecierpliwi... - Tom zaśmiał się cicho i pomachał ręką Antkowi, stojącemu o kilkadziesiąt kroków dalej, przy wejściu do zakładu fotograficznego Kowalczyka.

- Myślałam, że go lubisz.

- To się pomyliłaś. Nie znoszę żadnego faceta, który kręci się koło ciebie.

- Na szczęście jest ich niewielu.

- Niewielu? - Tom był autentycznie zdziwiony. Zatrzymaliśmy się na kilka kroków przed wejściem do zakładu.

- Ty chyba żartujesz? Każdy facet traci głowę na twój widok!

- No nie, teraz to chyba ty żartujesz.

W tym, co powiedziałam, nie było ani śladu kokieterii, w każdym razie zamierzonej kokieterii, choć nie uszło mojej uwagi, że Tom przyjrzał mi się jakoś inaczej, w większym skupieniu.

- Muszę ci zrobić zdjęcia, wtedy może zobaczysz, jaka jesteś piękna.

- Ale to chyba dopiero kiedy umrę... o, przepraszam, Tom, głupi dowcip.

Nie wiadomo, czy Tom słyszał moje przeprosiny, bo w tym samym momencie odwrócił się i poszedł w kierunku drzwi wejściowych do zakładu fotograficznego Kowalczyka.

U Kowalczyka nic się nie zmieniło. Ta sama zaspana Kaśka leniwie, bez śladu zainteresowania przeglądała kolorowe czasopisma. Szef pochłonięty był pracą w laboratorium na zapleczu.

Słyszając nasze głosy, natychmiast pojawił się, aby serdecznie nas Powitać.

- Nie macie pojęcia, jak cieszę się na wasz widok, a to dopiero niespodzianka! Kiedy wróciliście? Na święta?

- Tylko ja wróciłam, to znaczy przyjechałam na święta razem z Antkiem, Tom był tu cały czas... został tu...

- Jak to został tu? Osiedlił się tutaj? Gdzie? Rozmawialiśmy po polsku, jakby Tom i Antek byli nieobecni,

zresztą Kowalczyk stanął tak, aby swoim potężnym ciałem odgrodzić nas od obu mężczyzn.

- Tom zamieszkał na jakiś czas u mojej mamy, chce tu pracować nad swoim nowym albumem - powiedziałam bez zastanowienia, czując, że w ten sposób ostudzę towarzyskie zapędy Kowalczyka. Każdy fotograf marzy o pracy nad własnym albumem. I rzeczywiście, miałam rację, mój rozmówca odsunął się o krok, dzięki czemu tworzyliśmy znów małe kółko, i już innym, rzeczowym tonem zwrócił się do Toma.

- To co, przyjacielu, album chcesz robić i nie piśniesz o tym ani słówka? Boisz się konkurencji z mojej strony? - Kowalczyk zaśmiał się rubaszenie i poklepał Toma po plecach.

- Nigdy nic nie wiadomo, w dzisiejszych czasach człowiek boi się o czymś konkretnym nawet pomyśleć - nie ulegało wątpliwości, że Tom kieruje te słowa pod moim adresem.

- No tak, dzisiejszy świat jest rzeczywiście zwariowany - niepewnie wymamrotał Kowalczyk. - To o czym będzie ta twoja praca?

- O czym wy, ludzie, w ogóle gadacie? Przecież przyszliśmy tutaj, żeby sprawdzić, czy wyszły zdjęcia, które zrobiłem tej upiornej parce! Sami mówiliście, że tych dwoje to prawdopodobnie jakieś zjawy. Ludzie, to jest teraz ważne, a nie gadki o jakichś albumach.

- To co, znowu macie zjawy na filmie? - Kowalczyk, splatając ręce na brzuchu, głośno się roześmiał.

- Właśnie, i dlatego chcemy, abyś wywołał nasz film, może odkryjesz na nim jakieś duchy.

- Dla ciebie, księżniczko, wszystko - mój szkolny kolega puścił do mnie oko, posłał całusa, po czym zniknął razem z filmem w laboratorium.

- Muszę przy tym być - Antek, parodiując Kowalczyka, puścił do nas oko i udając, że się skrada, poszedł za Kowalczykiem.

Zostaliśmy z Tomem sami, to znaczy prawie sami, bo przy kasie siedziała jeszcze Kaśka, ale wpatrzona w kolorowe czasopismo była praktycznie nieobecna.

Milczeliśmy. Dopiero po chwili doszło do mnie, że po raz pierwszy od kilku dni jesteśmy sami. To milczenie rodziło bliskość i gdy przymknęłam na chwilę oczy, wyraźnie czułam, że Tom jest równie szczęśliwy.

Nie potrzebował słów, wiedział, że potrafią one zburzyć każdy obraz, potrafią nadać mu inne znaczenie, zniekształcić, zakłamać... Powoli uniosłam powieki. Stał oparty o ścianę i patrzył na mnie. W jego oczach było coś, czego jeszcze nigdy dotąd w nich nie zauważyłam. .. W tym momencie uświadomiłam sobie, jak wiele pytań pozostaje bez odpowiedzi, jak wielu uczuć nie rozumiem. Uciekając przed jego myślami, wyobraziłam sobie koło, które zatoczyłam w życiu: łączyło ono wszystkie związane ze mną miejsca i wszystkich spotkanych pozornie przypadkowo ludzi. Razem stanowili sieć krępującą moje myśli.

- Co my tu robimy? Polujemy na duchy? Chodź, jedziemy do domu. Muszę ci... - Tom przerwał, widząc wychodzącego z ciemni Antka.

- Zamieniliście się w słupy soli czy co? Wyobraźcie sobie, że film...

- ... jest czarny - dokończyłam za niego.

- Skąd wiesz?

- Potrafię czytać w myślach.

Natychmiast pożałowałam tych słów. Na chwilę zapadło kłopotliwe milczenie, zdaje się, że w ten sposób potwierdziłam ich podejrzenie co do moich nadzwyczajnych zdolności. Wzruszyłam obojętnie ramionami.

- Nietrudno było zgadnąć... w końcu robiłeś te zdjęcia czarną nocą! - Nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

- Ale miałem lampę błyskową, dziewczyno, miałem lampę błyskową!

- Może niewłączoną - powiedziałam sucho, dziwiąc się jednocześnie, że kontynuuję tę absurdalną rozmowę.

- Moja lampa błyskowa włącza się automatycznie, zresztą mniejsza o moje zdjęcia, ale co się stało ze zdjęciami Toma? Tom jest zawodowcem!

- Oczekujesz ode mnie odpowiedzi? - zwróciłam się do Antka z przymilnym uśmiechem. Włoch przytaknął głową. - No to jej nie otrzymasz. Basta.

Odwróciłam się na pięcie i wyszłam ze sklepu. Czułam, że weszłam na śliską drogę, ale nic to mnie nie obchodziło. Słyszałam za plecami ciche kroki Toma. Tak stąpa szczęście, pomyślałam.

Do samochodu doszliśmy prawie równocześnie. Antek wyglądał na obrażonego, Tom uśmiechał się do mnie niepewnie, jakby chciał powiedzieć: „No i masz, doigrałaś się, teraz musimy i ciebie uważać za nawiedzoną”.

Ale prawdziwa niespodzianka miała mnie spotkać dopiero w domu.

Po zaparkowaniu samochodu na podjeździe przed głównym wejściem do pałacu zrozumiałam, że nie mam ochoty wchodzić do środka. Był koniec grudnia, jeden dzień do sylwestra, a na dworze panowała prawie wiosenna pogoda. Zza ciężkich ołowianych chmur tuż nad horyzontem wyrzało na chwilę blade słońce. Oparta o samochód łapczywie wystawiałam twarz, domyślając się tylko ciepła wątlých promieni, i przez zamknięte powieki chłonełam pomarańczową poświatę. Grudniowe promienie słoneczne w miejscu, w którym się urodziłam? To ułuda, to niedotrzymana obietnica, znikają nagle równie szybko, jak się pojawiły. Byłam rozczarowana. Szybkim zniknięciem słońca, a może czymś innym, o czym nie chciałam myśleć? Mężczyźni, widząc, że nie mam ochoty na rozmowę, zniknęli w ciemnej pałacowej bramie. Postanowiłam się przejść, poszukać znanych z dzieciństwa ścieżek prowadzących na skróty do szkoły, do lasu, nad pobliski staw. Niezmiennie, niezależnie od pory roku otulał je zapach zbutwiałych liści i jeszcze czegoś... czego nigdy nie



udało mi się nazwać. Szłam wzdłuż frontowej ściany, okazałej mimo brakujących kawałków tynku, gdy gdzieś z góry, prawdopodobnie z pałacowego poddasza, dobiegł mnie głos Mary:

- Kornelia! Kornelia! Chodź szybko do domu, masz gościa!

- Gościa? Jakiego gościa? - odkrzyknęłam w kierunku, skąd, jak mi się zdawało, dochodził głos dziewczynki, ale moje pytanie pozostało bez odpowiedzi.

Wróciłam do domu. W kuchni siedziała samotnie lekko przygarbiona kobieta. Jej dłonie, o zgrubiałych i zniszczonych od ciężkiej pracy palcach, leżały nieruchomo na kuchennym stole jak martwe ptaki. Chyba nie słyszała moich kroków, bo dopiero gdy stanęłam naprzeciwko niej, oderwała wzrok od jakiegoś niewidocznego punktu na mahoniowym blacie i popatrzyła na mnie uważnie. Zauważyłam ze zdziwieniem, że ma młodą, ładną twarz, o pełnych ustach

i jasnych, dziecięco naiwnych oczach. Prawdopodobnie nie miała jeszcze trzydziestu lat.

Jej głos, głos nałogowego palacza, był równie zmęczony jak jej plecy i dłonie: .

- Przyszłam prosić panią o pomoc.

Powoli wysunęłam krzesło stojące przy stole i usiadłam naprzeciwko nieznajomej. Patrzyła na mnie w napięciu, z jakim pacjent oczekuje od lekarza diagnozy. W jej spojrzeniu było coś jeszcze, czego na początku nie potrafiłam nazwać, i dopiero w trakcie rozmowy odkryłam, że jest to zwykła kobieca ciekawość.

- Znamy się? - zapytałam ostrożnie, z nadzieją, że nie mam w stosunku do tej kobiety żadnych zobowiązań.

- Pani mnie nie zna, bo ja tu we wsi w taką jedną rodzinę weszłam, ale ja panią znam. To znaczy ze słyszenia i z pani ślubnej fotki, bo mój syn Mateusz koleguje się z Marą, no i od pani mamy, bo to ja jestem od palenia w centralnym, bo odkąd wprowadził się tu pan Tom, przychodzę dwa razy w tygodniu sprzątać w pałacu...

Z tym sprzątaniami to był jego pomysł, bo nie chciał, żeby pani mama tak się męczyła w tej olbrzymiej ruderze.

- Aha.

- Dla mnie to dobrze, że on taki wyrozumiały, zawsze to wpadnie dodatkowo kilka groszy...

Milczałam, ponieważ nic rozsądnego nie przychodziło mi do głowy.

Na piętrze panowała absolutna cisza, tak jakby poza nami dwiema nikogo nie było w domu. Postanowiłam cierpliwie czekać na dalszy ciąg rozmowy, chociaż nie miałam na to ochoty, bo opanowała mnie jakaś dziwna senność, na pewno z powodu niskiego ciśnienia... Zamarzyło mi się mocne, aromatyczne espresso, ale żeby je zrobić, musiałabym wstać i wykonać kilka czynności przy maszynie do kawy, a na to nie miałam siły...

- Pani Kornelio, źle się pani czuje? - kobieta delikatnie potrząsnęła mnie za ramię. - Może zawołam pani mamę?

- Nie, nie trzeba, wszystko w porządku. Jestem trochę przemęczona. Przez ostatnie dwa miesiące pracowałam bez przerwy dzień i noc, to chyba dlatego.

- Może zrobić pani coś do picia?

- Bardzo proszę. Kawę... Jak pani się nazywa?

- Magda, Magdalena Kozera. We wsi wszyscy mówią do mnie Madzia.

Kobieta natychmiast zaczęła krzątać się po kuchni, jakby była u siebie w domu. Przez kilka sekund przyglądała się uważnie przywiezionej przez Antka srebrno-czarnej maszynie do espresso. Po krótkim namyśle, uznając to błyszczące cacko za jakiś wymysł, pokręciła z dezaprobatą głową i napełniła wodą szklany dzbanek tradycyjnego ekspresu do kawy. Po tym, jak pewnym ruchem sięgnęła na półkę z kawą i papierowymi filtrami, zorientowałam się, że Magda była w domu mamy stałym bywalcem.

- Pani chciała mnie o coś zapytać?

Słyszając to pytanie, kobieta natychmiast usiadła naprzeciwko mnie przy stole.

- Tak, tak, dlatego właśnie czekałam, aż pani wróci z miasta... Mara powiedziała, że pani mi pomoże, bo ona na tych sprawach to

się nie zna... Chodzi o mojego chłopca, ojca Mateusza, wyjechał już sześć lat temu do Niemiec... najpierw na pół roku, żeby trochę dorobić. Wszyscy tam jeździli i dalej jeżdżą, to czemu nie miałby i on pojechać, pracy w okolicy nie ma, bo sama pani widzi, wszystko popadało, bo kiedy pegeer zlikwidowali, to wszystko inne po kolei też zmarniało...

Magda przestała na chwilę mówić, tak jakby zastanawiała się, o czym to właściwie chciała mi powiedzieć. Rozległo się przyjemne bulgotanie ekspresu i poczułam aromat świeżo parzonej kawy.

- Mogę zapalić? - nie czekając na moją odpowiedź, zaczęła obszukiwać kieszenie kurtki wiszącej na oparciu krzesła.

- Przykro mi, ale nie.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu na widok pełnego zaskoczenia spojrzenia Magdy. W równej mierze nie znosiłam zapachu dymu papierosowego, co przesiąkniętych nikotyną włosów i ubrań palaczy. Tej awersji tak naprawdę nabrałam dopiero pod wpływem Corneli, wcześniej byłam wobec tej sprawy, podobnie jak wobec wielu innych, bardziej tolerancyjna.

- Z tym paleniem to ma pani rację, od dawna chcę to świństwo rzucić, ale to nie takie łatwe, szczególnie jak się ma takie nerwy jak ja - Magda uśmiechnęła się przepaszająco; był to jej pierwszy, trochę wstydlawy uśmiech, odkrywający brzydkie, zaniedbane zęby.

- Mara powiedziała, że pani powie mi prawdę o moim mężu, czy do nas w ogóle jeszcze wróci, bo już od dwóch lat nie daje znaku życia, ani pieniędzy nie śle, ani słowa nie napisze...

Musiałam chyba zrobić dziwną minę, bo niepewnym tonem szybko dodała:

- Ludzie od nas ze wsi to aż gdzieś pod Wrocław jeżdżą do takiego jednego, co podobno umie przepowiadać przyszłość, ale ja w niego za bardzo nie wierzę, mało co się komu sprawdza, a pieniądze ciągnie... wcześniej to może coś się i sprawdzało, ale teraz poczuł zapach pieniądza i odwała chałturę... a Mara mówiła, że Pani jest w tym świetna...

- W czym?

- No, w jasnowidzeniu.

Przez dłuższą chwilę patrzyłam w jej ładne, jasne oczy i nie mogłam pozbyć się uczucia, że gdzieś je już widziałam. Nagle z głębi mieszkania dobiegł mnie głos Mary i w tej samej chwili przypomniałam sobie rumianą twarz chłopca o nienaturalnie jasnych, naiwnych oczach, takich samych, jakie w nabożnym skupieniu właśnie wpatrywały się we mnie. Ten mały kręcił się gdzieś w okolicach pałacu podczas mojej pierwszej po latach obecności w domu. Kolega Mary. Mówiła, że jest jej przyjacielem. Jedynym, bo inne dzieci z klasy od niej stroniły, często naśmiewały się za jej plecami i robiły drobne złośliwości...

- Napiszę pani list do niemieckiej ambasady w Polsce z prośbą o odszukanie męża w celu dochodzenia praw wynikających z ciąży na nim obowiązku alimentacyjnego. Potrzebuję tylko jego dokładnych danych...

- To znaczy, że on jeszcze żyje?

- Pewnie żyje, skoro nic nie wiadomo o jego śmierci.

- I wróci do mnie?

- Najpierw powinna pani ściągnąć od niego pieniądze, które wam się należą, a potem zobaczymy.

Ekspres do kawy przestał bulgotać, co oznaczało, że kawa jest już gotowa. Magda chyba pomyślała o tym samym, bo szybko zerwała się ze swojego miejsca i nalała mi czarnego, mętnego płynu. Piłam stanowczo za dużo kawy.

- Jeśli ma pani ochotę, to proszę sobie też nalać - brodą wskazałam na dzbanek z kawą.

Kobieta zawahała się na ułamek sekundy, po czym energicznie pokiwała głową.

- Strasznie dziękuję, ale czeka na mnie dzisiaj jeszcze kawał roboty, bo... - na chwilę zawiesiła głos, jakby zastanawiała się, czy powinna mi o tym mówić, w końcu rozglądając się zabawnie na boki, prawie szeptem dodała - ... bo ten Włoch, co to z panią przyjechał, chce zamieszkać w wieży.

- W jakiej wieży? W naszej?

- No właśnie, w naszej. Podobno powiedział, że tylko tam odbiera jego komórka i tam ma jakieś inspiracje.

I widząc moje zaskoczenie, szybko dodała:

- Ten Włoch to fajny chłopak, ale jakiś taki lalkowaty, wypin-drzony i przewrażliwiony jak nie chłop. Chyba wolę już tego Niemca, chociaż to Szwab i taki mruk, tylko patrzy jakoś tak świdrująco... mam nadzieję, że pani się nie obraziła?

- Skądże. Mówmy sobie po imieniu, skoro należy pani do stałych bywalców tego domu.

Magda uśmiechnęła się po raz drugi.

- Wszyscy do mnie mówią Madzia, pani też niech tak mówi, ale ja panią będę nazywać „panią Kornelią”. Inaczej mi nie wypada.

- Wypada.

- Nie wypada. Ja wiem lepiej, że nie wypada.

W pałacu zaczęło robić się tłoczno. Właściwie dom, w którym spędziłam dzieciństwo, nie był żadnym pałacem, raczej pałacykiem, dworem, okazałą willą, ale tak był nazywany przez miejscową ludność, i tak już zostało. Patrząc przez szczerbate okno z najwyższej położonego pomieszczenia wieży na rozlewającą się wokół noc, postanowiłam kupić ten stary, schorowany dom. Od mamy wiedziałam, że po zlikwidowaniu pegeeru przeszedł na własność skarbu państwa i był wystawiony na sprzedaż. Moja decyzja zapadła nagle i była nieodwołalna, tak jak nieodwołalna była moja miłość do tego miejsca, z czego dopiero co zdałam sobie sprawę. Byłam w wieży sama, wysoko, w niebie. Gdzieś z ukrytych pokładów mojej pamięci wyłoniły się obrazy i uczucia z dzieciństwa, wszystkie te długie godziny spędzone samotnie w tym miejscu, marzenia nabierające realnych kształtów i fantazje zmieniające świat. Czasami wydawało mi się, że siedzę w chmurach i wtedy, wiedząc, że nikt mnie nie usłyszy, krzyczałam najgłośniejszym jak tylko mogłam: „Latam, latam”.

Pamiętałam, że mój głos wibrował pod kamiennym sklepieniem wieży jeszcze długo po tym, jak umilkłam.

Zgasiłam światło - smętnie zwisającą na czarnym kablu żarówkę. W wieży zapadły natychmiast nieprzeniknione ciemności, z zamkniętymi oczami zrobiłam kilka kroków w kierunku środka pomieszczenia i najgłośniejszym jak tylko potrafiłam, zawołałam:

- Latam! Latam!

Mój głos wibrował pod kamiennym sklepieniem wieży jeszcze długo po tym, jak umilkłam. Ja rzeczywiście latałam, tak samo jak w dzieciństwie, gdzieś wysoko w nasyconych granatową czernią chmurach. Byłam szczęśliwa.

Szczęście, aby było szczęściem, musi zostawić w nas wyraźny ślad, na całe życie. ,

Noworoczny obiad jedliśmy znów w większym gronie: oprócz mamy, Mary, Antka i Toma była Magda z synem, a w ostatniej chwili dołączył do nas dziadek Mary, Eryk Steiner.

I znów, podobnie jak podczas wigilijnej kolacji, było wesoło, jak nigdy wcześniej w tym domu. Śmialiśmy się z opowieści Magdy o plotkach krążących wśród miejscowych pijaczków o powstawaniu w pałacu „piątej kolumny”. Potem rozśmieszył nas Antek swoim wywodem o skandalu, jakim jest brak zmywarki w „pałacowej kuchni”. Zresztą tak długo drążył ten temat, aż w końcu przestało to być śmieszne, i obiecałam mu, że pojedę nazajutrz do miasta i kupię zmywarkę. Akurat byliśmy przy deserze, gdy zadzwonił telefon. Odebrała oczywiście Mara, która z niepojętych dla mnie powodów - w końcu nikt nigdy do niej nie telefonował - na dźwięk każdego dzwonka rzucała się w kierunku telefonu z takim impetem, że za każdym razem bałam się, że połamię sobie nogi.

- Kornelia, do ciebie - Mara wyduła lekceważąco usta - to ta druga Cornelia.

Nie miałam pojęcia, dlaczego Mara nie lubiła Corneli, choć powoli nabierałam przekonania, że dziewczynka jest o nią po prostu zazdrosna.

- No, nareszcie udało mi się do was dodzwonić, to normalne, że linia telefoniczna do Polski jest ciągle zajęta - powiedziała na powitanie z wyrzutem, jakbym to ja osobiście była za to odpowiedzialna.

- To chyba nic dziwnego w Nowy Rok, w końcu te miliony Polaków mieszkających w Niemczech muszą zadzwonić do swoich rodzin z życzeniami. Szczęśliwego Nowego Roku, Cornelia - to ostatnie zdanie powiedziałam, uśmiechając się szeroko do słuchawki, wiedząc, że słycać w niej każdy uśmiech. Powiedziała mi kiedyś o tym moja teściowa Ellena. Oczywiście ona też sama na to nie wpadła, prawdę tę objawiono jej na jakimś drogim kursie wiedzy tajemnej.

- Dziękuję ci bardzo. Bardzo ci dziękuję i też ci życzę wszystkiego najlepszego w Nowym Roku - głos Corneli złagodniał, to chyba pod wpływem tego uśmiechu. - Przeczytałam już twoją książkę, trochę...

Nabrałam głęboko powietrza.

- Trochę za mało opisów... ? Też tak mi się wydawało.

- Opisów? Jakich opisów?

- Jak to jakich? Przyrody, krajobrazów, ulic, ludzi, czy ja wiem jeszcze jakich... ?

- O czym ty mówisz, kto dzisiaj ma czas na czytanie opisów, dzisiaj czytelnik chce mieć akcję, a nie prozę w sensie tradycyjnym.

- No tak, ale kiedy mówisz, że brakuje w mojej książce „trochę” czegoś, to powiedz w końcu czego.

W słuchawce zapanowała na chwilę cisza.

- Ja mówiłam, że twojej książce czegoś brakuje? Nic takiego sobie nie przypominam, twojej książce nic nie brakuje, jest dobra, chciałam tylko powiedzieć, że trochę się przy niej pośmiałam, trochę popłakałam, ta książka jest dokładnie taka, jakiej nam trzeba, jakiej potrzebuje nasz czytelnik...

- Naprawdę płakałaś?!

Jakoś nie mogłam sobie wyobrazić Cornelii płaczącej nad książką, i to na dodatek moją. Miałam ochotę porozmawiać o tym nieco dłużej, ale Cornelia zmieniła temat.

- Daj spokój, mówię to w przenośni. Jak spędziliście sylwestra? Pytanie Cornelii było tylko pozornie błahe. Czułam, że wszystkie jej emocje skupiły się wokół mnie i Antka. Zrobiło mi się jej żal.

- Byliśmy na kolacji u znajomego fotografa z miasteczka... kolegi ze szkoły... Antek, Tom i ten kolega upili się i przez pół nocy maszerowali po ulicach, śpiewając jakieś wojenne radzieckie piosenki - roześmiałam się na samo wspomnienie tej trójki. - To znaczy śpiewał ten kolega, Kowalczyk, a reszta dodawała tylko „la, la, la”.

Oczywiście nie wspomniałam nic o obecności fryzjerki Marioli, jak się okazało, koleżanki Kowalczyka z podwórka. Dziewczyna przysła na sylwestrową kolację w czarnym ażurowym body, wyglądającym raczej na bieliznę, nikomu to jednak nie przeszkadzało, najmniej chyba Antkowi, który dopóki się nie upił, nie mógł oderwać wzroku od bujnych piersi prześwitujących przez czarną koronkę. Cornelia na pewno nie zrozumiałaby jego fascynacji, bo nie widziała Marioli, obawiałam się nawet, że opacznie zinterpretowałyby zafascynowanie Antka jej piersiami. Trochę mnie ubawiło porównanie Cornelii z Mariolą, porównanie wyrafinowania i finezji w każdej dziedzinie życia z naiwną prostotą dziewczyny z zapomnianego miasteczka na końcu jeśli nie świata, to rozwiniętej Europy.

- Aha.

- Nie wierzysz mi? Możesz sama zapytać Antka...

- Wierzę ci, oczywiście, że ci wierzę. Dzwoniłam już do Antka na telefon komórkowy, ale znów był poza zasięgiem. Powiedz mi... czy to prawda, że jego telefon łapie zasięg tylko w jakiejś pałacowej wieży?

- Prawda. W tej samej, z której ostatnia właścicielka pałacu skoczyła w przepaść, popełniając samobójstwo... Ale to było ponad pięćdziesiąt lat temu.

- Do kogo właściwie należy ten pałac? - w głosie Cornelii znów słychać było rozdrażnienie.



- Na razie do skarbu państwa, ale zdecydowałam się go jak najszybciej kupić.

I po drugiej stronie linii telefonicznej, i przy kuchennym stole zapadła na chwilę cisza. Wszyscy bez wyjątku, nawet Magda i jej syn, nie rozumiejący ani słowa po niemiecku, jak na komendę spojrzeli w moim kierunku. Widząc ich zdumione twarze, wzruszyłam tylko ramionami i powiedziałam do słuchawki:

- W końcu musiałam tę decyzję podjąć, nie potrafię sobie wyobrazić, że mógłby to zrobić ktoś inny... to jest mój dom.

- Przecież masz takie piękne mieszkanie w Monachium, po co ci jakaś ruina, i to tak daleko od świata? - powiedziała bez przekonania.

- Już ci mówiłam, to jest mój dom...

Naszą dalszą rozmowę zakłócił hałas dobiegający od stołu: Antek, Tom i Mara wrzeszczeli jak opętani „hura”, Eryk Steiner z Magdą i jej synem głośno bili brawo. Jedyne mama siedziała spokojnie, nie odrywając wzroku od swoich dłoni nieruchomo leżących na białym, odświętnym obrusie, i tylko dwie strużki łez spływające po policzkach świadczyły o tym, jak bardzo była poruszona.

- Strasznie tu u nas głośno, prawie cię nie słyszę, zadzwonię później, jak zrobi się spokojniej albo jak kupię bezprzewodowy telefon. Żartuję, ale musimy jeszcze pogadać o następnej książce, chcę już jutro zacząć ją pisać. Całuję cię mocno - nie czekając na odpowiedź Corneli, odłożyłam słuchawkę.

Przy stole wszyscy wyraźnie czekali, aż coś powiem. Tylko że ja nie miałam ochoty niczego mówić, nie umiałam mówić o swoich planach, właściwie to nie chciałam o nich mówić, nie byłam do tego przyzwyczajona. Z drugiej strony wiedziałam, że nieoczekiwanie dla mnie samej moje życie się zmieniło, i nie mogłam już uciec od tych utkwionych we mnie kilku par oczu, od ich oczekiwań... Po raz kolejny wzruszyłam ramionami, bardziej pod adresem swoich myśli niż w odpowiedzi na pełne ciekawości spojrzenia domowników.

- Co tak się na mnie patrzycie?

Podeszłam do Toma i usiadłam mu na kolanach. Szybko tego pożałowałam, bo czując zapach jego skóry, włosów, oddech na mojej szyi, poddałam się fali obezwładniającego ciepła. Chciałam mieć spokój i odwrócić uwagę zgromadzonych przy stole domowników od spraw związanych z pałacem. Wyglądało na to, że chyba tylko ja i Tom myślimy o czymś innym, no i Antek, bo nagle odezwał się ze wściekłością w głosie:

- Dlaczego siadasz na jego kolanach? Dlaczego nie na moich? Przecież nic cię z nim nie łączy! Zresztą, co mogłoby łączyć tak wspaniałą dziewczynę z kimś tak... cynicznym, bez uczuć! Ten facet to chodzący aparat fotograficzny, chcesz wiązać się z aparatem fotograficznym?!

Antek był chyba trochę pijany, poprzedniej nocy wypił za dużo wódki, do której nie był przyzwyczajony, no i do obiadu wino... Cokolwiek by jednak powiedzieć, udało mu się zmienić temat rozmowy. No i wyprowadzić Toma z równowagi, bo ten, słysząc słowa Włocha, wstał tak gwałtownie, że o mało nie spadłam z jego kolan na podłogę, po czym rzucił mu się do gardła i zaczął go dusić. Zaskoczony Antek nawet nie próbował się bronić, zresztą widać było, że traci powietrze i nie może oddychać.

- Masz jakieś problemy, koleś? Bo jeśli tak, to możemy rozwiązać je od ręki...

- Oszaleliście czy co? Jak chcecie się bić, to idźcie na dwór! - wrzasnęłam tak głośno, jak tylko mogłam, dziwiąc się, że wyszło mi to aż tak dobrze. Chyba poskutkowało, bo Tom oderwał ręce od gardła swojej ofiary i obaj popatrzyli na mnie jednakowo zdziwieni.

- Chciałem go zabić, a ty mówisz, że mamy iść na dwór?

- No właśnie, on chciał mnie zabić, tacy spokojni są najgorsi. I wygląda na to, że według ciebie mógł to zrobić, ale na dworze!

Na szczęście z pomocą pospieszyła mi mama i okazało się, że ma wystarczający autorytet, aby ich jakoś uspokoić.

- O czym wy w ogóle mówicie? Nikt nikogo nie chciał zabić ani nikt nie chciał, aby ktoś kogoś zabił... - mama niepewnie potarła wierzchem dłoni policzek. - Dobrze mówię? Takie wybuchy agresji

zdarzają się często wśród osobników męskich tego samego gatunku...  
- Osobników męskich tego samego gatunku? - Mara popatrzyła z powątpiewaniem na Toma i Antka.

- Babcia ma na myśli facetów, narwanych, zazdrosnych facetów - pouczyłam Marę, ciesząc się, że mogę ją w ten sposób wprowadzić w damsko-męski świat.

- Kornelia, daj spokój, nie dolewaj oliwy do ognia - skarciła mnie po polsku mama, jakbym była małą dziewczynką, i zdaje się, że zrobiła to po raz pierwszy w moim życiu. I chyba miała rację, bo Tom w dalszym ciągu wyglądał na wściekłego, głośno oddychał, nerwowo odgarniając opadające na czoło włosy.

- Róża, proszę, mów, po niemiecku, w końcu tu chodzi o moje życie - zauważył urażony Antek.

- Chciałam tylko powiedzieć, że trzeba sobie lalka rzeczy wyjaśnić i że Kornelia nie jest bez winy, sprowokowała tę sytuację, robiąc do was obu słodkie oczy...

- Słodkie oczy? Mamo, co ty mówisz? Kto robi słodkie oczy? Ja i słodkie oczy...! - byłam nie na żarty oburzona, choć gdzieś głęboko w środku czułam, że mama ma trochę racji, do tego jak na złość pojawiło się wspomnienie historii z Maksymem. Poczułam w żołądku dziwny ucisk...

- Przepraszam was wszystkich, ale muszę na chwilę wyjść... muszę pobiegać... tak, dzisiaj jeszcze nie biegałam, a zaraz będzie ciemno i nie będę widziała kałuż na drodze...

Nie czekając na komentarz, ze wzrokiem wbitym w podłogę, szybko wyszłam z kuchni.

To nie był najlepszy moment, aby odbyć codzienny trening.

Akurat zjadłam obfity obiad składający się z kaczki i klusek śląskich. Nie byłam przyzwyczajona do tak ciężkostrawnych posiłków, miałam wrażenie, że mój żołądek napełniony jest kamieniami, i z tęsknotą pomyślałam o espresso zrobionym z czarnej abisyńskiej kawy i z naszej studziennej wody. I jeszcze o tym, jak proste jest

życie w pojedynkę, jak łatwo wtedy tworzyć, zająć się sobą, widzieć upływające minuty, czyli, innymi słowy, osiągnąć harmonię duszy i ciała.

Kiedy wróciłam z prawie godzinnego joggingu, pot spływał mi nawet po nogach. W kuchni nie było już nikogo, na olbrzymim dębowym stole można było jeszcze dostrzec wilgotne smugi po przetarciu go mokrą ściereczką. Ktoś otworzył szeroko oba skrzydła wysokiego, polakierowanego na biało okna. Zimne, wilgotne powietrze z przypałacowego parku, zmieszane z zapachem pobliskiego lasu i przylegających doń pól, wywiało ostatnie ślady obecności przebywających w tym pomieszczeniu ludzi.

I chyba to fascynowało mnie najbardziej w tych starych murach: one żyły własnym życiem, niezależnie od ich mieszkańców i gości, ludzka obecność była tu nic nieznaczącym, niepozostawiającym śladu epizodem; ten dom wtopiony był w rytm natury, w jej zmienne kaprysy. Ten dom przesiąknięty był szeptem wiatru i odgłosem spadających kropel deszczu, gorącym letnim słońcem, które potrafiło wedrzeć się w jego grube mury, nasycając swym ciepłem szczerbate parkiety, poranione mozaikowe posadzki i nienaruszone kasetonowe stropy ze stiukową dekoracją.

Znów ogarnęło mnie uczucie szczęścia. Usiadłam przy lśniącem od wody pustym stole i przez ułamek sekundy miałam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje, że nie jestem sama. Uśmiechnęłam się do siebie, bo to było wspomnienie z odległego dzieciństwa, wspomnienie takiego samego odczucia, które było zarazem zabawne i napawające łękiem. Przypomniałam sobie nawet, że jako dziecko potrafiłam „rządzić” tym czymś, zapraszać to coś i wypraszać, w zależności od tego, czy miałam ochotę na towarzystwo...

- Muszę mieć ten dom - szepnęłam do siebie z przekonaniem, że życzenia, które wypowiada się wystarczająco często, zaczynają żyć własnym życiem, czyli stają się realne.

Nazajutrz obudziłam się o świcie i nie mogłam zasnąć ponownie. Czulałam się jak sprinter przed ważnym biegiem. Czas przed startem ciągnie się niemiłosiernie długo i do tego dochodzi świadomość, że ułamki sekund mogą decydować o wyniku, o moim życiu, o tym domu, który był teraz moim domem. W myślach po raz kolejny wyobrażam sobie podstarzałą, przysadzistą urzędniczkę z twarzą usianą brodawkami, oczywiście w złym humorze. Widzę, jak ciężko wzdycha, poirytowana, wyciągając z odrapanej szafy segregator z dokumentami, z którego czarno na białym wynika, że interesujący mnie popegeerowski obiekt został już notarialnie sprzedany. Słyszę głośne klapnięcie segregatora oznaczające koniec rozmowy. Koniec. Oczywiście domagam się obejrzenia wypisu z aktu notarialnego, muszę sama zobaczyć, kto kupił mój dom. Stara wiedźma jest nieubłagana i po jej oczach widzę, że interesuje ją wyłącznie kanapka z suchą kiełbasą i kiszonym ogórkiem, leżąca w pierwszej szufladzie od góry jej obskurnego biurka. Koniec.

Chyba się zdrzemnęłam na chwilę, bo to był na szczęście tylko sen. Ktoś pukał do drzwi, gwałtownie usiadłam na łóżku.

- Tak?

- Kornelia, jeśli chcemy coś załatwić w Agencji Rolnej, to musimy już jechać - mama z przepraszającym uśmiechem stanęła w drzwiach.

- Pewnie, pewnie, już wstaję. Muszę tylko dojść do siebie, właśnie usiłowałam we śnie kupić ten dom...

- Ty też? - mama zaśmiała się cicho. - I co, udało ci się?

- Mnie nie, a tobie?

- Mnie też nie.

Staraliśmy się nie patrzeć sobie w oczy. Pierwsza odezwała się mama. Widać było, że nie była pewna, czy powinna zadać mi to pytanie.

- Jaka ona była, ta urzędniczka w twoim śnie?

- Podstarzałe, grube babsko z muchami w nosie i obrzydliwymi brodawkami na twarzy.

Mama skrzywiła się z niesmakiem.

- To ta sama co u mnie.
- Znasz ją?
- Coś ty, pierwszy raz *zobaczyłam* ją w moim śnie.

Tom i Antek chcieli koniecznie z nami jechać, ale szybko im to wyperswadowałam, tłumacząc, że jako niemieckojęzyczni obcokrajowcy, czy w ogóle jako obcokrajowcy, mogą nam tylko zaszkodzić, to znaczy źle nastawić do nas urzędników, którzy zgodnie z żądaniem ogółu, przeciwstawiali się wykupowi dobra narodowego przez cudzoziemców. Ale tak naprawdę to nie chciałam ciągać ich wszędzie ze sobą, a ściślej, żeby ciągle pałętali się przy mnie. Po mojej zdecydowanej odmowie obaj wyglądali na obrażonych. Trudno. Byłam pewna, że im to szybko minie, tak jak szybko przeszli do porządku dziennego nad szarpaniną przy świątecznym obiedzie. Mara też chciała z nami jechać, przez cały ranek powtarzała to z uporem, zmieniając jedynie taktykę: od przymilnej prośby do wybuchu złości. Moja mama, a jej babcia, pozostała jednak nieubłagana, Mara miała pójść do szkoły, tym bardziej że był to pierwszy dzień nauki po świętach. Trochę dziwiła mnie konsekwencja mamy, ja bym jej pozwoliła. Próbowałam nawet przypomnieć sobie, czy w czasach mojego dzieciństwa mama była w swoich decyzjach równie nieugięta jak w stosunku do Mary i czy u nas w domu obowiązywały jakiegokolwiek zasady. Nic mi jednak nie przychodziło do głowy, w końcu mama większość czasu spędzała w pracy, nawet w niedzielę schodziła na dół do biura, żeby nadrobić jakieś zaległości. Większość decyzji dotyczących naszego życia podejmowałyśmy z siostrą same, to znaczy z uwagi na różnicę wieku każda z nas robiła to na własną rękę. Chociaż zawsze byłam przekonana, że mama jest raczej surowa i nieustępliwa.

W końcu pojechałyśmy same, żegnane gniewnymi spojrzeniami całej trójki niedoszłych wycieczkowiczów. Siedziałyśmy już w samochodzie przypięte pasami, kiedy postanowiłam wrócić jeszcze na chwilę na górę. Mamie powiedziałam tylko, że czegoś zapomniałam, i szybko pognałam na pierwsze piętro. Siedzieli dokładnie tak sa-

mo jak w chwili naszego wyjścia. Pochyleni nad kuchennym stołem półgłosem nad czymś debatowali, pewnie o bezdusznosci mamy i mojej. Szybko i mocno przytuliłam do siebie Marę i szepnęłam jej do ucha, że zaraz po lekcjach pojedziemy razem do miasteczka, że będę na nią czekała pod szkołą.

- Ale to już będzie za późno - jęknęła cicho.

- Wcale nie będzie za późno. O której kończysz?

- O pierwszej.

- No widzisz, będziemy jeszcze miały bardzo dużo czasu. A może pojedziemy do Wrocławia albo do Opola? - chyba mnie trochę poniosło, do obu miast trzeba było pokonać odległość kilkudziesięciu kilometrów fatalnej, bo wąskiej, krętej i dziurawej drogi. Ale i ta propozycja nie wywołała na twarzyczce Mary uśmiechu.

- O tak, tak, jedźmy do Wrocławia! - Antek uśmiechnął się od ucha do ucha i z radości dał kuksańca siedzącemu obok Tomowi. - Co powiesz na to, Tom? Świetna propozycja, co?

Tom wzruszył tylko ramionami i posłał mi nieśmiały uśmiech.

- Chciałam zauważyć, że rozmawiam z Marą, a nie z wami, a jak się wam nudzi, to posprzątajcie trochę w domu i nie czekajcie na Madzię. Kiedy się z tym uporacie, to weźcie się za coś konstruktywnego...

- To znaczy? - Tom chyba nie był już na mnie obrażony, bo znów stał się czarujący, pełen męskiego uroku, od którego powoli zaczynałam być uzależniona. Chyba się na niego zapatrzyłam, bo po raz drugi powtórzył swoje pytanie.

- To znaczy?

- Czy ja wiem? Coś konstruktywnego. Antek niech pisze te swoje wiersze, jeśli umie, a ty rób zdjęcia... jeśli jeszcze potrafisz je robić - dodałam, aby nie wydać się stronnicza. - A poza tym muszę lecieć, bo Róża czeka na mnie w samochodzie... no i muszę dziś jeszcze co nieco załatwić. Pa! - i znowu pędem, przeskakując po dwa stopnie, pognałam na dół.

Agencja Rolna mieściła się w tym samym budynku co zagraniczny bank; kancelaria notarialna i biuro księgowo. Zaraz obok znajdował się Urząd Skarbowy i kościół. Praktyczne. Brakowało tylko zakładu pogrzebowego. Gdybym była religijna, weszłabym najpierw do kościoła, zawsze lepiej mieć pewność co do przychylności transcendentnego świata.

W długim korytarzu wyłożonym tanim, lekko już wytartym brązowym linoleum panował półmrok. Wygląd korytarza utwierdził mnie w przekonaniu, że brąz jest kolorem zdecydowanie depresyjnym. Spotkana po drodze młoda urzędniczka ze smutnymi podkrążonymi oczami i melancholijnym uśmiechem odesłała nas do pokoju numer siedem - według feng shui i mojej teściowej lepszego, bardziej szczęśliwego numeru nie można sobie było wymarzyć. Powiedziałam o tym mamie. Popatrzyła na mnie zdziwiona:

- Że też wierzysz w takie bzdury.

- Nie wierzę. Ale wierzę, że można sobie szczęście lub nieszczęście wmówić.

- Gdyby to było takie proste - powiedziała nabożnym szeptem, jakby była w kościele, i delikatnie zapukała we framugę drzwi z numerem siedem, bo same drzwi również obite były brązowym skajem.

Nie słychać było żadnego „proszę wejść”, więc mama ponownie zapukała, tym razem nieco mocniej. To jej pełne respektu pukanie zaczęło mi działać na nerwy, nie przypomniałam sobie, żeby mama kiedykolwiek występowała w roli uniżenie proszącego. Energicznie nacisnęłam na klamkę. Drzwi były zamknięte. W tym samym momencie przy końcu korytarza pojawił się młody chłopak trzymający w jednej ręce kubek czegoś gorącego, w drugiej zaś owinięte w biały papier kanapki. Szedł ostrożnie, ze wzrokiem wlepionym w zawartość kubka, ale wołał wyraźnie w naszą stronę.

- Panie do mnie? Do siódemki? Już idę, momencik, o cholera, gorący ten kubek...



- My nie do pana, my do tego pokoju - palcem wskazałam na zamknięte drzwi.

- Jeśli do tego pokoju - brodą wskazał drzwi z numerem siedem - to w takim razie do mnie. Któraś z pań będzie taka miła i wyciągnie z mojej kieszeni klucz - urzędnik znów posłużył się brodą, wskazując tym razem prawą kieszeń swoich spodni. Zaskoczone popatrzyłyśmy z mamą na siebie, a potem na chłopaka. Żarty sobie robił czy co? On miał być podstarzałą, grubą kobietą z brodawkami. No i ten klucz w kieszeni spodni...

W końcu mama zdecydowała się i szybkim ruchem wyciągnęła ten nieszczęsny klucz. Byłam jej za to bardzo wdzięczna.

Po wejściu do pokoju urzędnik zachowywał się, jakby był na pikniku pod lasem. Nucąc coś wesoło pod nosem, najpierw rozłożył swoje drugie śniadanie, to znaczy pośrodku czarnego, taniego biurka postawił kubek z herbatą, rozwinął z papieru kanapki i ułożył je równo na białym talerzyku, po czym znów je zawinął i schował do górnej szuflady biurka.

- No, gotowe - z satysfakcją spojrział najpierw na kubek herbaty, później na nas.

- Czym mogę paniom służyć?

- Przepraszam, że o to pytam, ale... z czym ma pan kanapki?

- Z kielbasą i ogórkiem - odpowiedział po chwili wahania - chce pani kawałek?

- Z suchą kielbasą i kiszonym ogórkiem?

- No... tak.

- To teraz panuje taka moda na chleb z suchą kielbasą i kiszonym ogórkiem?

- Nie wiem, do czego pani zmierza - chłopak był wyraźnie zmieszany.

- A może ma pan tutaj jakieś zastępstwo? Może zastępuje pan jakąś starszą urzędniczkę?

- Nikogo tu nie zastępuję, mam kanapki z suchą kielbasą i kiszonym ogórkiem, pracuję tu od pierwszego dnia utworzenia tej filii

Agencji Rolnej, a poza tym tu nie ma żadnych starszych urzędniczek, tu pracują sami młodzi, zaraz po studiach albo po szkole. A teraz proszę siadać i przedstawić sprawę, która panie do nas sprowadza, bo czas pili, zaraz mamy przerwę na drugie śniadanie - spojrzał na zegarek z uśmiechem, który na pewno przeznaczony był dla tej czekającej w szufladzie kanapki.

Kiedy już wyjaśniła się sprawa urzędniczki z naszego snu, siedzący naprzeciw nas chłopak wydał mi się od razu bardzo sympatyczny, miał w sobie coś infantylnego, czy łagodniej określając, coś dziecinnego, mogłabym się założyć, że wychowała go babcia, stąd ta jego chłopięca pogoda ducha i ta dbałość o punktualne posiłki, niemodna krótka fryzura, koszula zapięta pod szyją na ostatni guzik, wypastowane buty, no i lekko pobłażliwy szacunek wobec kobiet, szczególnie tych starszych. Już chciałam go o tę babcie zapytać, na szczęście w porę ugryzłam się w język i w tej samej chwili mama, uznawszy pewnie, że na mnie nie ma co liczyć, przejęła inicjatywę.

- Chciałyśmy kupić popegeerowski obiekt wraz z przylegającym doń pięciohektarowym parkiem, konkretnie pałac w Krupinie.

- Aha, to ta perełka panie interesuje. Zaraz obejrzymy sobie całą dokumentację - wstał z radosnym uśmiechem, jakby chciał nam wręczyć nagrodę za szczególne osiągnięcia, i pewnym ruchem ręki wyciągnął z regału cienki segregator z literą K.

- To ten. Tu mamy wszystko, co nas interesuje - otworzył segregator i poruszając ustami, zaczął w skupieniu po cichu czytać. W pewnym momencie zmarszczył brwi i przejęty powiedział:

- Niestety, jest mały problem... Wystraszona, spojrzałam na mamę.

- ... w pałacu są lokatorzy.

- Oczywiście, że są, ja jestem jednym z nich, drugim jest moja wnuczka Mara.

- O, jakie oryginalne imię! Tak więc pani jest panią... Różą Skalską?

- Tak, a to moja córka Kornelia.

- A to świetnie, doskonale, więc mają panie prawo pierwokupu. Ale tak szczerze - urzędnik ściszył głos do szeptu - po co paniom taka ruina, z dala od głównych dróg? Tam wszystko się sypie i gnije.

Na chwilę zapadła cisza, podczas której nasz urzędnik wyraźnie delektował się swoim ludzkim podejściem do klienta.

- To nasz dom - odezwałam się w końcu i zabrzmiało to jak wyrocznia, pełne konsekwencji stwierdzenie, które będę powtarzać w przyszłości jeszcze wielokrotnie, do znudzenia, aż w końcu straci ono swoją pierwotną świeżość i dramatyzm.

- Rozumiem.

Byłam pewna, że nic nie rozumiał, bo wychował się w ciasnym mieszkaniu w obskurnym socjalistycznym bloku, z oknami wpatrzonymi w takie same obskurne bloki, w otoczeniu łysych, brudnych trawników porośniętych kępami rachitycznych krzaków. Taki blok ma skarłowaciałą, chorą duszę i nikt tam nie wraca dobrowolnie, bo nikt nie jest w stanie pokochać domu z pękającą wielką płytą z widokiem na inną pękającą wielką płytę.

- Ale tu jest jeszcze jeden problem...

- Problem? - obie z mamą jednocześnie powtórzyłyśmy te słowo jak jakieś magiczne zaklęcie.

- No tak, bo jeśli pani, pani Kornelio, chce obiekt kupić na swoje nazwisko, to niestety musi pani mieć ważny polski paszport, innymi słowy, musi być pani polską obywatelką - urzędnik popatrzył na nas z triumfem, jakby udało mu się pokonać złego smoka.

- A kto mówi, że córka nie ma polskiego obywatelstwa?

- Nikt nie mówi, ale cała agencja, razem z tymi ze skarbówki, podziwiała tę piękną maszynę na niemieckich numerach, którą panie przyjechałyście, a poza tym... kogo stąd stać na utopienie takiej kasy w zgrzybiałych murach. Żeby chociaż było przy tym trochę ziemi rolnej, a tam nic, wszystko, oprócz nic już niewartego parku, zostało wyłączone i sprzedane.

Popatrzyłyśmy na siebie ze zdumieniem. Mama zdenerwowana całym tym gadaniem przerwała mu w pół słowa i zdecydowanym, opryskliwym tonem zapytała:

- Jak to jest możliwe, że wszyscy nas widzieli? To już nie macie tu nic innego do roboty jak tylko podglądanie... patentów?

- Ach, to nic takiego, okna naszej kuchni wychodzą na ulicę, a sama pani rozumie, że taki samochód tutaj to atrakcja, te stare, kilkunastoletnie złomy, które nasi przywożą z Niemiec, już się przejadły. Żadna to atrakcja.

- No dobrze, samochód taki czy inny, z tym paszportem to żaden problem, bo na szczęście miałam i mam polskie obywatelstwo - oczywiście nie miałam zamiaru wspominać o moim niemieckim paszporcie.

W końcu ustaliliśmy, że zgodnie z wymaganą procedurą agencja ogłosi przetarg obiektu, do którego prawdopodobnie staniemy tylko my dwie, chociaż, jak rzeczowo wtrącił urzędnik, nigdy nie wiadomo, czy jeszcze ktoś inny nie zapala miłością do tej perełki.

I jak wszystko dobrze pójdzie, będziemy mogły go kupić za cenę wywoławczą, czyli prawdopodobnie sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów, bo na taką sumę obiekt został wyceniony. Słyszac tę cenę, tylko pokiwałyśmy z mamą głowami i nie odezwałyśmy się na ten temat ani słowem.

Dopiero po wyjściu z urzędu wróciłyśmy do tematu pieniędzy. Pierwsza odezwała się mama:

- Myślałam, że będzie taniej, a ty?

- Szczerze mówiąc, to nic nie myślałam, jak trzeba będzie, sprzedam mieszkanie w Monachium... teraz należy do mnie, więc teoretycznie mam prawo to zrobić.

- Teoretycznie?

- To znaczy w sensie prawnym, ale nie w sensie moralnym... ciągle mam wrażenie, właściwie nie wrażenie, ale pewność, że on żyje... Rozumiesz?

- Rozumiem. Zawsze byłam bardzo dumna z ciebie i Luizy, z tego, że byłyście takie honorowe... ty na przykład nigdy nic nie przyjąłś od ojca, chociaż co jakiś czas próbował cię przekupić słodyczami, zabawkami, później jakimiś ciuchami z zagranicy... W tamtych czasach biedy i szarzyzny nie tak łatwo było odmówić...

- Ale czasy się zmieniają i ludzie też - stanowczo ucięłam temat, zdając sobie oczywiście sprawę, jak banalne jest to, co mówię. Wcale nie uważałam, że czasy się zmieniły, dla mnie czas był jedną ciągłą prostą, która trwała nieprzerwanie i zmierzała ciągle w tym samym kierunku. Ale nie lubiłam u mamy tej sentymentalnej nuty.

- Muszę policzyć wszystko, co mam, może wezmę pożyczkę, a jeśli moja książka się sprzeda, dostanę drugą część honorarium plus zyski ze sprzedaży. Poza tym mam już podpisaną umowę na następną książkę...

- O czym jest ta pierwsza książka?

- ... o dziewczynie... takiej jak Luiza. O Luizie.

- Powinnam ją przeczytać?

- Pytasz?

- Pytam.

- Nie wiem, sama musisz zdecydować.

Na tym zakończyłyśmy rozmowę. Mama wyglądała na przygnębioną, jakby cały ogrom smutku po śmierci Luizy z nową siłą przytłoczył jej myśli. Siedząc obok mnie w samochodzie, wcale nie przypominała tej dużej, silnej kobiety, która przez tyle lat żelazną ręką rządziła swoimi pracownikami - grubiańskimi oborowymi, traktorzystami...

- Dobrze by było, abyś to ty zajęła się kupnem pałacu, ja muszę pisać. Będziemy potrzebować dużo pieniędzy, również na remonty.

- Oczywiście, zajmę się tym - nie wiadomo było, co mama na ten temat sądzi, bo jej głos wyprany był z wszelkich emocji, a oczy utkwione w rozwijającej się przed nami nitce szosy. Nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Byłyśmy już spory kawałek za miasteczkiem, kiedy zatrzymałam samochód na poboczu. Mama popatrzyła na mnie z pytaniem w oczach.

- Wiesz co, przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Załatwiając te wszystkie sprawy z kupnem pałacu, będziesz musiała często jeździć do miasta, ja muszę pisać i nie będę cię mogła wozić...

- Wezmę autobus.

- Daj spokój z tym autobusem, jeździ raz dziennie, i to nie zawsze regularnie. Będziesz brała mój samochód!

Mama wyglądała na zmieszaną, jej ogorzałe policzki lekko się zaróżowiły.

- Ja już chyba nie potrafię jeździć samochodem, nie jeździłam dobrych kilka lat, sama wiesz, w gospodarstwie prowadziłam tylko tego rozklekotanego łazika, ale to tak jakbym jeździła traktorem...

- Nic się nie martw, z jazdą samochodem jest tak jak z pływaniem: uczysz się raz na całe życie. Siadaj za kierownicą, zaraz cię przetestuję

- i uradowana tym wspaniałym pomysłem, odpięłam pasy i wysiadłam z samochodu. Kiedy otworzyłam drzwi od strony pasażera, zobaczyłam, że mama siedzi bez ruchu i wygląda tak, jakby chciała zamienić się w kamień. Przypominała mi małe, wystraszone dziecko, któremu się wydaje, że jak zasłoni dłonią oczy, stanie się dla otoczenia niewidzialne.

- Nie bądź dziecinna i siadaj za kierownicą, nie będę tak stać na drodze, bo zrobiło się strasznie zimno.

- To może innym razem...

- Nie innym razem, teraz.

Byłam nieubłagana, bo wiedziałam, że tylko tak mogę mamę do czegoś zmusić. Musiała poczuć, że nie ma innego wyjścia. I rzeczywiście, z miną straceńca wysiadła z samochodu i ponownie zajęła w nim miejsce, tym razem za kierownicą.

- Pooglądaj sobie spokojnie, co gdzie jest, może chcesz o coś zapytać?

- Już wcześniej wszystko sobie pooglądałam, rano, jak wróciłaś na chwilę do domu... piękny samochód. Naprawdę można nim jechać trzysta dwadzieścia kilometrów na godzinę?

- Pewnie można, tylko trzeba mieć gdzie, tutaj mamy raczej marne szanse na rozwinięcie takiej prędkości. W porządku, ruszamy.

No i ruszyliśmy. Droga była pusta, za to pełna zakrętów, to opadających, to wznoszących się niewielkich pagórków. Taka trasa z gier komputerowych. Jechałyśmy coraz szybciej, zresztą w porsche prędkość to żaden problem, podobno sto kilometrów na godzinę można osiągnąć w ciągu pięciu sekund. Nigdy tego nie sprawdziłam, za to moja mama chyba chciała pobić jakiś rekord, bo nagle poczułam, jakbym siedziała w pędzącej z zawrotną szybkością górskiej kolejce. Czarne, pokrzywione drzewa przedwojennej alei czereśniowej migały za oknami jak oszalałe, automatyczna skrzynia biegów zawodziła od czasu do czasu zaskoczona gwałtownymi zmianami warunków jazdy. Poczułam silny ból prawej nogi, którą nieustannie próbowałam hamować, wbijając ją bezowocnie w podłogę. W końcu musiałam wstrzymać oddech i wtedy usłyszałam szaleńczy śmiech mamy, Róży Skalskiej, byłej zootechnik w pegeerze, zamkniętej w sobie, samotnej w świecie przeznaczonych do uboju zwierząt, rozwódki. Śmiała się tak, jak śmieją się ludzie po raz pierwszy w życiu szczęśliwi, szczęśliwi szczęściem nieoczekiwanym, według nich niezasłużonym, absolutnym. Patrząc na nią, na jej rozszerzone, skoncentrowane oczy, pomyślałam, że taka chwila warta jest nawet ceny życia. I zaczęłam się z nim żegnać. I tak szczerze, bo lista rzeczy i ludzi do pożegnania była krótka, szokująco krótka.

Na górę weszłam sama, bo mama, co wyznała mi z lekkim zażenowaniem, chciała jeszcze trochę posiedzieć w samochodzie i ochłonąć po tym szaleństwie. Nie odezwałam się, bo co tu było mówić, tylko szczęściu zawdzięczałyśmy życie, niesamowitemu szczęściu, szczególnie po tym, jak zza zakrętu wyłonił się ni stąd, nr zowąd stary zdezelowany autobus, wystarczająco duży, aby przy tej prędkości nas zmiażdżyć. Prowadzący autobus w przeciwieństwie

do mojej mamy posiadał instynkt samozachowawczy i odruchowo odbił ostro w lewo, zjeżdżając na bok, w pole pokryte niezaoranym ścierniskiem. Również szczęśliwym trafem nie było w tym miejscu żadnych drzew. Mama skomentowała to z rozbrajającym uśmiechem świadczącym o zachwianym poczuciu rzeczywistości: „Uf! Co za idiota, jeździ samym środkiem drogi!” - i po ostrym hamowaniu znów z zapalem dodała gazu. Na krótką chwilę zamknęłam oczy, w końcu jednak musiałam je otworzyć, bo od tej szybkiej jazdy zrobiło mi się niedobrze.

Na górę weszłam na miękkich nogach. Pierwsze, co chciałam zrobić, to wziąć prysznic, bo elegancki, potwornie drogi kaszmirowy golf, który miałam na sobie, był kompletnie mokry.

W kuchni przy stole siedział nieruchomo obcy mężczyzna, wyprostowany jak wojskowy czekający na rozkaz. Tom i Antek stali oparci o ścianę między lodówką a starym rzeźbionym kredensem. Cała trójka milczała, a ja już w progu kuchennych drzwi wyczułam nieprzyjemne napięcie. Nie musieli mi mówić, kim jest nieznajomy, wystarczyło spojrzenie jego ciemnych, jakby bez dna, oczu, i już wiedziałam, po co przyszedł. Poczułam przeraźliwe zimno.

- Cześć, chłopaki! - powiedziałam po niemiecku, właściwie tylko do Toma i Antka, chcąc w ten sposób odwlec w czasie pierwszy kontakt z nieznajomym. - Róża czeka na was w samochodzie, chce, abyście razem odebrali Marę ze szkoły. Pospieszcie się, bo się spóźnicie.

Na mój widok nieznajomy podniósł się z krzesła, za to Antek z Tomem dalej stali pod ścianą, jakby ich do niej przymurowano.

- Pospieszcie się, proszę... I zapnijcie pasy... proszę - to ostatnie zdanie powiedziałam tak błagalnym tonem, że Tom w końcu się uśmiechnął, podszedł do mnie i pocałował mnie lekko w policzek.

- Wracałaś biegiem z miasta czy co? Cała jesteś mokra.

- Prawie. Wyobraź sobie, że dopiero dzisiaj, wracając z miasteczka, zrozumiałam, co znaczy powiedzenie, że odległość jest pojęciem relatywnym. Kosztowało mnie to sporo adrenaliny.



Zaśmiałam się cicho, widząc zdziwienie w oczach Toma i Antka. Stojącego przy stole mężczyznę skrzątnie omijałam wzrokiem.

- Antek! Przyrosłeś do tej ściany czy co? Róża nie będzie całą wieczność na was czekać, wiesz, jaką ona jest kobietą!

To ostatnie zabrzmiało jak groźba, miało tak zabrzmieć, bardzo chciałam, żeby w końcu wyszli, żeby zostawili nas samych. Trochę się jeszcze ociągali, patrząc to na mnie, to na mężczyznę przy stole. Wydawało mi się, że minęły godziny, nim wreszcie usłyszałam ich pospieszne kroki na schodach.

Cały czas stałam w progu. Na swoim stałym miejscu w tym domu - pomyślałam. Nie miałam ochoty wchodzić do kuchni, zbliżyć się do nieznanego, z tego samego powodu pewnie Tom i Antek podpierali ścianę, zamiast się do niego przysiąść. Powoli zaczynałam rozumieć, dlaczego Mara koniecznie chciała jechać z nami do miasta, czuła, że tego dnia będziemy mieć niezapowiedzianego gościa, bała się tego spotkania; tylko dlaczego nic mi o tym nie powiedziała? Prawdopodobnie dzieci nie konkretyzują, nie nazywają swoich lęków i obaw tak jak my, dorośli. Ta myśl zabolęła mnie, bo uświadomiłam sobie, jak mało znam to samotne, wrażliwe dziecko.

- Jesteś równie piękną kobietą jak twoja siostra, a mimo to zupełnie od niej różną - mężczyzna odezwał się łamaną polszczyzną, jaką posługują się obcokrajowcy. Mówiąc to, podszedł do mnie. Był niewysoki, najwyżej mojego wzrostu, bardzo szczupły i wysportowany. Twarz miał pokrytą siateczką drobnych zmarszczek, charakterystycznych dla ludzi o bardzo białej, często do słońca wystawianej skórze. Był na pewno dobrze po czterdziestce.

- Jestem Jan Dahl... mówię trochę po polsku, bo moja matka jest Polką, mieszka w Norwegii od wojny.

Przez ułamek sekundy wyglądało na to, że chce się przywitać, widząc jednak, że trzymam ręce w kieszeniach dżinsów, w porę się zreflektował i tylko lewą dłonią mocno potarł grzbiet prawej.

Jego obecność była faktem. Rozumiałam to, ale nie miałam ochoty na żadne uprzejmości, myślałam ze złością, że nic mnie nie

obchodzi jego nazwisko, jego matka, jego zdanie na temat mojej urody. Mężczyzna patrzył na mnie badawczo, w jego wzroku czuć było napięcie, nie obawę, nie lęk, tylko pełne wyczekiwania napięcie. To były oczy, które już dawno przestały się bać. Myśląc o tym, zobaczyłam w nim coś, co sprawiło, że jak tylko mogłam, najmocniej, zacisnęłam z przerażenia powiekę. Nie chciałam tego widzieć, zrobiło mi się słabo i czułam, jak nogi uginają mi się w kolanach. Co się ze mną, do cholery, dzieje? - pomyślałam jeszcze, nim poczułam, najpierw na czole, potem na szyi, zimne, szczupłe palce, nerwowo prześlizgujące się po mojej skórze. Otworzyłam oczy. Siedziałam oparta o framugę drzwi, tuż obok mnie kucał Jan Dahl; niestety nie rozpląnął się w powietrzu, gdy zasłabłam. Był bardziej realny niż cokolwiek innego.

- Nie wiem, co się ze mną dzieje, w ostatnim czasie zdarzyło mi się to już kilka razy, chyba jestem przepracowana. Albo...

Że też wcześniej na to nie wpadłam! Przecież słabo robiło mi się za każdym razem, gdy odkrywałam w ludziach to, co chcieli ukryć!

- Albo?

- Albo nic, po prostu jestem przepracowana. Kawy?

Norweg pomógł mi wstać, znów poczułam jego zimne, szczupłe palce, takie dłonie mają ludzie niezaznający nigdy spokoju, wrażliwi. Ja miałam duże, prawie męskie dłonie o długich, prostych palcach, zawsze ciepłe, zawsze spokojne, jak dwie niezależne ode mnie istoty.

- Od przyjazdu Antka mamy tu wspaniałe włoski ekspres do kawy. Espresso, *macchiato*, cappuccino... ? - Spojrzałam na zegarek, było już po pierwszej, co oznaczało według zasad wprowadzonych przez Antka, że na cappuccino jest już za późno, bo o tej porze piją je tylko barbarzyńcy.

- Dla mnie espresso proszę, ale sam je zrobię, usiądź lepiej. A dla ciebie to samo?

- Może być - obojętnie wzruszyłam ramionami. - Po co przyjechałeś? Wiesz, że Luiza... moja siostra Luiza nie żyje?

Nie widziałam jego twarzy, stał odwrócony do mnie plecami, bo akurat sypał do małego metalowego pojemniczka drobno zmieloną kawę. Miałam wrażenie, że w pierwszej chwili chciał się odwrócić do mnie, pozostał jednak tak, jak stał, przez moment nieruchomo, potem powoli zamocował pojemnik z kawą.

- Wiem. Dowiedziałem się kilka dni temu.

- To po co przyjechałeś? Pogrzebu nie było i nie będzie. Nie ma też grobu... bo nie ma ciała.

- Chcę zobaczyć córkę...

- Jaką córkę? - gwałtownie wstałam z krzesła, przewracając je z hukiem na podłogę. Czułam, jak krew pulsuje mi w skroniach, jakby chciała je rozsadzić. - Tu jest tylko jedno dziecko, ale ono nie ma ojca, nigdy nie miało ojca i na nieszczęście od niedawna nie ma też matki. Rozumiesz? Nie ma też matki, która całe życie przed nim uciekała... - nie chciałam tego powiedzieć, nie chciałam mieszać w to wszystko Luizy, to była oddzielna historia, do której człowiek robiący teraz kawę nie powinien mieć dostępu. Poczulałam, jak gorące łzy napływają mi do oczu. - Wyjedź stąd jak najszybciej, proszę, zostaw to biedne dziecko w spokoju. Proszę - szeptałam coraz bardziej przerażona, gorączkowo zastanawiając się, jak mogłabym przekonać tego człowieka do jak najszybszego opuszczenia naszego domu. Miałam trochę pieniędzy, na szczęście jeszcze ich nie wydałam na zakup pałacu. - Mam pieniądze, mogę ci je dać...

- Naprawdę myślisz, że wziąłbym od ciebie pieniądze? - zaśmiał się oschle, na jego twarzy silniej zarysowały się zmarszczki, błysnęły śnieżnobiałe, piękne zęby. Na pewno był typem mężczyzny, dla którego straciła głowę niejedna kobieta... miał w sobie coś drapieżnego, coś, co przypominało mi mojego ojca z czasów jego młodości. To pewnie dlatego Luiza zakochała się w tym człowieku... Staliśmy naprzeciw siebie tak blisko, że wyraźnie czułam wilgoć jego oddechu zmieszaną z zapachem drogiej wody po goleniu. Z bliska jego ciemne oczy wydawały się nieskończenie głębokie. Nie

wyglądał na poruszonego ani moim błagalnym tonem, ani moimi łzami. - Oszczędź sobie i mnie tych pieprzonych emocji. Moja decyzja jest nieodwołalna...

- Mogłabym cię zabić, zniszczyć...

- Mogłabyś. Ale prawdopodobnie nie zrobisz mi tej przysługi. Patrzyliśmy sobie twardo w oczy, oboje wiedząc, że dla tego dziecka byłam skłonna zrobić wszystko, nawet spełnić swoją groźbę. Właśnie przed tym chciała mnie ostrzec kobieta na drodze.

- Kornelia - w cichym głosie Mary słychać było lęk. Odwróciłam się szybko w kierunku wejścia do kuchni. W drzwiach stała Mara. W drobnych dłoniach o nienaturalnie długich, szczupłych palcach ścisnęła kurczowo czerwoną wełnianą czapkę z pomponikiem, jej ciemne oczy były czarne z przerażenia.

- Kornelia - powtórzyła, tym razem z lekkim napomnieniem w głosie - miałyśmy pojechać razem do miasta. Obiecałaś...

- Nie zapomniałam o tym kochanie, już jedziemy - podeszłam do dziewczynki i nachyliwszy się nad nią, próbowałam wyciągnąć z jej zaciśniętych palców czapkę. W końcu zrezygnowałam i zamknęłam zmarznięte ręczki dziecka w swoich dłoniach.

- Najpierw jednak chciałam ci przedstawić tego pana...

- Nie musisz. Wiem, kim jest, zresztą mama czasami opowiadała mi o nim - Mara westchnęła głośno - mówiła też, że kiedyś go spotkam.

W ciemnym holu za plecami Mary słychać było gorączkową rozmowę. Mama, Tom i Antek wracali z przejażdżki. Z podniecenia w ich głosach można się było domyślić, że też byli bardzo zdenerwowani.

- Powiedz, Róża, czy ty z premedytacją chciałaś nas zabić? Bo działamy ci już na nerwy? A może to tylko Toma masz dosyć, w końcu to on siedzi tu najdłużej...

- Może najdłużej, ale nie jestem tak upierdliwy jak ty, zjem i wypiję, co mi dadzą, i z Madzią nie dyskutuję godzinami na temat jakiegoś pieprzonego sosu do pieprzonej sałaty...

- A szkoda, bo właśnie tym jesteś, co zjesz! Napychasz się byle czym, to i w byle co się zmienisz.

- Trzymaj mnie, Róża, bo jak tobie się nie udało, to ja go zaraz... Tom urwał w odpowiednim momencie, bo zobaczył, że stoję z Marą w drzwiach i obie na nich patrzymy.

- Jestem ci niezmiernie wdzięczny, że kazałaś nam zapiąć pasy, gdyby nie to, pewnie musiałybyś mi robić przetarte zupki do jedzenia i od razu wyjść za mnie za męża, bo bezzębnego, z pokiereszowaną gębą nikt by... - Tom znowu przerwał w pół zdania, uważniej popatrzył na Marę, na mnie i na Norwega.

- Myślałem, że już go tu nie ma - skinął głową w stronę Dahla.

- To mój ojciec - Mara ostrożnie oswobodziła swoje dłonie z mojego uścisku. - Babciu, ten pan to mój ojciec.

Chyba po raz pierwszy dziewczynka popatrzyła mu prosto w twarz, z tą dziecięcą szczerością i ufnością, z jaką tylko dzieci potrafią patrzeć na dorosłych. Mara nam jeszcze ufała, choćby dlatego, że nie miała innego wyjścia. Jeszcze sobie tego nie uświadomiła, że może być inaczej, i jeszcze o tym nie wiedziała, ufała nam, bo tak było trzeba. Staliśmy blisko niej, pięcioro dorosłych ludzi, i jeszcze nigdy nie wydawała mi się taka mała, taka drobna i bezbronna. Ale Mara miała w sobie jakąś siłę, tego byłam zawsze pewna, i to właśnie nam, dorosłym, przy spotkaniu ze swoim ojcem udowodniła. Byłam z niej dumna i gdyby nie zbiegające kostki długich, szczupłych palców, ściskających w dalszym ciągu kurczowo czapkę, pomyślałabym, że da sobie radę także bez nas, dorosłych.

- Przyjechałem tu, bo chciałem cię poznać... dowiedzieć się, jak tam w szkole...

- Nie wiesz nawet, jak mam na imię.

- Nie wiem. Również po to tutaj przyjechałem, aby się dowiedzieć.

- Mara. Me myl z Marią, wszyscy się tak myślą. A w szkole jest dobrze, jakoś idzie. Babcia wie lepiej, bo była niedawno na

wywiadówce, ja nie mam teraz więcej czasu, bo jadę z Kornelią do miasta. Jak chcesz, pogadamy kiedy indziej.

- Może pojedziesz później?

- Nie. Jadę teraz.

Dziewczynka podeszła do mnie i delikatnie ujęła moją dłoń. Zrobiła to po raz pierwszy. Stałyśmy tak obok siebie, trzymając się za ręce - jak matka z córką - i zabołało mnie, że nie pamiętałam, nie mogłam pamiętać, jak to było, kiedy miała kilka miesięcy, kiedy zrobiła pierwsze kroki, kiedy wyrósł jej pierwszy ząb, kiedy w nocy gorączkowała, bo przechodziła właśnie ospę wietrzną, kiedy miała pierwszy atak gniewu. Moja siostra, jej matka, też tego nie wiedziała. I w tym momencie pomyślałam o tym, co nam, to znaczy mnie i tej małej dziewczynce, może przynieść przyszłość: przed nami było jeszcze tyle rzeczy, które wydarzą się pierwszy raz. Co to może być, nie miałam pojęcia, nie znałam się na dzieciach, znałam się tylko na pisaniu zmyślonych w dużej części historii i na tym, czego chcę, a czego nie, choć w ostatnich czasach i z tym miałam problem.

Dahl popatrzył na nas prosząco. W tej bezradnej pozie, bez tej przesyconej cynizmem pewności siebie, przez moment wydał mi się nawet sympatyczny.

- Niech pan przyjdzie jutro o tej samej porze. Mara na pewno znajdzie dla pana trochę więcej czasu. Jest kilka spraw, które musimy przemyśleć, nie uprzedził nas pan o swoim przyjeździe, a o pana istnieniu, ja przynajmniej, słyszałam tylko raz - przy okazji, kiedy Luiza zaszła w ciążę. Pan wybaczy, ale takiej sprawy nie załatwia się jedną niezapowiedzianą wizytą - głos mamy był oficjalny tak samo jak wyraz jej twarzy. Przybrała ton dyrektora dużej firmy państwowej, ale w tym tonie kryła się bezradność, niewiedza, brak pewności siebie. Słowa mamy zabrzmiały bardzo staroświecko, ale wśród obecnych tylko ja mogłam to dostrzec. Nie pochodziły one ze świata ludzi, których przyjęła bez wahania pod swój dach, zaprosiła do swego życia. Nie przystawały też do rzeczy-

wistości, z której przybył niespodziewanie mężczyzna, uzurpujący sobie prawo do tego, co w jej życiu było najważniejsze.

Mara potrafiła milczeć i potrafiła wsłuchiwać się w siebie, w otaczający ją świat. Rzadko spotyka się takie dzieci, takich ludzi - większość potokiem słów zagłusza swoje i cudze uczucia, a jeśli braknie im już słów, zagłuszają siebie i innych bełkotem płynącym z radia lub telewizora. Milczenie z Marą miało inny wymiar niż chwile ciszy spędzone z Tomem. Oczywiście mój emocjonalny stosunek do siostrzenicy różnił się diametralnie od uczuć, które żywiłam wobec Toma: przede wszystkim dziewczynka potrafiła czytać w moich myślach, czasami odkrywała je nawet z wyprzedzeniem, a dla Toma pozostawałam podniecającą, pełną tajemnic zagadką. Początkowo czułam się w obecności Mary nieswojo, z czasem zauważyłam jednak, że bardzo rzadko wykorzystuje tę swoją zdolność, bo, jak większość dzieci w tym wieku, żyła w świecie swoich dzieciennych spraw i niespecjalnie interesowało ją to, o czym myślą dorośli.

Wycieczka do miasteczka była sprawdzianem naszego samozaparcia w dążeniu do poszukiwania rozrywek, bo gdzie można pójść z siedmiolatką w miejscu pozbawionym kina, teatru, muzeum, basenu, wesołego miasteczka, ogrodu zoologicznego, lodziarni czy kawiarni, sali gier komputerowych, czy ja wiem, czego jeszcze? W kiosku z gazetami kupiliśmy kilka kolorowych pisemek dla dzieci i gumę do żucia bez cukru, w przesiąkniętej dymem papierosowym małej księgarni przejrzałyśmy kilka książek, ale nie znalazłyśmy nic, czego Mara już by nie przeczytała, no i poszłyśmy do kościoła. To był pomysł Mary, chciała się trochę pomodlić. Kościół był jednak zamknięty, więc wpadłam na genialny pomysł, by pójść do sklepu sportowego i kupić rolki. Miałyśmy naprawdę szczęście, bo udało nam się zdobyć dwie piękne pary, trochę przyduże zarówno dla mnie, jak i dla Mary, ale fakt ten ani przez chwilę nie

zmącił naszej radości. Byłyśmy tak podniecone perspektywą jazdy na rolnkach w byłej sali balowej na parterze pałacu (po wojnie pełniącej rolę sali konferencyjnej), że postanowiłyśmy czym prędzej wracać do domu.

Było już całkiem ciemno, gdy przejeżdżałyśmy przez sąsiadującą z pałacem wieś. Zobaczyłam go już z daleka, w świetle jedynej palącej się przydrożnej latarni sprawiał wrażenie jakiejś istoty nie z tego świata.

Na piekło jeszcze dla niego za wcześnie - pomyślałam. W czarnych dzinsach Calvina Kleina, w czarnej koszulce polo Laurenta i jasnym prochowcu Hugo Bossa wyglądał jak zmaterializowana kpina z otaczającej go rzeczywistości: dziurawej drogi, błotnistej, zaśmieconego pobocza, brudnych, sypiących się fasad domów, kręcącego się w pobliżu nieufnego, skołtunionego burka. Wyglądało na to, że natura też złośliwie chciała dołożyć coś od siebie, bo akurat zaczął zacinać mokry, gęsty śnieg. Włączyłam głośną muzykę Rolling Stonesów - ulubiona płyta CD Thomasa - i zwolniwszy, przejechałam obok Dahla, machając mu ręką przez opuszczoną szybę. Zaskoczony, odwzajemnił się tym samym. Natychmiast jednak zamknęłam okno i mocniej nacisnęłam pedał gazu, bo przeraziła mnie myśl, że może chciałby coś do nas powiedzieć.

Nie spojrzałam na Marę, bo to były sprawy między mną a tym mężczyzną.

Przez następnych kilka tygodni Jan Dahl nie dawał znaku życia. Nie rozmawialiśmy o nim, chociaż wyraźnie czułam jego obecność w naszej małej rodzinie.

Życie w pałacu zaczęło obrastać w pewne rytuały. Ani Tom, ani Antek nie mieli zamiaru wracać do Niemiec. Niepostrzeżenie stali się domownikami, całkowicie zakotwiczonymi w codziennym życiu. Z Antkiem sprawa była prosta - mówił, że ma wystarczająco dużo pieniędzy i może nie pracować zarobkowo do końca życia.



Sytuacja Toma była zupełnie odwrotna - jak zwykle był bez grosza, a to, co zostawił w Monachium, nie miało żadnej wartości. Mieszkanie wraz z pracownią podnajął za cenę czynszu jakiemuś koledze po fachu, a za samochód pewnie dostałby jakąś symboliczną kwotę.

Ustaliliśmy, że każdy sam decyduje o swoim wkładzie w nasze wspólne życie i troszczy się o swoje potrzeby. Miejsca w pałacu było pod dostatkiem, choć nie obyło się bez zabawnych sytuacji. Na przykład Antek uparł się, że chce mieć pokój w wieży, i nie chciał zrozumieć, że nie ma tam centralnego ogrzewania i póki nie skończy się zima, nie można tam nic zrobić. Tak bardzo nalegał, aż w końcu mama zadzwoniła po jakiegoś hydraulika, nieogolonego typu z wielkim jak bęben brzuchem. Człowiek ten był dosyć gburowaty i nie miał ochoty na pogaduszki, bo na różne podchwytliwe pytania Antka, odpowiadał tylko:

- Puszczą mrozy, to zrobim.

Antek był już na tyle osłuchany z polskim, że dość szybko zorientował się, że facet w kółko powtarza to samo zdanie, czyli - niepoważnie traktuje jego pytania i tym samym łamie elementarne prawo klienta do wyczerpującej informacji. W końcu, słysząc po raz kolejny to samo zdanie, nerwy mu puściły i popisał się prawdziwie włoskim temperamentem. Przyskoczył do hydraulika i jak opętany zaczął wrzeszczeć na niego po niemiecku, co parę słów wplatając owo „zrobim“:

- Co to za jakieś gówno z tym zrobim, co on tu będzie mnie brać pod włos z tym zrobim? Róża, przetłumacz mu, że on tu nie będzie ze mnie robił idioty z tym zrobim!

Niestety, polski rzemieślnik z tych wściekłych wrzasków wyłuskał tylko swojsko brzmiące „Scheisse” i „Idioten” i nie dając mamie szansy na przetłumaczenie pretensji Antka, rzucił się na niego, drąc się przy tym na całe gardło:

- Ty włosko-niemiecki skurwielu, zaraz przymknę ci tego nie-wyparzonego ryja...

- Coś ten Antek ma w sobie, że wszyscy chcą go bić - stwierdziła mama tego dnia wieczorem przy kolacji. Antek leżał na kanapie w salonie z jednym woreczkiem lodu na szczęce i drugim pod okiem, ale za to z miną umęczonego bohatera narodowego. Byłam pewna, że słyszy nas przez otwarte drzwi.

- Popatrz na to z innej strony: gdyby Tom nie wrócił ze zdjęć do domu wcześniej niż zwykle, ten gbur pewnie by go zabił, w najlepszym wypadku ciężko uszkodził, tak więc, można powiedzieć, że miał niesamowite szczęście. W czepku urodzony.

Mama, Tom i Mara popatrzyli na mnie rozbawieni. Tom chciał nawet coś złośliwego dodać, ale położyłam palec na ustach, nakazując mu, żeby siedział cicho. Mama w lot zrozumiała, do czego zmierzam.

- Masz rację, ten chłopak to szczęściarz...

- Zdaje się, że tylko nie bardzo wierzy w to swoje szczęście, no i... w swój talent - musiałam zakasłać, bo nagle zrobiło mi się bardzo wesoło i bałam się, że parsknę śmiechem, szczególnie że Tom wtulił głowę w bluzę Mary, udając napad spazmatycznego płaczu. Wcale nie miałam zamiaru naśmiewać się z Antka, chciałam go raczej trochę pocieszyć. Z czasem przyzwyczaiałam się do jego dziwactw, nawet irytujące wykłady na temat zbawienego podziału ról między kobietą a mężczyzną traktowałam z przymrużeniem oka, bo zdawałam sobie sprawę, że kryją się za nimi jego problemy z kobietami, w tym z własną matką. Któregoś dnia, akurat po odbytej z nią burzliwej rozmowie telefonicznej, niespodziewanie mi się zwierzył.

- Możesz sobie wyobrazić, że zapomniała pójść do taty, możesz sobie to wyobrazić? - Antek miał łzy w oczach. - Zapomniała pójść na cmentarz, chociaż kilkakrotnie przypominałem jej, że dziewiętnastego jest trzydziesta czwarta rocznica taty śmierci. Powiedziała, że nic ją nie obchodzi ta przekłeta przeszłość i że nie zamierza spędzić całego życia przy grobie kogoś, kto dał się zabić dla idei. Dla niej bardziej liczy się kariera zawodowa niż pamięć jej męża, a mojego ojca. Ciągle tylko słyszę: „Miałam nagły przypadek,

musiałam odbyć dwa dyżury z rzędu, bo koleżanka zachorowała, mam ważny wyjazd". Rozumiesz? I tak w kółko...

Musiałam mu przerwać, bo po pierwsze, jak wpadał w taki nastrój, to nie mógł przestać gadać, a po drugie, wyszłam ze swojego pokoju tylko na chwilkę po filiżankę kawy; kończyłam właśnie jeden z rozdziałów, a z tym miałam zawsze najwięcej problemów, bo przejawiałam, zgubną dla całości historii, tendencję wprowadzania coraz to nowych wątków do nowych wątków i często sama nie mogłam się w tym połapać, a co dopiero czytelnik. Tak więc starałam się narzucić sobie żelazną dyscyplinę i nie odbiegać za daleko od głównego tematu, a to wymagało od mnie mniej fantazji, a więcej koncentracji.

- Ile ty masz lat?

- Co?

- Ile ty masz, do cholery, lat?

- Przecież wiesz, że dopiero co skończyłem czterdzieści.

- No właśnie.

- Co „no właśnie”?

- Chcę przez to powiedzieć, że najwyższy czas odczepić się od mamusi i przestać grzebać się w dzieciństwie, ono nie jest tak ważne, jak to usiłują nam wmówić różnego rodzaju żądni kariery i pieniędzy autorzy psychologizujących bestsellerów.

- I kto mi to mówi? Osoba, która przez dwanaście lat nie była w rodzinnym domu i która do własnego ojca mówi „pan” i udaje, że go nie zna?!

- Ja nie miałam ojca i go nie mam, i właśnie dlatego ci to mówię. Powiedz szczerze, czy ja wyglądam na nieszczęśliwego człowieka?

Antek patrzył na mnie w takim skupieniu, jakby od jego odpowiedzi zależały losy świata. Powoli na jego twarz wracały spokój i odprężenie.

- No, nie wiem, czy to pytanie można tak upraszczać. W końcu jesteś ładną, a nawet piękną kobietą, masz jakieś pieniądze, jesteś zdrowa, masz talent...

- Przecież wiesz, że to nie ma znaczenia, to są subiektywne oceny, raz może ci się wydawać, że jesteś piękny, a następnym razem nie będziesz mógł na siebie patrzeć. Z tym bogactwem jest podobnie, zależy, z kim chcesz się porównywać. Z głodującym Afrykaninem czy z multimilionerem z Long Island? Odpowiedz mi konkretnie na moje konkretne pytanie: czy ja wyglądam na szczęśliwego człowieka?

Nastąpiła chwila ciszy, choć wiedziałam, że Antek zna już odpowiedź.

- Jesteś najbardziej wyciszonym, zrównoważonym i szczęśliwym człowiekiem, jakiego znam...

- No widzisz - zawołałam, naprawdę uradowana tym werdyktem.

- ... chociaż czasami zdarzają się momenty, że sam nie wiem, co o tobie myśleć, jakbyś traciła kontakt z rzeczywistością, czy ja wiem zresztą... jakbyś nie zdawała sobie sprawy, co się wokół ciebie dzieje.

- To z tego pisania, powinnam robić sobie dłuższe przerwy i nie pisać po nocach. I... z przyzwyczajenia do samotności.

- Może. Ale powiedz, jak to zrobić, żeby być szczęśliwym, czy to w ogóle jest możliwe w dzisiejszych czasach?

- Antonio Leone, nie bądź dziecinny. Szczęśliwym można być zawsze. Ale szczęście to ani zaraźliwa choroba, którą można gdzieś złapać, ani zadanie z matematyki, w którym ktoś mógłby ci pomóc. Sam musisz na nie zapracować. Proste, co?

- Może masz rację - powiedział bez przekonania i zamyślony poszedł w kierunku wschodniego skrzydła pałacu, w którym znajdowała się wieża, zapewne aby zadzwonić znowu do mamy i poinformować ją, że od tego momentu kończy z przeszłością.

Tom nie należał do uciążliwych domowników. Nie miał specjalnych wymagań ani oczekiwań, jednak zaraz po tym, jak dowiedział się, że Antek zamierza pozostać w pałacu dłużej, zaczął upierać

się przy zmianie pokoju. Zajmowaną przez siebie bibliotekę - tak nazywaliśmy to pomieszczenie, bo stała tam olbrzymia oszklona szafa z książkami i z różnego rodzaju rupieciami - koniecznie chciał zamienić na pusty pokój sąsiadujący z moją sypialnią. Początkowo nie zgadzałam się na to, bo w ten sposób zostałabym pozbawiona pewnej intymności we własnym domu. Byłam pewna, że ta zamiana miała na celu zaznaczenie swojego terytorium przez Toma. W przeciwnym razie po co miałby to robić, to znaczy zamieniać pokoje? Rozbroił mnie jednak fakt, że Tom, który należał do największych leni, jakich w życiu spotkałam, w nocy, kiedy wszyscy spali, pomalował upatrzony przez siebie pokój resztkami różowej farby, bo tylko taka znajdowała się w pałacu po ostatnim malowaniu dziecinnego pokoiku Mary. A potem umył nawet okno, sam, bez pomocy Magdy, która zawsze chciała go we wszystkim wyręczać. No i zgodziłam się na tę przeprowadzkę.

Z Magdą były ciągle problemy, bo jej zaangażowanie przekraczało granice zawodowych obowiązków, które podjęła się wypełniać w naszym domu. W żaden sposób nie potrafiła zrozumieć, że przebywający w pałacu mężczyźni mają po dwie zdrowe ręce i nogi. Antek dobrowolnie zobowiązał się do robienia obiadokolacji, i tak też miało zostać, a ona nie powinna wyrywać mu z ręki noża i sama obierać warzywa; z kolei Tom, choć bez przesadnego entuzjazmu, sprzątał po wszystkich posiłkach w kuchni, co wcale nie wprawiało go w zły humor i nie rodziło kompleksów. Magda jednak nie dała sobie tego wytłumaczyć i przy każdej okazji rzucała się na pomoc jednemu czy drugiemu, mrugając do nich porozumiewawczo, że mogą się ulotnić, ona już to za nich załatwi, w końcu dla niej to nic wielkiego. Najbardziej skwapliwie z tych propozycji korzystał oczywiście Tom. Z Antkiem Magda miała ciężki orzech do zgryzienia, bo Włoch tak łatwo nie dawał się wyrzucić z kuchni, choć coraz częściej wykorzystywał Magdę do takich prostych czynności jak mycie sałaty czy obieranie marchewek. Zachowanie Magdy, szczególnie wobec Toma, doprowadzało mnie do białej gorączki, i to wcale nie ze względu

na udzielaną mu skwapliwie pomoc. Pewnego dnia, gdy poprawiałam pierwszą część mojej nowej powieści i nie potrafiłam się w ogóle skoncentrować, zagroziłam jej nawet, że straci u nas pracę, jeśli w dalszym ciągu będzie wyręczać Toma i Antka w ich obowiązkach. Zanim jeszcze skończyłam mówić, pożałowałam, że w ogóle zaczęłam ten temat. Magda wyglądała na obrażoną.

- A co w tym złego, że trochę im pomogę, w końcu chłop zupełnie nie nadaje się do kuchni! No, może z wyjątkiem Antka, po nim widać, że kocha to pichcenie. Ale on taki jakiś... czy ja wiem? Jak nie chłop... Jest pani zazdrosna czy co?

- Nie jestem zazdrosna, tylko chodzi mi o to, że w tym domu wszyscy jesteśmy równi, kobiety i mężczyźni, dorośli i dzieci...

- Ee, pani żartuje... to dzieci też?

- Co dzieci też?

- No, dzieciom też nie wolno pomagać?

- Nie chodzi o pomaganie, tylko o prawa i obowiązki. Nikt nie ma w tym domu specjalnych praw, bo nie ma ku temu powodu i nie wolno robić wyjątków. Rozumiesz?

- Nie. Bo chłop nie jest równy kobiecie, tak jak gruszka nie jest równa jabłku, a jak się zrównają, to nie będzie ani tego, ani tego. Będzie bez smalcu i po co nam to tak bez smaku? Nie wydaje się pani? Ja tam bym nie chciała, żeby chłopaki pozamieniały się w kobitki.

Przynajmniej była szczerą. Postanowiłam nigdy więcej nie rozczulać się na widok jej zniszczonych rąk. Oczywiście tego postanowienia nie dotrzymałam.

Tom, oprócz tego, że postawił na swoim i zamieszkał w pokoju obok mnie, zabrał się do fotografowania. Całymi dniami wędrował po okolicy, czasami brał samochód i jechał gdzieś dalej, czasami odwiedzał Kowalczyka i przy okazji korzystał z jego pracowni.

Pewnego dnia, było to pod koniec marca, kiedy jak zwykle o tej porze roku świat wokół nas tonął w błocie i szarzyźnie, Tom wrócił

do domu późno, dużo później niż zwykle. Byliśmy już po kolacji, na szafkach kuchennych i na stole piętrzyły się brudne naczynia po spaghetti z sosem pomidorowym. Tom miał iskierki w oczach, nigdy go jeszcze nie widziałam w takim stanie. Chwycił mnie mocno za rękę, mówiąc, że musi ze mną na osobności porozmawiać, i pociągnął w stronę naszych pokoi. Prawie biegnąc za nim, ujrzałam w przelocie obrażoną minę Antka i pomyślałam sobie, że chyba to nie jest normalne, żeby dorosły człowiek nie potrafił nawet w najmniejszym stopniu opanować swoich emocji.

Kiedy znaleźliśmy się w moim pokoju, Tom zamknął drzwi i uważnie mi się przyjrzał.

- Pięknie wyglądasz w tej sukience, jak wiosna, jak... piękna jesteś.

- Dziękuję. Włożyłam dzisiaj sukienkę, bo postanowiłam coś zmienić w moim życiu... ostatnio chodziłam tylko w spodniach.

- W spodniach też jesteś piękna.

Tom podszedł do mnie i łagodnie mnie objął, pachniał całym dniem spędzonym gdzieś wśród pól i zapadłych wsi - i czymś jeszcze, czymś, co spowodowało, że moje serce zaczęło bić jak oszalone, to chyba była miłość, tak pachnie chyba miłość. Pierwszy raz w życiu nie mogłam opanować drżenia ciała.

- Chciałem ci powiedzieć... ale to już nieważne - wyszeptał mi do ucha. - Kocham cię.

Jego usta, pachnące tym czymś, pachnące miłością, delikatnie, prawie nieśmiało przyłgnęły do moich. Tak mogłaby wyglądać wieczność - pomyślałam, wtapiając się w ciepło jego ciała... Ktoś pukał do pokoju, najpierw delikatnie, potem coraz głośniejsze, w końcu usłyszeliśmy otwierające się drzwi. Niechętnie, w dalszym ciągu się obejmując, odwróciliśmy się w kierunku intruza. To była Magda.

- O, przepraszam, że w takim momencie, ale przyszedł ten ni to Szwed, ni to Polak, chce z tobą rozmawiać, zresztą nikt nie chce z nim gadać, wszyscy gdzieś się rozlecieli.

- Norweg, nie Szwed - nie potrafiłam ukryć irytacji w głosie. - Na drugi raz zamknę drzwi na klucz, bo w tym domu czuję się jak na dworcu.

- Pani Kornelio, niech pani się nie wścieka, w końcu ma pani na te obmacanki całe życie.

- Masz rację - roześmiałam się, szczęśliwa na myśl o tych „obmacankach”, i szybko wybaczyłam Magdzie jej najście.

- Przyszedł Dahl? - Tom zaczynał już coraz więcej rozumieć po polsku.

Skinęłam głową.

- W takim razie zjem kolację, jeśli coś w ogóle dla mnie zostawiliście, i posprzątam cały ten bajzel... a naszą rozmowę dokończymy później - Tom wziął mnie za rękę i razem poszliśmy w kierunku kuchni. Nie bardzo zdawałam sobie sprawę dlaczego, ale nie chciałam spotkać po drodze Antka.

W mrocznym holu, tuż przy wyjściu na klatkę schodową, stał Jan Dahl. Na tle pustych, wysokich ścian i olbrzymich dwuskrzydłowych drzwi sprawiał wrażenie jeszcze bardziej drobnego, niż był, choć pałacowa sceneria podkreślała w jego twarzy i w sylwetce jakiś arystokratyczny rys, pewnego rodzaju wyniosłość, a może po prostu zwykłą arogancję.

- Mam nadzieję, że nie pokrzyżowałam ci planów na dzisiejszy wieczór? - Norweg lekko się uklonił z obojętnym wyrazem twarzy.

- Mamy telefon, chyba wiesz o tym - mój głos zabrzmiał zaskakująco łagodnie, patrzyłam na niego, przekrzywiwszy na bok głowę, jakbym przyglądała się niesfornemu uczniowi. Gdzieś ulotniły się cały ten lęk i agresja, które tak przytłaczały mnie przy pierwszym spotkaniu. Jego obecność w życiu Mary, w moim życiu, stała się faktem. Przede mną stał człowiek, który miał takie same oczy jak dziecko, które kochałam; miał takie same długie, szczupłe i chłodne palce jak dziewczynka, która zaczynała mi ufać, którą nauczyłam jeździć na wrotkach w sali balowej, której codziennie wieczorem czytałam do snu o dalekich, egzotycznych krajach,



przyrzekając przy każdym całusie na dobranoc, że pewnego dnia wybierzemy się w taką daleką podróż.

- Pięknie wyglądasz w tej sukience, jak... jak wiosna. Piękna jesteś.

- Dziękuję. To chyba przez te kwiatki, a poza tym w powietrzu czuć już wiosnę.

Mężczyzna uśmiechnął się, błysnęły jego równe białe zęby, pewnie w tym uśmiechu zakochała się moja siostra. Zaczynałam ją rozumieć.

- Możemy gdzieś usiąść? Gdzieś, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał?

Zaprowadziłam go do wieży, którą Antek na własny koszt i własnymi siłami jako tako wyremontował, oszklilił okna, wstawił tam starą ławkę ogrodową, mały okrągły stolik, elektryczny grzejnik z gorącym nawiewem, powiesił mosiężną, ciężką lampę z okresu Księstwa Warszawskiego. W sumie powstało dość przytulne pomieszczenie, chociaż ja wolałam to poprzednie, z powybijanymi szybami, z pajęczynami na sklepieniach, o ścianach odsłaniających swoją historię, na których czas zamazał różne napisy, i z dobrze widocznym sercem przebitym strzałą; tylko w wieży z popękkanymi szybami, czując podmuch wiatru na policzkach i we włosach, mogłam wyobrazić sobie, że latam. Wraz z Antkiem wkroczyła do tego pomieszczenia zwykła codzienność. Włoch szukał szczęścia na swój sposób; ustawiając wszystko w równych rzędkach, miał nadzieję, że pewnego dnia wyłoni się ono z tych misternych układanek jak z zaczarowanych puzzli.

- To miejsce jest jakieś dziwne.

- Dziwne?

- Mam takie wrażenie, jakby ktoś mnie obserwował... - Jan rozejrzał się uważnie po pustych, tonących w mroku kątach wieży.

- Jeżeli ktoś cię obserwuje, to tylko z góry - wskazałam brodą w kierunku otaczających nas ze wszystkich stron okien. Na dworze było już ciemno, wielki, prawie okrągły księżyc rozjaśniał niebo zimnym, metalicznym światłem. Żeby go zobaczyć, trzeba było podejść do okna, nosem dotknąć szyby.

- Wierzysz w Boga? - Jan stanął obok mnie i podobnie jak ja oparł czoło o szybę. Na szklanej tafli zaczęły tworzyć się sino-białe chmurki skroplonej pary.

- Wierzę w duszę.

- W duszę Luizy?

- W duszę Luizy też.

- Muszę ci to opowiedzieć, w każdym razie tę wersję, która wydaje mi się najbardziej prawdopodobna. Ta historia prześlada mnie bezustannie... Najgorsze jest to, że nie mogę ustalić prawdy, tego, co było naprawdę. Ciągłe wracają do mnie inne obrazy, inne odczucia, w moich wspomnieniach wszystko staje się możliwe, wszystko się zmienia. Odkąd cię pierwszy raz zobaczyłem, doszła do tego obsesyjna potrzeba opowiedzenia właśnie tobie tej historii, bo gdzieś w głębi świadomości miałem też pewność, że zrozumiesz... może dlatego, że masz w sobie ten dziwny, prawie fizycznie wyczuwalny spokój. Mogę usiąść?

W pierwszej chwili nie rozumiałam jego pytania, dopiero gdy je powtórzył, wzruszyłam ramionami i powiedziałam:

- Proszę bardzo, siadaj, ja będę stała, bo cały dzisiejszy dzień spędziłam przy biurku i bolą mnie teraz plecy od tego siedzenia.

Jakiś czas milczał. Nie przeszkadzało mi to, nigdzie się nie spieszyłam, ciemność za oknem miała niepowtarzalną, kojącą moc, niosła ze sobą silne poczucie bezpieczeństwa, tak jakby chciała mi powiedzieć: „Osłonię cię, wtul się we mnie, zapomnij, śnij...”.

Głos Jana przeciął panującą w wieży ciszę nagle i nieodwołalnie. Jego chłodne brzmienie rozbrzmiewało echem w pomieszczeniu, wypełniając całą przestrzeń; nie sposób było przed nim uciec, przyjazna ciemność za oknem przestała się liczyć.

- Opowieść o Luizie, o moim związku z Luizą, muszę zacząć od swojej matki, bo to pewnie ona jest kluczem do całej tej historii... Wyszła za mąż za młodego norweskiego lekarza w kilka lat po wojnie. Pochodziła z polskiej rodziny, która w panicznym strachu przed Rosjanami opuściła zniszczoną wojną Polskę. Europa znaj-

dowała się w stanie zimnej wojny, i miało to dla naszej rodzinnej historii znaczenie o tyle, że dla takich ludzi jak moi polscy dziadkowie i ich dzieci nie było możliwości powrotu do kraju. Pielęgnowano więc miłość do ojczyzny jako najwyższą wartość, nie mając serca dla kraju i ludzi, którzy udzielili im gościny. Moja matka była prawdziwą pięknoscią: jej ciemne, melancholijne oczy kontrastowały z mleczną, delikatną cerą i jasnymi włosami w kolorze lnu. Mój ojciec kochał ją szalenie do ostatniego dnia, do dnia swojej śmierci. W przeciwieństwie do matki... Ona nigdy go nie kochała, z czym się wcale nie kryła, ona kochała tylko jakiś wyidealizowany obraz swojej ojczyzny, której właściwie nie знаła. Wyszła za niego, aby zapewnić sobie byt... zresztą często to podkreślała, bo niby była taka uczciwa. Również mnie, a byłem jej jedynym dzieckiem, nigdy nie kochała. Trochę się to zmieniło po śmierci ojca, ale wtedy byłem dorosły i nie potrzebowałem już tak bardzo jej miłości...

Na początku lat osiemdziesiątych w Europie Zachodniej i w Stanach zaczęli się pojawiać liczni emigranci - przede wszystkim z Polski, ale i z innych krajów bloku wschodniego. W tym oczywiście kobiety, dużo kobiet, dużo młodych kobiet, dziewcząt, wszystkie w poszukiwaniu lepszego życia. Można było spotkać je wszędzie, sprzątały w biurach, w prywatnych domach, były kelnerkami, zaroiło się od nich w nocnych lokalach, w burdelach, ale nie tylko, bo i na uczelniach, w szkołach językowych... wyczuwałem je natychmiast, wyłuskiwałem z tłumu, bezbłędnie rozróżniałem je już z daleka, nawet te, którym się już powiodło, które znały już język, dostały porządną pracę, mogły kupić sobie dobrej jakości ubrania, kosmetyki... byłem wtedy przekonany, że wszystkie, bez wyjątku, chciały przede wszystkim jednego: tak jak moja matka zdobyć na Zachodzie męża, nic nieprzeczuwającego naiwniaka, który będzie je kochał, ale przede wszystkim da poczucie bezpieczeństwa, które złagodzi niszczącą świadomość wyobcowania. Nim spotkałem Luizę, miałem kilka przelotnych romansów z Polkami, żadna z nich nie chciała pogodzić się z rozstaniem, wszystkie wyobrażały sobie, że tak czy

owak w końcu weźmiemy ślub... Były błagalne prośby i dzikie groźby, na szczęście dzięki mojej pracy byłem prawie nieuchwytny i to znacznie zmniejszało ryzyko poważnych komplikacji - Dahl zaśmiał się cierpko i po raz pierwszy zrobił dłuższą pauzę, tak jakby ponownie zastanawiał się nad swoją opowieścią, jakby zastanawiał się, czy aby czegoś nie przeoczył, a może nad tym, czy powiedział prawdę. Nie oczekiwał ode mnie żadnych pytań, żadnych komentarzy. Przez chwilę miałam nawet wrażenie, że zapomniał o mojej obecności w wieży, a jeśli nie, to zapomniał, kim jestem, do kogo mówi.

- Nie miałem z tego powodu żadnych rozterek ani żadnych wyrzutów sumienia, koledzy mówili nawet o mnie żartobliwie „łowca Polek”, mówili też o moim polskim „fanklubie”. Śmiałem się, że to one na mnie polują... a ja chcę tylko podszkolić mój polski. Tak było, dopóki nie spotkałem Luizy. Luiza była inna. Przy pierwszym spotkaniu, na lotnisku we Frankfurcie, zauważyłem tylko, że jest bardzo piękna, piękniejsza niż wszystkie inne spotkane przeze mnie Polki, zresztą nie tylko Polki, kobiety w ogóle. Dziwiłem się, jak to jest możliwe, że nie otacza jej tłum mężczyzn. Siedziała sama w pomieszczeniu dla członków załóg międzynarodowych linii lotniczych i czytała książkę. Po prostu tak jak to robi tysiące, miliony kobiet na świecie, siedziała lekko pochylona nad swoją książką i czytała... ale tak jakby świat poza tą książką nie istniał. Nie wiedziała, że już od jakiegoś czasu stoję przed nią, zapatrzony w jej pochyloną głowę. Miała włosy tego samego koloru co moja matka. Kiedy wreszcie jej oczy napotkały mój wzrok, zobaczyłem w nich jednocześnie poczucie bezgranicznej samotności i jakiś taki dziwny, kojący spokój. Uśmiechnęła się do mnie, chociaż teraz wydaje mi się, że uśmiechnęła się do swoich myśli... podczas naszego ostatniego spotkania powiedziała mi, że już wcześniej wiedziała o tym, że się spotkamy, że nasze drogi się skrzyżują. Czasami wydawało mi się, że Luiza zna prawdę o mnie. O nas. Mam nadzieję, że masz jeszcze na tyle cierpliwości, aby wysłuchać mnie do końca?

Nie od razu skojarzyłam, że mnie o coś pyta. Myślami byłam przy mojej siostrze, wyobrażałam sobie, jak uśmiecha się do swoich myśli, jak powoli odkłada na bok książkę o leczniczej mocy ziół, jak bez pośpiechu wstaje, bo wie, że mężczyzna stojący przed nią jest jej przeznaczony, jak jedną ręką machinalnie wygładza niewidoczne fałdy służbowej spódnicy a drugą wyciąga w kierunku nieznanego.

- Do jakiego końca? - spytałam machinalnie.

- Do końca mojej historii, mojej i Luizy.

- Wasza historia nie ma końca. Jest Mara. Ale mów, mów, cały czas cię słucham - mój głos znów zabrzmiał łagodnie, za łagodnie.

Jeszcze niedawno byłam gotowa go zabić, nienawidziłam go za to, że zranił moją siostrę, za to, że zranił dziecko, za które czułam się odpowiedzialna. Czy również za siebie samą? Tego nie byłam pewna, bo moja historia była tak odległa, że aż nierealna. Wszystko, co z tamtego czasu pamiętałam, było nierzeczywiste, zmieszane z podsuwanymi przez wyobraźnię obrazami i uczuciami. Które były prawdziwe? Które były potrzebne i ważne? Nie wiedziałam. Byłam skłonna wierzyć, że życie wtapia w siebie całą tę przeszłość, tak aby można było żyć dalej, aby można było na przykład kochać małą, samotną dziewczynkę o ciemnych, głęboko osadzonych oczach.

- Od tej chwili, to znaczy od chwili spotkania Luizy, rozpoczęło się w moim życiu jakieś szaleństwo. Za wszelką cenę i na wszystkie sposoby próbowałam tak ustawiać swoje loty, aby jak najczęściej gdzieś w świecie móc ją spotkać, brałam wszelkie zastępstwa, jeśli tylko dzięki nim mogłam choćby przez godzinę pobyc z Luizą, czasami nawet latałam jako pasażer. To było jakieś opętanie, które nie opuściło mnie nawet po jej śmierci. Luiza przyjmowała moją miłość z niedowierzaniem, że to właśnie ją wybrałam, dawała mi przy tym odczuć, że jestem najwspanialszym mężczyzną na świecie, Przy czym z nas dwojga to ona była kimś szczególnym, to ona była Pięknym, niepowtarzalnym w swej subtelności człowiekiem. Tylko że ja nie chciałem, nie mogłem w to uwierzyć, gdzieś w głębi, w najciemniejszym zakamarku mojej duszy, zagnieździł się obraz

wyrachowanej kobiety-pnącza, niezdolnej do miłości... Ta miłość, pierwsza prawdziwa miłość w moim życiu - a właściwie to opętanie miłością - była dla mnie męką. Człowiek sam jest sprawcą swojego piekła. Luiza zdawała się nie dostrzegać moich rozterek, była czuła, ciepła, cieszyła się jak dziecko z każdej najmniejszej okazywanej jej czułości. Nigdy nie mówiła o przyszłości, naszej przyszłości, co z jednej strony napawało mnie rozpaczą, że nie traktuje naszego związku poważnie, że w końcu odejdzie, bo w końcu zauważy, jaka jest piękna, że może mieć każdego mężczyznę, zazdrość jest jak rak toczący duszę... z drugiej strony rosło we mnie przeświadczenie, że ta piękna kobieta musi być szczególnie przebiegła i powoli zastawia sieci. Poszedłem nawet do naszego lotniczego psychologa... powiedział mi to, co już od dawna wiedziałem - zaśmiał się gorzko. - Domyślasz się, co mi powiedział? - wstał i podszedł do okna, przy którym cały czas stałam nieruchomo. Przybliżywszy swoją twarz do mojej, tak jakby chciał pocałować mnie w usta, prawie szeptem powtórzył pytanie: - Domyślasz się, co mi powiedział?

Przez chwilę nie mogłam zebrać myśli, jak zahipnotyzowana patrzyłam na jego usta, w jego ciemne oczy, otoczone misterną siateczką zmarszczek, aż wreszcie usłyszałam swój obco brzmiący, niżony do szeptu głos:

- Nie było trudno odgadnąć: Luiza nie jest twoją matką, a ty nie jesteś twoim ojcem.

Odwróciłam się do niego plecami, jakoś dziwnie boleśnie odczuwałam bliskość jego twarzy, jego ciała. Ale Dahl nie cofnął się ani na pół kroku. Czułam na włosach i karku jego przyspieszony oddech. Czułam na plecach jego wzrok.

- Gdyby to było takie proste. Nie zgadzałem się ze zdaniem psychologa, jak maniak powtarzałem, że jesteśmy sumą doświadczeń naszych ojców i matek, że jesteśmy naznaczeni piętnem ich losu. Ale wyszedłem z jego gabinetu uspokojony, a może raczej pogodzony, i postanowiłem nie buntować się już więcej przeciwko tej miłości, przeciwko Luizie.

Przez następnych kilka miesięcy byliśmy chyba najszczęśliwszą parą na świecie, jak w hollywoodzkim filmie o miłości... Wydawało mi się nawet, że z oczu Luizy zniknął ten wyraz smutku i samotności, że stawała się pewniejsza siebie... Dziwiło mnie tylko, że nie chciała zrezygnować ze stałego miejsca zamieszkania w Polsce, ciągle mówiła o domu, w którym mieszkała z matką, jak o swoim domu, azylu. Uparcie trwała przy tym, że Zachód nie jest dla niej, dziwiła się, że potrafiłaś odejść z domu bez oglądania się za siebie... Wiesz, co mówiła o tobie?

- Boisz się usłyszeć głos zza grobu? - zapytał z ironią w głosie. Odwrócona do niego plecami, wpatrywałam się w okno, w tę

miętko otulającą nas ciemność, i nie miałam zamiaru wdawać się w rozmowę o moich i Luizy siostrzanych uczuciach. Ale choć Dahl pozostawał poza tym, co łączyło mnie z siostrą, nie mogłam zignorować jego pytań, fizyczna bliskość tego mężczyzny była jak przymus. Jakby od niechcenia rzuciłam w ciemność za oknem:

- Z nas dwojga to ty boisz się tego głosu zza grobu. Męczą cię sny, w których nie ma obrazów, ale jest głos. Głos Luizy.

Spodziewałam się tej ciszy, która nastąpiła po moich słowach. Zdecydowanym szarpnięciem otworzyłam zacinające się okno. Do wieży wdarło się wilgotne wiosenne powietrze, to samo, które ostatni raz wypełniło płuca skaczącej w przepaść hrabiny. Podobno nikt nie słyszał jej krzyku ani wcześniej, ani w sekundzie śmierci. Będąc małą dziewczynką, wielokrotnie wyobrażałam sobie ten moment, w którym nieme ciało kobiety spada w dół, i za każdym razem nie mogłam przeboleć, że nie potrafiła latać jak ptak, szybować jak postacie w ilustrowanej przez Chagalla Biblii.

Najpierw dobiegło nas cichutkie, delikatne pukanie, zaraz potem skrzypnęły powoli otwierane drzwi. W drzwiach stała Mara. Widać było, że wbiegła po schodach na górę, bo jej zazwyczaj blade Policzki były lekko zarumienione. Głośno oddychając, patrzyła to na mnie, to na Dahla, aż w końcu nieśmiało zapytała:

- Już po dziewiątej, muszę iść spać, a nikt mi jeszcze nic nie przeczytał... przyjdiesz zaraz do mnie? A może Jan mi dzisiaj poczyta? Kornelia? A ty mi dasz później buzi na dobranoc?

- Pewnie, nie ma sprawy, Jan może ci poczytać, a jak skończycie, to mnie zawołasz - wymijając Dahla, podeszłam do dziewczynki i sama nie wiedząc dlaczego, uściskałam ją mocno, tak jakbym się z nią żegnała na dłużej.

- Bardzo chętnie ci poczytam, tylko że ja nie umiem czytać po polsku... chyba że po niemiecku?

Zachichotałyśmy obie jak na komendę, o wiele za głośno i za wesoło, i poczułam, jak opuszcza mnie nieznośne napięcie, które towarzyszyło rozmowie z Norwegiem.

- Ale chętnie ci coś opowiem, znam wiele norweskich bajek, może ci się spodobać.

- Znasz jakieś o podróżowaniu, o dalekich krajach?

- O, dalekie kraje i podróże to moja specjalność, znam niezliczoną ilość takich historii.

- Niezliczona ilość to ile to jest? Pięćdziesiąt milionów?

- Ilość niezliczona to taka, której nikt nie jest w stanie zliczyć.

- Nawet komputer? Taki, wiesz, jaki mają wynalazcy? Schodzili przede mną wąskimi schodami, Mara pierwsza, za nią

Dahl. Była to rozmowa córki z ojcem. Łączyły ich ciemne oczy. I coś jeszcze. Może to była mądrość i miłość tego dziecka?

Dahl zajął pokój nazywany przez nas biblioteką. Powiedział, że to tylko na kilka dni.

Już następnego dnia podczas śniadania przyłgął do Toma. Na początku ujął go pewnie swoją pomocą przy sprzątnięciu kuchni i propozycją, że w czasie jego pobytu w pałacu on się tym zajmie, z wyjątkiem kolacji, z zastrzeżeniem, że jak zajdzie taka potrzeba, to i wieczorem posprząta. W ten sposób Tom pozbył się większej części uciążliwych dla niego obowiązków, a Dahl zyskał od razu



ważnego sprzymierzeńca. I stali się nierozłączni, to znaczy Dahl stał się cieniem Toma. Chodził za nim na zdjęcia, jeździł do Kowalczyka, asystował w kuchni przy wieczornym sprzątaniu, siedział obok Toma, gdy ten opracowywał graficzny projekt albumu. Nigdy nie widziałam, żeby dużo ze sobą rozmawiali, choć niemiecki Dahla był prawie bez zarzutu, podobno wszyscy Norwedzy łatwo uczą się języków i świetnie mówią po niemiecku i angielsku. Nasz Norweg potwierdzał tę opinię. Pod wpływem Mary zaczął uczyć się nawet czytać i pisać po polsku, szło mu to całkiem nieźle, po dwóch tygodniach przeczytał nam przy kolacji fragment z jakiejś polskiej gazety.

Antek był zazdrosny o Dahla, nawet o to, że ten tak szybko nauczył się czytać po polsku. Na każdym kroku krytykował go, szukał powodu do kłótni, codziennie pytał, kiedy wreszcie wróci do tej swojej Norwegii. Dahl niezmiennie udawał, że nie słyszy jego zaczepek, chwalił za każdym razem wspaniałą kuchnię Włocha i w rezultacie zdawał się go ignorować. I pewnie to właśnie tak rozjuszało Antka.

Nadejście wiosny pobudziło w Antku potrzebę tworzenia poezji i gotowania. Chwilami miałam wrażenie, że ten niezwykle wrażliwy mężczyzna zatracił się całkowicie w przyrządzaniu nowych potraw, czemu towarzyszyło, niczym uciążliwy refren, narzekanie na brak odpowiednich składników. Obsesyjnie też oddawał się pisaniu, tworząc różne wersje tego samego wiersza. Zdarzało się, że było ich aż kilkadziesiąt. Pewnego niedzielnego poranka, przy śniadaniu, poważnym tonem poprosił o uwagę. Nalał nam do kieliszków prawdziwego szampana, którego trzymał pewnie na specjalną okazję w swojej przepastnej walizie, i oznajmił:

- Jesteście moimi przyjaciółmi i dlatego chcę razem z wami uczcić ten wielki dzień. Dzisiaj w nocy odkryłem coś, co do tej pory było jedynie czymś w rodzaju przecucia, instynktownej pewności, że wszystko, co robię, jest właściwe. Jestem szczęśliwy i czuję, że teraz mogę zacząć żyć, bo wiem, jak to robić, wiem, jak chcę żyć.

- Gadane to ty masz, ale dzisiaj się streszczaj, na dygresje przyjdzie czas, gdy będzie padało. Szkoda tego doskonałego światła na pogaduszki - Tom zwrócił głowę w stronę okna, za którym rozciągał się park skąpany w promieniach słońca.

- Tom?! - mama skarciła go wzrokiem. - Daj się chłopcu wygadać, powiedz o tym, co leży mu na sercu.

- Chłopcu? Róża! Przecież to stary koń przebrany za wiecznego maminsynka.

- Daj spokój, Tom, daj mu się wygadać - Dahl uśmiechnął się wyrozumiale i puścił oko do Toma.

- Co wy, pedały jesteście czy co? Chyba tak, chyba pedały, tak się ostatnio prowadzą za rącz... - Antek nie zdążył skończyć słowa, kiedy Tom rzucił się w jego kierunku.

Mara zawołała na całe gardło:

- Kornelia, co to jest pedał?

Pytanie dziecka ostudziło chyba trochę mordercze zapędy Toma, bo wrócił tam, gdzie siedział, niewyraźnie przepraszając za swoje zachowanie.

- Mogę mówić dalej? - Antek westchnął z ulgą i nie czekając, aż ktoś coś powie, ciągnął dalej swoje wyznanie:

- Tak więc dzisiaj w nocy uświadomiłem sobie to, co do niedawna tylko czułem, nie potrafiąc tego nazwać. I jeśli miałem do tej pory jakieś wątpliwości, to teraz ich nie mam, teraz wiem już wszystko na pewno. W ciągu ostatnich miesięcy wielokrotnie pytałem siebie: „Co ty, Antonio, tutaj robisz? Czy twoja decyzja porzucenia świetnie prosperującego interesu w Monachium aby była słuszna?”. I wiecie, co odkryłem? To była jedyna możliwa słuszna decyzja. Czy wiecie, że znajdujemy się w kraju dwojga żyjących noblistów w dziedzinie literatury i że w dodatku dostali oni Nobla za poezję!? W tym kraju tworzy się poezję! - Antek popatrzył na nas z triumfem.

Wszyscy, oprócz mnie, siedzieli z kamiennymi twarzami, bo tylko ja, z całkowicie niezrozumiałych powodów, nie potrafiłam

powstrzymać rozpierającej mnie wesołości. Byłam pewna, że jeśli nie parsknę śmiechem, to się uduszę.

- To jakiś napad hysterii, co, Kornelia? - Antek skarcił mnie tonem tatusia przywołującego do porządku niesforne dziecko.

- Tutaj tworzy się poezję, ujmuje się w słowa najbardziej wyrafinowane, najsubtelniejsze uczucia dane człowiekowi. Poezja to przecież synteza słowa. I może bym się na ciebie, Kornelia, gniewał za ten twój głupawy chichot, gdyby nie to, że to właśnie ty przywiozłaś mnie do tego kraju. Uratowałaś mi życie.

Antek podszedł do mnie i pocałował mnie w rękę. Na szczęście odechciało mi się śmiać. Przypomniałam sobie jego lzy podczas naszej podróży do Polski i poczułam wobec niego bezgraniczną czułość. Stał przede mną trochę zagubiony, trochę zwariowany, ale niewątpliwie niezwykle wrażliwy człowiek. Cieszyłam się, że potrafił pozbyć się większości lęków, które usiłowały nim zawładnąć. Chyba odgadł, o czym myślę, bo uśmiechając się do mnie, cicho zapytał:

- Pamiętasz te kajdanki w samochodzie?

- O, w mordę! Czy jest coś, o czym ja nie wiem? Róża, słyszałaś, o czym on mówi? I to przy dziecku!

- Słyszałam, pewnie, że słyszałam, ale Kornelia od dziecka żyje tak, jak jej się podoba.

- Dajcie spokój tym kajdankom, Antek nosi je ze sobą jako talizman, po tacie, zastrzelonym policjancie. Prawda, Antek?

- Prawda. Uratowały kiedyś życie mojemu ojcu, to znaczy za pierwszym razem... Mam je od dziecka i są dla mnie pewnym symbolem. Przyrzekłem sobie, że gdy wydarzy się w moim życiu coś naprawdę ważnego, coś, co zmieni mój los - wyrzucę je. Krótko mówiąc, przyjazd tutaj oznacza odrodzenie. Dlatego chcę, abyście mi w tym pomogli.

- Wrzuć je do stawu w parku! - Mara była zachwycona swoim pomysłem. - Tam jest tyle mułu, że na pewno nigdy się ich stamtąd nie wyciągnie.

Nikt nie miał lepszego pomysłu. Antek początkowo trochę się ościągwał, w końcu chyba z braku rozsądnych alternatywnych propozycji dał się przekonać i wszyscy zgodnie udaliśmy się nad staw.

Dzień był bezwietrzny i słoneczny, wydawało się, że czarno-zielona tafla wody na moment znieruchomiła, jakby wstrzymała oddech. Staliśmy na grobli wznoszącej się ponad poziom terenu jak jedna wielka rodzina rozkoszująca się krystalicznie czystym, rześkim porannym powietrzem.

- Antek, jeszcze raz dobrze się zastanów, czy aby na pewno chcesz pozbyć się tej pamiątki po tacie? - mama z powątpiewaniem patrzyła na trzymany przez niego metalowy przedmiot. Nigdy nie była sentymentalna, nie mogła być sentymentalna, wychowując samotnie dwie córki i dbając o zwierzęta przeznaczone, prawie bez wyjątku, na ubój w rzeźni. Ale znała się na ludziach, potrafiła zrozumieć, co czują. To jest cecha ludzi inteligentnych, dojrzałych, najczęściej pozbawionych niepotrzebnych złudzeń.

Antek nie powiedział już nic, tylko wziął mocny zamach i rzucił kajdanki w kierunku środka stawu. Leciały dużym łukiem, połyskując w promieniach jaskrawego słońca niczym tajemniczy klejnot, który lada moment przemieni się w ptaka o srebrzystych piórach. Wpadły do wody z cichym pluskiem i już stały się przeszłością, tak nierealne, jakby ich wcześniej nie było. Przez dłuższą chwilę staliśmy nieruchomo, wpatrując się w miejsce, gdzie wiatr wygładzał ledwo już widoczne kręgi na wodzie.

Nagle w przerywaną szczebiotem wróbli ciszę wdarły się dochodzące od strony pałacu histeryczne nawoływania Madzi:

- Pani Rózo, pani Kornelio! Pani Rózo!!!

Ujrzeliśmy ją, jak wybiega zza drzew, i po raz drugi tego dnia zaparło nam dech w piersiach: widok naszej pomocy domowej był równie poruszający, co obraz wpadających do wody kajdanek. Ubrana w falujące na wietrze, szerokie białe spodnie i białą jedwabną bluzkę z żabotem biegła po nierównym terenie niczym ruszający"

do ataku żołnierzy. Jej fryzura, zwykle ograniczająca się do końskiego ogonka, teraz przypominała wymyślne kompozycje na głowach malowanych przez neorafaelitów postaci. Setki cienkich loczków unosiły się w powietrzu wokół twarzy umalowanej w stylu japońskiej gejszy z Gion w Kioto.

- Chryste! Madzia! Co z tobą? - Tom najszybciej z nas wszystkich odzyskał mowę, polską mowę, bo zdanie to powiedział po polsku, w końcu Madzia rozumiała wyłącznie w tym języku.

- Wrócił! Mój Marek wrócił! Wszystko co do szczegółu się sprawdziło, tak jak pani Kornelia przepowiedziała. Pani Rózo, pani córka to... - Magda gwałtownie urwała, bo w końcu zauważyła osłupienie w naszych oczach. Jej zaróżowione pod grubą warstwą podkładu policzki nabiegły krwią.

- Co się tak na mnie gapicie? Człowieka nie widzieliście czy co? W końcu to dzisiaj święta. Czy zapomnieliście o tym, bezbożnicy?

- Cieszę się, że twój mąż przyjechał, może jakoś ułożycie sobie życie od nowa - jak zwykle mama potrafiła się odpowiednio zachować, wystarczyło jednak spojrzeć na jej minę, żeby się przekonać, iż ma co do tego spore wątpliwości. - Zostanie tym razem na dłużej? Bo jak nie, to już ci mówiłam, weź kija i wygoń go z domu.

Madzia nie sprawiała wrażenia kobiety, która chce wygnać marnotrawnego męża z domu. Jej oczy promieniały radością.

- Obiecał, że będzie przyjeżdżał na każdą niedzielę, najrzadziej co drugą. Ma teraz świetną pracę, taką z ubezpieczeniem, i nie chce jej stracić, no i pieniądze na życie też będzie nam dawał... miał już taki zamiar, zanim przyszły te pisma z ambasady i od jakiegoś adwokata z Niemiec. - Madzia popatrzyła na mnie pytająco, bo nie wiedziała, że poprosiłam jednego z kolegów Thomasa, też prawnika, o interwencję w tej sprawie. Biedna kobieta nie miała pojęcia, jak sprawnie i szybko można w Niemczech otrzymać alimenty, szczególnie jeśli ktoś ma stałą pracę.

- To pewnie ambasada wzięła prawnika, bo jak ktoś założył rodzinę, to ma związane z tym obowiązki, na przykład musi łożyć na jej utrzymanie - nie miałam zamiaru rozwodzić się dalej na ten temat, bo nie chciałam psuć Madzi nastroju. Była szczęśliwa i w tym momencie tylko to się liczyło.

- Aha, pewnie tak było - potwierdziła niepewnie i zamykając temat okoliczności powrotu męża, dodała szeptem:

- Jak mi Mara powiedziała, że pani potrafi przewidywać przyszłość, to za bardzo jej nie wierzyłam, sama pani wie, jaką ona ma fantazję, ale powiedziałam sobie: „Madzia, musisz spróbować, i tak nic nie masz do stracenia”. No i widzi pani, wszyściutko, co mi pani przepowiedziała, sprawdziło się. Aż mnie dreszcz przechodzi, jak o tym pomyślę.

Uśmiechnęłam się zażenowana, bo wszyscy uważnie przysłuchiwali się temu, co mówi. Nie wiedziałam, ile z tego zrozumiał Tom z Antkiem, ale przyglądali mi się z ciekawością, więc zgadywałam, że dotarł do nich sens wypowiedzianych przez Magdę słów. Poza tym słyszały to mama i Mara, no i oczywiście Dahl, który nie wiedząc czemu uśmiechał się z zadowoleniem.

Gdybym wtedy powiedziała Magdzie, że zamiast bawić się w przewidywanie przyszłości trzeba działać, bo przyszłość jest otwarta, bo przyszłość zależy od tego, co zostanie zrobione, pewnie by mi nie uwierzyła, a już na pewno nie dałabym jej nadziei, która pomogła jej znieść samotność długich zimnych wieczorów, kiedy jedyne ukochane dziecko leżało z gorączką w łóżku lub kiedy opowiadało o brutalnych ciosach szkolnego kolegi, który już trzeci raz powtarzał tę samą klasę, lub kiedy rozmyślała o imieninach kuzynki, na które, już tradycyjnie, jej nie zaproszono, bo kobiet bez mężczyzn przezornie w domach nie goszczono.

Ale Madzia ufała bardziej siłom nadprzyrodzonym niż własnym niewykorzystanym możliwościom. Szkoda, że nikt jej nie nauczył, że jedno nie wyklucza drugiego i że nie istnieje coś takiego jak fatalizm losu, i wszystko można zmienić. Wszystko? Luiza

wiedziała, że zginie. I nie zrobiła nic, aby ratować swoje życie, bo pewnie do końca łudziła się, że przecucie ją myli, i tak jak małe dziecko dotyka palcem ognia, mimo że przeczuwa ból, tak i Luiza nie zrezygnowała z latania.

Życie w pałacu wróciło do codzienności, chociaż każdy z nas miał poczucie, że ten epizod nad stawem był kolejną niewidzialną nicią, która połączyła nasze serca.

Mama prawie nie bywała w domu. Większość dnia spędzała w miasteczku, załatwiając urzędowe sprawy związane z kupnem pałacu. Zaraz po otrzymaniu formalnej decyzji o prawie pierwokupu przystąpiła do porządkowania należącego do pałacu parku. Najpierw postanowiła zająć się ogrodzeniem. Przez kilka dni debatowała na ten temat z różnymi ludźmi, bo okazało się, że otoczenie jakimś płotem tak dużego kawałka ziemi jest niezmiernie kosztowne, a większość starego ogrodzenia, z wyjątkiem kamiennego fragmentu od frontu, nadawała się tylko do wymiany. W końcu zdecydowała się podzielić prace na dwa etapy: najpierw zleciła naprawić istniejący mur i bramę wjazdową, potem przylegającą do niego siatkę, a tył parku graniczący z polami uprawnymi pozostał, podobnie jak to było za czasów pegeeru, nieogrodzony.

Zaraz po świątach wielkanocnych, w kilka dni po załatwieniu wyszczerbionych fragmentów starego muru przy głównym wjeździe, ktoś namalował sprayem faszystowską swastykę i koślawymi literami napisał *Juden mus*. Tego wieczoru zastanawialiśmy się przy kolacji, co z tym napisem zrobić, w końcu zdecydowaliśmy się udawać, że go nie ma, bo mama była pewna, że jak tylko go zamalujemy, na jego miejscu pojawi się nowy. I tak też zostało. W związku z tym wydarzeniem miałam okazję zastanowić się nad złożonością stosunków międzyludzkich i stwierdziłam, że ten, kto napisał to zdanie, pewnie miał na myśli wszystko inne niż rasizm, a już na pewno nie konkretnie Żydów, że słowo Jude, Żyd, odarte

ze swojego znaczenia, stało się znakiem wszelkich frustracji, wyrazem agresji i niemocy.

Z czasem przestaliśmy zauważać ten napis.

Wszyscy mieszkańcy pałacu starali się pomagać mamie w porządkowaniu parku. Grabiliśmy, zbieraliśmy suche gałęzie, które potem Tom ciął na małe kawałki do kominka w salonie. Ale przede wszystkim zbieraliśmy śmieci. Park był olbrzymim śmietniskiem, do którego okoliczni mieszkańcy po kryjomu, ale bez większego skrępowania, wrzucali wszelkie możliwe odpadki. Część z nich zakopywali płytko w ziemi, część po prostu zostawiali na ziemi, i z czasem przykryły je obumarłe chwasty, trawy i zbutwiałe liście. Inne leżały po prostu w kupkach, najczęściej tuż przy ogrodzeniu, blisko drogi. Mama powiedziała nam, że jeśli sami nie wykopujemy tych śmieci, wypluje je ziemia, wyrzuci z siebie jak jątrząca rana cuchnącą ropę. I rzeczywiście miała rację, nawet na najstaranniej przekopanych i wygrabionych miejscach jeszcze latami znajdowaliśmy potłuczone butelki, zardzewiałe kapsle, zakrętki i resztki plastikowych torebek.

Lubiłam tę pracę, bo grabiąc i kopiąc, mogłam zapomnieć o bożym świecie czy wręcz pogрузić się w medytacji. Podobnie czułam się kiedyś, biegnąc, ale teraz wracając do domu, mogłam patrzeć na efekty swojej pracy i wypełniała mnie bezgraniczna radość. W każdym razie to uczucie radości rozpierało mi piersi, musiałam robić głęboki wdech i wydech, nawet pisanie nie sprawiało mi takiej przyjemności, może dlatego że pisałam na zamówienie? A ten kawałek ziemi nic ode mnie nie wymagał, po prostu był wtopiony w rytm natury, mógł dawać, dawać, nie chcąc nic w zamian.

W naszym parku rósł miłorząb, drzewo długowieczności, proste i smukłe w młodości, z wiekiem coraz bardziej rozłożyste. Lubiłam je najbardziej ze wszystkich drzew, może dlatego, że jego rodowód sięgał epoki sprzed dinozaurów, a może dlatego, że latem usiane było tysiącem małych, zielonych wachlarzyków. Nasz miłorząb ocalał na szczęście z katastrofy powojennych zniszczeń, choć jego



gładki ciemnoszary pień pokryty był bliznami po śladach miłosnych wyznań i innych deklaracji wrytych ostrym nożem.

Pewnego wieczoru - na dworze akurat zaczęło zmierzchać - zmęczona całodziennym siedzeniem przy komputerze wyszłam na chwilę do parku, aby rozprostować plecy i odetchnąć świeżym powietrzem. I wtedy ją zobaczyłam, nieruchomo opartą o twarde pień naszego miłorzębu. Nie od razu mnie dostrzegła, na pewno mnie nie dostrzegła, bo w jej postaci było coś, czego nigdy do tej pory nie widziałam: stała z głową ciężko opartą o drzewo, a ramiona, zawsze tak proste, teraz były opuszczone i wyrażały niemoc. Na tle tego olbrzymiego rozłożystego drzewa wydała mi się krucha, bezbronna i obca. W pierwszej chwili chciałam jak najszybciej od niej uciec, w końcu jednak zdecydowałam się zostać, bo nie byłam pewna, czy przypadkiem mnie już nie zauważyła.

- O czym tak rozmyślasz? - spytałam, a w tonie mojego głosu niepotrzebnie pojawiła się nuta lekkiej ironii. Jeszcze na mnie nie patrząc, prostowała się powoli, szyja odzyskiwała władzę nad bezwładnie zwisającą głową, w mięśnie zwiotczałych ramion na nowo wstępowało życie. Wydawało mi się, że czas przez chwilę spowolnił swój bieg. W końcu zwróciła się w moją stronę, uśmiechając się słabo, patrząc w przestrzeń gdzieś za moimi plecami.

- O przemijaniu, o starości i o tym drzewie... będzie tu jeszcze stało, kiedy nas już na tym świecie nie będzie... boję się starości - tym razem mama popatrzyła mi prosto w oczy, w jej wzroku była pustka. - W jednym z tych kolorowych czasopism, które przywiozłaś z Niemiec, przeczytałam, że u dorosłych co osiem lat zwiększa się dwukrotnie prawdopodobieństwo rychłej śmierci. Niestety nasza świadomość nie nadąża za statystyką, tę prawdę odsuwamy od siebie, łudzimy się, że jesteśmy jak to drzewo długowieczni.

- Nie powinnaś przejmować się tym, co piszą w niemieckich gazetach, przeciętny Niemiec uwielbia narzekać, szczególnie jeśli chodzi o jego zdrowie, pod tym względem nie ma większych hipochondryków na świecie. W końcu to nie przez przypadek już

w dziewiętnastym wieku wprowadzono tam pierwszy system ubezpieczeń zdrowotnych...

- Co to ma wspólnego ze statystyką? - obruszyła się.

Sama nie wiedziałam. Chciałam ją jakoś pocieszyć, chciałam, żeby znów odzyskała ten cichy, ale mocny głos, w oczach pewność siebie, energię, z którą zabierała się do prac związanych z pałacem i parkiem. Użalanie się nad sobą nie było w naszej rodzinie w modzie, wszystko jedno czy to był ból gardła, czy ból samotności, czy lęk przed starością. Nad kim nigdy się nie użalano, ten nigdy nie nauczył się pocieszać innych.

- A nie było tam żadnego przepisu na długowieczność albo przynajmniej na zdrowe i aktywne życie do ostatniego oddechu?

- Był.

- I co radzili?

- Dużo ruchu, mało mięsa, regularne kontrole lekarskie...

- Kiedy ostatni raz byłeś u lekarza?

- A ty?

Rozbawione popatrzyłyśmy sobie w oczy, poczułam, jak ponownie odnajdujemy tę cienką nić porozumienia, bliskości, choćby dlatego, że pojawiło się coś, co nas łączy, w tym wypadku niechęć do badań lekarskich, i zaraz uświadomiłam sobie wspólną niechęć do fryzjerów i kosmetyczek, do makijażu, długich paznokci, chodzenia w kapciach po domu...

Wtedy, wiele się nie zastanawiając, wyciągnęłam w jej kierunku rękę, którą bez wahania, niczym ufne dziecko chwytające dłoń matki, mocno ujęła, i tak, po raz pierwszy, odkąd pamiętam, trzymając się za rękę, poszłyśmy w kierunku padającego z pałacu światła.

Drugą książkę skończyłam pod koniec maja; prawie skończyłam, bo jeszcze chciałam w niej coś poprawić, dodać, zmienić. Po raz pierwszy zdarzyło mi się, że wracałam do gotowego już tekstu,

wszystko, co do tej pory napisałam, powstawało w jednej jedynej wersji, bez poprawek, uzupełnień, niepewności, czy jednak nie trzeba było inaczej. W tym czasie moja pierwsza powieść pod tytułem *Siostra* ukazała się w Niemczech. Cornelia opowiadała mi przez telefon o udanej reklamie i o korzystnych z punktu widzenia marketingu krytykach w mediach. Korzystnych, co tak naprawdę nie znaczy dobrych. Na przykład pisano o powieści jako o „prasie do wyciskania łez” albo że książka ta jest „na zimno zaprogramowanym kawałkiem literatury do wzbudzania w czytelniku, często wbrew jego woli, emocji, emocji i jeszcze raz emocji”. Cornelia była zadowolona, wszystko przebiegało zgodnie z planem, cieszyła się również z niestworzonych historii, jakie wypisywano na mój temat przede wszystkim w związku z zaginięciem Thomasa, ale także przy okazji udostępnionych prasie przez wydawnictwo moich zdjęć, pojawiających się wszędzie tam, gdzie omawiano *Siostrę*.

Mało mnie to wszystko interesowało, żyłam tematem drugiej książki, czując przy tym jakiś dziwny niepokój, jakbym odsuwała od siebie ważne pytanie, jakbym bała się na nie odpowiedzieć.

W pałacu niespodziewanie pojawiła się Cornelia. Przyleciała samolotem do Wrocławia, stamtąd wzięła taksówkę i zajechała nią pod naszą bramę. Brama była otwarta, ale kierowca z niewiadomych powodów nie chciał wjechać do parku. Z brudnego, zagraconego bagażnika wyjął jej elegancką, przezornie włożoną w równie elegancki pokrowiec, postawił ją na zarośniętym pokrzywami poboczu, skasował dwukrotną należność, bo „curuk też trzeba płacić”, i wyrzucając kłęby czarnych spalin z rury wydechowej leciwego mercedesa, odjechał. Dla Cornelii, która latała wyłącznie business class, a ostatnio zarząd przydzielił jej nawet do służbowej limuzyny kierowcę, było to nie lada przeżycie. Wszystko to miała wypisane na twarzy, kiedy niespodziewanie przerwała naszą pogawędkę przy poobiednim espresso, które piliśmy na grobli stawu. Kiedy zrobiło się ciepło, ustawiliśmy tam kamienny stolik oraz stare parkowe ławki i właśnie tam najchętniej spotykaliśmy się na wspólnej

kawie czy herbacie. Przez chwilę patrzyliśmy na nią bez słowa, chyba bardziej zaskoczeni, a może nawet skonsternowani jej widocznym wzburzeniem niż jej nagłym przybyciem. Ubrana w skromne rzeczy od Prądy i Donny Karan, które w sumie kosztowały kilkakrotnie więcej, niż cała wieś łącznie wydawała w miesiącu na życie, była uosobieniem zachodniego świata i dlatego każde nieprzewidziane zdarzenie burzyło jej ciężko wypracowaną równowagę ducha, a przecież była przygotowana na tyle różnych okoliczności... Zrobiło mi się jej żal, bo poczułam, jak bardzo się różnimy, ona i my, grupa zadufanych w sobie, przekonanych o swojej wyjątkowości egoistów... Cornelia musiała też to zauważyć, bo na jej bladych, idealnie gładkich policzkach pojawił się ciemny, nieregularny rumieniec. Wszystko to trwało kilkanaście sekund, wystarczająco długo, aby między nami wyrósł gruby mur irracjonalnej niechęci. Nawet Antek pozostał po naszej stronie.

- Ale nam zrobiłaś niespodziankę! Stało się coś po drodze? - mówiąc to, szybko do niej podeszłam, głośno cmoknęłam powietrze w okolicach jej uszu i nie czekając na odpowiedź, objęłam ją ramieniem, aby poprowadzić w kierunku stolika. Pierwszy wstał Dahl, wskazując miejsce obok siebie na ławce i wyciągając rękę w jej stronę:

- Jan Dahl... przejściowy rezydent.

- Cornelia Herrmann, miło mi, dzień dobry wszystkim obecnym. Usiadłszy obok Dahla, znów była opanowaną, pewną siebie Cornelią, która od dziecka musiała sobie radzić w takich nieprzyjemnych sytuacjach, wiedziała, co to poczucie odrzucenia i ta ciągła samotność w tłumie kolegów i koleżanek w pracy, w szkole i na studiach. Zmuszana do ciągłego udowadniania, i to zarówno wobec tych, którzy decydowali o jej losie, jak i tych, którzy bezustannie chcieli zająć jej miejsce - że jest dobra, najlepsza, że da sobie radę.

- Jazda taksówką tutaj to horror, kierowca wyglądał, jakby do dzisiaj ukrywał się przed cywilizacją... był brudny i śmierdzący, zresztą całe wnętrze tego samochodu było takie jak on, a na dodatek nie mogłam z tyłu otworzyć okna, bo ktoś pourywał

klamki - Cornelia uśmiechnęła się do nas przepraszająco, tak jakby to wszystko było jej winą.

- Mogłaś mnie uprzedzić, że przyjeżdżasz, odebrałabym cię z lotniska - rzuciłam, ucieszona myślą, że do tego nie doszło.

- Chciałam ci zrobić niespodziankę. Zresztą zdecydowałam się nagle, bo normalnie powinnam być dzisiaj w Brukseli, ale niespodziewanie dla wszystkich przełożono pewne spotkanie... - Cornelia szybko rozejrzała się wokół i ściszym prawie do szeptu głosem zapytała: - Widzieliście ten napis?

- Napis? Jaki napis? - Mara rozejrzała się wokół w podobny sposób, jak to zrobiła Cornelia. Popatrzyliśmy na siebie porozumiewawczo, bo od razu wiadomo było, o jaki napis chodzi.

- Ach, to nic takiego, jakieś dzieciaki nabazgrolify to już jakiś czas temu - mama najwyraźniej nie chciała tej sprawie nadawać znaczenia.

- To czemu tego nie zamalowaliście? Mieszkają tu jacyś Żydzi? - ton Cornelii był rzeczowy, choć jej oczy robiły się coraz bardziej okrągłe ze zdziwienia. Znałam ją na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że coś kryje się za tym naiwnym pytaniem, Cornelia była inteligentną osobą, interesującą się wszystkim, co dzieje się na świecie, a już na pewno przeczytała wiele artykułów w zachodniej prasie o antysemityzmie Polaków. Mało wprawny czytelnik mógł w końcu dojść do wniosku, że jest to prawda i że większość niemieckich obozów koncentracyjnych była usytuowana na terenach polskich właśnie z tego względu, że Polacy są antysemitami. Dla wielu ludzi w zachodnim cywilizowanym świecie taka interpretacja historii byłaby bardzo na rękę. Przypomina to przeprowadzkę do pięknej willi i wyrzucanie starych, pochodzących z produkcji masowej, tanich sprzętów - podobnie chętnie pozbyto by się brzydkich rozdziałów z historii. W końcu świat wielkich i bogatych siedzi przy tym samym stole, wśród nich jest wielu Żydów, a Polaków tam raczej nie widać, ale jest ich wystarczająco dużo, aby w ich traumatyczną szarpaninę z nową i starą rzeczywistością wepchnąć jeszcze odpowiedzialność za holocaust.

- Kawy? Napijesz się kawy? - nie czekając na odpowiedź, Antek chwycił srebrną ciężką tacę, odkupioną od miejscowej chłopki, której używała do karmienia kurczaków.

- Ktoś jeszcze ma ochotę?

- Ja dziękuję za kawę - Cornelia spojrzała wymownie na zegarek marki Cartier, prosty, ale elegancki, który miała na rękę, i przepaszającym tonem dodała: - Dla mnie na kawę jest już za późno, po kawie o tej porze nie mogłabym zasnąć.

- Tutaj o spanie nie musisz się martwić, tutaj jak tylko przyłożysz głowę do poduszki, zapadasz w ciemną otchłań i śpisz na tym samym boku do rana - Tom odezwał się po raz pierwszy od pojawienia się Cornelii, chyba był lekko podpity. - Jestem Tom, fotograf, pracowaliśmy razem z Kornelią w Monachium, pewnie dużo o mnie słyszałaś - w geście powitalnym kiwnął w jej kierunku ręką.

- Rzeczywiście... coś o tobie wspominała.

- Mówiła, że mnie kocha i żyć beze mnie nie może?

Cornelia skrzywiła się nieznacznie, z czego można było wywnioskować, że nie uznaje tego typu żartów, po czym wyzywająco spojrzała na Antka stojącego z tacą w rękę, który zastygł w bezruchu niczym kelner czekający na zamówienia.

- Jeśli nie sprawi ci to kłopotu, to proszę o herbatę miętową... jeśli macie, to ekologiczną proszę.

- Ekologiczną - Antek pochylił się lekko w kierunku Cornelii, w pozie, którą zwykł przybierać jako sprzedawca w swoich delikatesach. Potem popatrzył pytająco na mamę.

- Musisz, Antoś, narwać mięty w ogródku, bo w domu poszło wszystko, jak Madzię bolał brzuch - ton głosu mamy nie pozostawiał złudzeń co do tego, kto tu rządzi w ogródku i w przypadku wszelkich chorobowych niedomagań.

Wszyscy, z wyjątkiem Cornelii, wybuchnęli wesołym śmiechem.

Przybycie Cornellii w niczym nie zmieniło rytmu życia w pałacu, z wyjątkiem tego, że czas oczekiwania w kolejce do jedynej na piętrze łazienki znacznie się wydłużył, bo Cornelia potrzebowała około godziny na poranną toaletę, a przy kuchennym stole ubyto następne wolne miejsce. Początkowo posadziliśmy ją między Antkiem a Marą, ale ten układ przetrwał tylko jeden posiłek. Przy następnym dziewczynka przeniosła swoje nakrycie i usiadła pomiędzy mną a Janem, co było mi nawet na rękę, bo bliskość Norwega, nawet przy stole, jakoś mnie krępowała. Po namyśle doszłam do wniosku, że ma to związek z jego dominującą męskością. Męskość Toma czy Antka była tylko ich częścią, dopełniała Toma jako fotografa, Toma, zamkniętego w sobie indywidualisty, podobnie jak Antka w jego wcieleniach poety, kucharza czy przewrażliwionego południowca.

Mara z Cornelią nie lubiły się, chociaż trafniejszym określeniem byłoby tu sformułowanie, że nawzajem siebie nie akceptowały. Co dziwniejsze, stosunek Cornellii do Mary był równie dziecinny, co Mary do Cornellii dorosły. Z czasem zaczęły siebie unikać, starały się nawet jedna o drugiej nic nie mówić. Potrafiłam to zrozumieć, układ złożony z trzech osób nigdy nie jest szczęśliwy, jedna z nich zawsze musi zostać poza nim, na zewnątrz. Dla mnie było jasne, że osobą tą musi być Cornelia.

Niespodziewana wizyta Cornellii zbiegła się w czasie z zakończeniem prac nad albumem Toma. Pod koniec pomagaliśmy mu wszyscy, bo temat, który podjął, był dla każdego z nas własnym, czymś bardzo osobistym, bardzo intymnym. *Miłosne zawirowania na krańcu świata* to tytuł i motyw przewodni albumu z pięknymi zdjęciami Toma z okolic pałacu. To ja go wymyśliłam i wszyscy byli przekonani, że najpierw był tytuł, a potem *powstały pełne ekspresji* fotograficzne dokumenty dotyczące tego niewielkiego, zapomnianego przez historię skrawka ziemi. Skrawka ziemi w pełnej rezygnacji agonii, z prześwitującym tu i tam pięknem natury, ludzi, pozostałości wspaniałej architektury. Prawda była jednak taka, że i tytuł, będący nicią przewodnią albumu, i krótkie, napisane przeze mnie teksty,

i wiersze, które wyszły spod pióra Antka, stanowiły tylko pewne uzupełnienie znakomitych zdjęć Toma. Tom był wrażliwym artystą i perfekcyjnym rzemieślnikiem, mającym dystans do tego, co robi, a taka postawa daje szansę na stworzenie czegoś wyjątkowego wśród milionów zdjęć pstrykanych codziennie gdzieś na świecie.

Cornelia po obejrzeniu w skupionym milczeniu prowizorycznie poskładanych stron dość długo milczała. Czułam, że jest coś, co boi się ubrać w słowa, aż w końcu, nie patrząc na żadne z nas, ze wzrokiem wbitym w kamienny blat stolika, odezwała się cichym głosem:

- Po raz pierwszy w swoim życiu, oglądając album... nawet nie album, tylko to, co ma się składać na album, czuję się wzruszona i zaniepokojona... - Cornelia przerwała na chwilę, tak jakby koniecznie chciała znaleźć odpowiednie słowo,- była świetną showmanką, wiedziała, na czym polega dramaturgia nawet najkrótszej wypowiedzi. Ale w jej głosie słychać było tym razem coś innego, rzadko spotykaną szczerość.

- To ciekawe, wydaje się, że potrafimy nazwać wszystkie uczucia, nagle jednak spada na nas coś, czego nie jesteśmy w stanie określić i... nie chcemy tego nazywać. Twój album, Tom, to sztuka, nie wolno jej przegadać.

- Świetny wstęp do recenzji - uśmiechnęłam się porozumiewawczo do Toma, szczęśliwa, dumna jak matka, która właśnie urodziła geniusza, bo czułam, że miałam swój udział w powstaniu tego albumu.

- Ten album jest jak ten stół - palce Cornelii musnęły kamienny masywny blat - potrafi się sam bronić, bo zawiera pewne prawdy... prawdy uniwersalne, odporne na modę... zdjęcia Toma mówią prawdę o nieuchronności przemijania, tak samo jak ten stół - Cornelia uśmiechnęła się smutno. - Nietrudno sobie wyobrazić, ile osób przy nim siedziało... wiecie, zdjęcia Toma, a może i słowa Kornelii i Antonia uświadomiły mi, skąd we mnie co jakiś czas pojawia się tyle złości. - Cornelia spuściła głowę, tak jakby wstydziła



się swoich słów. Milczeliśmy, bo widocznie nikomu nie przychodziło nic mądrego do głowy, nic, co można by było jej powiedzieć. Każde pocieszenie byłoby głupie, bo słowa pociechy są dobre dla nieszczęśników, biedaków, nieudaczników. W jej otoczeniu nikt nikogo tak naprawdę nie pocieszał, bo nikt nie mógł sobie pozwolić na prawdziwe cierpienie; ten, kto cierpiał, wypadał z gry.

- Powinnaś się zakochać w człowieku, w drugim człowieku... - Mara była chyba trochę wystraszona ciszą towarzyszącą jej słowom. - Nawet Lotta kocha, na przykład mnie, i Toma chyba też... a te kundle ze wsi są złe, bo nie mają kogo kochać.

- Ładnie to powiedziałaś, choć z tymi kundlami to chyba trochę przesadziłaś - mama próbowała złagodzić efekt, jaki mogły wywołać słowa Mary. Porównanie Cornelii do wiejskich kundli nie było zbyt fortunate.

- Wcale nie przesadziła, pewnie ma rację, dzieci podobno widzą wiele rzeczy w dużym uproszczeniu i dlatego nie umyka im to, co istotne. Ostatnio współpracowałam dość długo z projektantką wnętrz specjalizującą się w feng shui, pół Niemką, pół Chinką z Singapuru, kobieta ma tak niesamowicie rozwiniętą asertywność, że można jej tylko pozazdrościć, a do tego świetnie zna się na tym, co robi, tak więc dałam sobie według tych zasad na nowo urządzić mieszkanie. Efekt przekroczył moje najśmielsze oczekiwania, bo teraz wchodzę do mojego domu i mogę oddychać...

- Jak to, nie mogłaś oddychać w swoim domu? - oczy Mary zaokrągliły się ze zdziwienia. Z tym dzieckiem nigdy nic nie było wiadomo, jej reakcje oscylowały między zaskakująco dojrzałymi a przerażająco dziecinnymi. Ciekawe, że nie zainteresowało jej, co to jest feng shui.

- To tylko taka metafora - szepnął w jej kierunku Tom.

- Co? Metafora?

- Po pierwsze nie mówi się „co"! A metafora to inaczej przenośnia, czyli takie obrazowe porównanie, na przykład dziewczynka jak poczwarka. Rozumiesz?

Z tą poczwarką to chyba Tom przesadził, wszyscy popatrzyliśmy na niego pytająco.

- Poczwarką? Co to jest poczwarką?

- Boże, jaka ty jesteś dziecinna. Poczwarką to to, z czego rozwinię się motyl. Tak jak dziewczynka rozwinię się w kobietę.

- Aha. Czyli już wiem - Mara powiedziała to bez przekonania, ale Tom wyglądał na zadowolonego, ostatnio coraz częściej próbował tłumaczyć Marze różne rzeczy i nie zawsze szło mu to tak sprawnie jak tym razem.

- A wracając do mojego mieszkania: pozbyłam się z domu wszystkiego, co zbędne, oczywiście etapami, bo moja projektantka ciągle mnie ostrzegała, że wszelkie zmiany powinny dokonywać się płynnie, w powolnym ruchu... tak jak tego uczy tao, w zgodzie z samym sobą, z ludźmi i ze światem natury, a nagle zmiany, nawet te we własnym otoczeniu, oznaczają brak lub zaburzenie harmonii.

Wymieniliśmy z Tomem i Dahlem porozumiewawcze spojrzenia, tylko Antek z lekko przechyloną głową, z półprzymkniętymi powiekami, zdawał się w skupieniu analizować słowa Cornellii, zanim się jednak odezwał, lekkim pstryknięciem palców spłoszył olbrzymiego natrętnego komara, który usiadł mu na nagim ramieniu. Antek nigdy nie zabijał żadnych stworzeń, nie tłukł nawet komarów, my przeciwnie, próbowaliśmy pozbyć się tych bzykających natrętów z zaskakującą determinacją i, co ciekawe, jego one nie gryzły.

- Wiesz, Cornelia, wszystko to bardzo interesujące, co mówisz, tylko jak to się ma do albumu Toma, bo przecież od tego zaczęliśmy rozmowę. A poza tym z tym feng shui to bym nie przesadzał, w końcu nie żyjemy w Azji, wszystko jest u nas inne, i nie można przecież powiedzieć, że właśnie Azja z jej feng shui, chi kung, tai-chi a także z jej biedą, brutalnością życia jest dla nas, Europejczyków, warta naśladowania...

- I w Azji jedzą psy! Czytałam w „National Geographic”, chociaż pisali, że nie wszystkie rasy są jadalne i że na przykład Chińczycy niektóre psy też bardzo lubią, to znaczy nie jako coś do zjedzenia, tylko... czy ja wiem? Do zabawy.

- Boże, o czym to dziecko czyta! - Cornelia z dezaprobatą pokiwała głową. - Kontroluje tu w ogóle ktoś, co ona czyta?

- A co jest złego w tym, że czyta „National Geographic” - powiedziałam ze złością, bo wszelkie krytykowanie Mary przyprawiało mnie o nerwowe bicie serca. Zauważyłam, że denerwowało mnie nawet strofowanie dziewczynki przez jej babcię, czyli moją mamę. - Co twoim zdaniem powinna czytać? Notowania na giełdzie czy te wszystkie bzdurne pisma dla nieletnich, którymi zarzuciło rynek twoje wydawnictwo?

- Chyba też twoje, w końcu to twoje książki ukazują się w tym wydawnictwie, a nie moje, to twoje nazwisko jest - czy też dopiero będzie - kojarzone z tym wydawnictwem.

Przez dłuższą chwilę patrzyłyśmy sobie twardo w oczy. Cornelia prowokowała mnie, zresztą nie po raz pierwszy, bo z natury nie byłam kłótniwa, pewnie dlatego, że ludzi oglądałam jak gotowe obrazy, w których nic już nie można zmienić. Albo kogoś akceptowałam takim, jaki był, albo ten ktoś przestawał zaprzętać moje myśli. Z Cornelią było inaczej. Czy dlatego, że była ucieleśnieniem moich marzeń o tym, jaka chciałabym być? Loty w business class, olbrzymie przeszklone biuro, jedyne miejsce zajęte przez kobietę przy długim stole zarządu. Renomowany dentysta przy najdroższej ulicy w centrum Monachium, ekologiczna pralnia i dwa razy w roku pobyt na farmie piękności w położonym na odludziu siedemnastowiecznym zamku. I ta pewność siebie w oczach, w sposobie poruszania, pewność każdego wyboru. Czy naprawdę chciałabym być taka jak ona? Czy wtedy dziecko siedzące tuż obok spoglądałoby na mnie z taką radością i ufnością? A Thomas? Czy kochałby mnie, gdybym była Cornelią? A mężczyzna, który był moim ojcem, czy stwierdziłby, że jestem warta miłości? Nie byłam w stanie znieść tego rodzaju konfrontacji. Moja druga powieść była właściwie skończona, znowu pobiłam rekord w szybkości pisania jednej strony, coś jednak nie dawało mi spokoju, ciągle wydawało mi się, że zbyt łatwo mi to pisanie poszło, że postacie są jednowymiarowe, prawdy wynikające z akcji zbyt płytkie... Nie

mogłam pogodzić się z faktem, że wydawnictwo żąda ode mnie tekstów popularnych, łatwych w lekturze, wywołujących proste wzruszenia. Jaki jest ten przeciętny czytelnik powieści, zostało dokładnie określone po badaniach rynku i opracowane przez znaną amerykańską firmę consultingową. Wiedza ta zawarta została na kilkunastu stronach. Moje wydawnictwo chciało, abym pisała właśnie dla tego czytelnika, ale po przeczytaniu ponuro brzmiącego tytułu zrezygnowałam z dalszej lektury niewyobrażalnie drogiego, na pewno droższego niż moja książka, opracowania. No cóż, mój schemat proponowany wydawnictwu był jasny i prosty: bohaterką jest kobieta z traumatyczną przeszłością, związaną z rodzinnymi tajemnicami, dla której jedynym ratunkiem jest radykalna duchowa odnowa, prowadząca oczywiście do happy endu. Nie wyobrażałam sobie tekstu bez happy endu, nawet moja kronika zgonów musiała każdorazowo zawierać sporą dozę optymizmu, coś, co utwierdzało czytelnika w przekonaniu, że życie ma głęboki sens, że życie jest piękne. Bez tej przesłanki nie mogłabym pisać.

- Kornelia, może jeszcze trochę wina? - Antek uniósł ciemnobrązową butelkę. Piliśmy czerwone bułgarskie wino, dwunastoletnie, o lekko cierpkawym smalcu spowodowanym dużą ilością garbnika, ale Antek stwierdził, że jest w porządku, i od razu wykupił wszystkie butelki, jakie tylko udało mu się znaleźć w miasteczku. W ten sposób powstała pokaźna pałacowa piwniczka z prawie trzystu butelkami wina jednego gatunku na składzie. Piliśmy je prawie codziennie, choć z początku tylko do potraw, z którymi komponowało się to mocno wytrawne wino. Później Antek, zmuszony przez okoliczności, ogłosił winną dispensę i piliśmy je do wszystkiego, co pojawiała się na stole, z tą różnicą, że od czasu do czasu nasz włoski kucharz polecał rozcieńczyć je wodą. Starłam się nie pić go za dużo, aby nie wpaść w nałóg, a poza tym zauważyłam, że nie powinnam pić alkoholu, kiedy jestem rozdrażniona, na przykład efektami mojej pracy.

- Dzięki, Antek, na dzisiaj chyba mi wystarczy. A poza tym sam wiesz - starałam się wykrzesać z siebie więcej energii - podobno nadmiar alkoholu szkodzi urodzie.

- Może i masz rację. Ale a propos urody: wiesz, co wczoraj powiedziała o tobie Mara? Mara, mogę to powiedzieć Kornelii?

Dziewczynka obojętnie wzruszyła ramionami.

- Mara powiedziała, że żadna kobieta na świecie nie wygląda tak pięknie w dżinsach i T-shircie jak Kornelia.

- Nasza Kornelia - Mara, bez cienia uśmiechu, wskazała brodą w moim kierunku.

- Wszyscy tak uważamy - Tom podniósł swój kieliszek w geście toastu.

Na chwilę zapadła cisza. Patrzyłam w jego rozjaśnione uśmiechem oczy i czułam, jak wraca do mnie spokój, jak wszelkie wątpliwości związane z powieścią tracą znaczenie, jak świat Cornelii staje się mało ważny. Zrozumiałam, że straciłam ostatnie tygodnie, spędzając dni i noce przy komputerze, a czas przy wspólnych posiłkach na układaniu w myślach kolejnych dialogów, tylko pobieżnie słuchając tego, co opowiadano, nie potrafiąc na dłużej zatrzymać wzroku na pięknej twarzy Toma.

- Chodźcie ze sobą? - W moim spojrzeniu musiało być coś, co kazało Cornelii jeszcze raz powtórzyć pytanie. - Jesteście ze sobą, ty i Tom?

- Ja i Tom?

- Jeszcze nie jesteśmy ze sobą, ale się kochamy, jesteśmy w sobie zakochani - Tom posłał Cornelii czarujący uśmiech. Zauważyłam, że stara się nie patrzeć w moją stronę. - Jesteśmy bardzo staroświeccy, najpierw się zakochujemy, a potem idziemy do łóżka. W przeciwieństwie do większości ludzi tacy jesteśmy - tym razem jego pełne złotych iskierek miodowe oczy zatrzymały się, zdziwione, gdzieś za plecami siedzącej obok mnie Mary.

- Nie do wiary, myślałem, że nie lubisz wiejskiego powietrza?

- Bo nie lubię! Za dużo tu wszelkiego świństwa, komarów, muszek, nienawidzę tego, ale co zrobić, stęskniłem się za jakąś rozrywką, jak długo można wytrzymać w tym smrodku laboratorium, roboty mam teraz, bo śluby się sypią, a tu pogoda jak drut

- Kowalczyk, ciężko sapiąc, dotarł wreszcie do naszego stołu na grobli. Uważnie, w skupieniu, jakby przeprowadzał właśnie jakieś badanie, przyjrzał się każdemu z nas z osobna. - Wyż demograficzny akurat osiągnął pełnoletność, każdy wyż to dla mnie interes. Ale u ciebie, Kornelciu, też co nieco przybyło - mój szkolny kolega roześmiał się rubasznie. Po twarzy spływały mu cienkie stróżki potu. - Nowi goście też z Niemiec?

- Cornelia jest moją przyjaciółką i wydawcą, z Monachium, Jan Dahl... tata Mary z Norwegii - Marek Kowalczyk, kolega ze szkoły, fotograf z miasteczka. Siadaj, Marek, na ławce, obok Toma jest jeszcze wolne miejsce. Wina?

Kowalczyk, zanim usiadł, ukłonił się Cornelii i skinął uprzejmie głową w stronę Jana.

- Wina? Dziewczyno, kto by w taki upał pił wino, jakbyś miała piwko, to chętnie.

Piwa nie mieliśmy, ale Jan zaoferował się podjechać na rowerze do wiejskiego sklepiku i kupić kilka butelek. Po jego odjeździe przez dłuższą chwilę rozmowa jakoś się nie kleiła. Dla Cornelii otyły, spocony Kowalczyk, ubrany w koszulę i spodnie w stylu safari, z gumką zamiast paska, nie stanowił interesującego towarzystwa. Nietrudno było zauważyć, że Antek też go nie lubi. Antek nie lubił żadnego mężczyzny, którego dobrze nie znał, tak było z Tomem i Janem, lecz w końcu chyba się do nich przekonał i zdarzało się, że traktował ich bardzo ciepło, jakby byli jego braćmi.

- Jak tam plany na przyszłość, kolego? - Kowalczyk zwrócił się do Toma.

Tom lekko wzruszył ramionami.

- Przyszłość? Mój album jest już właściwie gotowy do druku, na tyle, na ile mogłem go tu przygotować, książka Kornelii też, czyli nie pozostaje nam nic innego, jak udać się tam, skąd przyjechaliśmy, czyli do Monachium, i zadbać trochę o nasze interesy, otrzeć, się ponownie o wielki świat...

- Świetny pomysł, kiedy jedziemy?

Wizja pełnych interesujących obrazów sal wystawowych i licznych księgarń była niezwykle kusząca. Nie mogłam się doczekać, kiedy znajdę się w największym, kilkupiętrowym domu książki na centralnym, zabytkowym placu w Monachium, gdzie można było spędzać długie godziny na miękkich sofach, przeglądając setki tytułów, patrząc od czasu do czasu na przepływający obok tłum ludzi. Miła była też perspektywa lunchu w sushibarze za rogiem, gdzie najbardziej smakowały mi cienkie plasterki marynowanego imbiru i zielona herbata.

- Kiedy tylko zechcesz. Pojadę z tobą, kiedy tylko zechcesz i gdzie tylko zechcesz.

- Madonna, jaki ty zrobiłeś się romantyczny, Tom. A pomyśleliście choć przez chwilę o mnie, o Antonio Leone, waszym...?

Nie usłyszałam ostatnich słów Antka. Nagle to poczułam, wyłaniało się z dudniącej, zawieszanej w próżni ciszy, i ułamek sekundy później spokojne wieczorne powietrze przeszył rozpaczliwy krzyk. Krzyk? Odgłos niewyobrażalnego bólu...

Czułam, jak moje mięśnie napinają się do skoku, do biegu, tak jakbym pragnęła przewyciężyć przyciąganie ziemskie, między mną a pałacową wieżą rozpościerała się, jak drwina, czarna przestrzeń oddzielająca życie od śmierci. Niewyobrażalnie, nieskończenie wielka, która z każdym rozrywającym płuca oddechem przypomina ci, jak cienką kreską jest w tym wszystkim nasze życie.

Mara! Dziecko!

Mimo zapadających ciemności zobaczyłam ją od razu. Kruche, drobne ciało zdawało się być nienaturalnie rozciągnięte na ziemi, tak jakby jej białe szczupłe ramiona miały zamiar poszybować w inną stronę niż nóżki.

Dziewczynka leżała nieruchomo u podnóża wysokiego, porośniętego chwastami urwiska, na szczycie którego sadowiła się wieża. Z buzią przytuloną do wilgotnej ziemi, mocno pachnącej purpurową jasnotą i dopiero co na biało rozkwitłym krwawnikiem.

W głowie dudniło mi jedno i to samo zdanie: to, co wydaje się niemożliwe, stało się, to, co niemożliwe, stało się. Po raz drugi tego wczesnego wieczoru napływającą od strony lasu ciszę rozdarł przeraźliwy krzyk, mój krzyk:

- Neeee! Nie chcę!

Jedyne, co mogłam w tej sekundzie zrobić, to uklęknąć na wilgotnej ziemi i krzycząc, jakby mnie coś opętało, dać upust dzikiej rozpacz. Bałam się jej dotknąć, bałam się, że nawet najmniejszy dotyk spowoduje, że z tego biednego ciała uleci może jeszcze tłąca się gdzieś ostatnia iskierka życia.

- Pomóżcie mi, pomóżcie jej.... - składając ręce jak do modlitwy, szeptałam chyba bardziej do siebie niż do nadbiegających od strony parku ludzi. Pierwszy był Tom, gwałtownym mchem odepchnął mnie od dziecka i coś zaczął przy nim robić, po chwili wstał z dziewczynką na rękach i ochryplym, zmienionym głosem rzucił w moim lderunku:

- Oddycha. Biegnij po samochód!

Pędem rzuciłam się w powrotną drogę, w kierunku podjazdu, gdzie stał samochód. Droga w górę była o wiele trudniejsza, trwała wieczność. Bujne, rosnące na zboczach chwasty i kłujące pędy jeżyn owijały mi się wokół nóg, hamując ruchy, tak jakby cała ta rozbuchana przyroda sprzymierzyła się przeciwko mnie, przeciwko mojemu dziecku.

Człowiek w obliczu śmierci instynktownie szuka wrogów i sprzymierzeńców. I pozornie znajduje ich.

Jedyny szpital w miasteczku wydawał się na pierwszy rzut oka miejscem przeznaczonym wyłącznie do umierania. Do umierania w warunkach, o jakich ludzie na zachodzie Europy z przerażeniem czytają w goniących za sensacją kolorowych magazynach.

Odrapane, pobrudzone krwią ściany, poobtłukiwane metalowe łóżka z szarą, poprzecieraną ze starości pościelą. Zatłoczone sale, w których umierający leżą w odległości kilkunastu centymetrów od tych, którym tym razem może się uda. I wszędzie, w dusznych korytarzach i w salach, tkwiący przy chorych zagubieni, bezradni



ludzie, zapłakane kobiety i dzieci, mężczyźni z niemym przerażeniem w oczach, lekarze o bladych twarzach wypranych z wszelkich emocji. Świat pałacu z poobiednim espresso i nowoczesnym laptopem tu się nie liczy, tu nikogo nie obchodzi moda z domów Prądy, Dony Karen czy Jil Sander, zrozumiałam to błyskawicznie, zaraz po przekroczeniu progu izby przyjęć, wyciągając z portfela wszystkie banknoty, jakie tam miałam, polskie i te przywiezione z Niemiec.

- Proszę ją ratować, proszę... - wyciągnęłam w kierunku znudzonego za biurkiem lekarza zwinięte w rulon pieniądze. Na ich widok lekarz podniósł się powoli i wrzasnął na całe gardło:

- Siostro! Ostry przypadek, tlen, wózek, przygotować do prześwietlenia! Ruchy! Zadzwońcie po chirurga Sosnowskiego, chyba jest na wewnętrznym!

I już normalnym głosem:

- Pani schowa te pieniądze, a pan położy dziecko na wózek. Kiedy przechodził obok mnie, niewiele myśląc, wsunęłam zwitek

banknotów do kieszeni lekarskiego fartucha. I razem z nim i Tomem pobiegłam za oddalającym się łóżkiem, pchanym przez drobnego sanitariusza, o którym początkowo myślałam, że jest kobietą. To miejsce cuchnące lizolem i biedą stało się nagle moją jedyną, ostatnią nadzieją.

Zmarli, zaraz po tym jak odejdą, wracają do nas we śnie. To jest nasze z nimi pożegnanie. Początkowo przychodzą dosyć często, z czasem coraz rzadziej, aż w końcu przestają się pojawiać. Nasze pożegnanie znalazło swój koniec.

Na początku Luiza pojawiała się w moich snach często, regularnie, co kilka dni. Opierała mi głowę na ramieniu, wiedziałam, że chce, abym ją pogłaskała. Spełniałam tę prośbę, przesuwając dłonią po jej włosach najczulej jak potrafiłam. Nie widziałam jej twarzy, ale czułam, że przestrzeń między nami wypełnia się miłością, tkliwością i czasem smutkiem - mogłam wreszcie zrobić to, czego

nigdy w życiu nie zrobiłam. Czasami przychodziła do mnie piękna, zdrowa, taka, jak ją zapamiętałam, ale skarżyła się na brak siły, energii, a ja, nie mogąc nic dla niej zrobić, patrzyłam, jak staje się coraz bardziej przezroczysta, jak walczy z tą słabością, jak nie chce ode mnie odejść.

Moje pożegnanie z Luizą odbywało się powoli, w drobnych epizodach rozłożonych w czasie, niczym lek dawkowany przez moją podświadomość. Tylko tak, w ratach, mogłam powiedzieć sobie i jednocześnie zrozumieć sens zdania: Luizy nie ma i nigdy już nie będzie.

- W Warszawie są już podobno prywatne szpitale... dla bogatych, wyposażone w przyzwoity amerykański sprzęt - powiedziałam to, bo po raz pierwszy w życiu nie mogłam znieść ciszy.

Nienaturalnie szara twarz Toma nie zmieniła wyrazu, równie dobrze jak ja wiedział, że istnienie miasta, oddalonego od nas o ponad czterysta pięćdziesiąt kilometrów, co w polskich warunkach oznacza sześciogodzinną jazdę okropnymi drogami, nie ma dla życia tego dziecka najmniejszego znaczenia. Dla nikogo nie miało znaczenia.

Siedząc na krześle obok drzwi z napisem WEJŚCIE WZBRONIONE, nerwowo przesuwałam dłońmi po gołych nogach. Dopiero za którymś razem uświadomiłam sobie, że palcami napotykam jakąś gęstą, lepką substancję i bezwiednie spojrzałam w dół. Łydki i uda pokryte były ciemnoczerwoną, miejscami już zakrzepłą krwią, podobnie jak moje dłonie i ramiona. W czasie szaleńczego biegu w dół, a potem w górę urwiska poraniłam sobie nogi o rosnące gęsto chaszczce. Patrzyłam na nie bez cienia zainteresowania, nic nie czując, tak jak patrzy się na nic niemówiące nam zdjęcie w podręczniku do fizyki.

Jeśli to dziecko miałoby nie żyć, ja też chciałam umrzeć.

- Może przynieść ci coś do starcia łowi?

Po raz pierwszy od rozmowy na grobli popatrzyliśmy sobie prosto w oczy. Jego spojrzenie było puste, bez wyrazu, i gdyby nie łzy

toczące się po nieogolonych policzkach, pomyślałabym, że ma oczy kogoś, kto jest martwy. Siedzieliśmy naprzeciw siebie w wąskim, długim korytarzu.

- Po co?

Tom z wysiłkiem wzruszył ramionami.

- Żeby coś zrobić. Widziałem tylu samobójców... - głos Toma załamał się - Kornelia, przecież ty... ty masz ten dar, widzisz to, czego inni nie widzą... - patrzył na mnie w pełnym oczekiwania napięciu.

- Ja mam jakiś dar? - parsknęłam pogardliwie. - Jeśli go mam, to prowadzi on do niszczenia ludzi, którzy mnie kochali... poruszam się po tym świecie zapatrzona w zdania, które układam, depcząc przy okazji to, co jest naprawdę w życiu istotne...

- To znaczy...

- ... w tym momencie życie Mary.

- W tym momencie, w tym momencie - Tom próbował mnie przedrzeźniać, ale nie udało mu się utrafić uderzyć w odpowiedni ton. - Ale co jest istotne w życiu, w całym naszym życiu, nie tylko w tym momencie?

- Już ci mówiłam: życie tego dziecka. Reszta jest nieistotna, to tylko dodatek. Dla nas, ludzi samotnych, ta prawda jest przykra, bo w uproszczeniu wszystko sprowadza do sensu biologicznego przetrwania.

- Wiesz co, Kornelia, chwilami przypominasz mi pewną dziewczynę, którą znałem przed łąty. To była całkiem do rzeczy dziewczyna, ale miała mały problem... Początkowo mały, ale z czasem nie dał jej żyć, urósł do monstrualnych rozmiarów - głos Toma był spięty, jakby się bał, że powie nie to, co trzeba. - Zarabiała na życie jako modelka, pozując do zdjęć piersi, bo miała nadzwyczaj piękne, fotogeniczne piersi. Żadna poważna sesja fotograficzna, do której potrzebne były piersi, nie obyła się bez niej. Była znana w branży jako ta o rewelacyjnych piersiach. Zarabiała sporo pieniędzy i wszystko by było w porządku, gdyby nie fakt, że nagle zapragnęła, aby i jej twarz została doceniona. A twarz miała zwyczajną, więc nikt nie

chciał jej twarzy, chciano jej piersi. To stało się jej obsesją, wystarczyło, że ktoś tylko o nich napomknął, na przykład, że widział je na jakimś plakacie reklamowym, i awantura gotowa. Przestała przychodzić na sesje zdjęciowe, jeśli dotyczyły one tylko jej piersi, albo przychodziła na nie i awanturowała się, że ona chce razem z twarzą... Naprawdę cierpiała, w końcu je znienawidziła... mogły to być inne części ciała albo jakaś cecha osobowości. To obojętne. Dość szybko straciłem ją z oczu, bo w branży takie rzeczy są niewybaczalne, ale ktoś mi później opowiadał, że była skończona, bo znienawidziła to, co było w niej najpiękniejsze, to, czym natura wyróżniła ją spośród innych ludzi.

Odwróciłam się twarzą do zimnej, wilgotnej ściany. Byłam mu wdzięczna, że nie podszedł do mnie, nie próbował przytulać, pocieszać. Czulałam, że nie zniosłabym niczyjego dotyku, bo miałam wrażenie, że wszystko, co dzieje się wokół mnie, powraca do mnie zwielokrotnionym echem. Tom miał rację: kiedy natura dała nam coś wspaniałego, nie musi to być wcale kluczem do szczęścia, ale jeśli ten dar odrzucimy, nie docenimy go, może nas on zniszczyć.

Nie byłam w stanie ponosić za kogokolwiek odpowiedzialności, sama ta myśl wzbudzała we mnie tyle złości, że gotowa byłam wyć. Dlaczego ja? Nigdy przecież nic od nikogo nie chciałam...

Przed moimi oczami znowu pojawił się obraz odbity w lusterku samochodowym: blada, drobna twarzyczka z półotwartymi ustami, na których nie widać było śladu oddechu... obok pochylona głowa Toma, który, trzymając dziecko na kolanach, powtarzał w kółko: - Na miłość boską, szybciej!

Poza wsiami jechałam prawie dwieście na godzinę, czując swąd gumy unoszący się spod kół od ciągłego, gwałtownego hamowania, bo droga była pełna ostrych zakrętów i niespodzianek w postaci dziur.

Gdzieś w głębi długiego, posępnego korytarza rozległy się przyspieszone kroki; nie musiałam odwracać głowy w tamtym kierunku, aby wiedzieć, do kogo należą.

Dahl, Kowalczyk, Antek i mama zbici w małą wystraszoną grupkę byli coraz bliżej. Tylko Cornelia z nimi nie było. Cornelia nienawidziła szpitali, nawet tych porządnych, lśniących kliniczną czystością i wypełnionych nowoczesnym sprzętem. Nigdy nikogo nie odwiedzała w szpitalu, tak jakby cierpieniem czy śmiercią można się było zarazić.

- Co powiedzieli lekarze? - głos Dahla był beznamiętny, zimny... krystalicznie dźwięczny. Takim głosem zamawia się Jacka Danielsa, w modnym barze w pobliżu biurowca ze szkła i stali, w którym spędza się życie. Jakaś szydercza ciekawość kazała mi powoli odwrócić się w stronę Norwega, spojrzeć mu w oczy. Papierowo blada twarz i niezdrowo błyszczące oczy o nienaturalnie rozszerzonych źrenicach wyrażały strach.

- Nic. Nic nie mówili. Zabrali ją - skinęłam głową w stronę zamkniętych drzwi i, ku własnemu zaskoczeniu, dodałam:

- Wyjdzie z tego. Na pewno z tego wyjdzie.

- Ale ta niemiecka hrabina nie przeżyła... - Antek nie był aż tak głupi, był po prostu wrażliwym mężczyzną, któremu wydawało się jeszcze, że całe zło w życiu daje się uwięzić w baśniach z dzieciństwa.

- Ona nie przeżyła, bo była stara i schorowana... i skoczyła zimą na zmarzniętą ziemię.

- A poza tym - mama chciała mi pomóc, nam pomóc - ta kobieta chciała umrzeć.

- Aha. A wiecie może, dlaczego chciała umrzeć? Ciągle chciałem was o to zapytać, ale jakoś nie było okazji.

- Nie wiemy - krótko ucięłam temat samobójczej śmierci niemieckiej hrabiny. Nawiasem mówiąc, zdaje się, że ona wcale nie była Niemką, tylko Amerykanką, która wyszła za mąż za niemieckiego arystokratę. Jednak mama, jakby zmówiła się z Antkiem, nie dawała za wygraną.

- Tam chodziło o jej trzech synów, którzy od wybuchu drugiej wojny światowej przebywali w Stanach, u rodziny. Podobno gestapo

zażądało, żeby sprowadziła ich do Niemiec, w przeciwnym razie grozili jej wysłaniem do obozu koncentracyjnego. Pewnie bała się, że synowie mogą ulec szantażowi, i dlatego popełniła samobójstwo.

- Boże, jaka to piękna historia - Antek z niedowierzaniem pokiwał głową.

- Piękna? Czyś ty zwariował? A co w tym takiego pięknego, że człowiek jest zmuszony do dokonywania takich wyborów: moje życie albo życie moich dzieci?

- Kornelia, nie złość się na niego. Mówiąc, że to piękna historia, Antek na pewno miał na myśli miłość tej matki do swoich dzieci, absolutną miłość... - Dahl przestał mówić, jakby przestraszył się własnych myśli. Zmieszany odwrócił się do nas plecami. Dobrze, że nie widziałam jego twarzy. Obok stał Tom. Dahl i Tom. Uciekając myślami od brudnych ścian szpitalnego korytarza, zaczęłam porównywać ze sobą tych dwóch mężczyzn, zapominając, kim są i co robią w moim życiu.

Z zamyślenia wyrwał mnie rubaszny głos Kowalczyka.

- Opowiedzieć wam dowcip? Po drodze, jak do was jechałem-, opowiedział mi go taki jeden koleś... podwiozłem go kawałek, bo biedaka nie stać nawet na rower... chodziliśmy razem do klasy. No to co, opowiedzieć wam dowcip z gatunku tych o polskim cudzie gospodarczym?

Zaskoczył nas tą propozycją, choć dla takiego człowieka jak on każda okazja do znalezienia się w centrum uwagi była dobra. Nie dziwiło mnie to i nie chciałam go potępiać, ale słuchanie dowcipów było ostatnią rzeczą, na jaką w tym momencie miałam ochotę.

- Opowiedz. Wtedy czas nam szybciej zleci - mama chciała, żeby czas płynął jak najszybciej, a ja czułam, że najlepiej by było, aby zatrzymał się w miejscu, podarował nam kilka sekund, bo to one decydowały o ludzkim życiu.

- W porządku, z góry panie przepraszam, ale dowcip jest nieco drastyczny - Kowalczyk skłonił się lekko w stronę mamy. - Na głównym skrzyżowaniu w Warszawie siedzi polski Cygan i żebrze.

I żeby pokazać, jaki jest biedny, zajada chleb posmarowany gównem - mój kolega ze szkoły zrobił krótką przerwę, obliczoną na efekt płynący z przedstawionej wizji. - Ludzie, jak to ludzie, reagują różnie: jedni, widząc to, dodają gazu i odjeżdżają pełni obrzydzenia, drudzy, litując się nad biedakiem, wrzucają do kapelusza datki. W pewnej chwili do zebrzącego Cygana podjeżdża limuzyna, najnowszy model sportowego jaguara, elektryczna szyba po cichu opuszcza się w dół i z okna wychyla się głowa kierowcy, polskiego biznesmena: - Te, Cygan, jak takiś biedny, to smaruj trochę cienie!

Szpitalny korytarz wypełnił rechot Kowalczyka. Tom z rozbawieniem pokiwał głową, pozostali milczeli, oprócz Antka, który wyglądał, jakby narastała w nim furia.

- Co za prostak z ciebie, Kowalczyk! - krzyknął Antek. - Jak możesz opowiadać takie obrzydliwości?! Przez takich jak ty ten kraj oddalony jest o tysiące lat świetlnych od cywilizowanego Zachodu.

- No proszę, świętoszek się znalazł. Wy, makaroniarze, bez przerwy świntuszycie, chyba że sprawa dotyczy mamusi albo waszej mafii, największego szlagieru eksportowego Włoch. Wy jesteście dobrzy w udawaniu świętoszków, bo wasza natura to zlecenie morderstw z ukrycia, jakaś mała bombka w sklepiku albo porwanie dzieciaka...

- Co ty, Kowalczyk, Antek to nie włoska mafia, chyba trochę przesadzasz? - Tom po raz pierwszy, odkąd się znali, ujął się za Włochem.

- Ja to wiem, ale nie lubię, jak ktoś jest tak zakłamanym obsrańcem jak ten tu... z tobą, Tom, jest czysta sprawa, ty jesteś Niemcem, stawiasz sprawy otwarcie, nic nie knujesz za plecami, nie prowadzisz podwójnych gier...

- Ty grubasie, zaraz ci przywalę, chodź na dwór, to ci zaserwuję kurację odchudzającą. No chodź...

- Chłopcy, przestańcie - mama na pewno czuła się winna, w końcu to ona zgodziła się na ten dowcip. - Nie powinienes, Marek, tak mówić do Antonia, to poeta i na dodatek nasz gość i... przyjaciel.

- Przyjaciel? Pani Rózo, pani jest mądrą kobietą, czy Włoch może być przyjacielem? On panią przy pierwszej okazji sprzedałby za paczkę spaghetti.

- Co ty, z tą swoją przekupną świtą, wiesz o przyjaźni? Nawet twoja własna żona ma w głowie tylko twoje pieniądze - w słowach Antka słyhać było szyderstwo, ale nie tylko. Gdzieś głęboko pod tym szyderstwem krył się smutek. Byłam pewna, że tak naprawdę Antek nie miał zamiaru ranić Kowalczyka. Jedynym problemem Antka był on sam i wszystko, co robił i mówił, tylko z pozom dotyczyło kogoś innego. Jego oskarżenia pod adresem innych były próbą obrony samego siebie, próbą odsunięcia momentu, w którym musiałby stanąć twarzą w twarz z własnymi niedomaganiem. Antek miał przecież wrażliwość poety, pisał całym sobą i posługiwał się nie tylko intelektem, ale i duszą. To prawda, Antonio Leone miał duszę. Wielką, starą duszę w krępującym ją niedopasowanym ciele. Gdy o tym pomyślałam, zrobiło mi się ciepło na sercu i chciałam jak najszybciej wyrzucić z pamięci te chwile, kiedy byłam dla niego zbyt twarda, niedobra. Powinnam ująć się za nim, stanąć po jego stronie, obronić przed atakiem Kowalczyka, ale tego nie zrobiłam.

Patrzyłam tylko na niego, ciesząc się, że po prostu jest.

Koszmar czekania zmienia minuty w długie, nienazwane chwile, nijakie, bez potrzeby zapamiętania. Ciągąc się w nieskończoność, prowokują do przeżywania, ciągle na nowo, tego ułamka sekundy, kiedy życie styka się ze śmiercią. I wtedy pojawia się pytanie - dlaczego?

Długo żyłam w przekonaniu, że w życiu wszystko ma swój początek i koniec, że stare jest zastępowane przez nowe, ale pewnego dnia zrozumiałem w końcu, że jest całkiem inaczej: wszystko, co nam się zdarza, zamyka się w kole. Nic nie ma swego początku ani końca - bo wszystko już było i znów będzie.



Mara *przeżyła* skok z wieży. Wszyscy byliśmy zgodni co do tego, że życie *zawdzięcza* chwastom i krzakom bujnie porastającym skarpe i przylegające doń nieużytki. To one zamortyzowały upadek dziecka na ziemię. I na szczęście skończyło się jedynie wstrząśnieniem mózgu. Skończyło się? Cały czas mieliśmy świadomość faktu, że jedyne dziecko w naszej rodzinie chciało odebrać sobie życie. Ten bolesny fakt powodował nieprzyjemny ucisk w okolicach żołądka... Czułam, że zawiedliśmy, to znaczy ja zawiodłam, bo szybko pozbyłam się złudzenia, że mam prawo zepchnąć odpowiedzialność na innych, na moją nieżyjącą siostrę, na niedawno odnalezionego ojca dziecka czy obwiniać starzejącą się już babcię. Tak było najłatwiej, najbezpieczniej, do tej pory w moim życiu nie było nawet doniczkowego kwiatka, bo opieka nad nim, świadomość odpowiedzialności ponoszonej za niego, przekraczała moje możliwości. I nagle to dziecko. Chwilami wydawało mi się, że to ja powinnam wejść na tę wieżę i skoczyć. Ratować siebie.

Mara przez kilka dni musiała pozostać w szpitalu. Nikt oprócz nas, mieszkańców pałacu, nie wiedział, że jej skok z wieży był próbą samobójczą. Oficjalnie mówiło się o nieszczęśliwym wypadku podczas zabawy. Przy pierwszej, szeptanej, rozmowie w szpitalu dziewczynka wyjaśniła mi nieśmiało, że chciała tylko zobaczyć, jak to jest, kiedy skacze się z takiej wysokości. Obie wiedziałyśmy doskonale, że tak nie było.

- Wiem, że ludzie nie potrafią latać, ale skakać... skakać potrafią.
- Nie potrafią. To znaczy skakać też nie potrafią.
- Coś ty Kornelia, potrafią skakać, nawet bardzo dobrze!
- Potrafią, jeśli uważasz, że twój szczęśliwy skok jest regułą - nie mogłam ukryć zniecierpliwienia, ale nie dlatego, że tak upierała się przy tym skakaniu. Wiedziałam, że muszę jej to powiedzieć, natychmiast. - Ale teraz chciałam powiedzieć ci coś bardzo ważnego, coś, o czym nie wolno ci zapomnieć: nigdy cię nie opuszczę. Przyrzekam ci to. Nawet nie wiesz, jak bardzo ważna jesteś w moim życiu. Musisz mi jednak pomóc, bo tego życia z tobą dopiero się uczę...

Ciemne oczy dziewczynki patrzyły na mnie w skupieniu. W coraz większym skupieniu. Nieoczekiwanie roześmiała się z niepohamowaną wesołością.

- Wiesz co? Babcia mi chyba nie uwierzy! Ja zupełnie nie wiem, o czym ty myślisz, ja chyba już nie umiem słuchać, co myślą inni - Mara miała tak uradowaną minę, jakby ktoś powiedział jej nagle, że może latać, latać jak ptak.

- Naprawdę? Jesteś tego pewna?

- Naprawdę, naprawdę, nie kłamię. Musisz to koniecznie powiedzieć babci... albo nie, ja sama jej to powiem - dziewczynka na dłuższą chwilę wstrzymała oddech, przewracając przy tym zabawnie oczami. Jeszcze nigdy nie widziałam jej tak rozradowanej. Jej szczupłe, długie palce zręcznie podrzucały zrobioną z jednorazowej chusteczki kulkę. Nagle piłeczka wymknęła jej się z rąk i upadła na szpitalną pościel. Rozglądając się na boki, tak jakby się bała, że ktoś ją usłyszy, Mara wyszeptała płaczliwym głosem:

- Wiesz o chorobie Jana... mojego taty?

- ... wiem.

W pierwszym odruchu chciałam to przed nią ukryć, w końcu sam Dahl nic mi o swojej chorobie nie mówił, ale... ale byłam pewna, że tak jest, i nie było sensu robić z tego tajemnicy. Wystarczyło jedno spojrzenie w jego piękne, ciemne oczy, aby mieć pewność, że nosi w sobie śmiertelną chorobę. W końcu okazało się, że Mara też to odkryła.

Długo siedziałyśmy w milczeniu, przysłuchując się naszym myślom, próbując ukryć przerażenie, które trawiło nasze dusze. Ten smutny, przesycony cierpieniem szpital nie był miejscem, w którym łatwo było pozbyć się lęków.

- Czy ja mogę mu pomóc? To znaczy uratować... - Mara rozejrzała się bezradnie - ...ja chcę mu pomóc. Ten lekarz z rudymi włosami mówił mi rano, że są takie choroby, że można od jednego człowieka wziąć na przykład serce i włożyć drugiemu, i on będzie żyć... ten drugi, mam na myśli.

- Robi się przeszczepy niektórych organów, na przykład wątroby, nerek, no i serca, serca też. Tylko że my nie wiemy nawet, na co Jan jest chory.

- Ja wiem. Tata ma coś z kośćmi...

- Z kośćmi?

- Z kośćmi. Z tym, co jest w środku kości. Może ja mogę mu dać to od siebie?

Po raz pierwszy tego dnia zasnułe szarymi chmurami niebo rozświetliły promienie słońca. Całą noc i cały ranek po wypadku padał ulewny deszcz, tak jakby natura łączyła się z nami w rozpacz z powodu bólu dziecka i pragnęła, abyśmy oczyścili sumienia. Po wielogodzinnej ulewie powietrze zapachniało nie tylko tym czymś nowym, ale i oswobodzoną z warstwy kurzu soczystą zielenią i parującą w czerwcowym słońcu ziemią.

Cornelia zwlekała z opuszczeniem pałacu i powrotem do Niemiec. Nagle okazało się, że wcale nie musi się spieszyć, że może zostać jeszcze kilka dni. Nie potrafiłam się cieszyć jej obecnością, przeszkadzała mi w tym świadomość, że gdzieś w pobliżu jest kobieta, która ma w sobie to, co dla mnie staje się powoli nieosiągalne. Zazdrościłam jej spokoju płynącego z samotności, tego, że nie musiała się o nikogo troszczyć, że nie musiała za nikogo brać odpowiedzialności. Tylko za siebie, wyłącznie za siebie. Miała co prawda rodziców, ale i oni mieli własne życie, zaplanowane i zorganizowane już wcześniej, nim ojciec Corneli i przeszedł na emeryturę, życie wypełnione po ostatnią minutę grą w golfa, podróżami, zabiegami odmładzającymi, spotkaniami z grupą znajomych. Ich córka z rzadka uczestniczyła w tym wszystkim, podobnie jak oni sami prawie wcale nie uczestniczyli w życiu posuniętych już w latach dziadków Corneli i, od lat przebywających w jakiejś klinice geriatrycznej, w której - dzięki nowoczesnej medycynie - nie mogli umrzeć.

Zazdrościłam Corneli i nawet tych wiekowych, sztucznie utrzymywanych przy życiu dziadków, a jednak gdzieś głęboko tkwiło we mnie przekonanie, że sama nie mogłabym tak żyć.

Po rozmowie z Marą w szpitalu wiedziałam, że teraz przyszedł czas na Dahla. Ciężko jest żyć ze świadomością, że człowiek, z którym jest się związanym, choćby nawet przez dziecko nieżyjącej siostry, umiera. Może trudno w to uwierzyć, ale stale towarzyszyło mi jego cierpienie, jakby miało mnie czegoś nauczyć.

Sposobność do rozmowy z Janem nadarzyła się sama. W wieczór poprzedzający dzień powrotu dziewczynki ze szpitala przyszedł po raz pierwszy do mojego pokoju. Akurat pod wpływem sugestii Corneli robiłam niewielkie poprawki w mojej nowej powieści, kiedy usłyszałam delikatne pukanie do drzwi. Trochę byłam zdziwiona, że ktoś mi przeszkadza, bo wszyscy mieszkańcy pałacu rygorystycznie przestrzegali zasady, że nie wolno przerywać mi pracy. Gdy pojawił się w progu, doznałam uczucia niezwyklej bliskości. To było tak, jakbyśmy byli jedynymi mieszkańcami jakiejś odległej planety. Patrzyłam na niego znad klawiatury mojego komputera i wiedziałam, że on przeżywa w tym momencie to samo. Zapewne pod wpływem tych intensywnych odczuć Jan zastygł na ułamek sekundy w bezruchu, jakby rozważał możliwość odwrotu. Ale odwrotu nie było ani dla niego, ani dla mnie. Zdawałam sobie sprawę, że jestem osobą, która czasami potrafi wypełnić sobą całe pomieszczenie, szczelnie, pozostawiając innym tylko dwie możliwości: ucieczkę albo akceptację mojej dominującej obecności. Jan został.

- Mówili mi, żeby ci nie przeszkadzał, bo wpadniesz we wściekłość.

- Ale ty się nie boisz?

- Boję się, ale nie pozostało mi zbyt dużo czasu - Jan uśmiechnął się słabo. Jego oczy zdawały się nie mieć źrenic. Powoli, z namaszczaniem zamknął drzwi, wiedząc, że w tym momencie otwiera inne drzwi, te do prawdy. Jego prawdy, która za chwilę miała stać się też moją.

- Wiem. Chcesz usiąść? - bezradnie rozejrzałam się po moim olbrzymim, pustym pokoju, w którym jedynymi meblami były: przepastna szafa, nienagannie pościelone łóżko, krzesło, na którym siedziałam, i olbrzymie mahoniowe biurko. Niedawno pomalowane okna i ściany lśniły nieskazitelną bielą, prostota była jedynym stylem, który, pracując, akceptowałam. Ku zdziwieniu mamy zrezygnowałam nawet z zasłon w oknach, w pałacu nie były mi potrzebne, bo to właśnie światło dzienne regulowało mój rytm pracy i życia.

- Chociaż... chyba nie ma na czym. Możesz przynieść sobie krzesło z kuchni...

- Nie trzeba, postoję. Chciałem ci tylko coś powiedzieć.

- Tak?

- Mam raka szpiku kostnego. Uratować mógł mnie tylko przeszczep, ale znalezienie odpowiedniego dawcy jest prawie niemożliwe, chyba że w najbliższej rodzinie. W panicznym lęku przed śmiercią pomyślałem o Luizie...

- ... i o waszym dziecku.

- I o naszym dziecku, o którym nie wiedziałem nic... nie wiedziałem nawet, czy przyszło na świat. Z Luizą rozstaliśmy się, gdy była w trzecim miesiącu ciąży - Jan podszedł do okna, popatrzył w dół, jakby oczekiwał tam kogoś bliskiego. - Nie byliśmy pierwszą parą, która rozstała się z powodu nieplanowanej ciąży.

- Szukając naszego dziecka, dowiedziałem się, że Luiza zginęła. Domyślasz się więc, po co tu przyjechałem?

- Nie muszę się domyślać, ja to wiedziałam.

- Wiedziałaś? Skąd mogłaś wiedzieć, że jestem chory? - Jan, zniecierpliwiony, podniósł głos. Stał oparty plecami o parapet okna, kryjąc w cieniu twarz.

- Wiedziałam - lekko wzruszyłam ramionami, chcąc, aby uwierzył, że moja wiedza jest czymś najnormalniejszym na świecie.

- Mara też o tym wiedziała. Od początku, od chwili twojego pojawienia się u nas.

- No dobrze, niech ci będzie, że obie wiedziałyście... to może powinienem milczeć, skoro wszystko już wiecie?

- Przepraszam, nie powinnam ci może tego mówić... masz swoje tajemnice, każdy ma swoje tajemnice, ale nic na to nie poradzę, czasem wiem więcej, niż ludzie sądzą... więcej, niż sama chciałabym wiedzieć. Mara też nie chciała, teraz, po tym wypadku, ma już chyba z tym spokój, wczoraj powiedziała mi, że nie potrafi już czytać w myślach innych ludzi... to dla niej ulga. Cieszę się, że jest już wolna od tego koszmaru, jest taka wrażliwa, a musiała sobie radzić z ciężarem naszych myśli, myśli ludzi dorosłych. To koszmar

- powtórzyłam, bo nie byłam pewna, czy Jan dobrze zrozumiał, o czym mówię. - Przed tym koszmarem ja mogę uciec w pisanie

- po raz pierwszy powiedziałam to na głos, zaskoczona ilością wypowiedzianych przez siebie słów.

- Zaraz, zaraz... czy chcesz przez to powiedzieć, że znasz moje myśli?

- Jan podszedł do biurka, przy którym siedziałam, i chcąc się czymś zająć, przebiegałam palcami po klawiaturze komputera, tak jakbym pisała brajlem. Oparł ręce na masywnym blacie biurka i ciężko przechylił się do przodu. - Dobry Boże, ty chyba żartujesz?

- Na szczęście nie każdego człowieka to dotyczy i nie w każdej sytuacji - wyszeptalam z poczuciem winy, zdając sobie sprawę, co może czuć stojący przede mną człowiek.

- No dobrze. To chyba wiesz, co chciałem ci teraz powiedzieć.

- Wiem.

- Co?! - Norweg wrzasnął tak głośno, że aż drgnęłam przestraszona.

- Widząc córkę, zrezygnowałaś z ujawnienia prawdziwego powodu przybycia. Nie chcesz jej ranić, mówiąc, że to nie potrzeba odnalezienia własnego dziecka przygnała cię do niej, tylko potrzeba zdobycia zdrowych komórek.

- Pytasz mnie czy stwierdzasz?

- Pytam cię.

- Sam już nie wiem, jak z tobą rozmawiać, gdyby mi ktoś o czymś takim powiedział, byłbym pewien, że cierpi na paranoję...

Po raz pierwszy podczas tej rozmowy popatrzyliśmy sobie w oczy, długo, w milczeniu, czerpiąc z tej ciszy spokój, godząc się z zastanym.

- Masz rację. Widząc dziecko, poczułem taką miłość, jakiej nie doznałem nigdy dotąd w moim życiu, miłość absolutną, bezinteresowną, zwróconą wyłącznie ku tej małej dziewczynce. Jeśli się kogoś tak kocha, trzeba go bronić... nawet - przed sobą samym. Zauważyłaś? Mara ma takie same oczy jak ja.

Z uśmiechem pokiwałam głową. Takich oczu, jakie miał ten człowiek i jego córka, nie można było nie zauważyć, takich oczu nie można zapomnieć, od takich oczu nie można się uwolnić.

- Zaczynam widzieć w mojej chorobie głęboki pozytywny sens, pogodziłem się już z nią, nie chcę już, jak powiedziałaś, zdobywać zdrowych komórek, nie chcę sprawdzać, czy Mara mogłaby być dawcą, to już mnie nie interesuje, moim największym i jedynym pragnieniem jest przekonanie Mary, że kocham ją jak nikogo innego na świecie. Chcę, żeby żyła w świadomości, że jej ojciec kochał ją bardziej niż własne życie... - Jan urwał, może zawstydzony, a może tylko wzruszony - ... nie chcę przez to powiedzieć, że się poświęcam - wyszeptał. - Chcę tylko, żeby wiedziała, że była najważniejsza na świecie dla człowieka, który był jej ojcem.

Milczeliśmy. Czułam, jak moja twarz robi się mokra od łez spływających po policzkach, bezgłośnych łez żalu, że człowiek, który był moim ojcem, nigdy nie powiedział tego co Jan. To było tak, jakby z rany gdzieś w moim wnętrzu zaczął sączyć się nagromadzony przez całe lata ból. Zobaczyłam tę małą dziewczynkę, którą byłam przed laty, z włosami jak wysuszona słoma, z ropiejącym, po raz kolejny w tym samym miejscu rozbitym kolanem, dziewczynkę, która odkryła tę rozdzierającą serce prawdę, że na tym nieznanym, olbrzymim świecie jest się samotną.

- Przepraszam cię, Jan, wydawało mi się, że mam prawo cię oceniać... wybacz mi... moją arogancję.

- Nie mam ci co wybaczać, masz prawo mnie oceniać. To ja muszę sobie samemu wybaczyć, dużo czasu mi nie zostało...

- Mara potrzebuje ojca, żywego, a nie wzniosłych wspomnień. Ona cię kocha, chce ratować ci życie, chce być dawcą. Powiedziała mi to - mówiłam szybko, bo nagle zdałam sobie sprawę, że upór Jana może stać się naszym wrogiem, moim wrogiem. - Nie musisz obawiać się o jej miłość, już ją masz, myślę, że to dziecko kochało cię, zanim się tutaj zjawiał, takie są dzieci... kochają swoich rodziców bez względu...

- Nawet jeśli je porzucą i nie chcą ich? - głos Jana był pełen agresji. .

- Nawet wtedy.

- A ty w takim razie kochasz swojego ojca?

- Ja nie mam ojca.

- Daj spokój, każdy ma ojca, nawet ty masz ojca, i na dodatek ten człowiek bywa w tym domu i zwraca się do ciebie per pani. Nie uważasz, że to jest chore?

- Chore?! - poczułam, że mój głos wibruje ze złości, gwałtownie wstałam, bo nie mogłam znieść bliskości Norwega, miałam wrażenie, że się duszę, chyba znowu miałam napad paniki. - Jeśli już, to ten świat jest chory. Pytasz mnie, czy ja Kocham tego człowieka, który jest moim ojcem? Chciałabym go kochać, a może nawet Kocham kogoś fikcyjnego, kto mógłby być dla mnie ojcem. Każdy, niezależnie od wieku, tęskni za swoimi rodzicami, pielęgnuje ich obraz w sercu, bo nauczyli go kochać, dali w życiu pewność, że jest się wartym absolutnej miłości, absolutnej, bo niezależnej od postępów w nauce, manier przy stole czy urody... a jeśli tego jeszcze nie dali, to dzieci wciąż na to czekają, coraz bardziej głodne tej miłości, bo czują, że czas ucieka i wkrótce może być za późno. Taki jest los pozbawionych miłości dzieci, okrutny, bo najczęściej same nie są zdolne do prawdziwej miłości... głodny człowiek nie może być dobrym kucharzem, będzie gotował szybko, byle jak... Nawet umierać jest łatwiej, jeśli było się dzieckiem kochanym, wtedy



możesz mieć nadzieję, że gdzieś we wszechświecie spotkasz ojca albo matkę... - mocnym szarpnięciem szeroko otworzyłam wypełnione czarną nocą okno. Nawet nie zauważyłam, kiedy na dworze zapadły nieprzeniknione ciemności. Ciężkie ołowiane niebo nie zapowiadało pogodnego dnia. Od strony kuchni dobiegały odgłosy ożywionej rozmowy, słychać było niski, gardłowy śmiech Cornellii. Cornelia potrafiła i lubiła się śmiać, robiła to często, co nie znaczy, że było jej wesoło, to była taka amerykańska moda. Zresztą ten jej śmiech był całkiem przyjemny, bo niespodziewanie, z nieuzasadnionych przyczyn, każdy miał wrażenie, że jest kimś szczególnym, kimś, kto ma pozytywny wpływ na swoje otoczenie. - Mara chce tego przeszczepu, głęboko wierzy, że dzięki temu przeżyjesz. Ona potrzebuje żywego ojca, a nie jego substytutu w postaci pośmiertnej legendy cudem odnalezionego taty.

Nim zdążyłam dokończyć to zdanie, pożałowałam zawartej w nim gorzkiej ironii, może nawet nie ironii, ale bolesnego wyrzutu, tak jakby to ten stojący obok mnie człowiek, z twarzą zasłoniętą szczupłymi dłońmi, ponosił winę za tę straszną, nieubłaganą chorobę.

Jego głos, znów dźwięczny, czysty i pozbawiony emocji, pomógł mi na nowo pozbierać myśli.

- A jakie jest twoje zdanie? Tom mówił, że potrafisz też odgadywać przyszłość...

- I co jeszcze mówił? - chciałam zyskać na czasie.

- Z ważnych rzeczy, że cię kocha.

- Czasami czuję, że coś się dzieje z człowiekiem, że coś mu się przydarzy, czasami potrafię to nawet nazwać, ale nie dotyczy to wszystkich. To, że Mara skoczy z wieży, wiedziałam dopiero na ułamek sekundy przed tym, jak rozległ się jej krzyk. Kocham Marę... i w stosunku do ludzi, których kocham, jestem bezradna, sama nie wiem, to funkcjonuje tylko w stosunku do obcych, obojętnych mi ludzi.

- Ja jestem obcy.

- Nie jesteś. Już nie jesteś.

Kiedy poczułam jego chłodne usta, postanowiłam nie otwierać oczu, chcąc w ten sposób wtopić się w nieskończoność, na przekór przeznaczeniu, na przekór życiu, którym jesteśmy i które jest nami.

Jesień w Monachium niesie ze sobą zapach gór. Żadna pora roku nie przypomina tak bardzo mieszkańcom tego miasta o bliskości Alp, jak właśnie jesień.

Mara była z Janem w Norwegii, uparła się, że musi być przy ojcu podczas operacji. Nie sposób było jej od tego odwieść, chciała być z nim sama, beze mnie, bez babci.

W monachijskim mieszkaniu wśród stosów różnych nieważnych listów znalazłam pismo z dzielnicowego komisariatu z prośbą o zgłoszenie się do nich w sprawie zaginięcia Thomasa. Zaraz następnego dnia, z dwumiesięcznym opóźnieniem, zapukałam do drzwi odpowiedzialnego za sprawę komisarza. Pokój, w którym urzędował, z zasłoniętym szarą żaluzją jedynym oknem, był wielkości pomieszczenia gospodarczego na miotły w małym podrzędnym hoteliku. Właściciel tego mikroskopijnego biura nie wyglądał raczej na niezadowolonego - w porównaniu z większością pracujących w tym komisariacie policjantów mógł uważać się za szczęśliwca. W końcu lepiej jest siedzieć w ciasnym, ale oddzielnym pomieszczeniu niż w olbrzymiej biurowej hali, podzielonej wysokimi półtorametrowymi przepierzeniami na liczne boksy z miejscem na małe biurko i regał.

Fizyczna bliskość prowadzącego sprawę policjanta działała na mnie deprymująco, choćby przez sam fakt, że od razu zorientowałam się, że używa środka odświeżającego oddech o intensywnym, chemicznym zapachu mięty. Natychmiast pomyślałam, że mój oddech nie jest zapewne zbyt świeży, bo poprzedniej nocy wypiałam z Cornelią dwie butelki wina i wypaliłam przynajmniej paczkę papierosów. Nigdy przedtem nie paliłam i właściwie nie znosiłam wszystkich palaczy, z wyjątkiem chyba Maksa, który od czasu do czasu wypalał

własnoręcznie zrobionego skręta. To Cornelia, ku mojemu zdziwieniu, przyniosła kilka paczek różnych papierosów, twierdząc, że palenie stało się aż tak niemodne, że znowu jest modne. Szerokie masy przestały w Niemczech palić, a więc ponownie nastał czas na czerpanie rozkoszy płynącej z faktu inhalowania się dymem. Im więcej piłyśmy, tym więcej było tej inhalacji. Ze zgrozą myślałam o swoim oddechu, którego na pewno nie było w stanie odświeżyć nawet najdokładniejsze czyszczenie zębów. W panice zaczęłam szukać w torebce choćby gumy do żucia albo jakiegoś cukierka. Komisarz jakąś chwilę przyglądał mi się cierpliwie, po czym z wyuczoną uprzejmością, przez którą przebijał mocny austriacki akcent, zapytał:

- Szanowna pani coś zgubiła?

Nie przerywając przeszukiwania torebki, pochodzącej zresztą ze specjalnej, limitowanej serii firmy Luis Vuitton, prezentu od Thomasa, wartej co najmniej połowę miesięcznej pensji goszczącego mnie policjanta, rzuciłam w roztargnieniu, starając się mówić do podłogi:

- Nie, nic, to znaczy nic szczególnego. Nie ma pan przypadkiem gumy do żucia albo jakiegoś cukierka?

Jak można się było spodziewać, Austriak nie okazał najmniejszego zdziwienia, tylko pewnym ruchem wyjął z górnej szuflady biurka metalowe pudełeczko z miętowymi pastylkami. Podając mi je, drugą ręką wyciągnął z kieszeni jasnej marynarki w drobną kratkę odświeżacz do ust w sprayu.

- Dysponuję jeszcze tym - potrząsnął metalowym pojemnikiem - ale to chyba dla szanownej pani nazbyt intymne?

Staroświecki niemiecki, w połączeniu z silnym wiedeńskim akcentem i równo przyciętym wąsikiem, wprawił mnie w końcu w takie osłupienie, że przestałam myśleć o swoim nikotynowym i alkoholowym kacu, i o tym, że na pewno nie chcę należeć do niemieckiej kulturowej awangardy, co nieuchronnie musiałabym opłacić nałogowym paleniem tytoniu, także w postaci

cygar i cygaretek. Szybko odłożyłam torebkę na podłogę i sięgnęłam po miętową pastylkę, dając tym samym policjantowi do zrozumienia, że temat ten uważam za zamknięty.

- Miło tu u pana, ale proszę mi wyjaśnić, czy wiadomo coś nowego na temat mojego męża?

- Pyta szanowna pani o te informacje sprzed dwóch miesięcy?

- Tak, właśnie o te sprzed dwóch miesięcy, a także o te najnowsze, choćby te dzisiejsze.

- A można zapytać, dlaczego szanowna pani nas wtedy nie odwiedziła?

- Nie było mnie do wczoraj w Monachium.

- Ach tak? A można wiedzieć, gdzie pani tak długo zabawiła i w jakim celu?

- Byłam w Polsce. Pracowałam tam. Chyba nie powie mi pan, że nie wiedział o tym?

Komisarz uśmiechnął się z udanym zakłopotaniem, od razu widać było, że lubi takie gierki, szczególnie jeśli chodzi o takie sprawy jak moja, już jakiś czas temu zamknięte, do których wraca się rutynowo, aby w końcu bez żalu ponownie przybić pieczętkę z napisem: „Zamknięte. Odłożyć do akt”.

- Szanowna pani jest chyba jedyną osobą w tym kraju, która jedzie do pracy za żelazną kurtynę...

- Z pobieżnej lektury codziennej prasy wynika, że pojęcie żelaznej kurtyny należy już do historii.

Przez dłuższą chwilę przyglądaliśmy się sobie w milczeniu, wąsaty komisarz wyraźnie rozważał jakieś za i przeciw, choć i tym razem miałam wrażenie, że to kolejna inscenizacja, podpatrzona w jednym z licznych seriali o sympatycznym komisarzu policji, emitowanych w popołudniowej i wieczornej telewizji.

- Tak, tak, szanowna pani ma rację, mam nadzieję, że szanownej pani nie uraziłem, w każdym razie nie miałem takiego zamiaru, przecież wiem z akt, że szanowna pani pochodzi stamtąd... ostatnimi czasy dużo się narobiło takich mieszanych małżeństw, ona ze

wschodniej Europy, on tutejszy, nie powiem, żeby nie było z nimi problemu, niestety, jest ich sporo - Austriak westchnął ciężko.

- Sama zresztą szanowna pani wie, czyta przecież gazety.

- Pan komisarz źle mnie zrozumiał, owszem, czytam gazety, ale nie prasę bulwarową, choć z czasów mojej pracy dziennikarskiej wiem, że jest to ulubione źródło informacji w tutejszych komisariatach, ale w końcu nie spotkaliśmy się tu na pogaduszki, czas opłacany przez podatnika trzeba szanować, dlatego najwyższa chyba pora przejść do konkretów.

Wyrzuciłam to z siebie jednym tchem, bo powoli ta rozmowa zaczynała działać mi na nerwy. Uprzejmy uśmiešek na ułamek sekundy zniknął z twarzy komisarza.

- Koledzy ze stanu Arizona znaleźli na płaskowyżu Kaibab, w okolicach Wielkiego Kanionu, zwłoki mężczyzny, a właściwie resztki zwłok mężczyzny, szanowna pani wie, tam podobno jest cała masa głodnych i żądnych łupu krogulców - komisarz zaśmiał się z przymusem. Powoli nabierałam przekonania, że nie umiał śmiać się inaczej. Zresztą nie dziwiłam mu się, w tym zawodzie nie ma nic do śmiechu. - A wracając do tego mężczyzny, to czas zgonu zgadzałyby się mniej więcej z datą zaginięcia pani męża. Musieliśmy ustalić, czy w przypadku denata chodzi o Thomasa...

- komisarz uchylił okładkę leżących przed nim akt - ... Thomasa Bernreutera, prawnika, lat czterdzieści dwa, ostatnio zamieszkałego... szanowna pani zna adres... mieszkaliście państwo pod tym samym adresem?

- Jak większość szczęśliwych małżeństw...

- Tak, tak, mam to tu w aktach... a więc musieliśmy ustalić, czy denat znaleziony przez naszych amerykańskich kolegów to mąż szanownej pani...

Pilnie, jakby losy naszego świata zależały od znalezienia jakiejś tajnej informacji, komisarz zaczął przeglądać, kartka po kartce, leżące przed nim akta, po czym - po przestudiowaniu ostatniej strony i upewnieniu się, że to jest rzeczywiście ostatnia strona

- z nabożeństwem odłożył je na bok i włączył monitor stojącego po lewej stronie biurka komputera. Minęła długa chwila, nim znalazł w nim to, czego szukał. Czekaając na to, co w końcu powie, starałam się o niczym nie myśleć. Zresztą nie spodziewałam się żadnych rewelacji, gdyby to był Thomas, otrzymałabym z pewnością jeszcze jedną wiadomość. A swoją drogą cała ta sytuacja była jak kiepska teatralna sztuka, gdyby mi ktoś o tym opowiedział, pomyślałabym, że nie umie zmyślać.

- Z badań diagnostycznych działu kryminalistyki wynika, że... zbadano uzębienie denata i zrobiono analizę porównawczą DNA. Denat, o którym mowa, to nie jest Thomas Bernreuter.

Znowu sztuczny, wymuszony uśmiech, choć tym razem w jego oczach zapaliło się nikłe światełko, coś w rodzaju ludzkiej życzliwości.

- Coś szanownej pani na pożegnanie opowiem, szanowna pani pozwoli?

W milczeniu skinęłam głową, bo odkrywszy to nikłe światełko w jego oczach, ciekawa byłam, co ma do powiedzenia.

- Jako szef działu kryminalnego o zasięgu międzynarodowym interesuję się wszystkim, co ma coś wspólnego z miejscem ewentualnej zbrodni. Szanowna pani zdaje sobie sprawę, że co kraj, to obyczaj, ale przejdźmy do konkretów. Analizując przypadek pani szanownego małżonka, czytałem dużo na temat Wielkiego Kanionu. I znalazłem coś, co szanowna pani - zresztą nie tylko szanowna pani - powinna przemyśleć: podobno jakaś amerykańska lekarka, zwiedzając te okolice, znalazła lekarstwo na pychę, bardzo proste i, jak się domyślam, skuteczne lekarstwo: wystarczy stanąć na skraju Wielkiego Kanionu i spojrzeć w dół, w tę przerażającą przepaść, i to pozwoli każdemu uzmysłowić sobie, jak mało jest ważny. Zrozumiała szanowna pani? Mówię o zgubnej pysze.

- Zrozumiałam. Amen.

Po powrocie do domu znalazłam wetkniętą w drzwi wejściowe, opłaconą już, miesięczną wejściówkę do Hellabrunn, monachij-

skiego ogrodu zoologicznego. Na ofoliowanym kartoniku wielkości wizytówki widniało moje nazwisko i imię, data urodzenia oraz adres zamieszkania. Ktoś, kto zapłacił za tę kartę, chciał, abym poszła do zoo. Kto to mógł być, nie miałam najmniejszego pojęcia. Nigdy nie przepadałam za ogrodami zoologicznymi i z tego powodu nigdy nie odwiedziłam żadnego, z wyjątkiem wycieczki szkolnej na początku szkoły podstawowej. Nigdy jednak z nikim na ten temat nie rozmawiałam, dlatego nie mogłam znaleźć żadnej wskazówki, dlaczego akurat zoo, a nie na przykład kąpielisko miejskie, w końcu uwielbiałam pływać.

Do zoo postanowiłam wybrać się po południu, bo i tak nie miałam co robić. Moja druga powieść znajdowała się już w wydawnictwie. Co do następnej, to Cornelia kazała mi czekać do otrzymania dokładnego bilansu ze sprzedaży pierwszej książki, co powinno nastąpić lada moment. Nalegała, abym osobiście włączyła się do promocji moich książek i przejechała się po małomiasteczkowych i wiejskich ośrodkach kultury, czytając fragmenty powieści i dyskutując z czytelnikami na temat mojego prywatnego życia. Z braku innych zajęć zaczęłam się nawet nad tym poważnie zastanawiać, inscenizując w wyobraźni spotkania z czasami liczną, czasami niewielką grupą prowincjonalnych gospodyń domowych, z których jedna część będzie zajęta przyniesionymi z domu robótkami na drutach, a druga da głośno upust swojemu niezadowoleniu z tego, że stoi przed nimi atrakcyjna kobieta, a nie atrakcyjny młody mężczyzna - ukrywający się pod żeńskim nazwiskiem, feminizujący, ale niezaprzeczalnie męski pisarz. A może będą protestować, bo moja powieść nie zawiera ani realistycznie opisanych scen z ostrym seksem, ani dialogów pełnych wulgarnych przekleństw, w końcu bez tego nie ma dobrej literatury... Na szczęście tuż przed moim wyjściem z domu zadzwoniła pani Miles z marketingu, oznajmiając beznamiętnym głosem, że w przypadku, gdybym przygotowywała się (przeszła szkolenia w telepatii?) do spotkań w prowincjonalnych domach kultury, to informuje mnie, że w wydawnictwie podjęto

decyzję o nieupublicznianiu mojej osoby. Po wielu dyskusjach i symulacjach rynkowych przyjęto starą i sprawdzoną strategię budowania mojego image'u, opartą na nagłaśnianiu tajemnic mojego życia, puszczaniu w obieg publiczny wykluczających się nawzajem niedorzecznych plotek, nagłaśnianiu informacji o moim negatywnym stosunku do mediów i obsesyjnym ukrywaniu się przed nimi. Szczegółowe informacje na ten temat, z dokładnym planem działań marketingowych i wskazówek dotyczących tego, jak ja, jako osoba publiczna, mam się zachowywać, mogłam odebrać osobiście w wydawnictwie albo zlecić przesłanie ich pocztą pod wskazany adres.

W taksówce wiozącej mnie do ogrodu zoologicznego odetchnęłam wreszcie z ulgą: napawająca mnie lękiem wizja spotkań z czytelnikami w domach kultury odeszła w niepamięć, pozostawiając po sobie jedynie niewyraźne wspomnienie uczucia paniki, jakie musi towarzyszyć wszystkim rodzajom fobii, również tej związanej z publicznymi wystąpieniami.

Starsza kobieta sprzedająca bilety w kasie przy głównej bramie zoo nie była w stanie udzielić mi informacji, kto wykupił posiadaną przeze mnie wejściówkę. Z ponurą miną wzruszyła tylko ramionami, mrużąc pod nosem coś niezrozumiałego - nie ulegało wątpliwości, że nie mogłam liczyć na jej pomoc.

Wąskie, wijące się bez widocznego schematu alejki ogrodu zoologicznego otulała jesienna aura. Zaskoczeni wilgotnym chłodem nieliczni zwiedzający przemykali wzdłuż boksów ze zwierzętami, przystając jedynie przy czworonożnych biedakach, którym stworzono złudzenie życia na wolności, wydzielając skrawek ziemi otoczony masywnym metalowym ogrodzeniem i głębokim betonowym kanałem. W matowych, otępiałych spojrzeniach ludzi i zwierząt można się było doszukać uczucia wzajemnej solidarności, wynikającej zapewne z faktu, że wszyscy żyjemy, jeśli już nie w ciasnej klatce, to z pewnością na krępującym naszą wolność niewielkim wybiegu.



Zatrzymując się w szklanym domu małp, przypomniałam sobie usłyszaną w dzieciństwie przerażającą bajkę o królewnie zamkniętej w szklanej wieży. I wtedy poczułam na sobie czyjś intensywny wzrok. Byłam pewna, że ktoś mnie obserwuje, ktoś patrzy na mnie łapczywie oczami przepełnionymi uczuciem. Gwałtownie odwróciłam się plecami do szklanej ściany, chciałam przyłapać te oczy - ale już ich nie było, wokół same nieznane twarze dorosłych i dzieci, zmęczonych, odurzonych ciężkim, z braku tlenu i nadmiaru wilgoci, powietrzem. Bezskutecznie rozglądałam się wokół i, nie dostrzegając żadnej znajomej sylwetki, niespodziewanie dla samej siebie poczułam coś w rodzaju ulgi. W ślad za nią ogarnęła mnie tęsknota za Marą. Z zazdrością popatrzyłam na stojącą obok młodą kobietę trzymającą za rękę ciemnowłosą córeczkę i ze stoickim spokojem wodzącą wzrokiem za rozbrykanym malcem, próbującym się wdrapać, na co się tylko dało, włącznie z solidnym stalowym koszem na śmieci.

Nie chciałam się do tego sama przed sobą przyznać, ale po wyjeździe Mary i Jana do Norwegii z każdym dniem coraz bardziej brakowało mi tej poważnej dziewczynki, serdecznego uścisku jej szczupłych, długich, wcale nie dziecinnych palców i jej mądrych oczu, przepełnionych bezwarunkową, najpiękniejszą na świecie miłością. Nagle, oniemiała ze strachu, pomyślałam, że mogłabym stracić to dziecko. Stracić je. W końcu nie byłam przygotowana na przyjęcie tej miłości, nie umiałam czerpać z niej radości - przysłaniał ją zdradliwy lęk przed odpowiedzialnością. Takie myśli boją, wyzwalają złość przeciwko sobie. Zadumana, nawet nie zauważyłam, że opuściłam szklany dom małp i dotarłam do klatek z drapieżnikami. I znowu ta pewność, że ktoś intensywnie na mnie patrzy, przeszywa mnie wzrokiem, chce mi coś zakomunikować. Tym razem starałam się odwrócić powoli, niepostrzeżenie, tak aby zaskoczyć obserwujące mnie oczy. I nic, wokół kompletna pustka, której nie były w stanie wypełnić nieobecne spojrzenia cętkowanych gepardów. Większość odwiedzających poszła już w kierunku wyjścia,

bo zbliżała się godzina zamknięcia zoo. Wracając pieszo do domu, postanowiłam nigdy więcej nie uciekać przed żadnym uczuciem i przechodząc przez most na Izarze, wrzuciłam do wody kartonik z miesięcznym abonamentem do zoo.

Jedynym obrazem, który pozostanie mi w pamięci po tej historii, będzie pełna oburzenia twarz nadbiegającej z naprzeciwka starszej zadbanej kobiety, której sportowy strój do joggingu wyglądał tak, jakby dopiero co opuścił półkę drogiego sportowego sklepu.

Życie składa się ze spojrzeń i gestów, które wypełniają przestrzeń między nami. Tworzą sieć, która gęstnieje, gdy uczucia nabierają intensywności - wtedy żyjemy prawdziwie. Gdy nam umykają, stajemy się obojętni, misternie tkana sieć rozluźnia się i wówczas łatwo nas przeoczyć, wyminąć, nie zauważyć, nie kochać.

Nigdzie się nie spieszyłam, w tym mieście, na własne życzenie, byłam obca i sama. Zaczęły się godziny szczytu, ludzie biegli do domów na umówione spotkania ze znajomymi, po dzieci do zastępczej mamy, do fitnessklubów, na wieczorowe kursy tańca brzucha... czy ja wiem dokąd jeszcze? Może do dopiero co spotkanej miłości swego życia albo do chorej matki z przynoszącym ulgę uśmiechem? Im bliżej byłam domu, tym bardziej zwalniałam krok, dziwnie brakowało mi odwagi, aby włożyć klucz do zamka i wejść do pustego mieszkania. Samotność, wcześniej tak podniecająca, zaczynała pokazywać swoje drugie oblicze. Zaczęłam myśleć o wszystkich tych martwych biedakach z czasów mojej pracy w monachijskim dzienniku - prawie wszyscy, no, może oprócz tych, którym ktoś pomógł w przedostaniu się na tamten świat, byli chorzy na niechcianą samotność. Musiała minąć wieczność, abym zrozumiała, abym odkryła obłudę tkwiącą w samotności.

Przy drzwiach wejściowych zatrzymałam się dłużej, niż to było konieczne, wahając się, czy wracać już do domu. Ale nie przychodziło mi do głowy nic, co mogłoby mnie ucieszyć... Automatycznie przekręciłam klucz w zamku zabytkowych wejściowych drzwi. Były ciężkie, dębowe i popychając je z wysiłkiem, pomyślałam, że takie drzwi powinny gwarantować szczęście mieszkańcom tej kamienicy. Na klatce schodowej panował półmrok, pewnie znowu przepaliła się któraś z żarówek, a mimo to natychmiast go zobaczyłam. Usiadł za grubym filarem podpierającym sklepienie półpiętra, tak aby móc widzieć wchodzącą do środka osobę i samemu pozostać w ukryciu. Zbliżając się do niego, uświadomiłam sobie, że od wielu miesięcy po raz pierwszy jesteśmy sami.

Opuszczając pałac z Cornelią i Antkiem, Tom uparcie milczał, więc nic nie powiedzieliśmy sobie na pożegnanie. Gdy wiozłam ich na lotnisko do Wrocławia nie mogłam uwolnić się od natrętnej myśli, że z odlatującym w kierunku Niemiec samolotem odlatuje część moich marzeń o miłości, przyjaźni, zaufaniu. Przechodząc przez kontrolę paszportową, Tom na sekundę odwrócił się i skinął ręką w moim kierunku. I poszedł. Mężczyzna nie dla mnie, może nawet dla żadnej kobiety, wrażliwy i zdolny, naznaczony piętnem wiecznego niespełnienia, skazany na ciągłe poszukiwanie ukrytego sensu w życiu. Aby w tym wytrwać, przybrał twardą maskę cynizmu.

- Długo kazałaś na siebie czekać.
- Byłam w zoo.
- W zoo? Nigdy bym cię o to nie posądzała. Jesteś sama?
- A z kim miałabym być?
- Sama wiesz... z tym cholernym Norwegiem, no i z Marą. Tom w dalszym ciągu siedział na schodach, mimo że podeszłam tak blisko, iż nasze twarze znalazły się tuż przed sobą. Unikał mojego wzroku, jego oczy błędziły po ścianach klatki schodowej.
- Jestem sama - chciałam dodać „jak zwykle”, ale takie wyznanie wydawało mi się w tym momencie zbyt intymne. - Jan jest z Marą

w Norwegii, kilka dni temu zrobiono mu kolejny przeszczep szpiku kostnego.

Tom gwałtownie wstał z kamiennego stopnia i ze złością chwycił mnie za rękę. Mocno, tak mocno, że boleśnie odczułam uścisk jego palców.

- Powiedz mi, powinienem zachorować na raka, aby zasłużyć na twoje względy, czy może mam porzucić jakąś dziewczynę w ciąży z moim dzieckiem, a może jedno i drugie?

- Wystarczy, że szukasz nie wiadomo czego, to znaczy ja nie wiem, czego ty w życiu szukasz. Powiedz, co mógłbyś mi w naszym związku ofiarować? Poczucie bezpieczeństwa, dom pełen dzieci, perspektywę bycia razem do późnej starości?

- Miłość mógłbym ci ofiarować! Czy to mało?

Tym razem Tom nie odwrócił wzroku i po raz tysięczny zauważyłam, że jego tęczęwki są nakrapiane złotem. Patrzył na mnie wyzywająco, choć uścisk jego dłoni stał się mniej bolesny.

- To bardzo dużo - wyszeptałam, bo nagle zdałam sobie sprawę, że w dalszym ciągu stoimy na schodach rozbrzmiewającej echem klatki schodowej - to więcej niż kiedykolwiek od kogoś dostałam. Jesteś pierwszym mężczyzną, który chce mi coś ofiarować i nie funduje sobie moim kosztem jakiejś psychoterapii - delikatnie uwolniłam rękę z jego uścisku. Ze wzrokiem wbitym w ziemię wyminęłam go i idąc powoli na górę, nie odwracając głowy, bojąc się ukrytego w uczuciach banału, cicho dodałam:

- Kocham cię, Tom. Sama nie wiem, skąd we mnie tyle lęku przed tą miłością, chodź ze mną do domu. Proszę.

Za oknem wstawał akurat szary, ciężki od wilgoci listopadowy poranek, kiedy zadzwoniła mama. Nigdy nie dzwoniła tak sobie, żeby tylko pogadać, zawsze w konkretnej sprawie. Tym razem chodziło znowu o pałac. Krótko przed moim wyjazdem do Monachium byliśmy u notariusza, gdzie podpisałyśmy z Agencją Rolną

przedwstępną umowę kupna-sprzedaży pałacu, wpłacając niezbędną zaliczkę. Mama chciała się dowiedzieć, czy mam już resztę pieniędzy na końcowy akt notarialny i na rozpoczęty remont dachu, a ściślej mówiąc, na nowy dach, bo zaraz na początku robót okazało się, że stary nadaje się wyłącznie do rozbiórki. Wszystko przez to, że pałac nigdy nie miał rynien. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego ich tam nie było. W końcu trzeba było zrobić dach i kosztujące prawie drugie tyle rynny. Tego ranka oznajmiłam mamie, że zamierzam sprzedać monachijskie mieszkanie.

- Szkoda - powiedziała mama autentycznie smutnym głosem - zapewniało ci niezależność, miałaś tam swój azyl... - I po chwili, zupełnie bez związku dodała: - Ostatnie lato było najpiękniejszym latem w moim życiu.

- Cieszę się, ale nie rozumiem, co to ma wspólnego ze sprzedażą... mojego mieszkania?

Ciągle jeszcze miałam problem z powiedzeniem, że jest to moje mieszkanie, bo było ono nim tylko prawnie i tak naprawdę zawsze należało do Thomasa. Nawet w chwili sprzedaży miałam uczucie, że biorę pieniądze za coś, co wcale nie jest moje; dopiero gdy wchłonął je pałac, stały się moją własnością.

- Właściwie nic... te dwie sprawy niewiele mają ze sobą wspólnego, może tylko pośrednio...

- To znaczy?

- Zauważyłaś, że my, Polacy, gdy tylko nadejdzie lato, przestajemy się przejmować czymkolwiek?

- Tak?

- Żyjemy tak, jakbyśmy cierpieli na dobrowolną amnezję, nie chcemy pamiętać, co było, i nie chcemy martwić się, co będzie... przez te dwa letnie miesiące jesteśmy narodem szczęśliwych ludzi.

- Może i masz rację - nie byłam pewna, co mam jej odpowiedzieć, bałam się tej melancholii w jej głosie. Ostatnio nasze relacje ograniczały się do ustaleń dotyczących remontu, a rozmowy toczyły się wokół właściwości technicznych materiałów budowlanych czy

zawilości technologicznych prac przy osuszaniu ścian. - Coś w tym jest, to pewnie wpływ słońca na naszą gospodarkę hormonalną.

- Nie wszystko da się wytłumaczyć hormonami, to nastawienie, ta gotowość do zawieszenia w próżni na czas letni wszystkich trosk jest w nas zawsze, bez względu na porę roku. Ale przejdźmy do konkretów. Gdzie zamierzasz w takim razie zamieszkać, jak już sprzedasz mieszkanie? W pałacu?

Wydawało mi się, że słyszę w jej głosie nadzieję. Odpowiedź przysłała mi nie bez trudu.

- Nic ci jeszcze nie mówiłam, ale od niedawna żyję z Tomem... to znaczy jesteśmy parą, wiesz, bez ślubu oczywiście, ale mamy wspólne plany... tak więc ustaliliśmy, że zamieszkamy w Warszawie. Tom prawdopodobnie dostanie tam pracę jako fotograf w jednej z największych na świecie agencji informacyjnych. To chyba jest już pewne... zanoszą się na to, że jego album będzie hitem, szczególnie teraz, przed świętami. No a poza tym postanowiłam też, to znaczy, postanowiliśmy, że adoptuję Marę, oczywiście jeśli się na to zgodzi, pytałam już Jana, nie ma nic przeciwko temu, ale Marę chcę o to zapytać osobiście... brakuje mi tego dziecka...

- A twoje powieści? Co z twoimi książkami? - mama była zdenerwowana i wcale tego nie kryła. - Mówisz o wszystkim i wszystkich, a co z twoim pisaniem? Nie możesz odcinać tylko kuponów od tego, że udało ci się wyjść bogato za męża i zostać bogatą wdową, a właściwie nawet nie wdową.

Zaskoczyła mnie tak bardzo) że choć starałam się jak najszybciej skupić i odgadnąć właściwy sens tego, co akurat powiedziała, nic rozsądnego nie przychodziło mi do głowy. W rozmowie przez telefon czas płynie inaczej, każda sekunda rozciąga się, potrafi trwać nieskończenie długo.

- Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć?

- Nic ponad to, że masz talent i powinnaś o niego dbać, czyli o siebie. No i pytałam o twoje książki, czy podobają się ludziom, czy je chętnie czytają?

- Pierwsze wyniki ze sprzedaży obu powieści są dobre, miałam kilka ciekawych krytyk...

- Ciekawych krytyk? Co to konkretnie znaczy?

Cała ta rozmowa zaczynała mnie złościć, tym bardziej że mama nigdy nie interesowała się moimi wynikami, nawet tymi w szkole. Kiedyś, zdaje się, że przy końcu szkoły podstawowej, nawet ją o to zapytałam. Odpowiedziała mi wtedy, nie ukrywając zdziwienia, że po co, skoro jest przekonana, że jej córki znakomicie radzą sobie w szkole, bo jakże mogłoby być inaczej?! Wtedy, na wiele lat, umocniło się we mnie przekonanie, że mama nie interesuje się tym, co robię.

- Ciekawe krytyki to to samo co ciekawe krytyki, czyli piszą o tobie, iż jesteś zdolną debiutantką nastawioną na komercyjny sukces.

- To może powinnaś postarać się w następnej książce o trochę ambitniejszy materiał, oczywiście pod warunkiem, że nie uwikłasz się w tę całą prozę życia...

Nie mogłam powstrzymać głośnego, radosnego śmiechu. Śmiałam się tak szaleńczo, że nie byłam w stanie wykrztusić do słuchawki kilku pożegnalnych słów. W końcu, zalana łzami, usłyszałam głos dolatujący z jakże oddalonej ode mnie w tamtej chwili Polski:

- Jak się już wyśmiejesz, to zadzwoń, musimy omówić jeszcze sprawę ogrzewania niektórych ścian.

Mając siedem lat, postanowiłam nigdy więcej nie odezwać się do swego ojca. Ani jednym słowem. Postanowienia tego dotrzymałam nawet wtedy, kiedy będąc już kobietą, niespodziewanie spotkałam go na swojej drodze. Był to jeden z najtrudniejszych momentów w moim życiu - nie nosiłam już w sobie żalu, złości, nie miałam zranionej duszy, ale wciąż tkwiło we mnie to ważne postanowienie, to raz na zawsze dane sobie słowo. Stary człowiek, którego spotkałam, nigdy nie był moim ojcem. Spotkanie z nim poprzedził

smutny sen o samotności, starości, umieraniu i pustce... ta ostatnia jako jedyna jest naszym własnym wyborem, jest tym, co nazywamy losem, naszym przeznaczeniem.

Mając siedem lat, postanowiłam być dla siebie dobra, bo w świecie, w którym żyłam, nie było czasu na dobroć, ale był czas na zagubienie się, trwanie w bezruchu, smutek.

W dzieciństwie moim największym sprzymierzeńcem była samotność, ta z wyboru, ta, która pozwala w spokoju obserwować świat.

Mając siedem lat, dostałam swoje pierwsze szkolne zdjęcie: wszystkie dzieci z mojej klasy ustawiono na boisku szkolnym w dwóch równych rzędach, wysokie dzieci w tyle, te mniejsze z przodu; ja stałam z boku, z nieobecny, rozmarzonym spojrzeniem. Nie potrafię sobie więcej przypomnieć, nie wiem, o czym wtedy marzyłam, ale nie wyglądałam na tym zdjęciu jak szczęśliwe dziecko. Zdjęcie nie doczekało powrotu mamy z pracy, podarte na kawałeczki utonęło w parkowym stawie. Postanowiłam przecież być dobra dla siebie, a widok tej fotografii napawał mnie smutkiem.